

AGNIESZKA PIETRZYK

KTO CZYNNI ZŁO

Agnieszka Pietrzyk kolejny raz nie zawodzi. Funduje czytelnikowi nieodkładalną lekturę, w której nic nie jest takie, jakie się wydaje. Autorka wciąga nas w zawiłą intrygę, wodzi za nos i trzyma w napięciu. Polecam! **MAŁGORZATA ROGALA**



KTO
CZYNI
ZŁO

AGNIESZKA PIETRZYK

**KTO
CZYNI
ZŁO**



Copyright © Agnieszka Pietrzyk, 2021

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2021

Redaktor prowadzący: Szymon Langowski

Marketing i promocja: Anna Rychlicka-Karbowska

Redakcja: Paulina Jeske-Choińska

Korekta: Justyna Techmańska, Magdalena Siemiginowska |
panbook.pl

Skład i łamanie: Teodor Jeske-Choiński

Projekt okładki i stron tytułowych: Mariusz Banachowicz

Fotografia na okładce: © Gabriel H | Unsplash

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-66736-36-8

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Prolog

DOM BYŁ DUŻY I NOWOCZESNY, z przeszklonymi ścianami i częściowo zadaszonym tarasem. Prowadziły do niego szerokie kamienne schody, teraz mokre od deszczu. Stał w pięknej okolicy, w pobliżu jeziora Drużno, otoczony łąkami i polami.

Adam Chabicki, młodszy kapitan Państwowej Straży Pożarnej, pomyślał, że z wnętrza można podziwiać rozlewisko, zwłaszcza dzisiaj, gdy poziom wody przekroczył stan alarmowy o pół metra. Przed domem stały dwa samochody: volkswagen tiguan i toyota yaris, zaparkowane w taki sposób, że wozy strażackie już się nie zmieściły. To był problem, bo musieli się tłoczyć na wąskiej drodze z płyt, a właśnie miały odjechać stąd dwie wojskowe ciężarówki, trzeba było dla nich udroźnić drogę. Postanowił, że poprosi właścicieli aut o ich przestawienie. Ponownie spojrzął na dom, wypatrując jakiegoś ruchu bądź światła. Inni mieszkańcy Żółwińca wspierali się oświetleniem elektrycznym, bo dzień był wyjątkowo ponury, w tym budynku panowała jednak ciemność. Może właściciele jeszcze śpią, jest w końcu niedziela. Zaraz odrzucił tę ewentualność. Doświadczenie zawodowe mu podpowiadało, że ludzie z terenów

zagrożonych podtopieniami czuwali przy oknach i drzwiach, śledząc komunikaty w mediach. Wielu było nawet przygotowanych do ewakuacji, choć żadnego alarmu nie ogłaszano.

Zerknął na jezioro. Podniosło się i rozciągnęło, zdawało się występować z brzegów. Liczne wysepki znalazły się pod taflą wody, znacząc swoją obecność wystającymi ponad powierzchnię gałązkami młodych wierzb. Był to efekt ulewnego deszczu padającego od paru dni oraz wiatru wiejącego z północy, który wypychał wody Zalewu Wiślanego do rzeki Elbląg, a stamtąd do jeziora Drużno. Tak zwaną cofkę mieli co najmniej dwa razy do roku. Dla Adama był to chleb powszedni, bo służył w straży już od dwudziestu lat. Raz bywało lepiej, innym razem żywioł wygrywał, jak cztery lata temu, gdy woda przerwała wał w Stankowie na odcinku dziesięciu metrów, zalewając depresyjne pola i łąki oraz podtapiając niektóre zabudowania. Tym razem wydawało się, że najbardziej zagrożeni są mieszkańcy Węgla-Żukowa, to tam wały namokły jak gąbka i miejscami zaczęły przeciekać. Ponad stu strażaków i żołnierzy zabezpieczało je workami z piaskiem i specjalnymi rękawami. Wieczorem zaskoczyła ich informacja, że woda zaczęła przelewać się we wsi Żółwiniec. Właściwie nie było to nic dziwnego, bo ta miejscowość rozlokowana była najniżej w Polsce, jeden koma trzy metry poniżej poziomu morza. Przerzucili więc tutaj większość sił. Dobrze, że w magazynie w Elblągu mieli duży zapas worków. To była ciężka noc, pracowali przy świetle czołówek i w ulewnym deszczu. Teraz mieli chwilę wytchnienia, wały były zabezpieczone, należało tylko pilnować, czy nie

przeciekają w nowych miejscach. Adam dojrzał dwóch kolejnych strażaków idących wzdłuż nasypu i monitorujących jego stan. Trzymali w dłoniach papierowe kubki z kawą. Zamachali do niego. Też uniósł rękę.

Godzinę temu wiatr zmienił kierunek, zaczął wiać od wschodu, a ulewa przeszła w normalny deszcz, który teraz prawie ustał, z nieba leciały tylko pojedyncze krople. Poziom wody w jeziorze jeszcze nie opadł, ale przynajmniej już się nie podnosił.

Adam uznał, że może na moment opuścić swoje stanowisko i pójść pogadać z mieszkańcami przeszklonego domu. Na pewno zgodzą się, aby dwa wozy strażackie wjechały im na podwórko. Na szczęście ludzie chętnie współpracowali z Państwową Strażą Pożarną. Zaczął iść. Dopiero teraz poczuł, jak jest mu zimno. Temperatura spadła do zera, a w połączeniu z wilgocią powietrze stało się lodowate. Stopy w strażackich butach miał przemarznięte, kurtka zdawała się w ogóle go nie chronić. Z nadzieją pomyślał, że gospodarze zaproszą go na minutę do środka, aby mógł się ogrzać. Patrzył na pola wyglądające jak rozlewiska, na łąki przypominające mokradła — aż trudno uwierzyć, że to grudzień. Stojąca na trawniku woda bulgotała, gdy robił kolejny krok. Był już blisko. Jeszcze dziesięć metrów. Podchodził do domu od frontu, ale po sporym skosie, bo mijał podjazd, którym płynęła niewielka rzeczka. Duże krople deszczu spadły mu na kaptur.

Wszedł na kamienne schodki, chroniąc się pod daszkiem. Nacisnął okrągły przycisk i zza drzwi dobiegł go mocno przytłumiony dźwięk dzwonka.

Czekał minutę, nikt nie otworzył. Ponownie zadzwonił, tym razem dłużej przytrzymując palec na przycisku. Nic się nie zmieniło, stał dalej przed zamkniętymi drzwiami. Na lewo dostrzegł kojec z drewnianą budą, której skośny dach był przykryty gumą, mającą zapewne chronić przed przeciekaniem deszczu. Gdyby nie te samochody, toby pomyślał, że właściciele wyjechali i zabrali ze sobą psa. Postanowił zajrzeć jeszcze do wnętrza przez przeszklone ściany. Zszedł z ganku. Znowu trafiło go kilka dużych kropli deszczu, które rozprysnęły się na kurtce. Przesuwał się wzdłuż ściany frontowej. Po kilku krokach dotarł do przeszklonej części, zaczynała się na wysokości jego ramion. Najpierw zauważył, że przeciwległa ściana oraz ta ciągnąca się na prawo też są ze szkła. W połowie były zasunięte roletami antywłamaniowymi. Jego wzrok zatrzymał się na jasnej kanapie w jakiś dziwny trójwymiarowy deseń. Przesunął się parę kroków dalej, wypatrując mieszkańców.

Nagle w jego polu widzenia pojawiło się coś bardzo zaskakującego, aż się cofnął, powodowany pierwotnym instynktem nakazującym unikać zagrożenia. Co to, kurwa, jest? — wyszeptał, nie dowierzając własnym oczom. Po szybie od wewnętrznej strony przemieszczał się jakiś robak. Był ogromny, mógł mieć nawet sześć centymetrów długości. Czarny pancerz, mała, jakby schowana główka z długimi czułkami, szeroki odwłok i trzy pary ruchliwych odnóży wystających z tułowia i zakończonych hieratycznymi stopami — to wszystko przypominało o dreszcz trwogi na plecach. Przy tym stworzeniu pająk krzyżak jawił się niczym

przysyłanka dla dzieci. Adam nie był w stanie oderwać oczu od owada zmierzającego w górę szklanej ściany. Po chwili zobaczył następnego, a potem kolejnego, wędrowały jeden za drugim. Wyglądało to na egzotyczne karaczany. Chabicki wiedział, że niektórzy hodują te owady w domach i sprzedają je jako karmę dla gadów. Te tutaj zapewne uciekły z terrariów.

Postanowił obejść dom dookoła. Może jednak kogoś zauważy albo dostrzeże chociaż światło w oknach na piętrze. Ruszył, rozchlapując błotnistą wodę. Minął róg budynku i uniósł głowę. Tutaj na drugiej kondygnacji ściana była ślepa. Szedł dalej i po kilkunastu krokach znowu skręcił. Znalazł się na tyłach domu. Rosło tu kilkanaście niskich iglaków, a blisko ściany coś leżało. Od razu wiedział, co to jest, rozpoznał kształt, jednak gdy podchodził, miał nadzieję, że się pomylił. Parę sekund później przyklęknął w lodowatej wodzie przy zwłokach dziecka. Zaczepnął głęboko powietrza na widok bladej buzi i nieruchomych tęczywek. Drobną twarzyczką chłopca była mokra i miała w sobie coś nieskazitelnego, wręcz anielskiego.

Zdjął rękawiczkę i przyłożył dwa palce do tętnicy szyjnej. Wiedział, że dzieciaczek nie żyje, ale sprawdził, bo tak go nauczono: zawsze trzeba się upewnić. Uniósł głowę i zobaczył otwarte okno. W myślach ułożył mu się cały scenariusz tragicznego wydarzenia.

Te karaczany, które widział na szybie, hoduje się w tysiącach sztuk. Jeśli w nocy uciekły z terrariów, to musiały rozejść się po całym domu. Dotarły też

do pokoju chłopca i bardzo go wystraszyły. Chciał przed nimi uciec, ale nie mógł wyjść przez drzwi, bo tam były owady, wdrapał się więc na parapet. Może wyskoczył albo po prostu wypadł.

Adam znowu spojrzął na otwarte okno. Nie było wysoko, zaledwie pięć metrów, chłopiec powinien przeżyć upadek. Włożył dłoń pod głowę dziecka i wyczuł twardą materię wciśniętą w miękką ziemię. To był kamień. Mały miał pecha, że na niego trafił. Najchętniej wziąłby chłopaczka na ręce i zaniósł do strażackiego samochodu, żeby nie leżał w tym błocie w samej piżamce i boso. Dobrze wiedział, że nie może tego zrobić, bo policja i prokurator muszą najpierw przeprowadzić oględziny. Wyciągnął telefon i wystukał sto dwanaście. Trzęsącym się z emocji głosem zawiadomił o znalezieniu zwłok.

Sprawa, z jaką tu przyszedł, czyli przestawienie samochodów, wydała mu się teraz mało ważna. Musiał jednak poinformować kolegów, że powinni sobie inaczej poradzić z wyjazdem na szosę. Zadzwoił do przełożonego, a potem wybrał numer Romka Bednarskiego, który z innymi strażakami wędrował wzdłuż wałów, szukając przecieków. Powiedział mu, że znalazł martwe dziecko na tyłach przeszklonego domu, i poprosił, żeby tu przyszedł.

Najpierw usłyszał nadbiegających ludzi, rozchlapujących gęstą wodę ciężkimi butami, potem zobaczył Romka i jeszcze jakiegoś młodzika w strażackim mundurze. Chwilę później na ich twarzach dojrzał przerażenie. W oczach młodego strażaka zaszklily się nawet łzy. Opowiedział im o karaluchach i przedstawił własną hipotezę śmierci chłopczyka.

— On nie ma więcej jak siedem lat — skonstatował Romek. — Mój Hubert tyle ma, a jest trochę większy.

Młodziak patrzył raz na okno, raz na zwłoki chłopca.

— On wyskoczył albo wypadł przez okno, a jego rodzice? Co z nimi?

Adam zapomniał o pozostałych mieszkańcach domu, tak bardzo zaabsorbowało go martwe dziecko.

— Dzwoniłem dwukrotnie, ale nikt nie otworzył. Raczej są w domu, bo na podwórku stoją samochody, poza tym ten dzieciaczek jest za mały, żeby go zostawić samego na noc.

Koledzy pokiwali głowami, przyznając mu rację. Sytuacja była dziwna i coraz bardziej niepokojąca. Los opiekunów chłopca wydawał się teraz kluczową kwestią, bo może potrzebowali pomocy.

Romek spojrzał na otwarte okno.

— Przyniosę drabinę.

Adam pokręcił przecząco głową.

— Musielibyśmy przesunąć zwłoki dziecka, aby ją postawić.

— No to wyważymy wejście toporem. Jakie tam są drzwi?

— Metalowe, wyglądają na mocne, ale możemy rozwalić okno.

Romek się zawahał.

— Te wielkie okna są zapewne z szyb pancernych, ale pozostałe raczej nie. Możemy spróbować. — Spojrzał na młodego strażaka. — Leć po topór!

— Lecę, ale zanim zaczniemy wybijać szyby, to może dobrze byłoby jeszcze raz zadzwonić do drzwi. Oni mogą mieć twarde sen. Coś o tym wiem, mnie też ciężko dobudzić.

Chabicki ruszył na front domu. Chwilę później ponownie dobijał się do drzwi. Po pięciu minutach zrozumiał, że nikt mu nie otworzy. Co, do licha, stało się tam w środku? Zastanawiał się coraz bardziej zaniepokojony.

Rozdział I

Pięć tygodni wcześniej

ULA SIEDZIAŁA PRZED KLAWIATURĄ komputerową. Była zdenerwowana. Oparła dłonie o kolana, aby zniwelować ich drżenie. Przez cały tydzień prawie nic nie robiła. Współpracownicy dawali jej do zrozumienia, że niewiele umie, dlatego na razie powinna ograniczyć się do parzenia kawy. Dopiero dzisiaj podinspektor Juraszczyk zlecił jej protokołowanie przesłuchania. Nic trudnego, trzeba pisać to, co inni mówią, najprostsza policyjna robota, mimo to adrenalina w niej buzowała. Chciała dobrze wypaść, a jak za bardzo się chce, to zwykle coś nie wychodzi. Bała się, że nie zdąży notować, a przecież w protokole musi znaleźć się każde słowo świadka. Przyszło jej do głowy, żeby nagrać przesłuchanie na dyktafon. Gdyby coś jej umknęło, to mogłaby ten fragment później uzupełnić. Podniosła się, aby pójść po telefon. W tym samym momencie do gabinetu wszedł podinspektor Juraszczyk.

— Chce pani jeszcze poprawić makijaż? — zapytał, widząc ją stojącą niepewnie przy stanowisku protokolanta.

Nie była pewna, ale w jego głosie chyba pojawił się sarkazm. Pokręciła przecząco głową i usiadła z powrotem. Juraszczyk ją onieśmielał. Czuła respekt nie tyle przed jego trzydziestoletnim doświadczeniem czy stopniem policyjnym. Już sama jego postawa sprawiała, że nie byłaby w stanie teraz przeprosić i na chwilę wyjść, nawet do toalety. Od podinspektora biła siła i pewność siebie. Zdecydowanym ruchem odsunął krzesło od biurka i usiadł.

— To przesłuchanie trochę potrwa. Jeśli chce pani wyjść, to teraz, bo potem się nie da.

Nie patrzył na nią, lecz na dokumenty rozłożone na biurku. Zaczął je przesuwając dużymi dłońmi. Nagle wszystkie zgarnął do szuflady gestem, który zdawał się mówić, że są to nic nieznaczące świstki.

— Jestem gotowa do protokołowania.

— Zaczynamy więc.

Aspirant Żuk wprowadził do pokoju młodego mężczyznę. Świadek wyglądał zwyczajnie. Był krótko ostrzyżony i ubrany w popielatą rozpiętą bluzę, spod której wyłaniała się rozciągnięta koszulka. Miał też na sobie sportowe obuwie i wytarte dżinsy. Nawet w rysach twarzy nie było nic, co pozwalałoby zapamiętać go na dłużej. Gdy usiadł, Ula zauważyła, że na jego klatce piersiowej połyskuje krzyżyk zawieszony na łańcuszku.

— Imię i nazwisko — rzucił podinspektor, zerkając w tablet.

Świadek wskazał palcem na siebie.

— Moje?

— Jasne, że twoje.

— Krzysztof Marczak.

Ula wpisała dane mężczyzny do formularza. Dopisała, że przesłuchiwanie ma miejsce w komendzie policji w Elblągu przy ulicy Tysiąclecia, przesłuchania dokonuje podinspektor Dawid Juraszczyk w obecności protokolanta i tu wpisała swoje imię i nazwisko wraz ze stopniem: posterunkowa Urszula Baranowska. Te kilka słów wpisanych wprawnie i bez literówki sprawiło, że drżenie rąk ustąpiło, a oddech stał się równy. Będzie dobrze. Odnotowała, że przebieg czynności nie jest utrwalany za pomocą rejestratora obrazu i dźwięku, po czym zapisała, że świadek został poinformowany o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań i podpisał stosowny dokument.

Świadek na polecenie podinspektora podawał właśnie wiek i dane adresowe. Zaskoczyło ją, że taki młody, tylko 21 lat, był aż pięć lat młodszy od niej. To właściwie jeszcze chłopak, a nie mężczyzna, i prawdopodobnie dlatego Juraszczyk zwracał się do niego na „ty”.

— Czym się zajmujesz?

— Ja?

— Tak, ty. Ustalmy, że ty tu jesteś przesłuchiwany, bo chyba jeszcze się nie zorientowałeś.

— Niczym się nie zajmuję.

— Nie pracujesz? Nie uczysz się?

— Nie.

— Rodzice cię karmią i kupują ci zabawki?

— Można tak powiedzieć.

— A właśnie że nie można. Na przesłuchaniu odpowiadasz albo twierdząco, albo przecząco. No to jak?

Dopiero teraz świadek spojrział na nią. Uśmiechnęła się delikatnie, aby dodać mu otuchy. Podinspektor traktował go zbyt ostro. Niepotrzebnie, przecież to tylko świadek przestępstwa, a nie podejrzany o jego dokonanie.

— Tak, rodzice mnie utrzymują — powiedział ciszej, jak gdyby miał nadzieję, że protokolantka nie usłyszy i nie zanotuje jego odpowiedzi.

— To teraz opowiedz, co się stało dzisiaj w Centrum Handlowym Ogrody przy Pułkownika Dąbka.

Chłopak odchrząknął i poprawił się na krześle.

— No to wszedłem do sklepu z telefonami komórkowymi. Poprosiłem dziewczynę za ladą, żeby pokazała mi samsunga galaxy. Wyjęła dwa modele. Nie mogłem się zdecydować. Pomyślałem, że zobaczę jeszcze iPhone'a. Podała mi dwa kolejne aparaty. Oglądałem je kilka minut, potem odłożyłem wszystkie na ladę i powiedziałem, że się zastanowię i przyjdę jutro. Wtedy do boksu wpadł ten gościu w kapturze, zgarnął z lady te cztery telefony i zwał. To się wydarzyło tak prędko, że nawet nie zdążyłem zareagować. Dziewczyna też nie zdążyła nic zrobić. Gdy oboje wyskoczyliśmy za nim, to już go nigdzie nie było. Naprawdę był szybki.

Ula myślała, że wypowiedź Krzysztofa Marcza będzie dłuższa. Gdy ten zamilkł, trzymała palce nad klawiaturą, gotowa do dalszego protokołowania. Juraszczyk też sądził, że będzie jakiś ciąg dalszy, bo czekał rozparty na krześle. Milczenie świadka się przeciągało.

— No i co? To już wszystko? — zapytał podinspektor.

— Tak.

— No to teraz podaj nazwisko współnika.

— Jakiego współnika?

— Tego, z którym ukradłeś cztery telefony warte ponad dziesięć tysięcy złotych.

— Nie miałem nic wspólnego z tą kradzieżą. Ja tylko poszedłem obejrzeć te aparaty.

— Oj, Krzysiu, kogo ty chcesz oszukać? Starego glinę? Mam uwierzyć, że z marnym kieszonkowym od rodziców poszedłeś kupić sobie telefon za trzy tysiące?

— Ale ten telefon to nie dla mnie, to dla ojca na pięćdziesiąte urodziny. Brat mnie poprosił, żebym się rozejrzał za prezentem. Może pan go zapytać, on jutro przyjeżdża ze Sztokholmu.

— Wystarczy, że muszę twoich kłamstw wysłuchiwać, twojego brata już sobie daruję.

— Ja naprawdę szukałem telefonu dla ojca. Mnie nowy aparat nie jest potrzebny, mam dobrego smartfona, dostałem od brata na osiemnastkę.

Marczak wyjął z kieszeni telefon i uniósł go w górę.

— Daj mi go! — polecił podinspektor.

Chłopak przycisnął aparat do piersi.

— Po co?

— No daj mi go! — Juraszczyk zdecydowanym gestem wyciągnął rękę przez biurko. — Przecież go sobie nie przywłaszczę. Chcę tylko obejrzeć.

Marczak podał mu telefon. Podinspektor wstał i wyszedł z pokoju. Po chwili wrócił bez aparatu. Ula była mocno skonsternowana. Nie wiedziała, czy powinna zapisać ten fakt w protokole. Nie miała wątpliwości, że telefon wróci do właściciela, ale zapewne wcześniej któryś z funkcjonariuszy przejrzy jego zawartość. Kwalifikowało się to do nadużycia władzy policyjnej.

— Gdzie mój smartfon?

— Bezpieczny w rękach moich kolegów. Będziesz wychodził, to ci go oddamy.

Ula pospiesznie zanotowała to, co się wydarzyło w związku z telefonem świadka. Podinspektor zapewne wie, co robi, przecież to doświadczony funkcjonariusz, z wieloma sukcesami na koncie.

Juraszczyk znowu rozparł się na krześle, kładąc duże dłonie na udach.

— No co? Podasz mi nazwisko współnika?

— Nie mam współnika i nie mam nic wspólnego z tym napadem na sklep.

Nagle dłoń podinspektora zwinęła się w pięść i spadła z hukiem na blat biurka. Marczak drgnął przestraszony, Ula również.

— Słuchaj! Mamy twój telefon, ustalimy, z kim się kontaktowałeś w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Wkrótce będziemy mieli jego nazwisko. Zaoszczędzisz nam i sobie trochę czasu, podając je wcześniej. A kto wie, może nawet sędzia złagodzi ci wyrok w zamian za współpracę z wymiarem sprawiedliwości. Na razie z artykułu dwieście siedemdziesiąt osiem kodeksu karnego za przestępstwo kradzieży grozi ci do pięciu lat pozbawienia wolności.

Ula oderwała wzrok od monitora i spojrzała na świadka. Zaciskał zęby, próbując powstrzymać drżenie brody. Na płacz mu się raczej nie zbierało, był jednak mocno zdenerwowany.

— Kontaktowałem się z wieloma osobami w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Czy wszystkich ich uznacie za moich współników?

— Najpierw wyślemy do nich esemesa z pytaniem, czy wszystko dobrze, bo u ciebie doskonale. Zobaczymy, kto pierwszy oddzwoni albo odpisze.

W oczach Marczaka pojawił się lęk. Chyba czuł, że policyjny podstęp z telefonem może go wydać. Do tej pory był dla Uli tylko świadkiem, teraz zaczynała w nim widzieć przestępcę. Musiała też przyznać, że Juraszczyk miał dobry pomysł z odebraniem przesłuchiwanemu aparatu. Na pewno często to robił i nikt się dotąd nie poskarżył, bo w innym razie zaprzestałby tych praktyk.

— Nie macie prawa grzebać w moim telefonie. Oddajcie mi go!

— Krzysiu, nie unosź się tak. Mogłeś ze mną współpracować, podać nazwisko kolegi, a tak masz

niezłe bagno.

— Nie mam nic wspólnego z tą kradzieżą, a właściwie mam tyle, że tam byłem. Mogło trafić na kogoś innego, a wypadło na mnie.

Podinspektor podniósł się z krzesła. Emanowały z niego pewność siebie i spokój. Ula zerkała na szefa z podziwem. Nie ma to jak doświadczenie w zawodzie. Juraszczyk miał za sobą dziesiątki przesłuchań i teraz przynosiło to efekt.

— Daję ci kilka minut. Mam nadzieję, że je dobrze wykorzystasz.

— O czym pan mówi? Na co mam wykorzystać te kilka minut?

— Na przemyślenia, Marczak. Zaczynaj już analizować swoje położenie.

Podinspektor wyszedł z pokoju przesłuchań, nie zamykając za sobą drzwi. Ula odnotowała to w protokole, po czym zamachała palcami w powietrzu. Najchętniej wstałaby i trochę się poprzeciągała. Kark jej zdrętwiał, ale nie od niewygodnej pozycji, lecz z napięcia. Nawet nie przypuszczała, że to przesłuchanie będzie ją tak emocjonowało. Spojrzała na Krzysztofa. Siedział ze spuszczoną głową i zaciśniętymi dłońmi.

Po kwadransie zaczęła się irytować, że Juraszczyk nie wraca. Co on sobie myśli? Że ona będzie tu siedzieć do nocy? Przesłuchiwany też się niecierpliwił. Kręcił się na krześle i spoglądał na otwarte drzwi. Nagle się odezwał:

— Mam tego dosyć. Wracam do domu.

Marczak wstał, ona również. Wiedziała, że powinna go zatrzymać. Jeśli teraz wyjdzie, to będzie jej wina.

— To jeszcze nie koniec przesłuchania. Proszę zostać.

— Nie mam takiego zamiaru.

Na korytarzu rozległy się kroki kilku osób. Ktoś głośno protestował, że się nie zgadza na takie traktowanie. Dotarł do nich wyniosły głos Juraszczyka, a potem czyjś śmiech. Ula zobaczyła, że Krzysztof blednie i osuwa się na krzesło. Podeszła do niego.

— Słabo panu? Może wody?

— Tak, wody.

Wybiegła z pokoju przesłuchań i na korytarzu wpadła na aspiranta Żuka. Lubiła tego policjanta o dużych brązowych oczach. Jako jedyny nie traktował jej z góry. Nie dawał do zrozumienia, że taka dziewczuszka jak ona nie poradzi sobie w wydziale kryminalnym, do którego od razu trafiła, gdy inni zaczynali służbę od szlifowania krawężników.

— Gdzie się tak spieszysz?

— Po wodę dla świadka. Słabo mu się zrobiło.

— Na pewno symuluje.

— Nie sądzę, zrobił się blady jak ściana.

— Nie dziwię mu się. Chyba już wie, że się nie wywinie. Jura takich cwaniaczków łamie w ciągu godziny.

— Myślisz, że to potrwa jeszcze godzinę?

— Nie wiem. Godzinę albo piętnaście minut, ale finał może być tylko jeden. Dobrze, że Jura wziął cię do protokołowania. Zobaczysz, jak się wyciąga od przestępców przyznanie się do winy.

— Proszę, przypilnuj świadka — rzuciła przez ramię, wymijając aspiranta.

Wpadła do pomieszczenia socjalnego. Pospiesznie nalała wody do szklanki i wyszła na korytarz. Gdy przechodziła obok zamkniętych drzwi pokoju numer dwa, usłyszała podniesiony głos. Nie rozpoznała, do którego z policjantów należał, ale wyglądało na to, że tam też trwało przesłuchanie.

Mariusz stał w progu. Na jej widok się odsunął. Podziękowała mu uśmiechem i weszła do środka.

Podawała szklankę z wodą chłopakowi. Od razu wypił całą zawartość.

— Ja stąd wychodzę — oznajmił drżącymi wargami. — Już wszystko powiedziałem.

— To podinspektor decyduje o końcu przesłuchania. Proszę usiąść i czekać na ciąg dalszy.

Chłopak się roześmiał.

— Nie możecie mnie tu zatrzymać siłą i zmusić, żebym dalej zeznawał. Nie macie takiego prawa.

— No, proszę, jaki znawca prawa nam się trafił — odezwał się Juraszczyk, wchodząc do pokoju.

Ula ponownie zajęła miejsce przed klawiaturą komputerową, a podinspektor stanął za biurkiem.

— Mamy już twojego współnika. Właśnie go przywieźli. Nazywa się Mateusz Jagielski.

— To jest mój kumpel, a nie współnik.

— Wiesz, co odpisał, gdy wysłaliśmy mu esemesa? Że nie przypuszczał, że to będzie takie proste. No niestety, pomylił się. Właśnie się tłumaczy w pokoju obok.

— Nic na nas nie macie.

— Mamy monitoring, na którym widać złodzieja z kapturem naciągniętym na głowę i twarzą zasłoniętą szalikiem, miał też okulary przeciwsłoneczne. Sylwetka i wzrost pasują do Mateusza Jagielskiego. No i buty... twój kolega zmienił bluzę i spodnie, ale buty zostawił. Błąd.

Krzysztof Marczak uniósł się z krzesła. Trzymał przed sobą dłonie zaciśnięte w pięści, jak gdyby szykował się do ciosu.

— Człowieku, co ty pierdolisz? Przecież całe mnóstwo ludzi ma taką sylwetkę jak Mati i takie buty.

— Usiądź! — polecił podinspektor.

Chłopak nadal stał z zaciętym wyrazem twarzy.

— Siadaj! — wrzasnął Juraszczyk.

Ula drgnęła przestraszona, a Marczak opadł na krzesło.

— Czy przyznajesz się do kradzieży czterech telefonów komórkowych ze sklepu przy ulicy Pułkownika Dąbka sto pięćdziesiąt dwa?

— Nie.

— Gdzie są skradzione aparaty?

— Nie skroiłem ich.

— Czy Mateusz Jagielski jest twoim współnikiem?

— Nie.

— Dlaczego wybraliście właśnie ten sklep?

— Poszedłem tam poszukać prezentu dla ojca.

— Mielicie zamówienie na te telefony?

— Nie.

— Czy przyznajesz się do kradzieży czterech telefonów komórkowych ze sklepu przy ulicy Pułkownika Dąbka sto pięćdziesiąt dwa?

Ula nie zanotowała tego pytania, bo już miała je zapisane, zrobiła to dosłownie przed trzema minutami. Trzymała palce na klawiaturze, była gotowa do dalszego protokołowania. Zdumiona wsłuchiwała się w głos Juraszczyka, gdy powtórzył te same pięć pytań. Nie zapisała ich ani odpowiedzi udzielonych przez Marcza, bo były identyczne jak przed paroma minutami. Ula wiedziała, o co chodzi Juraszczykowi. Liczył na to, że chłopak na odczepnego przyzna się do przestępstwa, bo po prostu będzie miał dosyć przesłuchania.

Marczak nagle wstał.

— Chciałbym iść do toalety.

— Nie teraz. Siadaj.

— Ale ja muszę.

— Jeśli zaczniesz łązić po komendzie, to prędko nie skończymy, a przecież zależy nam na tym, żeby się jak najszybciej pożegnać.

Chłopak usiadł. Zaczęła się kolejna runda tych samych pięciu pytań. Odpowiadał ciszej i wolniej,

jak gdyby dopadło go znużenie. Umilkł dopiero wtedy, gdy po raz czwarty padło to samo pytanie. Ula tym razem zaprotokołowała ten fragment przesłuchania, myśląc, że to wygląda na podręcznikowe dręczenie świadka.

Za ścianą rozległ się krzyk. Marczak rozejrzył się zaskoczony, a Ula posłała zaniepokojone spojrzenie podinspektorowi. Powinien zareagować, przecież w pokoju obok dzieje się coś złego. On jednak siedział rozparty na krześle.

— No, co, Krzysiu, twój kolega chyba się łamie. Sądzę, że zaraz złoży zeznania obciążające was obu.

— Chciałbym zadzwonić do rodziców. Niech pan odda mi telefon.

— Oj! Krzysiu chce się poskarżyć mamie i tacie. Zaraz mamusia przyleci i wytrze nosek Krzysiowi.

Juraszczyk otwarcie szydził ze świadka. Uli bardzo się to nie podobało. Miała przed oczami swoją notatkę ze szkolenia policyjnego, w której dwukrotnie podkreśliła zdanie mówiące o tym, że pracownik służby śledczej powinien posiadać wysoką inteligencję, konstruktywną wyobraźnię i nienaruszalne zasady etyczne. Podinspektor nie mógł się pochwalić żadną z tych cech. Zupełnie niezrozumiały był dla niej zachwyty aspiranta Żuka nad umiejętnościami Juraszczyka. Że niby ona dużo się nauczy podczas protokołowania tego przesłuchania. Na razie jest wyłącznie zniesmaczona.

— Chciałbym zadzwonić po adwokata. Tego nie może mi pan zabronić.

— Po adwokata? Ale po co? Przecież zeznajesz jako świadek, a nie podejrzany. Niepotrzebna ci papuga.

Chłopak podniósł się i pochylił nad biurkiem.

— Ty chuju, oddaj mi telefon — wysyczał przez zaciśnięte zęby.

Ula pokiwała głową. To musiało się tak skończyć, a jedynym winnym jest Juraszczyk. Na własne życzenie ma teraz agresywnego świadka.

Podinspektor wstał. Sylwetką dominował nad Marczakiem, mężczyzna naprzeciwko chłopca. Nagle pięścią uderzył świadka w bok głowy. Tamten jęknął i zachwiał się, potrącając stojące za nim krzesło. Ula zasłoniła dłonią usta, żeby nie krzyknąć. Wszystko się w niej buntowało przeciwko tej sytuacji, ale nie odważyła się na otwarty protest. Miała nadzieję, że funkcjonariusz zaraz się opamięta.

— Do mnie zwracasz się w słowach: Panie podinspektorze Juraszczyk. Czy to jest jasne?

Chłopak milczał. Z oczu leciały mu łzy.

— Zadałem ci pytanie. Odpowiedz!

— Tak, to jest dla mnie jasne.

Za ścianą ponownie rozległ się krzyk, tym razem dłuższy, zakończony zawodzeniem, świadczący o tym, że wyrwał się z gardła osoby, której zadano ból.

Marczak ponownie usiadł na krześle, łapiąc się za jego boki, jak gdyby bał się, że zaraz się z niego zsunie.

— Podinspektorze Juraszczyk, proszę, niech pan mnie stąd wypuści. Ja nic złego nie zrobiłem.

— Myślisz, Krzysiu, że nie wiem, na co umówiłeś się ze swoim wspólnikiem?

— Ja się na nic nie umawiałem.

— A właśnie, że się umówiliście, że będziecie szli w zaparte, że za nic się nie przyznacie do kradzieży. To nie było mądre, bo trafiliście na mnie.

Ula zaczęła ponownie protokołować, choć ręce się jej trzęsły. O uderzeniu świadka w głowę nie napisała. Gdyby to zrobiła, Juraszczyk i tak kazałby jej ten fragment usunąć. Chciała, aby przesłuchanie już się skończyło. Niech ten chłopak się przyzna albo niech podinspektor mu odpuści.

— Czy zrabowałeś cztery telefony ze sklepu przy ulicy Pułkownika Dąbka sto pięćdziesiąt dwa?

Zanotowała to pytanie, a następnie przeczącą odpowiedź świadka. Odetchnęła na moment, gdy podinspektor wyszedł na korytarz. Może ktoś mu przemówi do rozsądku. Przecież to niemożliwe, żeby funkcjonariusze nie wiedzieli, co się dzieje w firmie. Te krzyki z sąsiedniego pokoju muszą docierać do wielu osób. Niech ktoś w końcu zareaguje i przerwie ten horror.

Za chwilę miała się przekonać, że najgorsze dopiero przed nią.

Do pokoju wszedł sierżant Wojtaszek. Miał na sobie dres i czarne trampki. W obu dłoniach ścisnął pałkę i kołysał się, jak gdyby stał na pokładzie łodzi. Zamachnął się i uderzył Marczaka

w łokieć. Ten jęknął i zwinął się na krześle. Ula poderwała się.

— Przestań! — wrzasnęła.

Wojtaszek nawet na nią nie spojrział. Wymierzył po raz kolejny, trafiając świadka w drugi łokieć. Tamten zawył z bólu.

— Nie bij go!

Chciała, aby jej głos zabrzmiał stanowczo, ale sama czuła, że brzmi jak u wystraszonego dziecka.

Sierżant uderzył Marczaka w ścięgno Achillesa. Krzyk wdarł się w uszy Uli, a przed oczami mignęła jej wykrzywiona cierpieniem i strachem twarz chłopaka. Rzuciła się na Wojtaszka, próbując złapać go za ręce. Odepchnął ją i znowu się zamierzył. Wybiegła na korytarz i stanęła jak wryta.

Podinspektor Juraszczyk opierał się o futrynę sąsiednich drzwi. W ustach trzymał papierosa. Jego ogolona czaszka lśniła w elektrycznym świetle, a cała postawa świadczyła o tym, że właśnie ma chwilę relaksu. Towarzyszyła mu ładna blondynka w mundurze, której Ula nie miała jeszcze okazji poznać, oraz aspirant Żuk. Wszyscy spokojnie gawędzili. Miała ochotę zapytać: Ludzie, czy was popierdoliło? Co wy robicie? Milczała jednak, a gdy podinspektor ruchem głowy pokazał, żeby wróciła do pokoju przesłuchań, zrobiła to.

Wojtaszek skończył właśnie swoją robotę. Wyminął się z nią w drzwiach, dzierżąc w górze pałkę. W pomieszczeniu unosiła się woń potu. Marczak leżał skulony na podłodze i płakał.

Stała przy nim. Chciała mu pomóc, ale nie wiedziała jak.

— No, Krzysiu, podnoś się z podłogi. Wystarczy tego leżakowania, to nie przedszkole.

Podinspektor stał w drzwiach i dopalał papierosa. Pod siłą jego wzroku Ula zajęła miejsce za klawiaturą. Chłopak jednak leżał dalej. Juraszczyk zbliżył się do niego i szturchnął butem.

— Podnoś się.

Marczak wdrapał się na krzesło. Cały dygotał. Rękawem bluzy wytarł nos.

— No to co? Przyznajesz się do rabunku?

Chłopak schował głowę w ramionach, a potem wyszeptał:

— Nie.

Ula nabrała przekonania, że Marczak nie ma nic wspólnego z tą kradzieżą, bo w przeciwnym razie by się przyznał po takim laniu.

— No, dobra, twardy jesteś — mruknął podinspektor. — Już pokazałeś, że masz jaja, teraz możesz opowiedzieć, jak to było naprawdę. Twój kolega już to zrobił.

Chłopak kiwał się w przód i tył. Koło jego buta leżał srebrny krzyżyk. Zapewne zerwał mu się z szyi, gdy sierżant Wojtaszek go okładał. Schylił się i go podniósł.

— Nie skroilem tych telefonów. Poszedłem do sklepu, aby znaleźć prezent dla ojca.

Juraszczyk westchnął z rezygnacją.

— Sam tego chciałeś. Idę po paralizator.

Ula czuła, jak przerażenie ściska ją za gardło. Robiło się naprawdę niebezpiecznie. Paralizator mógł zabić. Czy świadek zdawał sobie z tego sprawę? Gdy Juraszczyk wyszedł z pokoju, złapała oddech i powiedziała:

— Przyznaj się. Potem w sądzie wszystkiego się wyprzesz.

Marczak patrzył na nią otępiałym wzrokiem. W dłoni ściskał krzyżyk.

— Przyznaj się, bo on cię zabije.

Podinspektor wrócił do pokoju i stanął za plecami chłopaka. Przycisnął mu do karku paralizator.

— Wiesz, dlaczego tutaj? Bo to miejsce mocno unerwione. Mógłbym ci jeszcze przyłożyć elektrody do krocza. Zaraz przesunę włącznik i porazi cię sto pięćdziesiąt tysięcy woltów, mięśnie ci się skurczą tak mocno, że możesz się zesrać, a przede wszystkim będziesz się zwijał z bólu.

Ula poczuła strużkę potu spływającą po plecach. Chłopak też się pocił. Miał mokrą całą twarz.

— No i co? Przyznajesz się?

Milczenie.

— Liczę do trzech. Raz, dwa, trzy.

Rozległ się cichy odgłos przesuwanego włącznika, a potem jeszcze cichsze brzęczenie, po którym nastąpił przeraźliwy wrzask Marczaka. W tej samej chwili chłopak zwałił się na podłogę.

Ula uniosła ręce, aby zatkać sobie uszy. Wciąż dźwięczał w nich przepętniony bólem krzyk. Gdy

podjęła decyzję o pracy w policji, czuła się silna i odważna. Gotowa była walczyć zarówno z drobnymi przestępcami, jak i wielką mafią. Teraz była świadkiem tortur nad bezbronnym człowiekiem i trzęsa się ze strachu jak galareta. Zareagowała, gdy sierżant Wojtaszek okładał pałką chłopaka, ale stanąć przeciwko podinspektorowi Juraszczykowi nie miała odwagi. Bała się, że porazi ją tym paralizatorem.

Marczak przyznał się do winy, leżąc na podłodze. Szlochając, błagał, żeby już więcej nie razić go prądem.

Ula zdrętwiałymi palcami zapisywała okoliczności kradzieży, które chłopak relacjonował urywanymi zdaniami. Po wszystkim wydrukowała protokół. Podinspektor go przeczytał, po czym kazał jej usunąć fragmenty świadczące o nadużyciu władzy policyjnej.

Marczakowi nie dane było zapoznać się z treścią protokołu. Podpisał go na stanowcze polecenie Juraszczyka. Ona zostawiła swój autograf jako ostatnia.

Rozdział II

O SZÓSTEJ PIĘTNAŚCIE dyżurny policjant przyjął zawiadomienie o zwłokach wiszących na Modrzewinie. Dzwoniący mężczyzna nie umiał podać nazwy ulicy. Cztery minuty później wysłany w te okolice patrol natknął się na wisielca i na dwa samochody osobowe, przy których stało trzech mężczyzn wpatrzonych w wiszące ciało człowieka.

Podinspektor Juraszczyk o szóstej czterdzieści dwie pojawił się na miejscu zdarzenia. Od razu rozpoznał Krzysztofa Marcza, to on zwisał z drzewa niczym ogromna marionetka. Wygląda na to, że przestraszył się czekającej go rozprawy, no i wyroku. Wolał się powiesić niż trafić za kraty. Głupiec, nie wiedział, że polskie sądy niechętnie pozbawiają wolności takich dzieciaków jak on. Dobry adwokat załatwiłby mu zawiasy.

Pod zwłokami leżał przewrócony rower, ponadto żadnego kamienia ani pnia, z którego można by skoczyć z pętlą na szyi. Prawdopodobnie stanął na pedałach, to zapewne nie było łatwe, bo musiał utrzymywać równowagę chociaż przez parę sekund. Ale w takim razie jak zawiązał sznur na gałęzi? Podinspektor uniósł głowę i zobaczył odważnik tkwiący w koronie drzewa. Czyli Marczak przerzucił

przez gałąź sznur z przyczepionym odważnikiem, potem przewiązał go wokół trzymanego końca linki. Pociągnął w dół i odważnik przesunął się w górę, zaciskając linkę na gałęzi. Sprytnie.

Juraszczyk odwrócił się, słysząc zbliżające się kroki. Zobaczył Mariusza Żuka. Aspirant szedł, a raczej włókł się przygarbiony, z rękami w kieszeniach. Miał nieogoloną twarz i przekrwione oczy. Zapewne popił sobie poprzedniego dnia, a teraz męczył go ciężki kac. Uniósł głowę i spojrzał na wisielca. Rozpoznał Marczaka, bo przeklął głośno.

— Jego bym się za Chiny tu nie spodziewał — wychrypiał po chwili.

— Ja też — oznajmił Juraszczyk. — Jeżeli nie jesteś dziś w formie, to możesz zjeżdżać do domu.

— Może wczoraj dwa bronki za dużo wychyliłem, ale nie jest ze mną źle. Dam radę.

Odsunęli się od wiszących zwłok, robiąc miejsce Sowińskiemu, który niósł walizkę kryminalistyczną. Technik rozejrzał się niepewnie.

— Szefie, robimy z tego od razu samobójstwo czy szukamy śladów udziału osób trzecich?

Juraszczyk miał już odpowiedzieć, że samobójstwo. Morderstwo było im niepotrzebne, bo wymagało śledztwa, a jeśli nie znajdą sprawcy, to statystyki wykrywalności im spadną. Każdy wisielec był więc kwalifikowany jako samobójca, ale teraz podinspektor się wahał. Człowiek, którego parę dni temu zmusili do przyznania się do winy, nie żyje. Rodzina może szukać powiązań między

przesłuchaniem a jego śmiercią. Gotowi uznać, że przez policję targnął się na życie. Zaczną pytać, drażnić, rozmawiać z mediami. Przed kamerami oświadczą, że to był wspaniały chłopiec, niczego nie ukradł, ale źli funkcjonariusze kazali mu się przyznać, więc to zrobił, a potem ze wstydu się powiesił.

Aspirant Żuk miał podobne obawy, bo zaczął przeszukiwać kieszenie wisielca.

— Sądźisz, że zostawił list pożegnalny, w którym nas oskarża? — zagadnął Juraszczyk.

Aspirant wyciągnął z bluzy Marczaka telefon.

— To pokolenie nie umie trzymać długopisu w rękę. Jeśli zostawił ostatnie słowo, to tutaj. — Zamachał aparatem. — Trzeba też sprawdzić jego profil na portalu społecznościowym, tam mógł coś napisać na pożegnanie, ale lepiej, żebyśmy nic takiego nie znaleźli.

Podinspektor przytaknął. Lubił pracować z takimi funkcjonariuszami jak Żuk. Grunt to mieć podobne podejście do wykonywanej profesji. Większość policjantów podporządkowała się normom, które stworzył w wydziale, inni robili swoje i milczeli. Obecni tutaj technicy należeli do tej drugiej grupy. Żaden z nich nie skomentował tego, że aspirant wyjął z kieszeni wisielca telefon i schował go do swojej kurtki, i na pewno nie wspomną o tym nikomu, nawet żonom. Dobrze, że posterunkowa Baranowska złożyła wypowiedzenie ze służby. Nie nadawała się do tej roboty, za dużo było w niej lęku i tak zwanej moralności. Dziewczynka wychowana na filmach z dobrymi gliniarzami w roli głównej,

niestety, nie tak wygląda rzeczywistość. Nie miałby z niej żadnego pożytku, a może nawet ściągnęłaby na nich kłopoty.

Kilka metrów dalej zatrzymał się srebrny citroen. Wsiadł z niego mężczyzna w garniturze i rozpiętym płaszczu. Prokurator Piotr Lochman we własnej osobie. Zbliżył się do nich prędkim krokiem.

— Możecie go odcinać — rzucił, spoglądając na wisielca. — Muszę zaraz wracać do prokuratury, biurko mam zawalone papierami.

Technicy spojrzeli na podinspektora. Choć formalnie to Lochman miał więcej do powiedzenia, to wedle nich ostatnie słowo należało do Juraszczyka. Ten wskazał ruchem ręki, żeby się wstrzymali z czynnościami.

— Panie prokuratorze, musimy poszukać śladów morderstwa.

Lochman zaczął czegoś szukać w kieszeniach płaszcza, a potem marynarki.

— Po co? Mało macie roboty? — Nagle znieruchomiał, a na jego prawie chłopięcym obliczu pojawił się niepokój. — Czyj to dzieciak?

— Niczyj.

— Jeśli niczyj, to znaczy, że samobójca.

— Wolałbym jednak wykonać czynności pod kątem morderstwa. Denat to Krzysztof Marczak, kilka dni temu przyznał się do napadu na sklep z telefonami. Może był z kimś powiązany, wspólnicy się przestraszyli, że będzie sypał, i pozbyli się problemu.

— Jeśli się pozbyli, to znaczy, że problemu nie ma — mruknął prokurator i rozejrzał się po miejscu zdarzenia, zatrzymując wzrok na zwłokach i szukając śladów przemocy bądź czegoś, co by wskazywało na udział osób trzecich. W końcu machnął ręką. — Podinspektorze, rób, co chcesz. Ty kierujesz oględzinami, a ja wracam do prokuratury.

Kiwnął im głową i zaczął iść w stronę citroena. Po kilku krokach znowu czegoś szukał po kieszeniach. Usłyszeli, jak klnie, chwilę później ruszył z piskiem opon.

Aspirant Żuk pomagał funkcjonariuszom rozstawić parawan. Już wcześniej powinni się tym zająć, może wówczas nie mieliby tylu gapiów. Była siódma. Do pobliskich zakładów zjeżdżali pracownicy, głównie młodzi mężczyźni. Wielu z nich wysiadało z samochodów i robiło zdjęcia, i to właśnie one niepokoiły Juraszczyka. Nie chciał, aby te fotki trafiły do sieci. Wziął do ręki protokół i przywołał technika, aby ustalić z nim zakres czynności.

— Co sądzisz o zabezpieczeniu śladów traseologicznych?

— Mogę folię rozłożyć, ale gównem z tego będzie. Chodnik to chodnik, śladów zawsze dużo, oczopląsu od nich dostaniemy. Proponuję zabezpieczyć rower, może w laboratorium zdołają ustalić, z jaką siłą uderzył o chodnik, bo może wcale nie uderzył, a ktoś go położył pod zwłokami.

Juraszczyk kiwnął głową, akceptując tę czynność.

— Zabezpiecz sznur i jego rękawiczki.

— Szeffie, przecież to rutynowa czynność — obruszył się technik.

Podinspektor patrzył na stopy Krzysztofa Marczaka odziane w sportowe obuwie. Unosiły się jakieś piętnaście centymetrów nad chodnikiem. Spojrzał znowu na gałąź. O ile się ugięła pod ciężarem ciała? Pięć centymetrów? A może dziesięć?

— Chyba będziemy musieli zrobić eksperyment — mruknął. — Trzeba sprawdzić, czy dosięgnąłby pętli, stając na pedałach.

Teraz technik kiwnięciem głowy zaakceptował pomysł podinspektora.

— Mnie ciekawi też, czy można stać na pedałach i nie chwytając się kierownicy, utrzymać równowagę na tyle długo, aby zdążyć włożyć głowę w pętlę. Proponuję, żeby Żuk to sprawdził, on jest najzwinniejszy z nas wszystkich.

Podinspektor się uśmiechnął.

— Aspirant na pewno się ucieszy, żeby tylko się nam nie powiesił, bo premii za to nie będzie.

Sowiński przystąpił do czynności, a Juraszczyk skupił się na protokole. Po chwili stanął przy nim Żuk.

— Dobrze, że Ulki już nie ma w firmie. — Kiwnął głową w stronę wisielca. — Miałaby problem z tym biedakiem.

Podinspektor na moment oderwał długopis od papieru.

— To nie jest biedak, tylko bandyta. Dla nas lepiej, że się powiesił. Mamy go z głowy na teraz i na przyszłość. A jeśli chodzi o posterunkową, to też o tym pomyślałem. Jest ryzyko, że dowie się o śmierci Marczała i uzna, że powiesił się z naszej winy, bo dostał dwa razy pałką po pieszczelach. A wtedy może przyjść jej do głowy, że powinna napisać na nas donos albo co gorsza, pogada z jakimś dziennikarzem.

— Może się nie dowie o Marczała. Od nas z firmy nikt jej nie doniesie, a w kronice kryminalnej będzie podany tylko jego wiek.

— Nie bądź takim optymistą. Chyba zauważyłeś niedawną sesję fotograficzną. Krzysiowi za życia nie zrobiono tyle zdjęć, co dzisiaj. Pstrykali, jak gdyby jakiś celebryta się powiesił. Trzeba się liczyć, że posterunkowa Baranowska za jakiś czas dowie się o Marczała. Musimy się na tę ewentualność zabezpieczyć.

— Czyli musimy coś na nią znaleźć — mruknął Żuk. — To będzie trudne, bo ona nawet nie ma samochodu, po kieliszku nie będzie prowadzić, prędkości też nie przekroczy.

— Na razie możesz się z nią umówić na kawę, potem do kina. Po prostu miej ją na oku. Ona myśli, że ty jesteś ten dobry policjant. Jeśli się dowie o Marczała, to ją przekonasz, że się nie powiesił sam, że mamy dowody na morderstwo. Zrobimy z Krzysia przestępcę, który się naraził ważniejszym niż on, a to, żeśmy go spałowali, nie miało żadnego znaczenia.

— Dobra, zajmę się Ulką. Nie musisz się o nią martwić, tak ją urobię, że nawet ciebie uzna za dobrego glinę.

Sowiński przeciął wisielczy sznur mniej więcej w połowie długości. Odcięte zwłoki przytrzymało dwóch funkcjonariuszy. Żuk podszedł do nich i pomógł położyć ciało na rozpostartej na chodniku folii. Zaraz wrócił do podinspektora.

— Wyślijmy kogoś z młodych, aby przeszedł się po pobliskich magazynach i pogadał z ochroniarzami. Może ktoś coś słyszał albo widział.

— Dobry pomysł, niech ktoś idzie. A my, gdy skończymy tutaj, pojedziemy do rodziców Marczaka.

Juraszczyk notował kolejne czynności wykonywane przez funkcjonariuszy. Sowiński zabezpieczał właśnie fragment pętli, umieszczając ją w pudełku. Inny technik stał na niskiej drabinie i fotografował gałąź w miejscu, gdzie przed momentem zawiązany był sznur. Podinspektor zastanawiał się, czy da się to zdarzenie zakwalifikować jako morderstwo. Pewne szanse były, bo eksperci przedstawiali jedynie fakty, a interpretacja należała do śledczych.

Pół godziny później aspirant Żuk podszedł do niego z dwoma kubkami kawy.

— Poszukaj w sieci i w naszej bazie informacji o Marczakach — polecił młodszemu koledze, delektując się smakiem kofeiny. — Zanim do nich pojedziemy, powinniśmy wiedzieć, czy wchodzimy na pole minowe.

— Dobra, zajmę się tym.

Technicy rozebrali zwłoki, ubrania zapakowali w worki foliowe i oznaczyli metryczkami. Wisielec miał trafić na stół sekcyjny. Juraszczyk wysłał jednego z funkcjonariuszy do prokuratury po odpowiedni na tę okoliczność dokument.

Przebiegł wzrokiem po protokole i odnalazł wstępne ustalenia medyka sądowego. Ciało wykazywało spadek temperatury i znaczne stężenie pośmiertne, godzinę zgonu lekarz określił na pierwszą w nocy. Marczak wisiał więc nad chodnikiem pięć godzin. W tym czasie rzeczywiście nikt tędy mógł nie przechodzić, bo nie ma tu budynków mieszkalnych, ale motocykliści często urządzali sobie wyścigi na Modrzewinie. A co, jeśli potracili rowerzystę, a potem go powiesili, aby odsunąć podejrzenia od siebie? Każda hipoteza jest prawdopodobna, byle dowody się znalazły. Juraszczyk z nadzieją spojrział na rower, szukając choć trochę wykrzywionej ramy bądź kierownicy. Niestety, nie było żadnych oznak zderzenia z motorem. No cóż, będą musieli się bardzo postarać, aby zrobić z Krzyśka ofiarę morderstwa.

Podinspektor podpisał protokół i podał go technikom wraz z długopisem. Aspirant Żuk czekał już na niego w radiowozie.

— No i czego się dowiedziałeś? — zapytał Juraszczyk, wsiadając do ciepłego wnętrza samochodu.

— Tego, że możemy się spodziewać problemów. Ojciec ofiary Rafał Marczak nienawidzi policji,

o czym wspomina na swoim profilu. Uważa nas za szmacciarzy i kurwy.

— Ma jakiś powód?

— Napisał, że został spałowany w dziewięćdziesiątym dziewiątym po meczu Olimpii Elbląg, ale sędzę, że gardzi nami głównie dla zasady.

— Czyli Rafał Marczak będzie nas miał za złych gliniarzy, którzy zmusili jego syna do przyznania się do napadu.

Żuk się z nim zgodził, przytakując gorliwie.

— Czy stary Marczak ma coś w naszych kartotekach? — zapytał podinspektor.

— Nic. Ale gdy pracował w Niemczech na budowie, to on i jeszcze dwóch Polaków byli podejrzewani o zrzucenie jednego Araba z rusztowania. Niczego im nie udowodniono. Od czterech lat Rafał Marczak pracuje w Polsce, też w firmie budowlanej.

— A jego żona?

— Nic ciekawego, gospodyni domowa, która dorabia sobie opieką nad osobami chorymi. Marczakowie mają jeszcze jednego syna, starszego od Krzysztofa, pracuje w Szwecji.

Wjechali w Wyspiańskiego, to tutaj mieszkali rodzice ofiary. Gdy wysiedli z radiowozu, Juraszczyk rozejrzał się z dezaprobatą. Kiedyś stały na tej ulicy dwupiętrowe rudery, brudne i odarte z tynku, które tworzyły klimat ulicy i dookreślały jej mieszkańców. Podczas interwencji bez obaw mogli rzucić na glebę podskakującego gościa.

A teraz to nie wiadomo, kto mieszkał w tych estetycznych budynkach, może jakiś urzędnik albo radny. Nawet zwykle bezczelni grafficiarze nie odważyli się pomazać wyremontowanych ścian. W klatce było w miarę czysto, a drzwi trzymały się na zawiasach. Polska się zmienia, Elbląg się zmienia, przynajmniej na powierzchni.

Zapukali do pierwszego mieszkania na prawo. Otworzył im mężczyzna w rozciągniętej koszulce i zbyt długich dresach. Wyglądał na więcej niż pięćdziesiąt lat, głównie z powodu głębokich bruzd na wysokim czole.

— Pan Rafał Marczak? — zapytał podinspektor służbowym tonem.

— Tak, a co?

Juraszczyk przedstawił się i podał stopień, jednocześnie machnął legitymacją przed oczami mężczyzny.

— Co pan mi tu szmatą wymachujesz?

— Chcielibyśmy porozmawiać. Możemy wejść?

— Co? Strach was obleciał? Dlatego przyszliście? Chcecie się dogadać?

— Przyszliśmy w sprawie pana syna, Krzysztofa Marcza.

— No właśnie o tym mówię, ale go w domu nie ma. Wszedł wieczorem i jeszcze nie wrócił. Żona się martwi, bo telefonu nie odbiera.

— Niestety, mamy złe wiadomości na temat Krzysztofa. Czy możemy porozmawiać w środku?

Mężczyzna się wahał. Ruszał żuchwą, jak gdyby coś przeżuwał. Jego dłoń tak mocno zacisnęła się na futrynie, że knykcie mu pobielaly. Zza jego pleców rozległ się stanowczy kobiecy głos:

— Rafał, wpuść ich.

Odsunął się, otwierając szerzej drzwi.

— No dobra, wejdźcie.

Mieszkanie nie miało przedpokoju, dlatego po przekroczeniu progu od razu znaleźli się w kuchni. Przy zlewie stała kobieta w szlafroku. Przed sobą trzymała patelnię w taki sposób, jak gdyby było to narzędzie, którym można zaatakować intruza. Była blada, wargi jej drżały.

— Co z Krzyśkiem? Mówcie!

Aspirant Żuk odchrząknął. Lepiej mu wychodziło przekazywanie tragicznych informacji, dlatego umówili się, że zaczną rozmowę.

— Dzisiaj rano znaleźliśmy na Modrzewinie powieszzonego człowieka. To prawdopodobnie wasz syn, ale potrzebna będzie jeszcze identyfikacja. Bardzo nam przykro.

Pani Marczak przycisnęła patelnię do piersi, a jej mąż znowu zaczął gwałtownie ruszać żuchwą. Tragiczna informacja jeszcze do nich nie dotarła, dopiero krążyła wokół tych obszarów mózgu, gdzie następowała semantyczna percepcja. Kobieta pierwsza zrozumiała sens wypowiedzi. Uśmiechnęła się i powiedziała:

— Nie.

To jedno słowo wyartykułowała cicho i spokojnie, jak gdyby zaprzeczała czemuś banalnemu.

— Przykro nam — powtórzył Żuk.

Juraszczyka zaskoczył głos kolegi, głęboki i smutny, jak gdyby naprawdę czuł żal z powodu śmierci Krzysztofa. Niezły z niego aktor.

Kobieta patrzyła na funkcjonariuszy, a jej twarz zmieniała się z każdą sekundą, pojawiał się na niej strach. Rafał Marczak pochylił się do przodu, jak gdyby chciał się na nich rzucić.

— Co wy pierdolicie?

Aspirant odsunął się o krok, a Juraszczyk przyjął postawę obronną na wypadek ataku. Wolał nie poczuć pięści Marczaka na swoim podbródku. Stary wyglądał na silnego. Lata spędzone na budowach zamieniły jego mięśnie w kamień.

— Mogą państwo skorzystać z pomocy policyjnego psychologa — kontynuował Żuk.

Marczak zbliżył się do nich na ugiętych kolanach. Rude kępkę włosów sterczały mu na głowie, upodabniając do jakiegoś stwora z filmu fantasy.

— Zabiliście mojego syna, a teraz chcecie nas wysłać do psychologa. Szmaciarze, mordercy. — Głos mężczyzny rósł, osiagając trudną do zniesienia skalę. — Zapłacicie za to. Kurwy, mordercy, zabiliście mi syna.

— Panie Rafale, proszę się uspokoić i nie formułować pochopnych zarzutów. — Żuk nadal trzymał się swojej roli, był funkcjonariuszem współczującym rodzicom ofiary. — Dopiero śledztwo wykaże, w jaki sposób zginął Krzysztof,

czy sam odebrał sobie życie, czy przy udziale osób trzecich.

— Nie jest mi potrzebne żadne śledztwo, ja wiem, że to przez was, przez psiarnię. Biciem i prądem zmusiliście dzieciaka, żeby przyznał się do kradzieży, a on nic nie zrobił, nikomu nigdy nic nie ukradł. Ze wstydu się powiesił, bo zrobiliście z niego złodzieja.

— Panie Rafale, przypominam, że jeszcze nie wiemy, czy to było samobójstwo. Przeprowadzimy szczegółowe śledztwo, które to ustali.

— Jasne, że się nie powiesił. Wyście to zrobili, powiesiliście go, żeby wam koło dupy nie narobił.

Marczak znowu zaczął obrzucać ich wyzwiskami, nie pozwalając dojść do słowa aspirantowi. Krople śliny wypadały z wykrzywionych nienawiścią ust wraz ze słowami. Grube czerwone żyły wystąpiły na przedramionach mężczyzny i zdawały się pulsować, jak gdyby miały zaraz eksplodować. Podinspektor pomyślał, że to nawet byłoby dobre rozwiązanie, gdyby teraz stary Marczak zszedł na zawał serca, w innym razie narobi im problemów.

Nagle rozwścieczony mężczyzna przygiął rudą głowę do klatki piersiowej i niczym byk runął do przodu wprost na Juraszczyka. Ten, choć przygotowany na atak, nie zdążył odskoczyć, uderzył plecami i tyłem głowy o ścianę. Poczul ból, na szczęście nie ogłuszyło go. Kopnął pochylonego Marcza w szczękę, bo tamten szykował się już do kolejnego ciosu. Stary padł na podłogę z rozłożonymi ramionami, wtedy do ataku przystąpiła kobieta, rzucając się na podinspektora

z patelnią. Aspirant Żuk zdążył ją złapać i unieruchomić w silnych ramionach.

— Drodzy państwo, zaraz zadzwonimy na pogotowie, potrzebny wam jest lekarz. Proponuję też, żebyście poprosili o przyjście kogoś bliskiego, kogoś z rodziny albo sąsiadów. Nie powinniście zostawać sami.

Rafał Marczak usiłował podnieść się z podłogi. Podpierając się na dłoniach i kolanach, kołysał ciałem i bełkotał, patrząc na buty podinspektora.

— To ty, szmato, ty, kurwo, zabiłeś moje dziecko, Krzysiek mówił o tobie, pamiętam twoje nazwisko. Nie daruję ci, skurwysynie, skończycie wszyscy w pierdłu albo na sznurze na jakimś drzewie. Przyszykujcie się na to samo, co spotkało mojego syna. Zemszczę się.

Kwadrans później podinspektor i aspirant siedzieli w radiowozie. Obok zaparkowała karetka pogotowia i właśnie wprowadzali do niej Marczakową. Kobieta słaniała się i zawodziła cicho. W drzwiach kamienicy stał jej mąż i wygrażał im pięścią.

— I co? Będziemy mieli kłopoty? — zapytał aspirant.

— Jeśli będzie próbował dobrać się do nas drogą oficjalną, to nic nam nie udowodnią. Wystarczy, że będziemy wszyscy milczeć, posterunkowa Baranowska też. Gorzej, gdy zechce uprzykrzyć nam życie i pójdzie do mediów, wtedy trzeba będzie przeczekać.

W oknach pojawiły się zaciekawione twarze i ręce z wyciągniętymi telefonami. Robiono im zdjęcia, a może nawet filmowano. Niepotrzebna była im ta sława, odjechali więc pospiesznie.

Rozdział III

ULA OBRACAŁA W PALCACH legitymację prywatnego detektywa i pękała z dumy. Była w jej posiadaniu dopiero od trzech dni, a już dostała pierwsze zlecenie. Na początku planowała zatrudnić się w renomowanej agencji detektywistycznej, znalazła nawet w Gdańsku dwie godne uwagi. Mogłaby się tam sporo nauczyć, pod warunkiem, że trafiłaby na normalnych współpracowników. Obawiała się, że znowu przyjdzie jej pracować z ludźmi stosującymi metody, z którymi zetknęła się w elbląskiej komendzie. To zadecydowało, że otworzyła własne biuro. Brzmiało to profesjonalnie: Biuro Detektywistyczne Urszuli Baranowskiej. W rzeczywistości ograniczało się do telefonu i laptopa. Nie miała samochodu ani sprzętu podsłuchowego, tak potrzebnego do wykonywania tej profesji. Postanowiła, że w zależności od prowadzonej sprawy będzie dokupywała niezbędne rzeczy.

Czterdzieści osiem godzin temu umieściła ogłoszenie w internecie o swoich usługach, przy czym zaznaczyła, że specjalizuje się w sprawach rodzinnych: znajdowaniu dowodów zdrady i ściąganiu alimentów, czyli tak naprawdę

poszukiwaniu rodzica, który się od nich uchyla, oraz ustalaniu wysokości jego zarobków. Liczyła, że ten zakres sprawi, iż będzie miała klientów, ponadto z takimi zleceniami sobie poradzi. Śledztwo gospodarcze czy kryminalne było poza jej umiejętnościami, zresztą nie miała aż takich ambicji.

Ula weszła do kawiarni Amarena i rozejrzała się za Aliną Michalską. To właśnie ta kobieta napisała do niej wczoraj maila, jedno krótkie zdanie: „Chcę skorzystać z pani usług”. Biła z tych słów desperacja i zdecydowanie. Ula zaproponowała spotkanie przy kawie, a potem poszukała profilu klientki na portalu społecznościowym. Dowiedziała się, że Alina ma trzydzieści pięć lat i jest pielęgniarką w szpitalu wojewódzkim.

— Tutaj jestem! — zawołała blondynka siedząca za stolikiem przy ścianie.

Ula była zaskoczona wyglądem Michalskiej. Na zdjęciach prezentowała się młodziej i atrakcyjniej, głównie dzięki makijażowi i dziewczęcej fryzurze. Teraz była niewymalowana, włosy miała ściągnięte gumką, a na krótkich paznokciach resztki lakieru, jakby jej nie zależało, żeby wyglądać dobrze. Poza tym w całej jej sylwetce widać było zmęczenie. Może była po nocnym dyżurze, podczas którego zmarł jakiś pacjent, albo miała dosyć męża, który ją zdradza z młodszą i ładniejszą. Ula zatrzymała wzrok na splecionych dłoniach Michalskiej. Nie dostrzegła obrączki. Może więc nie chodziło o sprawdzenie wierności partnera.

— W czym mogę pani pomóc?

Alina się uśmiechnęła, odsłaniając ładne zęby. Teraz wyglądała dużo lepiej.

— No nie wiem, pani taka młoda.

— Jestem młoda, ale mam już doświadczenie, które zdobyłam, pracując w policji.

Nie miała zamiaru przyznawać się, że funkcjonariuszką była tylko przez dwa tygodnie.

Kelnerka postawiła na stoliku kawę i talerzyki z bezą.

— Chciałabym, żeby kogoś pani odnalazła.

— Kogo?

— Nie wiem, kim on jest. Od sześciu miesięcy pisze do mnie esemesy. — Alina wyjęła z szeleszczącej reklamówki gruby plik kartek. Wyglądało to jak cała ryza. — Wydrukowałam naszą korespondencję.

— Sporo tego jest — zauważyła Ula, biorąc kartki do ręki.

— Tak, bardzo dużo. Przysyłał mi dziennie około trzydziestu esemesów, czyli trzydzieści razy sto osiemdziesiąt dni, a więc dostałam od niego jakieś pięć tysięcy czterysta wiadomości.

— Czy chodzi o stalkera? Czy to jest ktoś, kto panią nęka? Jeśli tak, to przypominam, że stalking jest przestępstwem, a stalkerowi grozi do trzech lat pozbawienia wolności. Musi tylko pani zgłosić to na policję.

— Nie chcę w to mieszać policji. Wolałabym sama wszystko załatwić. — Michalska się zaczerwieniła jak nastolatka próbująca ukryć, że zakochała się

w chłopaku, który chodzi z jej najbliższą przyjaciółką. — Pani rozumie, że nie chcę zamieszania z policją. Po co mi to? Jeszcze sąsiedzi się dowiedzą, że na policji byłam, i zaczną moją mamę wypytywać, a ona się zdenerwuje.

— Tak, rozumiem.

Ula rozumiała tyle, że ta kobieta nie czuje się zagrożona, bo w innym razie na pewno udałaby się na komendę. Przebiegła wzrokiem przez pierwsze wersy. Wyglądało to na typowe esemesy wielbiciela.

„Masz uroczy uśmiech, chciałbym go częściej widywać”. „Ładnie ci w białym, wyglądasz jak anioł”. „Właśnie się obudziłem i od razu pomyślałem o tobie, żeby dać ci znać, że jestem na świecie, a ty jesteś w mojej głowie, piszę więc do ciebie”.

Zwróciła uwagę, że wiadomości napisane są bez literówek i błędów ortograficznych, z użyciem polskich liter oraz z poprawną interpunkcją. Zwłaszcza przecinki i kropki miały znaczenie w stworzeniu profilu nadawcy. Wskazywały, że to ktoś przynajmniej ze średnim wykształceniem, staranny i unikający pośpiechu.

— Ten ktoś panią zna — zauważyła Ula.

— Tak. Dużo o mnie wie, nawet zbyt dużo. Czasami miałam wrażenie, że jest tuż obok, że mnie obserwuje.

— Może to któryś z pani współpracowników?

— Nie sędzę. Pracuję w szpitalu wojewódzkim na oddziale wewnętrznym. Jedyni mężczyźni to czterech lekarzy, poza księdzem, który przychodzi

głównie w niedzielę. Na innych oddziałach są jeszcze rehabilitanci, ale nie u nas.

Michalska zaczęła kruszyć łyżeczką bezę. Ula obserwowała ją dyskretnie i zastanawiała się, co mógł chcieć tajemniczy nadawca esemesów od tej kobiety. Gorącego uczucia? Namiętnego seksu? Alinie brakowało kobiecego wdzięku, tego zmysłowego pierwiastka, który upiększa bardziej niż makijaż czy fryzura. Grube nadgarstki i krótka szyja nadawały jej sylwetce niemiłą dla oka ociężałość. Poza tym ten brak dbałości o własny wygląd... Żeby chociaż ubrała się ciekawiej albo adekwatniej do figury, a nie w szarą koszulę ze stójką. Trudno uwierzyć, że adorator się w niej zakochał, widząc ją na ulicy. Chyba że urzekła go miłym usposobieniem albo czymś innym, może opiekuńczością. Tak, to możliwe, tym wielbicielem może być pacjent, któremu ulżyła w cierpieniu i pomogła przetrwać najtrudniejsze chwile na szpitalnym łóżku.

— Ten człowiek kontaktował się z panią jeszcze w inny sposób?

— Nie. Proponowałam mu, żebyśmy porozmawiali, żeby do mnie zadzwonił. Ja do niego oddzwaniałam, ale nigdy nie odebrał.

— A przysłał może pani kwiaty albo jakiś inny prezent?

— Nie, nigdy.

— Szkoda, to zawsze dodatkowa szansa, żeby go namierzyć.

Ula przebiegła wzrokiem po wydruku. Teraz skupiła się na wiadomościach pisanych przez Michalską. Adorowana kobieta pierwsze esemesy zignorowała, potem zaczęła zadawać pytania: „Kim jesteś?”, „Czy my się znamy?”, „Gdzie mam cię szukać?”.

Tajemniczy wielbiciel nie dał jednoznacznej odpowiedzi: „Jestem twoim przyjacielem. Jeśli pozwolisz, zostanę kimś więcej”; „Gdy patrzę w lustro, widzę człowieka szczęśliwego. Uśmiecham się do siebie twoim uśmiechem, promiennym i szczerym”; „Jakie to szczęście, że trafiłem na ciebie, na mojego anioła, to nie przypadek, to przeznaczenie”.

Ula upiła kawę. Przesunęła językiem po podniebieniu, żeby dłużej delektować się smakiem kofeiny.

— On nigdy nie zaproponował mi spotkania w realnym świecie — odezwała się Alina. — Na początku dawałam mu do zrozumienia, że jestem gotowa na takie spotkanie, oczywiście w miejscu publicznym, potem wręcz o nie prosiłam. On twierdził, że to nie jest nam potrzebne, że to może popsuć nasze wyjątkowe relacje.

— Po co chce pani poznać jego tożsamość? Czy dobrze rozumiem, że chce pani przekroczyć granice waszej znajomości? Zbliżyć się do niego? Liczy pani na coś więcej niż tylko miłe rozmowy za pośrednictwem telefonu?

Alina zacisnęła mocno powieki, może po to, żeby ukryć emocje, bo przecież oczy to okno duszy, albo żeby po prostu nie patrzeć na pobłażliwy uśmiech

Uli. Wreszcie zamachała głową w geście zaprzeczenia.

— Zapewniam, że tego nie chcę. Nie potrzebuję bliższej znajomości z tym człowiekiem.

— Czyli szukamy go, bo jest pani zwyczajnie ciekawa, kto to taki, tak?

— Tak.

Otworzyły się drzwi i do kawiarni wraz z podmuchem chłodnego powietrza wpadły dwie dziewczyny. Miały może po osiemnaście lat albo mniej. Z ich twarzy emanowała radość i wiara, że cały świat do nich należy, a na razie brały we władanie przestrzeń lokalu, przesiadając się z jednego stolika do drugiego i zostawiając wszędzie swój słodki zapach i świergotliwy głos.

— Zuzka, uwierzysz, że on od wczoraj napisał do mnie już osiem razy? Chyba mu się podobam. Jak myślisz?

— A ty go w ogóle znasz?

— Znam, Marysia mi go przedstawiła w Światowidzie, ale tam nie rozmawialiśmy ze sobą, dopiero na messengerze. Jest fantastyczny. Napisał mi, że od trzech lat trenuje piłkę ręczną.

— Umówisz się z nim?

— Jak mi to zaproponuje, to tak, ale na razie nic o tym nie pisał.

Ula mimowolnie wsłuchiwała się w wymianę zdań pomiędzy nastolatkami. Dziewczyna знаła chłopaka, który do niej pisał, a przynajmniej wiedziała, kim jest, może dlatego jej radość była tak

wielka. W końcu piłkarz to nie byle kto. Jeśli Michalska dowie się, że jej adorator ma żonę i czworo dzieci, poza tym pracuje jako stróż na parkingu i ma problemy z wątrobą, to wcale nie będzie szczęśliwsza i może pożałuje, że poznała prawdę, a tym samym zaprzepaściła ekscytujący flirt.

Filizanka zadzwoniła o spodek, gdy Alina ją odstawiła. Na jej górnej wardze pozostała odrobina kawowej pianki niczym niedbały wąsik. Oblizwała się, ale niedokładnie. Powinna wziąć serwetkę i się wytrzeć, siedziała jednak przybita, jak gdyby spadły na nią wszystkie możliwe nieszczęścia. Nie było w niej radości ani nawet satysfakcji, że ktoś się nią zainteresował, zobaczył w niej niezwykłą kobietę. Ula popełniła błąd, uznając na wstępie, że Michalska jest przemęczona po nocnym dyżurze. Przyczyna jej stanu była inna.

— Pani Alino, jeśli ten człowiek wyłudził od pani pieniądze, to powinna pani iść na policję. Owszem, mogę go odnaleźć, nawet z nim porozmawiać, przekonać, aby oddał kasę. Policja ma jednak większe możliwości, mogą mu zablokować konto w banku.

Michalska najpierw patrzyła na nią zdumionym spojrzeniem, a po chwili się uśmiechnęła. To był jej drugi uśmiech dzisiaj i na moment znowu wyglądała ładnie.

— Myśli pani, że jestem starą, głupią babą, która dała się nabrać na słodkie słówka i pobiegła do banku po kasę, aby przekazać ją komuś, kogo

nigdy nie widziała, a nawet nie zna nazwiska tego kogoś?

— Nie pani pierwsza dałaby się uwieść i okraść.

— Nie dałam mu żadnych pieniędzy, nigdy o nie nie poprosił, a nawet gdyby taka prośba się pojawiła, to ja nie mam kasy. Wynajęcie mieszkania na Zatorzu kosztuje mnie tyle, że na życie mi ledwo wystarcza, a jeszcze muszę mamie pomóc. — Otworzyła ładną skórzaną torebkę, zapewne nietanią. Dysonans dosłownie wisiał w powietrzu, chyba też go czuła, bo pospiesznie wyjaśniła: — Ta torebka to prezent od wdzięcznej pacjentki. Zwykle dostajemy kawę albo słodycze, ja już nie mogę patrzeć na te bombonierki. Czasami trafi się coś innego, co można sprzedać w sieci. Kilka tygodni temu dostałam naprawdę piękne filiżanki, wzięłam za nie sto pięćdziesiąt złotych. — Wyjęła tani portfel z pikowanego materiału, który wykazywał ślady zużycia. Lepszy można było znaleźć w śmietniku. — Chciałam zapłacić zaliczkę, żeby pani nie pomyślała, że jestem niewypłacalna. To ile się należy?

— Najpierw powinniśmy podpisać umowę.

— Umowę? Po co? Mnie żadnej umowy nie trzeba. Proszę powiedzieć, ile mam teraz dać.

— Dwieście złotych, potem, po pozytywnym zakończeniu zlecenia, pięć setek. Gdybym go nie znalazła, to więcej nie będzie mi pani płacić.

Michalska położyła przed nią banknoty.

— Mam nadzieję, że go pani namierzy.

Ula zgarnęła pieniądze. Właściwie nie powinna brać zaliczki, przecież w pierwszym etapie ta sprawa nie będzie generować kosztów. Postukała palcem w plik kartek.

— Może na podstawie tego, co pisał, uda mi się ustalić, gdzie pracuje albo w jakich miejscach bywa, czy jeździ własnym samochodem, czy komunikacją miejską i takie tam. Ale może ma już pani jakieś swoje spostrzeżenia, własny obraz tego człowieka.

— No, nie wiem. To, co mi przychodzi do głowy, to tylko tyle, że on ma ogromne możliwości obserwacji, a nawet inwigilacji, jak gdyby pracował w policji albo służbach. Często miałam wrażenie, że chodzi za mną krok w krok.

Ula przytakiwała, chcąc dać do zrozumienia, że to ważna informacja.

— Pani Alino, dzisiaj najłatwiej jest śledzić człowieka za pomocą jego telefonu, instalując program szpiegujący. Czy to możliwe, że ktoś miał dostęp do pani aparatu?

— Raczej nie. W pracy trzymam telefon w szafce zamykanej na klucz.

— Ma pani zabezpieczoną komórkę odciskiem palca albo pinem?

— Tak, odciskiem palca.

— A czy kiedyś nie okazało się, że tego zabezpieczenia nie ma i musi pani ustawić je od nowa?

— Nie, nic takiego nie było. — Michalska zgarnęła łyżeczką resztki bezy. — Muszę już iść. Mama na

mnie czeka.

Wstała i poprawiła pasek torebki na ramieniu. Ula również się podniosła, choć jeszcze nie skończyła swojej porcji bezy.

— Będę panią na bieżąco informować o moich ustaleniach.

Tamta kiwnęła głową, ale trochę na odczepnego, jak gdyby już nie zależało jej na pozytywnym zakończeniu zlecenia, bo przecież są ważniejsze rzeczy niż tajemniczy adorator.

Gdy kobieta znikła za drzwiami, Ula z powrotem usiadła i skończyła jeść ciasto. Dopiero teraz dotarło do niej, że będzie musiała zapłacić za kawę i bezę Michalskiej. No cóż, z kolejnym klientem umówi się w parku.

Wyszła na chłodną ulicę. Bruk lśnił od deszczu, ściany kamienic wyglądały jak spryskane wodą z węża strażackiego. Przycisnęła plik kartek do piersi i ruszyła w stronę placu Słowiańskiego. Chciała szybko zrealizować pierwsze zlecenie. Udowodniłaby sobie, że potrafi, poza tym wydawało się jej, że zaraz zgłosi się do niej kolejny klient z ciekawszą sprawą, a ona musi być dyspozycyjna. Wsiadła do tramwaju. Palcami zmierzyła plik kartek. Miał prawie dziesięć centymetrów. Zapis niezwykle długiej korespondencji esemesowej pomiędzy Aliną a jej wielbicielem, tak naprawdę nie miała ochoty tego czytać, domyślała się, co tam jest, komplementy i ogólniki na temat sensu życia i podobne banały. Miała nadzieję, że wkrótce znajdzie tajemniczego adoratora i nie będzie

musiała zapoznawać się z treścią wszystkich wiadomości.

Wysiadła przy centrum handlowym Ogrody i skierowała się w stronę Kasprzaka. Po kilku minutach była już pod wieżowcem, w którym miała dwupokojowy lokal. Mieszkała tu dwadzieścia sześć lat, całe swoje życie. Mama wyprowadziła się osiem lat temu, gdy po raz drugi wyszła za mąż, a ona została. Niewielu jej rówieśników nadal mieszkało w wielkiej płycie, większość wyjechała do Anglii, niektórzy przeprowadzili się do innych miast. Czasami wsiadając do windy, miała wrażenie, że stoi w miejscu, tkwi w jakimś bagnie, które nie pozwala się jej rozwinąć, pójść do przodu. Wtedy nachodziła ją ochota, żeby wyjechać za granicę i tam spróbować swoich sił, tam zrobić karierę, ale szybko rezygnowała, bo przecież jej angielski nie jest na tyle dobry, żeby pracować na wyspach. Potem przeglądała ogłoszenia o pracy w Warszawie i Poznaniu, w tych miastach mogłaby znaleźć ciekawe zatrudnienie z dobrą pensją. Kilka razy wysłała nawet CV, ale to było jak rzucanie kamienia do studni bez dna, nawet cichego echa nie było. Uświadamiała sobie wtedy, że mierzy zbyt wysoko. W efekcie nadal mieszkała w Elblągu, ale teraz chociaż zaczęła coś nowego, a przede wszystkim własnego. Ma biuro detektywistyczne i już trzeciego dnia trafiła się jej klientka.

Włączyła laptopa i otworzyła serwis, w którym szukało się ludzi po numerze telefonu. Wpisała dziewięć cyfr. Wyszukiwarka powinna pokazać imię i nazwisko, ponadto konta na portalach społecznościowych, miejsce zamieszkania

i powiązane nazwy użytkowników. Wyświetlił się napis: „Brak wyników”. Właściwie tego się spodziewała. Miała już wyłączyć komputer, ale przyszło jej do głowy, aby sprawdzić ten ciąg cyfr w Googlach. Być może tajemniczy wielbiciel Michalskiej umieścił kiedyś w sieci jakieś ogłoszenie, na przykład że sprzedaje samochód, i podał numer telefonu. Ponownie wpisała dziewięć cyfr. Niestety, znowu nie było rezultatu. Nie ma innego wyjścia, musi poprosić o pomoc aspiranta Mariusza Żuka.

Weszła do kontaktów w swoim telefonie i wybrała jego numer. Odebrał już po drugim sygnale.

— Cześć Ulka. Chcesz do nas wrócić? Po to dzwonisz?

— Dzwonię, żeby dać ci szansę. — Otworzyła lodówkę i rozejrzała się za czymś, co można byłoby zjeść na gorąco. Znalazła słoik z pulpetami w sosie pomidorowym. — Będziesz miał okazję, żeby mi się przypodobać, ale nie zmarnuj jej, bo drugiej takiej się nie doczekasz.

— Mam spałować twojego byłego? Czy wlepić mu mandat?

— Mam nadzieję, że więcej potrafisz.

— Umiem jeszcze zakuwać w kajdanki, ale może najpierw powiesz, jakie są twoje oczekiwania.

— Zaraz ci przyślę esemesem numer telefonu, sprawdź, do kogo należy i gdzie się logował przez ostatni tydzień.

— OK, a co w zamian dostanę?

— Dzisiaj o osiemnastej idę na nordic walking na Modrzewinę. W ramach wdzięczności zabiorę cię ze sobą.

— Wolałbym siłownię.

— A może piaskownicę?

— Dziewczyno, przecież piaskownic już nie ma.

Lubiła przekomarzać się z Mariuszem, jego towarzystwo też przypadło jej do gustu. Gdy go zobaczyła pierwszy raz na komendzie, od razu się jej spodobał. Urzekły ją jego oczy, brązowe i duże, robiły wrażenie proszących, jak u kota w „Shreku”. Gdy złożyła wypowiedzenie, przyszedł do niej z czterema piwami. Próbował ją skłonić do zmiany decyzji. Mówił, że się o nią martwi, pytał, co zamierza. Była wzruszona. Po godzinnej pogawędce dotarło do niej, że przysłał go podinspektor Juraszczyk, aby upewnił się, że ona nie robi żadnej głupoty, że nie napisze skargi do Biura Spraw Wewnętrznych. Wyjęła Mariuszowi piwo z ręki i wylała je do zlewu. Kazała mu wypierdalać, dodała też, że mogą spać spokojnie, nie będzie na nich donosić. Bardzo się zdziwił, ale nie tym, że domyśliła się celu jego wizyty. Zdumiało go to, że jego też zaliczyła do funkcjonariuszy nadużywających władzy, przecież nie brał udziału w torturowaniu Krzysztofa Marcza. Myślała, że już więcej się do niej nie odezwie, ale dwa dni później zaproponował jej wspólne strzelanie na komercyjnej strzelnicy. Zgodziła się.

O osiemnastej wzięła kijki i wyszła z mieszkania. Mariusz czekał już pod blokiem. Pocałował ją

w policzek na powitanie. Ruszyli w stronę Modrzewiny.

— Co masz dla mnie? — zapytała już po kilku krokach.

— A powiesz mi, po co sprawdzasz ten numer?

— To dla mojej klientki.

— O! Super! Masz klientkę. Co to za sprawa?

— Tajemnica zawodowa.

— Nie żartuj, nie jesteś księdzem. No co? Kobieta chce sprawdzić numer, pod który jej mąż najczęściej dzwoni? Zgadłem?

Szli prędko. Gołębie nie zdążyły się wzbić w powietrze, uciekały przed nimi na piechotę jak kury. Jeden z nich nosił na szyi kromkę chleba niczym zwycięski wieniec. Pozbędzie się jej dopiero za kilka dni, po opadach deszczu, gdy chleb namięknie i się rozleci.

— Dobra, mów, co ustaliłeś?

— Ten numer telefonu jest zarejestrowany na niejakiego Klemensa Rabę.

— Kto to jest?

— Bezdomny z Elbląga. Namierzyłem go przy kościele Świętej Rodziny. Przyznał, że za dwadzieścia złotych zarejestrował na siebie kartę SIM. Nie potrafił opisać gościa, który go o to poprosił.

Ula właśnie tego się spodziewała, karty SIM zarejestrowanej na słupa, najprostszy sposób obejścia ustawy antyterrorystycznej. W sieci aż się roiło od takich starterów.

— A co z logowaniem?

— W ciągu ostatniego tygodnia numer logował się w Elblągu, w najróżniejszych miejscach i o różnych godzinach. Nawet bardzo późnym wieczorem stacje przekaźnikowe rejestrowały sygnał w rozmaitych lokalizacjach.

— I co jeszcze?

— Przecież o tyle prosiłaś.

— Myślałam, że zechcesz mi się przypodobać i przyniesiesz zestaw połączeń z tego numeru.

— Lubię cię, ale nie aż tak.

— A może jutro będziesz lubił mnie bardziej niż dzisiaj?

Przewróciła teatralnie oczami i zrobiła idiotyczną słodką minkę.

— Nie załatwię ci bilingu. Można o niego wnioskować tylko w uzasadnionych przypadkach. Przecież o tym wiesz.

— Nie udawaj, że jesteś taki fair, że zawsze postępujesz zgodnie z regulaminem. Chyba się tak nie da, jeśli się ma takiego przełożonego jak Juraszczyk. Sądzę, że z powodu byle wykroczenia sięgacie po bilingi. Mam rację?

— Jura jest skutecznym gliną i tyle w tej sprawie. A bilingu ci nie załatwię, bo musiałbym o niego prosić pisemnie. Gdyby akurat toczyło się jakieś grube śledztwo, to mógłbym tam wrzucić wniosek w sprawie tego numeru, ale teraz nic takiego na warsztacie nie mamy. Jura może miałby możliwości, on ma swoje dojścia, ale chyba nie

będziemy go mieszać w twoją działalność detektywistyczną?

— Nie — oznajmiła kategorycznie.

Bardzo liczyła na zestaw połączeń z numeru adoratora. Gdyby wiedziała, do kogo jeszcze dzwonił lub pisał, bez większego problemu ustaliłaby jego tożsamość. Wystarczyłoby, żeby telefonował do pracodawcy, żony lub rodziców. Niestety, nie udało się. Wolała dłużej nie naciskać na Mariusza, żeby go nie zniechęcić do współpracy w przyszłości. Każdy prywatny detektyw musi mieć kogoś przychylnego w policji, bo inaczej sobie nie poradzi. Poza tym z tego bilingu mogłoby wynikać, że ten numer służył adoratorowi jedynie do kontaktu z Aliną Michalską.

Zaczęła wykonywać rytmiczny ruch rękami, za chwilę całe jej ciało pracowało jak maszynka. Mięśnie rąk naprężyły się, zmuszając do tego samego kurczliwe struktury na plecach i biodrach. Lubiła wysiłek fizyczny, zwłaszcza taki, który jej bardzo nie męczył.

Mariusz wciąż niósł kijki pod pachą. Szedł obok niej, stawiając długie kroki. Byli sami na Modrzewinie, nawet samochody tu nie skręcały. Mijali kolejne hale fabryczne pogrążone w nienaturalnej ciszy. Z dala zobaczyli cztery dziki spacerujące po chodniku.

— Kilka razy dziennie dzwonią do nas ludzie, żebyśmy przepędzili im dziki spod bloku, jak gdyby sami nie mogli tego zrobić.

— Boją się, to duże zwierzęta — mruknęła Ula. Jej myśli wciąż krążyły wokół informacji

przekazanych przez aspiranta. — Ten facet wysyła do mojej klientki po trzydzieści esemesów dziennie — oznajmiła.

— Aha, chodzi o stalkera?

— Chyba tak. Zadziwia mnie ta ciągła zmiana lokalizacji logowań telefonu.

— Dlaczego? Przecież stalking jest karalny, gościu nie chce, aby go namierzono.

Stado dzików oddaliło się w pobliskie krzaki.

— Nie rozumiesz mnie. Ten facet pisze do niej od rana do wieczora. No i co, wsiada w samochód i się przemieszcza, żeby za każdym razem wysłać wiadomość z innego miejsca? Absurd. — Nagle przyszło jej coś do głowy. — Chyba że jest taksówkarzem i w czasie pracy wysyła esemesy, może to robić w dzień i noc, a gdy wraca do domu, wyjmuje kartę SIM.

— No pani detektyw, co za błyskotliwość.

— Zamknij się. Nie pomagasz mi tymi uwagami. Lepiej powiedz mi, co mam teraz robić, jak ustalić jego tożsamość. Masz w końcu więcej doświadczenia.

— Może zadzwoń do niego i zapytaj o imię i nazwisko, i jeszcze poproś o adres.

Aspirant żartował, ale podsunął jej też pewien pomysł. To się może udać. Stukot kijków o chodnik nagle ustał, gdy się zatrzymała. Mariusz wyprzedził ją na długość dwóch kroków.

— Co jest?

Zawróciła bez słowa wyjaśnienia. Ruszył za nią. Pod wieżowcem pozbyła się go, mówiąc, że jest zajęta. Jeszcze próbował się przymilać, przekonać ją proszącym spojrzeniem brązowych oczu, aby wspólnie zjedli kolację. Obiecywał, że coś przygotuje, ale pod warunkiem, że ona ma makaron. Oznajmiła, że innym razem.

W mieszkaniu usiadła na kanapie z kartką i długopisem. Napisała kilka zdań, które zamierzała wygłosić, gdy tajemniczy adorator odbierze. Wprowadziła dziewięć cyfr, wzięła głęboki oddech i stuknęła w przycisk: Połącz. Rozległ się pierwszy sygnał, potem kolejne, po dziewiątym połączenie zostało anulowane. Poczekała dziesięć minut i ponownie zadzwoniła. Liczyła na to, że u wielbiciela pojawi się najzwyklejsza w świecie ciekawość i dlatego odbierze. Nie odebrał. Może ten numer służył mu tylko do kontaktów z adorowaną pielęgniarką i przeczuwał, że to ona próbuje się z nim skontaktować. Trzeci raz zadzwoniła dopiero po godzinie. Po czwartym sygnale coś zgrzytnęło i w słuchawce zapadła cisza. Odebrał, ale się nie odezwał. Tego właśnie się spodziewała. Obawiał się, że Alina rozpozna go po głosie, dlatego milczał. Musiała go teraz przekonać, że to nie Michalska dzwoni.

— Witam serdecznie. — Przywołała na twarz szeroki uśmiech. Ten uśmiech powinno być słychać w jej głosie. — Z tej strony Ewa Mazurek, czy mogę zająć dwie minuty?

Cisza. Nie udało się sprowokować go do wypowiedzenia choć jednego słowa. Szkoda. Miała włączone nagrywanie. Gdyby się odezwał,

odtworzyłaby zapis pielęgniarce, a ona być może rozpoznałaby go po głosie. To bardzo prawdopodobne, że jest jej znajomym bądź pacjentem i stąd taka ostrożność. Nie rozłączył się, wciąż miała szansę.

— Dzwonię z firmy Turpol. Czy rozmawiam z właścicielem telefonu?

Znowu cisza. Dopiero teraz zaczęła udawać, że szwankuje połączenie.

— Halo, halo, czy mnie słyszać? Halo.

Rozległ się krótki przerywany sygnał. Rozłączył się. Przeklęła pod nosem.

Rozdział IV

JEZIORO DRUŻNO POŁYSKIWAŁO ciemną szarością, jak gdyby chciało swoją barwą dorównać ponuremu niebu. Z wodą kontrastowały rude skarpy i to tylko miejscami, tam gdzie nawiało liści, które teraz gniły, wydzielając bagienny odór. Z ciężkiej mgły unoszącej się wyłącznie po zachodniej stronie jeziora wypłynęły dwa czarne łabędzie niczym złowrodzy posłańcy z zaświatów. Niełatwo było zejść do samej wody, przeszkadzały wysokie trzciny i olchy rosnące jak krzaki, a nie drzewa. Na szczęście wędkarze mieli swoje wygospodarowane miejsca, z których poza łowieniem ryb można było też obserwować ptactwo wodne.

Ula pierwsza dojrzała łagodnie i niezarośnięte zejście do jeziora. Wskazała je siedmioletniemu bratu. Ignaś od razu wyrwał do przodu, a ona podała rękę mamie, żeby się nie pośliznęła. W pobliskich trzcinach coś zatrzepotało, a po chwili wyfrunął stamtąd mały ptaszek. Drewniana ławka stojąca niemal w wodzie wskazywała, że trafili do miejsca dla wędkarzy.

— To tutaj Leon łowi ryby? — zapytała Ula.

— No co ty — oburzyła się Justyna. — Przecież to jest rezerwat, wędkowanie z brzegu jest surowo

zabronione.

Ula wymownie pokazała na ławkę.

— To nielegalne stanowisko wędkarskie — oznajmiła Justyna. — Leon wynajmuje łódkę w przystani rybackiej i łowi na środku jeziora. Tylko tak wolno i to wyłącznie jesienią. Ostatnio złowił dwa szczupaki, to znaczy złowił więcej, ale jedynie dwa mógł zabrać do domu. Usmażyłam je na nowej patelni. Jest rewelacyjna.

Ula lubiła drugiego męża mamy, choć na początku wydawał się jej zbyt sztywny i przemądrzały. Najważniejsze było jednak to, że uszczęśliwił Justynę i przyczynił się do tego, że Ula po egzaminie maturalnym przestała być jedynaczką. Ignas był synem Leona Giforta i jej najukochańszym braciszkiem.

Wyjęła z kieszeni kilka płaskich kamyków i rzuciła pierwszy na wodę. Odbił się od tafli jeziora aż cztery razy, pozostawiając drgające okręgi, które zwiększały swój rozmiar i zanikały w niebieskiej toni. Podała kamyk bratu. Rzucił nim w wodę tuż przy brzegu. Tafla rozprysła się niewielką fontanną, a kamyk od razu zniknął pod powierzchnią.

— Jak kamień w wodę — mruknęła Ula.

Ignas się skrzywił, wiedząc, że się nie popisał.

— Dobrze ci poszło jak na pierwszy raz — pocieszyła go natychmiast.

Ponownie pokazała mu, jak ma rzucać, żeby kamyk odbił się od wody, rysując na jej powierzchni równe kółka.

Justyna przysiadła na ławce, tyłem do jeziora. Obróciła się lekko, żeby na nich patrzeć. Miała na twarzy spokój i zadowolenie.

— Kupię ci taką samą patelnię.

— Mamo, nie musisz. Jeśli będzie mi potrzebna, to sama sobie kupię.

— Dziecko, za co chcesz ją kupić? Przecież ty nie pracujesz.

— Pracuję, jestem prywatnym detektywem.

Justyna westchnęła i uniosła oczy do nieba.

— Takie profesje to tylko na ekranie się sprawdzają. Miałaś dobrą pracę, trzeba było się jej trzymać.

— Mówiłam ci, dlaczego się zwolniłam.

— No i źle zrobiłaś. Ty się zwolniłaś, a ten bandyta dalej będzie znęcał się nad ludźmi. Wcześniej czy później kogoś zabije. To on powinien stracić stanowisko, a nie ty. Trzeba było poinformować górę o tym, co się dzieje na komendzie.

Ula westchnęła. Już raz tłumaczyła mamie, w czym rzecz, a ona dalej swoje.

— Nie słyszałaś nigdy, że psy mogą się podgryzać, ale zawsze szczekają razem? Gdybym doniosła na funkcjonariuszy, to tym bardziej musiałabym się zwolnić. Teraz też nie mogę napisać skargi, bo jestem prywatnym detektywem i żeby wywiązywać się ze zleceń muszę współpracować z policją. Przy mojej pierwszej sprawie pomógł mi aspirant Żuk.

Palcem by nie kiwnął, gdyby się dowiedział, że jestem kapusiem.

Justyna uniosła rękę, próbując ją uciszyć tym gestem. Nie miała ochoty po raz kolejny słuchać tych samych wyjaśnień.

— Jesteś dorosła. Rób, co chcesz. Ja tylko tak gadam, bo chcę dla ciebie jak najlepiej.

Ula poczuła się jak zawsze, czyli jak wyrodna córka, która rozczarowuje swoją rodzicielkę nietrafnymi wyborami. Najpierw nie poszła na medycynę, trzy razy zarzuciła studia, bo wybrane kierunki jej nie zadawały, zerwała z chłopakiem, który miał przyszłość, bo jego ojciec był radnym w Olsztynie. Fatalną decyzją było też złożenie podania o przyjęcie do służby w policji. Gdy jednak pomyślnie przeszła przez wszystkie możliwe testy i zaliczyła sześciomiesięczny kurs w szkole policyjnej, mama była z niej dumna. Chwaliła się nią przed znajomymi Leona. Tamci mieli dzieci robiące karierę w korporacjach na dyrektorskich stanowiskach, a ona odważną córkę, która będzie łapać przestępców. Niestety, Ula znowu ją zawiodła, bo zrezygnowała ze służby.

— Tam jest orzeł! — zawołał Ignas, wskazując ręką w górę.

Ula spojrzała na niebo. Kilkanaście metrów nad wodą krążył bielik. Prezentował się majestatycznie, bez wątplenia zasługiwał na miano króla rezerwatu.

— Mam rację, to orzeł?

— Tak, masz rację.

Przykucnęła przed bratem i popatrzyła w jego zielonkawę oczy. Kolor tęczy odziedziczył po ojcu, poza tym miał tę samą powagę w spojrzeniu co Leon.

— Chcesz jeszcze puszczać kaczki?

— Nie, to zabawa bez sensu.

Poprawiła mu czapkę. Miała ochotę powiedzieć, że to zabawa z sensem, bo uczy zręczności, przemilczała to jednak. Ignas był dzieckiem i miał prawo się zniechęcić do puszczenia kaczek. Bardzo często zachowywał się jak dorosły, co mogło być efektem przebywania wśród ludzi starszych od niego o kilka dekad. Jego ojciec miał już sześćdziesiąt lat, a bracia byli po trzydziestce. Właściwie tylko ona potrafiła jeszcze być dzieckiem i czołgać się z nim po podłodze, trzymając karabin. Gdy Ignas do niej dzisiaj strzelił, przez trzy minuty udawała, że umiera. Spod przymkniętych oczu widziała okrągłe jak złotówki i równie błyszczące oczy brata, który stał nad nią w rozkroku. Nagle w zasięgu jej spojrzenia znalazły się nogi w miękkich pantoflach i jasnych spodniach, tak idealnie odprasowanych, że żelazko na pewno jeszcze nie ostygło. Otworzyła szeroko oczy i zobaczyła Leona. Uniósł kciuk w górę i wyszedł z pokoju, pozwalając im dalej odgrywać działania wojenne. Potem w salonie wyznał, jak gdyby się usprawiedliwiając, że ze starszymi synami też nigdy się nie bawił, ale za to bardzo dużo z nimi rozmawiał, a to przecież jest najważniejsze.

Justyna podniosła się z ławki i klepnęła Ignasia w plecy.

— Wracamy do domu. Jesteś zmarznięty.

Popchnęła lekko syna w górę skarpy.

— Nie jestem zmarznięty.

— Jesteś. Smarki ci wiszą pod nosem.

Ignas się roześmiał, wiedząc, że mama żartuje. Był wesołym dzieckiem, mimo powagi, która często wзираła z jego oczu i zachowania. Naturalną radość odziedziczył po Justynie, bo na pewno nie po Leonie. Ten, jeśli przywoływał uśmiech na twarz, to ze sztucznym grymasem typowym dla pozowania do zdjęć, chociaż za ponuraka Ula też by go nie uznała, raczej za dystyngowanego starszego pana. Często się zastanawiała, czy Ignas to była wpadka, czy świadoma decyzja. Gdy patrzyła na stoickie oblicze Leona podkreślone prostymi brwiami i orlim nosem, dochodziła do wniosku, że ten człowiek nie zaliczył nigdy żadnej wpadki, wszystko miał zaplanowane, wyliczone i zapisane niczym dobry księgowy. Nawet miłość do Justyny wydawała się wpisywać w przemyślany projekt. Związał się z kobietą już niemłodą, bo po czterdziestce, ale z taką, która mogła mu urodzić dziecko i zająć się domem, a przy tym nie straciła głowy na punkcie pieniędzy, które posiadał. Ula była pewna, że mama mając do dyspozycji nielimitowaną kartę kredytową, nadal robiła zakupy z pełną rozwagą, nie wyrzucając kasy na byle co i w nadmiarze. Taka żona to skarb, a w dodatku Justyna wciąż była atrakcyjną kobietą, choć wyglądała na swoje pięćdziesiąt lat. Nadal szczupła, z drobną siateczką zmarszczek wokół dużych niebieskich oczu. Ostatnio mocno zadbała o włosy, farbując je na

platynowo i ścinając tuż nad ramionami, co jej pasowało.

Ula zrównała się z Justyną. Ignas biegł przed nimi. Szli wzdłuż jeziora, zaraz mieli skrócić między olchy i wyjść na drogę ułożoną z płyt.

— Gdy tu zamieszkałam, bałam się wychodzić z domu, zwłaszcza wieczorami.

Ula była zaskoczona wyznaniem mamy, przecież ona nigdy niczego się nie bała. Gdy mieszkały razem w wieżowcu na Kasprzaka, sama bez pomocy sąsiadów przegoniła z piwnicy trzech bezdomnych, wśród których była bardzo agresywna kobieta.

— Ale teraz już się nie boisz?

— Nie, a przynajmniej nie tak jak na początku.

— Myślę, że tu jest bezpieczniej niż w mieście.

— Zapewne masz rację, ale ja całe życie mieszkałam w mieście, a teraz wyjdę z domu, a wokół dzikie łąki i wierzby. Najbliższy sąsiad mieszka trzysta metrów od nas, to może nie jest daleko, ale jego domu nie widać, bo drzewa zasłaniają, chyba że włączy wieczorem światło.

Ignas zaczął biec, cienkie gałązki trzaskały pod jego butami. Przyspieszył, bo usłyszał szczekanie Zenita. Byli już blisko. Olchowy lasek w tym miejscu wyglądał ascetycznie, jak gdyby ktoś złośliwie wyciął najokazalsze drzewa, zostawiając jedynie te poprzecyłane i karłowate.

— Leon ma dla ciebie pewną propozycję. Chciałabym, żebyś ją przyjęła.

Justyna mówiła zduszonym głosem, jak gdyby skrepowanie sparaliżowało jej struny głosowe. Takim samym tonem dziewięć lat temu przyznawała się córce do romansu z człowiekiem, którego poznała w sklepie jubilerskim, gdy poszła kupić dla niej kolczyki z okazji osiemnastych urodzin. Znalazła ładne złote w kształcie liści, ale czarujący mężczyzna w garniturze przekonał ją, że powinna podarować córce zegarek z wygrawerowanym napisem.

Ula odruchowo dotknęła nadgarstka, na którym nosiła zegarek. Na jego kopercie widniał napis: „Z okazji osiemnastych urodzin Uli — Mama”.

— Co to za propozycja?

— Leon sam ci powie. On też chce ci pomóc, dlatego bądź wyrozumiała.

— Mamo, radzę sobie, mi nie trzeba pomagać. Poza tym, jeśli to będzie pomoc finansowa, to Marek i Andrzej nie będą zadowoleni.

— Nimi się nie przejmuj. Tyle dostali od ojca, że nie powinni mieć pretensji.

— Czyli zgadłam? Leon chce mi pożyczyć kasę na jakiś konkretny cel? A na jaki? Na moje biuro?

— To nie chodzi o pożyczkę.

Miały za plecami drzewa, a przed sobą nowoczesny, dwukondygnacyjny dom ze skośnym dachem, przeszklonymi ścianami i dużym zadaszonym gankiem przypominającym taras.

Ignas bawił się z Zenitem. Rzucił mu niewidzialny kij, młody wilczur pędził w kierunku, w którym chłopiec wymachiwał ręką, nagle orientował się, że

nie ma żadnego przedmiotu do aportowania, wtedy hamował, ryjąc pazurami w ziemi. Ignasz przywoływał Zenita do siebie i klepał go po grzbiecie. Nie bał się psa, choć ten był duży i skakał mu na piersi.

— Mamy gości — wyszeptała Justyna, a w jej głosie pojawiła się lekka obawa. — Leon powinien mnie uprzedzić, że będzie ktoś jeszcze na obiedzie.

Przed domem stały trzy samochody. Ula rozpoznała czarne bmw Andrzeja i granatowego forda Marka. Najbliżej drzwi ktoś zaparkował czerwoną toyotę.

Na ganku pojawił się Leon Gifort w białej koszuli i rozpiętym swetrze. Jego siwe krótko ostrzyżone włosy i nieco ciemniejsza, gustownie przystrzyżona broda przywodziły na myśl profesorów z dawnych filmów, brakowało mu tylko okularów w srebrnej oprawce. Był przystojny, a raczej męski, z odrobiną surowym wyrazem twarzy, którego przydawał mu orli nos. Poruszał się dostojnie w eleganckich pantoflach. Tak bardzo różnił się od swoich rówieśników, najczęściej człapiących w porwanych kapciach.

— Kto do nas przyjechał? — zapytała Justyna, wskazując na toyotę.

— Nikt.

— No to czyj to samochód?

— Od dzisiaj twój. — Otworzył dłoń, pokazując kluczyki, przewiązane czerwoną kokardką. — Prezent urodzinowy ode mnie.

Justyna otworzyła szeroko oczy, aż jej czoło pokryło się zmarszczkami.

— Och, kochanie, już dostałam od ciebie bransoletkę i kwiaty.

— No i jeszcze masz taki drobiazg. — Leon wskazał na samochód.

Wzięła kluczyki i cmoknęła męża w policzek. Ula miała wrażenie, że mama jest zbyt powściągliwa. Prawdopodobnie krępowała ją obecność dorosłej córki. Chcąc im dać więcej luzu, szybko wsunęła się do domu i zamknęła drzwi za sobą.

W korytarzu zdjęła buty i kurtkę. Nasłuchiwała przez chwilę. W domu panowała cisza. Dziwne, przecież było tutaj aż sześć osób, w tym dwoje dzieci. Weszła do jasnego i przestronnego salonu. Na kanapie siedziała Weronika, jedenastoletnia córka Andrzeja i Sylwii.

— Gdzie są wszyscy?

Dziewczynka uniosła głowę znad telefonu. Nie była zadowolona, że się jej przerywa, ale na pytanie odpowiedziała:

— Mama w kuchni, tata z wujkiem na górze, a ciocia Róża położyła się z Mateuszkiem.

Ula zastanawiała się, czy nie pójść do kuchni i nie zaproponować Sylwii swojej pomocy. Żona Andrzeja zobowiązała się, że zrobi do obiadu trzy surówki. Była specjalistką w przygotowywaniu dietetycznych i zdrowych posiłków. Prowadziła bloga kulinarnego na ten temat i sama była wizytówką prawidłowego odżywiania się. Mogła się poszczycić szczupłą sylwetką i ładną cerą. Właściwie pokrojenie paru

jabłek i marchewek to żaden wysiłek. Ula nie miałyby w czym pomagać.

Rozejrzała się po salonie. Był niezwykły, jak z katalogu z wyjątkowymi wnętrzami. Największe wrażenie robiły trzy przeszklone ściany gwarantujące fantastyczny widok, nawet dzisiaj, mimo ponurej pogody. Olszyny skupione po kilka sztuk, dzikie łąki i tafla jeziora w oddali — to wszystko przyciągało wzrok i było efektowniejsze niż obrazy wielkich mistrzów.

Ula zbliżyła się do ogromnego okna i patrzyła na mamę i jej męża. Justyna głaskała po masce czerwona toyotę, jak gdyby było to żywe stworzenie. Leon otworzył drzwi od strony kierowcy i zaprosił żonę do środka. Wsiedli oboje. Po chwili samochód ruszył, a Ignasz wbiegł do domu.

— Mój ojciec ma gest, co nie? — mruknął Andrzej, stając za Ulą.

Odwróciła się do niego. Był kopia swojego ojca, szczupły i umięśniony, miał ten sam orli nos i zielone oczy, jedynie zarys podbródka nieco łagodniejszy.

— Widzę, że to cię nie cieszy? — zagadnęła.

— Gdyby to mojej matce dał prezent za siedemdziesiąt tysięcy, to bym się bardziej ucieszył.

Doceniała szczerłość Andrzeja, ale niepokoila ją jego nieprzychylność. Mogłaby go olać, gdyby nie Justyna... ze względu na nią musiała dbać o dobre relacje z synami Leona.

— Mojej mamie przyda się porządny samochód, bo wozi Ignasia do szkoły. Dobrze, że twój tata

o tym pomyślał. Bezpieczeństwo naszego brata jest najważniejsze. Chyba się ze mną zgadzasz?

Wykonał nieznaczny ruch głową, który można było zinterpretować jako przyznanie jej racji, ale nadal patrzył na nią nieżyczliwie jak na domokrażcę, który chce mu wcisnąć tandetę.

— Biedny staruszek, obie go omotałyście.

Miała ochotę warknąć, żeby się odpierdolił. Może właśnie o to mu chodziło, aby ją sprowokować, udowodnić całej rodzinie, że jest prostaczką niezasługującą na ich uwagę.

— Fajną masz koszulkę.

Wskazała palcem na jego granatowy T-shirt z wizerunkiem frunącej mewy. Zaskoczony spojrzał na swoją klatkę piersiową, jak gdyby chciał się upewnić, co ma na sobie. Uśmiechnął się i złapał ją za kark, przyciągając ku sobie trochę zbyt mocno.

— Ty diablico, daleko zajdziesz.

Stanowczo uwolniła się z jego niby-przyjacielskiego uścisku.

— Pójdę do Ignasia. Tak rzadko się z nim widuję.

Z ulgą schowała się w pokoju brata. Wolała tutaj poczekać, aż mama i Leon wrócą z przejażdżki, która zapewne nie potrwa długo, bo przecież wszyscy wypatrują obiadu. Po to tu przyjechali, żeby wspólnie usiąść do stołu jak kochająca się rodzina. W takich sytuacjach zawsze miała wrażenie, że jest obca. Najgorzej było w święta, synowie Leona i ich żony rozmawiali o swoich sprawach, wymieniali się opiniami, nie interesując się tym, co ma do powiedzenia, jak gdyby była

dzieckiem, którego nie wciąga się w sprawy dorosłych. Na początku, gdy miała osiemnaście lat, przejmowała się tym, bo liczyła na to, że wraz z małżeństwem mamy zyska rodzinę. Szybko się zorientowała, że tak nie będzie, nawet przyjscie na świat Ignasia niczego nie zmieniło. Pogodziła się z tym, tylko mamy było jej szkoda. Domyślała się, że ona musi czuć się podobnie. Gdy Andrzej i Marek przyjeżdżali do Żółwińca wraz ze swoimi rodzinami, one obie stawały się przysłowiowym piątym kołem u wozu.

Zaczęła grać z Ignasiem w oczko. Dała mu wygrać przy dwóch pierwszych rozdaniach, potem traktowała go jak równoprawnego gracza. Niech się nauczy ponosić porażki, bo to też go czeka w życiu. Do pokoju zajrzała Weronika. Patrzyła na nich w milczeniu i nawijała włosy na palec. W jej ciemnych jak rodzyнки oczach pojawiła się ciekawość. Zwykle ignorowała Ignasia, był dla niej dzieciakiem, ale tutaj była też Ula i oboje robili coś fajnego. Nie bawili się samochodami, nie siedzieli nad grą planszową, lecz w rękach trzymali karty.

Ula uśmiechnęła się do niej.

— Choć do nas, zagramy razem.

Dziewczynka weszła do pokoju, zamykając za sobą drzwi. Usiadła na podłodze obok Ignasia.

— Gramy w oczko — oznajmiła Ula.

Ignas wskazał palcem na Weronikę.

— Ona nie umie grać w oczko, bo jest dziewczyną.

— A ty jesteś głupi.

Ula klasnęła w dłonie, żeby przerwać kłótnię, bo na nią się zanosilo. Wytlumaczyła Weronice zasady gry i przetasowała talię. Podała dziewczynce pierwszą kartę, a ta od razu wyciągnęła rękę po kolejną.

— Przegrasz, na pewno przegrasz — wołał Ignas, podskakując na poduszce, którą podložyl sobie pod kolana.

Weronika miała zaczerwienione policzki z ekscytacji, a gdy wszyscy odkryli swoje karty i okazało się, że wygrała, pisnęła z radości.

Drzwi się otworzyły na całą szerokość i stanęła w nich Róża, żona Marka, z dzieckiem na ręku. Obrzuciła ich nieprzychylnym spojrzeniem.

— Weronika, ty grasz w karty? Twoja mama o tym wie?

Dziewczynka odruchowo schowała dłonie za plecami i spuściła głowę.

— To tylko gra w oczko — wyjaśniła Ula.

Róża naciągnęła sweter na ciężowy brzuch, jak gdyby miała nadzieję, że zdoła go ukryć.

— Zaczyna się od oczka, a kończy na pokerze. Karty zniszczyły już niejednego człowieka. Ja będę trzymać swoje dzieci z dala od nich. Jest tyle interesujących zabaw rozwijających wyobraźnię.

Ula patrzyła na Różę jak na dziwadło. Tych mądrości na pewno nasłuchiwała się na kursach dla młodych mam, które zaliczała masowo na życzenie swojego męża, bo ten uważał, że nie radzi sobie z wychowaniem ich syna. Prawdą było, że

Mateuszek często płakał i rzucał wszystkim, co wpadło mu w ręce.

— Gra w karty też rozwija wyobraźnię i uczy — powiedziała spokojnie Ula.

Wobec Róży mogła pozwolić sobie na więcej niż w wypadku Marka czy Andrzeja albo nawet Sylwii. Tamci mieli lepsze relacje z Leonem, umieli z nim rozmawiać, podejść go, postawić na swoim. Ta blondynka o pospolitej urodzie nie miała tyle przebiegłości co pozostała trójka. Prawdopodobnie czuła się gorsza od nich, a może także od Justyny i Uli. Swoje poczucie niższości czasami maskowała arogancją, a Leon takiej postawy nie lubił.

Róża oparła wolną rękę o biodro i wysunęła podbródek.

— Gra w karty uczy? Niby czego? Hazardu?

Ula zręcznie przetasowała talię. Nauczyła się to robić jako sześciolatka pod okiem dziadka. Jeszcze nie umiała składać liter w słowa i zdania, a już grała w oczko.

— Poker uczy, że można mieć dobre karty i że można dobrze rozegrać marne.

Róża nie znalazła odpowiedniej riposty, zwróciła się więc do Weroniki.

— Powiem twojej mamie, że grałaś w karty.

— Ja tylko przez chwilę grałam, tylko chwilę, przysięgam.

Dziewczynka wyglądała na przestraszoną.

— Leonowi też powiem, że uczysz jego syna takich rzeczy.

Odwróciła się i zniknęła w korytarzu. Ula uśmiechnęła się do dzieciaków, próbując przywołać wcześniejszą atmosferę. Weronika wstała i znowu zaczęła nawijać włosy na palec.

— To ja pójdę do mamy.

Ula też się podniosła. Noga jej zdrętwiała, bo podwinęła ją pod tyłek.

— Chodźmy wszyscy, na pewno zaraz będzie obiad.

Nie pomyliła się. Justyna wносиła właśnie do salonu wazę z rosołem. Andrzej i Marek usiedli za stołem na wprost siebie i zaczęli nakładać na talerze makaron. Nie zwracali uwagi na swoje żony, stojące przy ogromnym oknie i zajęte rozmową. Sylwia wyglądała na nieco znudzoną, machinalnie przytakiwała głową, jak gdyby chciała skłonić Różę do szybszego zakończenia tematu. Prześliznęła się wzrokiem po wchodzącej do salonu Uli i chyba nawet się uśmiechnęła. Wyglądała dobrze w popielatej spódnicy, zapewne bardzo drogiej. Jej długie czarne włosy wydawały się dzisiaj lśnić bardziej niż kiedykolwiek. Musiała użyć dobrego nabłyszczacza, zapewne również drogiego.

— Mamo, pomóc ci? — zapytała Ula.

— Nie trzeba, siadaj i jedz, gorące jest, i przypilnuj brata.

Usiadła z Ignasiem na drugim końcu stołu, jak najdalej od Andrzeja i Marka. Dobrze wiedziała, że miejsca koło nich zarezerwowane są dla ich żon i dzieci. Czasami przychodziło jej do głowy, żeby dla przekory zająć krzesło obok któregoś z nich albo

przy Leonie. Spotkałoby się to z milczącą dezaprobatą całej rodziny, prawdopodobnie nawet nastoletnia Weronika przyjęłaby to z oburzeniem. Ula głównie z uwagi na mamę nigdy nie zakłóciła porządku panującego przy stole.

Nalała bratu i sobie rosółu, starając się wyłowić jak najwięcej marchewek.

— Chodź jeść! — zawołał Andrzej do córki.

Ta stała przy regale ze zdjęciami i przesuwiała je w taki sposób, aby na pierwszym planie znajdowały się fotki, na których byli jej rodzice i ona sama. Ślubne zdjęcie Leona i Justyny, na którym pojawiła się też Ula, zostało zepchnięte na sam tył. Nawet jedenastoletnie dziecko podkreślało rodzinną hierarchię.

— Nie lubię rosółu. Nie będę jadła.

Andrzej spojrział na żonę, jak gdyby oczekiwał, że ta zareaguje na słowa córki. Sylwia podeszła do stołu i zajęła miejsce obok niego.

— Nie chce, to niech nie je. Zje surówki, zrobiłam trzy, chociaż będzie zdrowo.

— Rosół też jest zdrowy — odezwał się Marek. — Ma sporo marchewki.

Sylwia zamieszała łyżką w wazie.

— Wcale nie tak dużo.

Wszyscy spojrzeli na talerz Uli czerwony od marchewki. Ta uniosła głowę i się uśmiechnęła.

— Jak znam moją mamę, to kupiła warzywa w markecie, a nie z uprawy ekologicznej. Może mi nie zaszkodzą.

Do salonu wszedł Leon. Jego broda wyglądała na starannie przyczesaną. Uli przyszło do głowy, że przez ostatni kwadrans stał przed lustrem i układał każdy włos. Może nawet zmienił koszulę, bo ta nie miała żadnego zagięcia. Życzył wszystkim smacznego i postawił wino na stole. Za chwilę Justyna wniosła zrazy, ziemniaki i surówki, po czym usiadła obok męża.

Zaczęła się rozmowa, w której Ula nie uczestniczyła. Nałożyła Ignasiowi surówkę z jabłka i jarmużu. Spróbował odrobinę i się skrzywił. Dołożyła mu więc surówki, w której były winogrona.

Krótkim sygnałem odezwał się jej telefon. Zauważyła potępiające spojrzenie mamy. Bezgłośnie przeprosiła, ruszając wargami. Powinna pamiętać, że Leon nie lubi, gdy komórki przeszkadzają rodzinie podczas posiłku. Wyjęła aparat z kieszeni spodni, żeby go wyciszyć. Nawyk wziął górę i rzuciła okiem na przychodzącą wiadomość. Numer nadawcy wydał się jej znajomy, zwłaszcza trzy ostatnie cyfry: zero, dziewięć, dziewięć. Nie szukała w pamięci, do kogo należy, zaraz się tego dowie. Otworzyła esemesa i przeczytała: „Masz piękny głos, jak anioł, wciąż dźwięczy mi w uszach, ale call center to nie jest praca dla ciebie. Dobrze, że nie jesteś telemarketerką”.

Nie mogła uwierzyć, że napisał do niej adorator Aliny Michalskiej. Patrzyła na wyświetlacz, a słowa latały jej przed oczami. Nie zastanawiając się długo, odpisała: „Może chciałbyś mnie usłyszeć drugi raz? Pogadamy?”.

Stuknęła w przycisk wyślij i wyciszyła aparat. Położyła go obok talerza, aby zobaczyć przychodzącą wiadomość. Znowu napotkała niezadowolone spojrzenie mamy nakazujące jej schować telefon. Nie posłuchała, nie mogła, to było zbyt ważne, dotyczyło jej pierwszego zlecenia. Czekwała na esemesa w maksymalnym napięciu. Nie rozumiała prowadzonych przy stole rozmów, nie czuła smaku zrazów, nie zwracała uwagi na Ignasia, cały jej świat skurczył się do wyświetlacza telefonu, który pozostawał ciemny. Nie mogąc się doczekać, ponownie przeczytała wiadomość od tajemniczego wielbiciela, po czym zaczęła ją analizować. Zadzwoiła do niego jako telemarketerka, ale on wiedział, że nią nie jest. Domyślił się? Nie. Po prostu wpisał jej numer w najpopularniejszą wyszukiwarkę i znalazł ofertę biura detektywistycznego. Zaklęła pod nosem. Zachowała się bardzo głupio, dzwoniąc do niego ze swojego aparatu. Niestety, nie posiadała niezarejestrowanej karty sim, będzie musiała się o taką postarać, jutro zamówi ją sobie u czeskiego operatora, który udostępnia możliwość doładowywania przez stronę internetową.

Wyświetlacz błysnął, dając znać, że przyszedł esemes. Chwyciła telefon i stuknęła w wiadomość. Wzrokiem zagarnęła wszystkie słowa, jak gdyby od prędkości zapoznania się z ich sensem zależało jej życie: „Chciałbym cię bliżej poznać. Rozmowę zostawmy na później. Najpierw popiszmy do siebie”.

Przeszył ją dreszcz na myśl, że ten człowiek może przerzucić swoje chorobliwe zainteresowanie z Aliny

na nią. Tego wolałaby uniknąć, ale jeśli ma go rozpracować, to powinna przyjąć tę propozycję.

Znowu przeczytała esemesa, próbując wyciągnąć informację z każdego słowa. Adorator nie chciał dostarczyć jej próbki swojego głosu. Tego powinna się spodziewać, wiedział przecież, że jest prywatnym detektywem i zapewne domyślił się, że działa na zlecenie Aliny Michalskiej. Utwierdziło ją to w przekonaniu, że wielbiciel jest kimś z otoczenia pielęgniarki.

Ula czuła się mało komfortowo, bo on sporo o niej wiedział, a ona o nim zupełnie nic. Znał nie tylko jej imię i nazwisko czy profesję, ale wchodząc na profil społecznościowy, mógł poznać znajomych i pooglądać zdjęcia, również te robione tutaj u mamy w Żółwińcu. Jeśli jest dość bystry, szybko też ustali jej adres w Elblągu. Zastanawiała się, w jaki sposób ma mu odpisać. Powinna go przechytrzyć i to prędko. Tylko jak to zrobić?

„Mam na imię Ula, a ty?”

Gdy już wysłała tę wiadomość, zezłościła się na siebie. Zabrała się do sprawy jak nastolatka, próbująca poderwać chłopaka ze szkoły. Odpisał natychmiast: „Artur”.

Podał jej pierwsze z brzegu imię i co ona miała teraz z tym zrobić?

„Aleksander bardziej mi się podoba. Będę tak się do Ciebie zwracać”.

„Skoro tak chcesz, to ja nie mam nic przeciw”.

Odetchnęła. Niech tak będzie, na razie popiszą o banałach, a przez ten czas może wpadnie na jakiś

dobry pomysł, jak go podejść.

— Ula, Leon do ciebie mówi.

Głos mamy z trudem przebijał się przez jej uszy, jak gdyby miała w nich watę.

— Przepraszam zamyśliłam się. — Uśmiechnęła się do ojczyma. — Mógłbyś powtórzyć?

Leon skrzyżował sztucce nad talerzem.

— Mam dla ciebie propozycję. Potrzebuję pracownika w moim salonie w Elblągu. Wiem, że masz swoje biuro detektywistyczne, ale przypuszczam, że na początku nie będziesz miała zbyt wielu klientów. W wolne dni mogłabyś przychodzić do salonu. Nieważne jak często, to mogą być dwa, trzy dni w tygodniu.

Nie proponował jej niczego wyjątkowego. Miała być sprzedawczynią w jego sklepie jubilerskim przy Hetmańskiej. Jedyne plus był taki, że oferował możliwość pracy w dowolne dni. Postanowiła przyjąć tę propozycję, żeby nie robić mu przykrości i żeby mamie było przyjemnie.

Wszystkie oczy były skierowane na nią. Andrzej patrzył znad szklanki z winem, wyraźnie niezadowolony. Z kolei Marek miał rozbawioną minę.

Ula odchrząknęła, przygotowując się do oznajmienia, że bardzo się cieszy i przyjmuje ofertę. Nie zdążyła nic powiedzieć, bo Leon znowu zabrał głos:

— Proponuję ci czterdzieści złotych na godzinę.

— O! Aż tyle — wyrwało się z ust Róży.

— Wielu moich pracowników tyle zarabia — wyjaśnił Leon.

— Ale chyba nie sprzedawcy — oznajmiła Róża.

Spoglądała na męża, a na jej twarzy rysowało się oszołomienie. Z kolei Sylwia wyglądała na zamyśloną, jak gdyby zastanawiała się, co tak naprawdę kryje się za propozycją teścia.

Ula podniosła z obrusu kawałek winogrona, który wypadł Ignasiowi z talerza, potem posłała zebrany promienny uśmiech. Stawka godzinowa sprawiła, że stanie za ladą w sklepie jubilerskim bez poczucia, że marnuje czas.

— Dzięki, Leon, chętnie będę pracowała w twoim salonie.

Marek podniósł szklankę z winem.

— No to wypijmy za twoją nową pracę.

Poza Andrzejem wszyscy wzniesli toast. Wyglądało na to, że tylko on stracił humor z powodu oferty ojca dla pasierbicy. A może jako jedyny nie udawał, było to wielce prawdopodobne. Ula od dawna podejrzewała, że Marek jest obłudny, jedno mówi, drugie myśli. Może się myliła, a może nie.

— Przestało ci smakować wino? Otworzyć inne?
— zwrócił się Leon do najstarszego syna.

W jego głosie pobrzmiwała reprimenda. Andrzej uniósł kieliszek w stronę Uli.

— Gratuluję. Tylko żebyś nie umarła z nudów, stojąc za ladą.

— Bez obawy.

Nagle wszyscy stracili zainteresowanie jej osobą i powrócili do omawiania własnych spraw. Ignas pobiegł do swojego pokoju, a Weronika przesiadła się na kanapę i uruchomiła smartfona. Róża też wstała od stołu, chodziła teraz po salonie z Mateuszkiem na ręku i próbowała zainteresować go piszczącym misiem.

Ula zerknęła na komórkę. Kolejnych wiadomości od adoratora Michalskiej, któremu nadała imię Aleksander, nie było. Wstała od stołu i wraz z mamą zaczęły znosić talerze do kuchni. Gdy wkładały naczynia do zmywarki, Justyna zagadnęła:

— Skoro mam nowy samochód, to ty weźmiesz moją renówkę. Ma już czternaście lat, ale jest po remoncie. Jeszcze trochę nią pojeździsz.

— Dobrze, mamo. Jesteś kochana, dzięki.

Z czystym sumieniem mogła przyjąć samochód od mamy, bo to babcia z dziadkiem kupili go dekadę temu. Przyda się jej w pracy detektywa.

— A z propozycji Leona się cieszysz?

— Tak, oczywiście, ale jego synowie to chyba nie bardzo.

Justyna położyła palec na ustach i skierowała wymownie wzrok w stronę salonu.

— Mów ciszej. Róża wszystko słyszy. Już ci mówiłam, że nie mają na co narzekać. Ojciec o nich zadbał. Przed naszym ślubem dał im duże kwoty. — Zaczęła kroić sernik i ustawiać na tacy filiżanki oraz talerzyki. — Teraz powinien zadbać o Ignacego. Mały ma dopiero siedem lat, a on

sześćdziesiąt jeden. Nie chciałabym za parę lat zostać bez grosza przy duszy z małym dzieckiem, które trzeba wykształcić. Wystarczy mi, że się martwiłam o kasę przez kilkanaście lat, gdy nas zostawił twój ojciec.

Ula wiedziała, że przez mamę przemawia rozwaga, a nie pazerność, nie chciała jednak tego dalej słuchać. Złapała tacę i powiedziała, że zanieś ją do salonu. Justyna przyzwoliła ruchem głowy.

— Ja też zaraz przyjdę, przygotuję tylko owoce.

Gdy Ula rozstawiała talerzyki, Sylwia mimochodem podziękowała jej, że nauczyła Weronikę grać w pokera. Ula wyjaśniła, że to było oczko, a nie poker, ale w tajniki tej drugiej gry też może wprowadzić jej córkę.

Z dużą porcją ciasta usiadła na kanapie obok Weroniki. Na kolanach położyła sobie telefon. Zastanawiała się, jak podejść Aleksandra, żeby dowiedzieć się, kim jest. To nie będzie łatwe, bo on wykaże się dużą ostrożnością. Wie przecież, że rozszyfrowanie jego tożsamości jest jej celem. Na razie musi uśpić jego czujność.

— Ja nie będę nigdy pracowała jako sprzedawczyni u dziadka w salonie — odezwała się Weronika, nie odrywając oczu od wyświetlacza telefonu.

— Dlaczego? Nie lubisz biżuterii?

— Lubię. — Uniosła rękę, ukazując srebrną bransoletkę z zielonymi koralikami. — Będę ją projektować, nawet już to robię. Mam taki specjalny zeszyt i tam szkicuję, głównie wisiorki.

Mama powiedziała, że mnie zapisze na kurs robienia biżuterii, a potem pójdę na specjalne studia na akademii sztuk pięknych.

— Super — skomentowała Ula.

— Gdy już skończę te studia, to dziadek mi zapisze swój zakład złotniczy i wszystkie sklepy. Dlatego nie będę sprzedawczynią, tylko będę projektować i wszystkim rządzić.

— To powinnaś jeszcze skończyć zarządzanie i marketing.

— Mama skończyła właśnie te studia, to ja już nie muszę.

Ula nie miała wątpliwości, że plany Weroniki są tak naprawdę pomysłem jej rodziców. Biedny Leon, niedobrze być starym i bogatym, mieć drugą żonę i troje dzieci. Justyna miała zamiar co nieco uszczknąć z jego majątku, a Andrzej z żoną chcieli odebrać mu kurę znoszącą złote jajka. Nie знаła jeszcze planów Marka i Róży, zapewne były podobne.

Atmosfera w salonie wydała się jej zbyt gęsta, jak gdyby wszyscy siedzieli w kisielu i każdy chciał wygrzebać się na samą powierzchnię, jednocześnie spychając pozostałych na dno. Na szczęście nie musiała w tym uczestniczyć. Włożyła kurtkę i buty, po czym wyszła na zewnątrz.

Szarość wieczoru zagarnęła żuławski krajobraz. Niewielkie skupiska wierzb stały się zupełnie czarne, tylko stojące najbliżej drzewa wyróżniały się jeszcze żółtawą barwą liści. Jezioro lśniło głębokim granatem i czernią skupisk trzcin. Było zimno

i wilgotno. Woń drażniła nozdrza czymś gnijącym i zarazem życiodajnym. Zasunęła zamek pod samą brodę i ruszyła przed siebie. Dotarła do wału i wdrapała się na niego. Odwróciła się i spojrzała na dom. Znajdował się w odległości kilkudziesięciu metrów, ale był bardzo dobrze widoczny dzięki rozświetlonemu wnętrzu. Gdyby miała lornetkę, to mogłaby obserwować rodzinę przez przeszkłone ściany.

Wyjęła telefon z kieszeni i napisała do Aleksandra: „Jestem nad jeziorem. Wyszłam się przejść po obfitym obiedzie. Możemy chwilę popisać. Jeśli jesteś zajęty, to nie ma sprawy. Innym razem”.

Odpisał natychmiast: „Pokażesz mi jezioro?”.

Pstryknęła zdjęcie. Bała się, że wyjdą jedynie ciemne plamy, ale nie było tak źle. Uchwyciła gałęzie grabu rosnącego na lewo oraz taflę jeziora. Była to fotka niemówiąca wiele o miejscu, w którym się znajdowała. Mogło to być dowolne jezioro i jakakolwiek miejscowość na Żuławach. Wysłała ememesa Aleksandrowi. Spodziewała się jakiegoś komentarza w stylu, że to ładna okolica, ale treść kolejnego esemesa ją zmroziła.

„Jesteś w Żółwińcu u mamy i jej męża?”

Wzięła dwa głębokie oddechy. Nie powinna się niepokoić, to tylko wiedza, którą mógł zdobyć, obserwując jej konto na Facebooku, no i profil mamy, która widniała wśród znajomych. Ula roztropnie umieszczała informacje i zdjęcia w portalu, Justyna jednak lubiła się chwalić przed

koleżankami. Na jej koncie było mnóstwo fotek imponującego domu nad jeziorem Drużno.

Przyszedł kolejny esemes od Aleksandra, a ona nie zdążyła odpisać na poprzedni: „Też lubiłem jeździć na niedzielne obiady do mamy, dopóki ona żyła, bo potem ją zabiłem, zwłoki poćwiartowałem i schowałem do zamrażalnika”.

Ula bez wahania wysłała mu roześmianą do rozpuku buźkę. Odesłał emotikon z kciukiem uniesionym w górę i komentarzem: „Fajnie, że masz poczucie humoru”.

Schowała telefon, słysząc zbliżające się kroki. W stronę wału szedł Marek, od razu poznała jego sylwetkę. Różnił się od starszego brata, był niższy, z brzuszkiem, lekko przygarbiony.

— Co? Miałaś już nas dosyć? Wcale ci się nie dziwię.

Stanął obok niej i wyciągnął papierosy. Po chwili zgrzytnęła zapalniczka i w świetle płomienia zobaczyła jego twarz, bladą i zmęczoną. Wyglądał na więcej niż trzydzieści trzy lata.

— Nie jest tak źle — mruknęła. — Twój brat ma nerwa, bo moja mama dostała od waszego ojca samochód.

— Ma nerwa, bo jest głupi. Przecież Justyna jest matką naszego brata i ojciec jest z nią szczęśliwy. O co on się tak rzuca? Kretyn. Ulka, przepraszam cię za niego. Pogadam z nim.

— To nie chodzi o mnie, raczej o mamę. Nie chciałabym, żeby jej dogryzał czy ją olewał.

— Tego nie zrobi. Justyna poskarżyłaby się naszemu ojcu, a on już by z nim pogadał.

— No co ty, mama nigdy nie skarżyła na was Leonowi i na pewno tego nie zrobi.

— No tak, masz rację.

Umilkli. W lesie odezwał się puszczyk, coś plusnęło w wodzie. Końcówka papierosa żarzyła się w ciemnościach. Rozległ się dźwięk przychodzącego esemesa. Ula wyjęła telefon. Widząc, że to Mariusz Żuk do niej napisał, schowała go z powrotem. Później przeczyta. Z wiadomością od Aleksandra zapoznałaby się natychmiast, ale to jej praca, detektywem się jest również w niedzielę.

— Przepraszam cię też za Różę — odezwał się ponownie Marek. — Z gry w karty zrobiła nie wiadomo jakie przestępstwo, jak gdybyś co najmniej wciągnęła dzieciaki w oglądanie pornosów. Prawda jest taka, że poker może im się przydać w życiu.

— To było oczko, nie poker.

— Nieważne, co to było, ważne, że mechanizmy są te same. A tak w ogóle Andrzej i Sylwia powinni ci podziękować, że zainteresowałaś ich córkę czymś innym niż telefon. Przecież ta dziewczyna dostanie kontuzji karku od wpatrywania się w ekran.

— Sylwia mi podziękowała. Nie słyszałeś?

Zachichotał.

— Słyszałem, ale jakim tonem to zrobiła. Niech ją diabli.

Papieros w ustach Marka stawał się coraz krótszy, a jej robiło się zimniej. Chłód nad wodą jest zawsze bardziej odczuwalny, zapewne przez wilgoć w powietrzu. Przybiegł do nich Zenit, kręcił się po wale, drapiąc pazurami po trawie. Uderzył Ulę ogonem po nogach. Marek się pochylił i zaczął tarmosić psa po grzbiecie. Rozległo się ciche warczenie.

— Zimno mi. Wracam.

Zrobiła jeden krok.

— Ulka, proszę, poczekaj, mam do ciebie sprawę.

— Do mnie?

Była szczerze zaskoczona.

— Mam kłopoty. Chciałem cię prosić o pomoc.

— Aha, potrzebujesz prywatnego detektywa. No mów, o co chodzi.

— Mam kłopoty finansowe. Pograżyły mnie dwie nieudane inwestycje.

— Czy to znaczy, że mi nie zapłacisz? No dobra, jesteśmy rodziną, poza tym dopiero zaczynam, mogę jedno zlecenie zrobić za friko.

— Zapłacę ci, a raczej odpalę procent od zysku.

Marek prowadził firmę doradczą. Ula dokładnie nie знаła zakresu jego oferty, ale kojarzyła, że chodzi o doradztwo kredytowe i inwestycyjne. Podobno wśród jego klientów były głównie osoby fizyczne, ale trafiały mu się też duże firmy, które płaciły niezłe prowizje. Obawiała się, że zlecenie może dotyczyć jakichś nieporozumień z klientem.

W takim razie lepiej by zrobił, radząc się prawnika, a nie detektywa.

— No dobra, mów, w czym rzecz.

— Potrzebny mi jest zastrzyk gotówki, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt tysięcy. Mam pomysł, jak je zdobyć. — Wyjął kolejnego papierosa, ale go nie zapalił, bawił się nim, przekładając z jednej ręki do drugiej. — Andrzej nie może mi pożyczyć, już go pytałem.

— No, ja też ci nie pożyczę.

— Tak, wiem, ale możesz mi pomóc zdobyć tę kasę. Pomyślałem, żeby napaść na sklep ojca na Hetmańskiej i zwinąć kilka zegarków, tych po dziesięć tysięcy za sztukę. Mój znajomy z Niemiec zna pasera, który by wziął wszystkie i nieźle zapłacił.

Ula spodziewała się wszystkiego, ale nie tego.

— Pojebało cię?

— Wcale nie. Wiem, co teraz o mnie myślisz, ale spójrz na to z innej strony, z tej praktycznej. Mój ojciec niczego nie straci, bo jest ubezpieczony, a ja zarobię kasę, ty przy okazji też.

— Chyba nie myślisz, że ci w tym pomogę?

— A dlaczego nie? Przecież niczym nie ryzykujesz. To fantastyczny zbieg okoliczności, że staruszek cię zatrudnił w salonie. Już od jakiegoś czasu planowałem ten napad, ale niepokoił mnie alarm. Wystarczy wcisnąć guzik i po dwóch minutach pracownicy firmy ochroniarskiej są na miejscu, no i policja jest powiadomiona o zdarzeniu. A jeśli ty będziesz stała za ladą, to nie pozwolisz wcisnąć

guzika z alarmem, przynajmniej nie od razu. Dasz czas mojemu współnikowi, żeby się oddalił. Prawda, że proste?

Ula miała wrażenie, że jej wewnątrz to bęben maszyny losującej, w którym wirują rozmaite uczucia. Zaraz jedno zostanie wylosowane i zdominuje pozostałe. Przez chwilę myślała, że górę weźmie niedowierzenie, potem, że oburzenie, ale ostatecznie zawładnęła nią wesołość. Marek przedstawił jej scenariusz bardzo podobny do tego, który zrealizował Krzysztof Marczak ze swoim współnikiem, gdy napadli na sklep z telefonami. Wyobraziła sobie, że siedzi na krześle dla świadków, a przed nią za biurkiem podinspektor Juraszczyk, który dobrze wie, że ona też brała udział w napadzie, a teraz trzeba ją zmusić do przyznania się do winy.

Roześmiała się głośno i szczerze, a jej śmiech niósł się przez wodę.

— O co chodzi? — zapytał Marek.

— O to, że jesteś głupi. Ten swój plan chyba wzięłeś z bardzo kiepskiego amerykańskiego filmu. Na pocieszenie powiem ci, że takich spryciarzy jak ty jest w Polsce całkiem sporo, a policja wszystkich ich zgarnia, bo dla nich to żaden problem odróżnić prawdziwy napad od ustawki.

Marek podpalił wreszcie papierosa i się zaciągnął.

— Nie wierzę ci. Mówisz tak, żeby mnie odwieść od tego planu. To niemożliwe, żeby policja zorientowała się, że to ustawka, w której w dodatku bierze udział była policjantka.

— Jak chcesz, to rób sobie ten napad, tylko bez mojego udziału, może na inny sklep ojca, ma ich przecież ponad dwadzieścia. Obiecuję, że odwiedzę cię parę razy w zakładzie karnym. Trafisz tam na pięć lat, tyle jest za przestępstwo kradzieży, artykuł dwieście siedemdziesiąt osiem kodeksu karnego.

Marek zaciągnął się znowu dymkiem, tym razem zachłanniej.

— Ulka, kurde, rozpieprzyłaś mi moje plany finansowe. Co ja mam teraz zrobić?

— Może poproś ojca o pożyczkę.

— Zrobiłbym to, ale on zacznie pytać, co się stało z kasą, którą mi dał parę lat temu. Gdybym mu powiedział, że ulokowałem dobrze i nie mogę tego ruszyć, bo stracę, to chciałby zobaczyć na to papiery.

— A co się stało z tą kasą?

— Rozeszła się. — Zgasił wypalonego w połowie papierosa. — Wracamy do domu, bo nas za mocno wychłodzi. Zaraz kataru dostaniemy. — Szurał butami po trawie, gdy szli w stronę domu. — Ulka, proszę, nie mów nic nikomu o tym moim głupim pomysle. Swojej mamie też nie mów.

Kiwnęła głową na znak, że się przychyła do jego prośby. Dobrze, że wyjawiał jej, co zamierza, mogła mu to wybić z głowy. Po tej rozmowie pozostał jednak w jej umyśle pewien ciężar, przekonanie, że wokół niej, a przede wszystkim mamy i Ignasia, dzieje się źle.

Rozdział V

BRYLANTY, OPALE, SZAFIRY, rubiny, akwamaryny, Uli aż się mieniło przed oczami od blasku i kolorystycznych odcieni. Kamieni używanych w jubilerstwie było całe mnóstwo. Musiała je poznać, nie chciała wyjść na totalnego laika przed dziewczynami pracującymi w salonie Giforta. Ciekawe, czy wiedzą, że właściciel jest jej ojczymem, to może wpłynąć na to, jak zostanie przyjęta w nowym miejscu pracy. Od dwóch godzin oglądała biżuterię w internecie, próbując zapamiętać, które kamienie są szlachetne, a które półszlachetne, i przede wszystkim umieć je rozpoznawać. Do dzisiaj znała dobrze bursztyn, wiedziała też, jak wygląda kryształ górski i brylant, a teraz wzbogaciła swoje słownictwo o takie egzotyczne nazwy jak: turmalin, karneol, awenturyn i heliotrop.

Odezwała się jej komórka, to Aleksander znowu napisał: „Który kamień najbardziej przypadł ci do gustu? Bo mnie obsydian”.

Ula przymknęła oczy i usiłowała sobie przypomnieć, jak wygląda obsydian. W jej głowie mieszały się różne faktury i kolory, ale żadnemu nie umiała przypisać tej nazwy. W końcu

skapitulowała i skorzystała z wyszukiwarki internetowej. Chwilę później zobaczyła na ekranie kamień o silnym szklistym połysku. A więc to był obsydian, nie zwróciła na niego wcześniej większej uwagi, bo wydawał się bardzo zwyczajny, prezentował się jak kawałek szkła. Ale teraz pod wpływem sugestii Aleksandra spojrzała na niego na nowo i musiała przyznać, że ma coś w sobie — zwyczajny, ale zarazem elegancki, zwłaszcza ten o czarnym zabarwieniu.

Powinna napisać, który kamień jej się spodobał. Nie chciała się przyznawać do bursztynu, był taki pospolity. Wystukała na klawiaturze telefonu słowo: Brylant. Co brylant, to brylant, nie bez powodu Marilyn Monroe twierdziła, że to najlepszy przyjaciel kobiety.

Za chwilę Aleksander przysłał pytanie: „Jak myślisz, czy obsydian otoczony brylancikami to dobra kompozycja?”.

Odpisała mu: „Fatalna. Musi być odwrotnie, obsydiany powinny otaczać brylant”.

Wczoraj poinformowała tajemniczego adoratora, że następnego dnia rozpoczyna pracę w salonie jubilerskim na Hetmańskiej. To był jej podstępny plan. Miała nadzieję, że Aleksander nie zdoła się oprzeć i pojawi się w sklepie incognito, żeby zobaczyć ją z bliska. Ona będzie na to przygotowana, będzie obserwować każdego klienta, doszukując się ukradkowych spojrzeń posyłanych w jej stronę bądź jakiejś sztywności w gestach albo też zbytnej ruchliwości. Miała nadzieję, że zdoła dostrzec to coś, co zdradzi adoratora, może uda jej

się zrobić mu zdjęcie, ewentualnie naszkicuje z pamięci jego twarz, a potem pokaże Alinie Michalskiej. Żeby tylko dał się złapać na jej haczyk i przyszedł do sklepu. W tym celu wciągnęła go w tajniki jubilerstwa, napisała, że boi się kompromitacji na tym polu, że planuje się podszkolić i oczekuje jego pomocy. Poprosiła, aby ją przeegzaminował. Udało się. Zaczął przysyłać jej fotki z pierścionkami i nazwy kamieni, miała dopasować jedne do drugich. Dobrze się bawiła, rozwiązując test i wymieniając komentarze z Aleksandrem.

Ula zaczesła włosy do tyłu i spięła je klamrą. Fryzura była trochę szkolna, ale z niesfornymi i kręcącymi się kudłami nie była w stanie nic lepszego zrobić. Wymalowała się delikatnie, przez co jej brązowe oczy stały się większe i ciemniejsze. Przejrzała się w lustrze. Wyglądała nieźle. Przez chwilę zastanawiała się, co jeszcze powinna zrobić. Przypomniał się jej łańcuszek z wisiorkiem w kształcie litery „U”, który dostała od Leona na dwudzieste trzecie urodziny. Chyba wypada jej włożyć biżuterię pochodzącą z salonu, w którym będzie pracować. Znalazła wisiorek wciśnięty w róg szuflady. Zapięła go na szyi i znowu stanęła przed lustrem. Połyskujący na różowo drobiazg doskonale pasował do kremowej bluzki. Wzięła torebkę i wyszła z mieszkania.

Zobaczyła go od razu. Nie pasował do tego miejsca, do tej dzielnicy, był jak paw wśród kur. Miał ciemnorude włosy, dosyć długie, prawie do połowy karku i niesamowicie gęste. Niejedna dziewczyna pozazdrościłaby mu takiej czupryny,

ona też. Przeciwsłonecznymi okularami zasłonił oczy, w szklach odbijało się niebo. Jego nadgarstek ozdabiał designerski zegarek o błyszczącej popielatej barwie, do tego czarna kurtka ze srebrnym smokiem na rękawie, proste spodnie i nieskazitelnie czyste buty, jak gdyby dopiero wyciągnięte z pudełka. Stał na chodniku i patrzył na wieżowiec, z którego wyszła. Serce zabiło jej mocniej na myśl, że to Aleksander. Jeśli to on, to wyjątkowy z niego przystojniak, aż niemożliwe, że zainteresował się tak przeciętną kobietą jak Alina Michalska. Mężczyzna wyciągnął z kieszeni telefon i zaczął przesuwać palcem po ekranie. Ula ścisnęła w dłoni torebkę, spodziewając się, że zaraz usłyszy odgłos przychodzącego esemesa. Gdy przechodziła obok niego, przyspieszyła.

— Przepraszam, czy to ty jesteś Ula Baranowska?!
— zawołał za nią.

Zatrzymała się i obróciła w stronę mężczyzny. Czowała, że czerwieni się po nasadę włosów. Przypomniała się jej Michalska rumieniąca się niczym nastolatka. Jakie to żenujące. W głębi ducha nie godziła się na to, aby jakiś facet wprawiał ją w stan zakłopotania.

— Tak, jestem Ula Baranowska — zapewniła mocnym głosem. — Masz do mnie jakąś sprawę?

Mężczyzna spojrział na ekran telefonu, potem na nią.

— Pracowałaś w elbląskiej policji?

— Tak, dobrze się wyraziłeś, pracowałam.

— To w takim razie ciebie szukam. Czy możemy pogadać?

— Może najpierw byś się przedstawił i wyjaśnił, o co chodzi.

— Przepraszam, od tego powinienem zacząć.

Wyciągnął rękę. Odruchowo podała mu swoją i nawet zdążyła się uśmiechnąć i pomyśleć, że zaraz nieznajomy wypowie swoje prawdziwe imię i nazwisko, po czym doda, że tylko dla przyjaciół jest Aleksandrem. Wtem z jego ust padły dwa słowa, które uderzyły w nią jak kamienie:

— Łukasz Marczak.

Wyrwała dłoń. A zatem to był brat Krzysztofa Marcza, nigdy by się nie domyśliła. Różnili się bardzo i to nie tylko wyglądem, raczej prezencją. Ten tutaj to światowiec, a Krzysztof był chłopakiem z osiedla. W zakamarkach pamięci szukała szczątkowych informacji na temat człowieka, który teraz stał przed nią. Krzysztof wspomniał, że jego brat pracuje za granicą, chyba w Szwecji. Nic więcej nie potrafiła sobie przypomnieć. Z tamtego dnia pozostały w niej głównie emocje, a nie treść zeznań świadka.

— Widzę, że wiesz, kim jestem.

— Kojarzę nazwisko. Czego ode mnie chcesz?

Wiedziała, co zaraz usłyszy. Łukasz Marczak poprosi ją, aby zeznawała przeciwko elbląskim funkcjonariuszom. Już układała sobie w głowie odmowę, musi jednak uważać, żeby nie okazać się zbyt obcesowa.

Mężczyzna przełożył telefon z jednej ręki do drugiej.

— Wiem, jak wyglądało przesłuchanie, brat mi powiedział.

Ula milczała. Przyszło jej do głowy, że Łukasz nagrywa ich rozmowę, dlatego trzyma aparat w dłoni, żeby żadne słowo nie wymknęło się cyfrowemu zapisowi.

— To był jeszcze dzieciak, dwadzieścia jeden lat, a wyście go skatowali jak recydywistę, jak najgorszego bandytę.

Ula poczuła silny niepokój. Powinna spokojnie oznajmić, że nic jej nie wiadomo na ten temat, nie była jednak w stanie wydusić ani jednego słowa. W tych zdaniach, które przed chwilą wybrzmiały w chłodnym powietrzu, kryło się coś, co ją sparaliżowało, jakiś ukryty sens, drugie dno. Nagle dotarło do niej, co to takiego — czas przeszły. To był jeszcze dzieciak, tak powiedział Marczak, był, czyli już nie jest, nie ma go.

— Przyjechałem wtedy na urodziny ojca — kontynuował Łukasz. — Nie sądziłem, że zaliczę też pogrzeb brata. Powiesił się.

— Powiesił się — powtórzyła Ula.

— Nie wiedziałaś?

Pokręciła przecząco głową. W uszach dźwięczał jej szloch Krzysztofa przerywany jękami bólu. Kto czyni zło, zła zazna, przemknęło jej przez myśl. Kto torturuje, doświadczy tortury. Właśnie jej doznawała. Ale to przecież nie ona torturowała, próbowała nawet powstrzymać sierżanta Wojtaszka

przed pałowaniem świadka, niestety bezskutecznie. Czy mogła zrobić coś więcej? Tak, mogła.

— Teraz możesz nam pomóc — kontynuował Marczak, jak gdyby śledził jej myśli i wiedział, że potrzebuje odkupienia własnych win, naprawienia wcześniejszej bierności. — Ukarzemy winnego. Udupimy tego psa, powinien trafić do pierdła, bo ma krew na rękach, to krew mojego brata. To on go zabił.

— Przecież twój brat się powiesił.

— Jeśli kogoś popycha się do samobójstwa, to jest się mordercą. Chciałbym, żebyś mi opowiedziała, jak wyglądało tamto przesłuchanie. To ty sporzystałaś protokół, dali mi go do przeczytania na komendzie. Interesuje mnie ta druga wersja przesłuchania, ta prawdziwa. — Machnął telefonem. — Nagram twoją wypowiedź. Czy możemy teraz wsiąść do mojego samochodu i tam porozmawiać?

Ula miała ochotę to zrobić, stanąć po stronie prawdy, dać zatryumfować sprawiedliwości, zawalczyć o porządek i ład na świecie. Machinalnie ruszyła za mężczyzną i wsiadła do jego czarnego forda. Wraz z zatrzaśnięciem drzwi odcięli się od hałasów osiedla, ucichły pokrzykiwania dzieci, szczenie psów i wrzask mew. Słyszała swój oddech i szelest, który wydawała jego kurtka. Uruchamiał dyktafon w telefonie.

— Dobra, możesz zaczynać.

Ula przełknęła ślinę i nabrała głęboko powietrza, żadne słowo nie wydostało się jednak z jej ust. Musi wyjaśnić, dlaczego nic nie zrobiła, dlaczego

wtedy nie pomogła Krzysztofowi. Tylko czy on zrozumie? A inni, czy uwierzą? Czy w ogóle zdoła się usprawiedliwić? Wygładziła dłońmi spódnice, próbując naciągnąć materiał na kolana, ale ten cofnął się, gdy tylko go puściła. Zerknęła na mężczyznę. Nadal ukrywał się za ciemnymi okularami. Był mocno zniecierpliwiony, bo zapytał ostro:

— Ten pies raził Krzyśka paralizatorem. Tak? Wiele razy?

— Nie.

— Jak to nie, Krzysiek mówił mi, że tak. — W głosie mężczyzny pojawiła się złość. — Jaja sobie ze mnie robisz? Na co się umawialiśmy?

— Na to, że powiem prawdę.

— No to mów!

Miała właśnie powiedzieć, że podinspektor Juraszczyk tylko raz raził świadka, ale dotarło do niej, że nie ma na to żadnego dowodu, będą tylko jej słowa, nawet słów Krzysztofa już nie ma, bo się powiesił. Żaden ze służbowych paralizatorów wyposażonych w kamerę nie wykaże użycia podczas tamtego przesłuchania. Na komendzie głośno się mówiło o tym, że w takich sytuacjach podinspektor posługuje się prywatnym paralizatorem, który kilka lat temu kupił od znajomego z Kaliningradu. Ula się roześmiała. Teraz w pełni widziała, jaka była naiwna i głupia. Chciała wystąpić przeciwko stutysięcznej instytucji, każdy policjant w Polsce byłby przeciwko niej. Gdyby ponadto sprawa trafiła do mediów, to hejt zwałiby się na nią wielką lawiną i słusznie, bo była

winna tak samo jak Juraszczyk i wszyscy inni funkcjonariusze, którzy byli wtedy na komendzie. Podpisała się przecież pod sfałszowanym protokołem z przesłuchania.

— Nie mam nic sensacyjnego do powiedzenia.

Położyła dłoń na klamce.

— To po co wsiadłaś ze mną do samochodu?

— Źle cię zrozumiałam. Mogę powtórzyć jedynie to, co jest w protokole.

— Wystraszyłaś się, ale czego? Przecież nie pracujesz już w policji. No to o co chodzi?

Było już późno, a ona rozpoczęła dzisiaj nową pracę. Powinna być w sklepie przynajmniej na kwadrans przed otwarciem, aby zapoznać się z pozostałymi sprzedawczyniami i rozejrzeć po salonie.

— Przykro mi, że twój brat się powiesił.

Otworzyła drzwi i wysunęła jedną nogę, poczuła zimne powietrze pełznące po łydce. Zadrżała.

— Zastanów się jeszcze, odmowa może cię zbyt dużo kosztować.

— To brzmi jak groźba — zauważyła.

— To raczej ostrzeżenie.

Myślała, że będzie próbował ją zatrzymać, łapiąc za rękę, albo wysiadzie i pójdzie za nią. On jednak od razu odjechał. Pobiegła do swojej renówki. Była roztrzęsiona. Gdyby wiedziała, że dwa tygodnie służby pociągną za sobą takie konsekwencje, omijałaby elbląską komendę szerokim łukiem. Dobrze, że się w porę opamiętała i nie opowiedziała

temu przystojniakowi o tym, jak naprawdę wyglądało przesłuchanie Krzysztofa. Niczego by nie osiągnęła, sumienia też by nie oszukała, a zostałaby kapusiem.

Zbliżała się do centrum, czego oznaką były pojawiające się siedziby banków i budynki użyteczności publicznej. Salon jubilerski Giforta mieścił się w pasażu na Hetmańskiej. Kiedyś, gdy w mieście nie było centrów handlowych, kłębiły się tu tłumy, dzisiaj pojedynczy klienci szukali w tym miejscu towaru. Zostawiła samochód przy sądzie, trzy minuty później znalazła się w pasażu. Odruchowo wzięła od chłopaka reklamę banku, choć obiecywała sobie, że nie będzie tego robić, bo to nieekologiczne. Wszystko przez to rozdrażnienie po spotkaniu z Łukaszem Marczakiem. Ruszyło ją to, że Krzysztof się powiesił. Nie współczuła mu, była na niego zła. Zrobił sobie pętlę i uciekł przed problemami, a tym samym jej przysporzył zmartwień.

Dwie sprzedawczynie przyjęły ją z radością. Uprzejmość wręcz tryskała z ich młodych twarzy. O ile Ula wcześniej miała wątpliwości, to teraz była już pewna, że dziewczyny wiedzą, iż właściciel jest jej ojczymem. Chciała powiedzieć, że ona tu tylko na krótko, może parę tygodni, bo tak naprawdę ma inne zajęcie. Pomyślała jednak, że to byłoby z jej strony nieuprzejme, dlatego też zapewniła, że również cieszy się z pracy z nimi.

Renata, wysoka brunetka z idealnie wyregulowanymi brwiami, przyniosła z zaplecza kasetkę, postawiła ją na kontuarze i otworzyła. W środku znajdowało się kilkanaście przegródek,

a w nich błyszczące drobiazgi, a raczej klejnoty, bo na pierwszy rzut oka widać było, że to nie są tanie rzeczy.

— To są brylanty — odezwała się Ula.

— Tak, to brylanty — potwierdziła Renata.

Wyjęła z kasetki kolczyki i uniosła je w taki sposób, aby promienie słoneczne wpadające przez okno wystawowe przeszły przez owalne kamienie. Ula westchnęła cicho na widok bijącej z nich świetlistości. Nie kłamała, pisząc Aleksandrowi, że najbardziej podobają się jej brylanty. Teraz miała okazję się przekonać, że tak właśnie jest.

Renata skinęła głową w stronę pustych gablot.

— Najdrogocenniejsze okazy na czas zamknięcia salonu chowamy do sejfów i każdego dnia rano wykładamy. Pomożesz mi je teraz porozwieszać w witrynach.

Druga sprzedawczyni, Magda, podała Uli klucz.

— Pasuje do zamka w każdej gablocie. Ten jest twój, trzymasz go cały czas przy sobie, gdy jesteś w pracy, żeby nie było tak, że klient chce coś obejrzeć, a ty szukasz klucza.

Ula, zachęcana przez Renatę, wyjęła z kasetki kolejne kolczyki. Tym razem brylanty były oszlifowane w kształt serc, miały też inny kolor — były żółtawe, co fantastycznie się komponowało ze złotą oprawą. Była nimi zachwycona. Nigdy nie podejrzewała siebie o słabość do biżuterii, może dlatego, że dotąd nie miała okazji widzieć z bliska takich okazów. Jej własne błyskotki, które

posiadała w mocno ograniczonej ilości, jawiły się jej teraz niczym śmieci.

— Czy mogłabym je przymierzyć? — zapytała szeptem.

Renata zmarszczyła wyregulowane brwi.

— My tego nie robimy. To wprawdzie nie jest zakazane, ale taka jest zasada. Gdybyś jednak chciała kupić te kolczyki, to oczywiście możesz je najpierw przymierzyć.

Ula zerknęła na cenę, gdy umieszczała brylantowe cacko w witrynie. Cztery tysiące złotych, zdecydowanie nie na jej kieszeń.

Salon był duży, kilkadziesiąt gablot i kontuar pośrodku. W pierwszej chwili wydało się Uli, że dwie sprzedawczynie to faktycznie za mało, że ona się przyda, ale gdy już otworzyły drzwi i przez pół godziny nikt nie wchodził, zmieniła zdanie. Potem pojawiła się kobieta w średnim wieku i kupiła broszkę kameę, płacąc niebotyczną kwotę, za którą można byłoby kupić bilet lotniczy przynajmniej do Barcelony.

Magda wyjaśniła, że klientami salonu są głównie ludzie, którzy kupują biżuterię na jakąś wyjątkową okazję, dlatego tak dobrze schodzą pierścionki zaręczynowe i obrączki, a także męskie zegarki, bo nie ma lepszego prezentu dla wieloletniego współpracownika jak złoty zegarek.

Ula została też wtajemniczona w warunki bezpieczeństwa. Magda pokazała jej dwa przyciski znajdujące się pod kontuarem. W razie napadu trzeba jeden z nich nacisnąć, a wtedy cichy alarm

zawiadamia firmę ochroniarską, ta z kolei wzywa policję.

Po dwóch godzinach pracy Ula sprawdziła telefon. Miała dwa esemesy, jeden od mamy, która pytała, jak się jej podoba w nowej pracy, drugi oczywiście od Aleksandra. Ten pisał: „Przypominam ci jedenaste przykazanie handlowców, każdy sprzedawca ma prawo narzekać na klienta. Nie wstrzymuj się więc”.

Zastanowiła się, co by tu napisać, aby ściągnąć go do salonu. W końcu wystukała: „Z niecierpliwością czekam na klienta, który wyrwie mnie z nudy”.

Nie miała wielkich nadziei, że już dziś Aleksander pojawi się w salonie. Musi go bardziej zachęcić, zaciekawić. Po chwili namysłu wysłała też wiadomość do Mariusza Żuka z propozycją spotkania. Musiała porozmawiać z nim o Łukaszu Marczaku i o Krzysztofie. Była zła na aspiranta, że nie poinformował jej o samobójstwie tego drugiego. Schowała telefon do torebki, przywołała na twarz uśmiech i wyszła na sklep.

Rozdział VI

JURASZCZYK NIE MÓGŁ SIĘ powstrzymać od ziewania. Była szósta rano. Pomiedzy budynkami szarzał świt. W uliczną ciszę wdarł się charakterystyczny gong, a potem przez brukowany plac popłynął głos z megafonu zapowiadający pociąg do Gdańska przez stację Gronowo Elbląskie, Fiszewo, Stare Pole i tak dalej.

Podinspektor wszedł do budynku dworca i w saloniku prasowym kupił „Dziennik Elbląski”. Od razu wcisnął go do kieszeni, później rzucił okiem na nagłówki. Artykułów nie czytał, szkoda czasu, poza tym miał wrażenie, że wie więcej niż redaktorzy. Nabywanie prasy to nawyk, którego jeszcze nie zdołał się pozbyć po śmierci ojca. To jemu kupował gazety, aż do czasu, gdy staruszek zmarł w swoje osiemdziesiąte szóste urodziny, trzymając w ręku pachnący drukiem papier.

Juraszczyk z ulgą przyjął fakt, że dworcowa restauracja jest niemal pusta. Przy stoliku w rogu siedział tylko jeden mężczyzna w marynarce i pod krawatem. Drzemał właśnie nad szklanką herbaty. Kelner opierał się o bar i też miał przymknięte oczy.

— Pobudka — odezwał się policjant.

Kelner wyprostował się raptownie.

— Aha, to pan. Co? Jemy jajecznicę na boczku, jak zwykle?

— Tak, i jeszcze herbatę.

Podinspektor zajął stolik najbliżej baru. Za chwilę dostał śniadanie. Do restauracji wchodzili kolejni goście, większość z torbami i walizkami, on jako jedyny nie miał bagażu, bo nigdzie nie jechał. Przychodził tu na posiłki, bo lubił. Nawet nie chodziło o smak potraw, który mu pasował, ale raczej o dworcowy klimat, a ten się nie zmienił od dekad. Na początku lat dziewięćdziesiątych razem z kolegami parkowali radiowóz opodal i wpadali tutaj na zupę pomidorową.

Gdy wyszedł z lokalu, natknął się na kilka młodych kobiet elegancko ubranych, bez walizek, jedynie z mniejszymi i większymi torbami na ramieniu. Nie były razem, ale dobrze się znały, bo kiwały do siebie głowami i posyłały uśmiechy. Zapewne codziennie rano jeździły tym samym pociągiem z Elbląga do Gdańska, do pracy. Za rok albo dwa przesiądą się na własne cztery kółka, a ich miejsce na dworcu zajmą inne panie.

Wyszedł ze stacji kolejowej. Miasto zaczynało tętnić życiem, teraz już nie usłyszałby gongu i głosu z megafonu zapowiadającego pociąg, bo tramwaje, autobusy i samochody tworzyły miejski harmider. Ruszył w stronę kamienicy zdobionej herbami miasta, w której przed wojną mieszkali pradiadkowie Angeli Merkel, a dzisiaj on zajmował lokal po ojcu. Okrążył budynek, kierując się prosto do swojego volvo zaparkowanego na tyłach

budynku. Zaklął głośno. Przednie opony były przebite, szyby wymazane smarem, a na masce wyryty napis: „Uwaga, zły pies”. Nie pierwszy raz okazywano mu antypatię, demolując samochód. Kreatywność pewnych grup społecznych była mocno ograniczona. Obszedł volvo. Obie kamerki reagujące na ruch znikły. Postanowił jednak sprawdzić wideorejestrator, może coś się nagrało. Usiadł za kierownicą i uruchomił urządzenie. Zapis z tylnego obiektywu trwał trzy sekundy, a obraz był ciemny. Dopiero po kilkukrotnym odtworzeniu filmu dostrzegł czarną dłoń, która pokazuje środkowy palec, a potem zrywa kamerkę.

No, cwaniaczku, taki jesteś sprytny? Zdziwisz się, gdy cię odwiedzę z kolegami, a jeszcze bardziej się zdziwisz, gdy przyjdzie ci zapłacić kilka mandatów: za śmiecenie, przeklinanie i za złe parkowanie. Odechce ci się takich numerów, będziesz szanował cudzą własność jak własną. Nawet wózka w markecie nie odważysz się kopnąć.

Wbiegł na ostatnie piętro kamienicy i wszedł do swojego mieszkania. Włączył laptop, a następnie połączył się z pamięcią kamery zainstalowanej za oknem. To była dobra kamera japońskiego producenta, sokole oko, a raczej sówie oko, bo rejestrowała dobrej jakości nocny obraz. Uśmiechnął się, widząc dwie postaci zbliżające się do jego wozu. Mężczyźni filmowani byli z góry, żadnych szans na dostrzeżenie twarzy, widoczne były tylko sylwetki, wyróżniające się szerokimi barkami. Zanim odeszli, jeden z nich stanął przed maską volvo i zrobił zdjęcie. Kolejny debilny zwyczaj dokumentowania własnego przestępstwa.

Juraszczyk intensywnie zastanawiał się nad możliwością identyfikacji sprawców. Obejrzał ponownie nagranie, szukając jakiegoś szczegółu, na przykład nietypowego obuwia albo charakterystycznej czapki. Niestety, nic takiego nie było. Nagle, bingo, jeden z mężczyzn oddalając się od samochodu, rzucił coś w bok pod stojącego tam opla. Podinspektor zbiegł na dół i zajrzał pod wóz sąsiada. Zobaczył niewielki kamień z ostrą krawędzią. To nim zapewne wyryto napis na masce. Wyjął ze swojego volvo lateksowe rękawiczki i zabezpieczył kamień. Planował wysłać go do policyjnego laboratorium na analizę daktyloskopijną, oczywiście na własny koszt, bo prokurator nie zgodzi się na taki wydatek, gdy sprawa dotyczy zniszczenia samochodu. No cóż, on wyłożył te parę stówek, żeby tylko dopaść tych, którzy odważyli się z nim zadrzeć. Nie daruje im.

Gdy pojawił się na komendzie, była już dziesiąta. Czekał na niego Sowiński. Technik siedział rozparty za jego biurkiem i czytał. Miał rozwichrzone włosy, efekt nieustannego przeczesywania ich palcami. Ten gest wskazywał, że policjant intensywnie nad czymś rozmyślał.

— Co tam masz? — zapytał Juraszczyk.

— Przyszła dzisiaj ekspertyza sznura, na którym powiesił się Marczak i ekspertyza jego rękawiczek.

— I co ustalili? Coś ciekawego?

— Szefie, miałeś nosa. To rzeczywiście jest morderstwo. Marczak miał na dłoniach rękawiczki z cordury i supplexu, takie specjalne do jazdy na rowerze. Włókien z tych rękawiczek nie znaleziono

na sznurze. On sam sobie tej pętli nie założył. Kto by się tego spodziewał?

Podinspektor nie mógł uwierzyć, że tak bardzo sprzyja mu szczęście. Był przygotowany na to, że będą musieli wycisnąć to morderstwo z dowodów, a tu miła niespodzianka. Już nikt nie będzie mógł go oskarżyć, że przyczynił się do samobójczej śmierci świadka.

— A co znaleziono na sznurze?

— Nitryl.

— Aha, nitryl. Robi się z tego rękawiczki robocze? Dobrze pamiętam?

Technik zaprzeczył ruchem głowy.

— Robotnicy, budowlańcy czy mechanicy, oni noszą rękawiczki z poliestru, który tylko miejscami wzmocniony jest kauczukiem nitrylowym. A tych typowo nitrylowych używa się w gastronomii, nitryl jest odporny na działanie gorącego tłuszczu. Takie rękawiczki są też powszechne w szpitalach, laboratoriach, salonach tatuaży i wszędzie tam, gdzie ręce narażone są na niebezpieczne związki lub bardzo ostre przedmioty, przy czym same rękawiczki ze względu na swoją elastyczność umożliwiają wykonywanie precyzyjnych czynności. Aha, my, technicy, używamy rękawiczek lateksowych, to też kauczuk, ale naturalny.

— I zapewne rękawiczki nitrylowe można kupić wszędzie?

— Tak, oczywiście.

Podinspektor położył telefon na blacie. Dopiero wtedy Sowiński zorientował się, że kolega chce

usiąść za swoim biurkiem. Wstał pospiesznie.

— Można sprawdzić, gdzie pracują znajomi Krzysztofa Marcza, może ktoś używa w robocie właśnie takich rękawic.

— Mam taki zamiar — odparł Juraszczyk.

Hipoteza o udziale osób trzecich została właśnie potwierdzona. Trafiło im się najprawdziwsze w świecie morderstwo, o którym trzeba będzie niebawem poinformować opinię publiczną. Do sprawy trzeba podejść na serio i z zaangażowaniem, bo tego wymaga od nich społeczeństwo wyedukowane na telewizyjnych paradokumentach o charakterze kryminalnym. Optymalna wersja przewiduje znalezienie sprawcy w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Gdy Sowiński wyszedł, podinspektor przysunął do siebie klawiaturę. Po chwili namysłu wyciągnął notes i wziął długopis. Wolał widzieć popisaną kartkę, pełną skreśleń, tylko wtedy mógł śledzić proces swojego myślenia, a przy układaniu planu śledztwa trzeba rzeczywiście trochę pogimnastykować szare komórki. Musi zaplanować czynności, które szybko doprowadzą ich do wykrycia sprawcy, a przy tym nie wyjdą poza standardowe koszty śledztwa, bo tylko w takim wypadku plan zostanie zatwierdzony przez prokuratora. Na razie naszkicuje ogólny plan działania, a za godzinę spotka się z zespołem śledczym, może inni też będą mieli jakieś pomysły.

Odezwała się jego komórka. Juraszczyk odebrał.

— No to mamy morderstwo, na pana życzenie — rzucił prokurator Piotr Lochman. — Kiedy dostanę

plan śledztwa?

— Panie prokuratorze, plan jest prawie gotowy, czekam jedynie na pana pisemne wytyczne, bo nie wątpię, że chciałby pan mieć swój udział w śledztwie.

— Podinspektorze, nie bawmy się w takie podchody. To pana śledztwo, nie moje, ja optowałem za samobójstwem. Niech pan teraz sam szuka sprawcy, byle szybko go pan złapał, bo za wynik ja odpowiadam.

W słuchawce rozległo się kliknięcie, a potem przerywany sygnał. Lochman nie stwarzał pozorów, że relacje między nimi są dobre.

Juraszczyk spojrział na wciąż czystą kartkę. Powinni zacząć od prześwietlenia telefonu Krzysztofa Marcza. Już raz go przejrzeni, ale pod kątem ewentualnego listu pożegnalnego do rodziny. Teraz powinni skoncentrować się na liście kontaktów, może znajdą na niej nazwisko z policyjnych kartotek albo chociaż niezarejestrowany numer komórkowy. Treść esemesów też może coś wniesć do sprawy, a także korespondencja Marcza prowadzona na komunikatorach. Jeśli uważnie się temu przyjrzą, to może trafią na jakiś konflikt, z pozoru niewinny, ale przecież tak bywa, że banalne sprzeczki, choćby o dziewczynę, mogą skończyć się bezwzględnym usunięciem rywala. Trzeba też sprawdzić, gdzie logowały się telefony osób, które Marczak znał. Może się okazać, że w miejscu, w którym zginął.

Do pokoju zajrzał aspirant Mariusz Żuk. Miał przekrwione oczy i spierzchnięte wargi. W ręku

trzymał puszkę piwa.

— Mogę?

Juraszczyk pozwolił mu wejść.

— Znowu jakaś impreza?

— Tak, spotkałem się z Ulą.

— To z nią piłeś pół nocy?

— Z nią tylko dwa piwa, a potem z kumplem, który wpadł do Elbląga na parę dni.

— Miałeś wyrwać posterunkową Baranowską, żeby mieć na nią wpływ. Lepiej bym zrobił, powierzając to zadanie komuś innemu.

— Ula nam nie zagraża. Nie piśnie ani słowa o tamtym przesłuchaniu. Już wie, że Krzysztof się powiesił.

— Nie powiesił się — wtrącił podinspektor.

— Wiem. Sowiński powiedział mi o ekspertyzie. Już cała firma mówi, że sprawca tyłek ci uratował. Rodzina Marczała będzie musiała nam odpuścić, gdy się dowiedzą, że to było morderstwo.

— Niekoniecznie. Przypominam ci, że stary Marczał oskarżył nas, że to my zabiliśmy mu syna, gdy tylko wspomnieliśmy o ewentualnym udziale osób trzecich.

Żuk pociągnął duży łyk piwa.

— Dobra, niech nas oskarża, wszyscy wezmą go za wariata, a w międzyczasie znajdziemy sprawcę. A jeśli chodzi o Ulę, to wczoraj był u niej Łukasz Marczał, chciał ją namówić, aby opowiedziała mu o przesłuchaniu. Na szczęście wcześniej ją

poinformował, że Krzysztof się powiesił, to ją wystraszyło, dlatego nie dała się namówić na wyjawienie prawdy.

— Poinformuj ją przy najbliższej okazji, że to nie było samobójstwo. Niech posterunkowa nie rozmyśla o tym, że z powodu naszej nadgorliwości powiesił się człowiek.

— Zrobię to na pewno. Organizujesz zebranie zespołu śledczego?

— Tak. Odbędzie się, gdy tylko skończę pisać plan śledztwa.

Sowiński wszedł do pokoju i rzucił na biurko dokument.

— Przyszedł raport medyka sądowego z sekcji Marczaka. Mamy kolejny dowód, że to było morderstwo. Chłopak miał nad prawym uchem zagłębienie w czaszce. Dostał cios twardym narzędziem o niewielkiej średnicy. Lekarz ocenił uderzenie na bardzo mocne, bo powstał rozległy krwiak wewnątrzczaszkowy. Gdyby ofiary nie powieszono, to zgon mógłby nastąpić w wyniku uszkodzenia mózgu.

— Właściwie tego mogliśmy się spodziewać — oznajmił Żuk. — Trudno powiesić człowieka, jeśli ten jest przytomny. Sprawca musiał go najpierw ogłuszyć.

Rozdział VII

JUSTYNA KOŃCZYŁA KROIĆ szczypiorek. Kanapki wyglądały apetycznie, małe i kolorowe, nadawały się na bankiet. Kiedyś wynajęła firmę cateringową na imieniny Leona. Też przygotowali kanapki, ale dużo im brakowało do tych, które ona robiła każdego dnia na kolację. Nawet jej mąż to zauważył, stwierdzając, że mogłaby wziąć udział w kanapkowym konkursie i na pewno by wygrała. Kromki pokrojone były równo, masło rozsmarowane starannie, cienkie plastry szynki dotykały krawędzi chleba, a wokół wystawała otoczka z sałaty. Justyna posypała odrobiną szczypiorku każdą kromkę z pastą jajeczną i zalała herbatę, dbając o to, aby woda sięgała do trzech czwartych wysokości kubka, tak lubił Leon.

Wszystko ustawiła na tacy. Przebiegła wzrokiem po frontach szafek kuchennych, szukając zabrudzeń. Spodziewała się dostrzec odciski palców Ignasia, bo to on najbardziej brudził w kuchni. Pouczała go, że powinien łąpać za sam uchwyt, a on po swojemu całą ręką, wszystkimi paluszkami jeździł po połyskliwych szafkach, zostawiając okropne ślady. Leon prosił ją, żeby tak nie strofowała ich syna, bo on jeszcze jest mały, dla

niego to zbyt trudne, taka nadmierna dbałość o otoczenie. Sam jednak też lubił, jak wszędzie lśniło czystością. Co drugi dzień wpadała do nich Wiera i sprzątała we wszystkich pomieszczeniach, ale to nie zwalniało Justyny od pilnowania porządku. Miała piękny dom, nowoczesną kuchnię i musiała o to dbać, taka jest rola gospodyni. Niestety, nie do końca czuła się tutaj jak właścicielka. Gdy czasami chodziła po tych pięknych wnętrzach, gdy patrzyła przez przeszkloną ścianę na jezioro Drużno albo siedziała przy kominku, w którym przyjemnie trzaskał ogień, przychodziło jej do głowy, że jest jedynie tymczasowym lokatorem w domu męża, że jego dorośli synowie niedługo ją stąd pogonią. Może dlatego tak bardzo dbała o otoczenie, żeby udowodnić sobie i całej rodzinie, że jest pełnoprawną gospodynią. Przetarła kamienny blat, usuwając okruszki chleba, i poszła do salonu.

Leon siedział przed laptopem. Jak zwykle ubrany nienagannie, w popielatej koszuli i luźnym kardiganie. Justyna od czasu ślubu też zaczęła zwracać większą uwagę na to, co nosi po domu. Dawniej, gdy mieszkała z córką w mieście, po pracy wkładała cokolwiek, zwykle rozciągnięty dres. Teraz jednak nie pracowała, nie miała więc zbyt wielu okazji, żeby się dobrze ubrać. Zaczęła więc na co dzień nosić ołówkowe spódnice, w których wyglądała doskonale i czuła się dobrze, bo dorównywała szykiem mężowi.

— Gdzie zjemy kolację, tutaj czy w kuchni? — zapytała, kładąc rękę na jego ramieniu.

— Tutaj, kochanie. Rozpalę w kominku.

Justyna przyniosła z kuchni tacę i postawiła na stole przy kanapie. Spojrzała na ogromne okno wychodzące na jezioro, tafla była niewidoczna w ciemnościach późnego wieczoru. Na szybie zamigotało światło odbite od płomienia na kominku. Spojrzała w bok i zobaczyła Leona pochylonego nad paleniskiem. Pogrzebaczem przesuwiał płonące drwa, rozniecając większy ogień.

Jeśli ktoś stał na drodze, to widział ich jak na scenie oświetlonych kilkoma żarówkami żyrandola. Byli aktorami, ona na kanapie z kubkiem w ręku i jej mąż przy kominku, sielankowa scenka rodzajowa, tak mógł sobie pomyśleć każdy, kto zaglądał do ich domu przez przeszklone ściany. Ogromne okna w dzień zapewniały im piękne widoki, ale gdy zbliżał się wieczór i na zewnątrz zapadała ciemność, zaczynały ją przerażać. Stojąc z twarzą przy szybie, niewiele widziała, ale sama czuła się wystawiona na widok publiczny. Wstała z kanapy i zaczęła opuszczać zewnętrzne metalowe rolety, najpierw te od frontu, potem dwie pozostałe. Napotkała niezadowolone spojrzenie Leona. Nie lubił, gdy wszystkie zamykała, bo czuł się wówczas jak sardynka w puszcze.

Wskazała na laptop.

— Co z tymi targami, o których wczoraj wspomniałeś?

— Pojadę na nie. Liczę na to, że znajdę nowych kontrahentów. Zakłady złotnicze są zwykle naszą konkurencją, ale jeśli ktoś robi ciekawe wzory, to jestem otwarty na współpracę.

— Na długo chcesz jechać?

— Na trzy dni, tyle potrważą targi.

— Może pojechałabym z tobą.

Leon się uśmiechnął i musnął palcami grzbiet jej dłoni.

— A co zrobimy z Ignasiem?

— No nie wiem, może oddamy go do domu dziecka.

Trudno było jej się przyzwyczaić do tego, że partner życiowy nie miał poczucia humoru. Nie podchwycił żartu, nie kontynuował go. Dobrze chociaż, że nie popatrzył na nią ze szczerym zdumieniem w oczach, bo tak bywało, gdy dowcipkowała.

— Innym razem pojedziesz ze mną. W lutym będą targi w Gdańsku.

— Wolałabym Kraków. Przejdę się po stoiskach i obejrzę produkty innych firm. Powiem ci, co jest godne uwagi. Mówiłeś, że mam dobre oko.

— Bo masz, właśnie chciałem cię prosić, abys obejrzała w sieci kilka ofert różnych zakładów złotniczych. Chciałbym wiedzieć, co myślisz o produktach z Kaliningradu.

Nie chciał jej zabrać na targi jubilerskie do Krakowa. Postanowiła więcej nie nalegać. Może kilka dni rozłąki sprawi, że zatęsknią za bliskością swoich ciał. Ostatnio miała wrażenie, że mijają się w sypialni. Spojrzała na męża. Prezentował się fantastycznie, płaski brzuch i mocne nogi. Niejeden czterdziestolatek mógł mu pozazdrościć takiej sylwetki. Dziewięć lat temu połączyło ich szalone pożądanie. Justyna była wręcz zakłopotana tym, że

ogarnęła ją taka żądza i ciekawość fizycznego kontaktu z mężczyzną, jak gdyby znowu miała siedemnaście lat. Była wdzięczna Leonowi, że obudził w niej kobietę. Minęło ładnych parę lat, mieli siedmioletniego syna, ale mogliby jeszcze postarać się wzniecić tamto pragnienie. Przeszyła ją myśl, że to niemożliwe, bo są już na innym etapie małżeńskiej egzystencji. Powinna zadbać o zabezpieczenie tego, co ma, a nie wskrzeszać przeszłość.

— Chcesz współpracować z Rosjanami? — zdziwiła się.

— Spróbowałbym. Mają dobrych projektantów. Wzornictwo wyssali z mlekiem matki, przecież jubilerzy wszech czasów to głównie Rosjanie. Zawsze mogę się wycofać, gdyby nie dotrzymywali warunków umowy.

Justyna wzięła kolejną kanapkę z pastą jajeczną.

— Kochany, dziękuję ci, że przychyliłeś się do mojej prośby i zatrudniłeś Ulę w salonie. Zależało mi, żeby miała stałe zajęcie. Dobrze, że nie wie, że to z mojej inicjatywy dostała tę pracę, bo wtedy na pewno by jej nie przyjęła.

— Sądzę, że długo u mnie nie popracuje. Stanowisko sprzedawczyni to raczej nie jest szczyt jej ambicji.

Justyna miała ochotę przypomnieć mężowi, że jego firma jest duża i skoro inni pracownicy mają możliwość awansu, to dlaczego nie Ula. Jest zdolna, zna angielski i należy do rodziny, czyli można ją obdarzyć zaufaniem. Dla niej dobro firmy będzie tak samo ważne jak własna pozycja.

Pozostawiła jednak swoje przemyślenia dla siebie. Żona musi wiedzieć, kiedy należy milczeć.

Ogień na kominku przygasał, Leon zaniósł naczynia do kuchni, a Justyna sięgnęła po książkę i zaczęła czytać. W pierwszych latach małżeństwa lubiła te ich wspólne wieczory. Każde z nich robiło coś innego, ale czuli, że są razem. Dzisiaj przebywanie w tym samym pomieszczeniu spowszedniało, już nie unosiła głowy znad kartek, aby zerknąć na męża i posłać mu ciepły uśmiech.

Zrobiło się późno. Pocałowała Leona w policzek i poszła na górę. Najpierw zajrzała do pokoju syna. Spał z rękami nad głową i misiem na piersiach. Zabrała zabawkę i okryła go dokładnie kołdrą, rano temperatura spadnie o kilka stopni. Zgasiła też lampkę — Ignas zasypiał przy włączonym świetle, bo wtedy potwory do niego nie przychodziły.

W sypialni położyła się z płatkami nawilżającymi na powiekach. Następnego dnia nie musiała zawozić syna do szkoły, mogłaby więc dłużej pospać, ale od kilku tygodni w każdą sobotę jeszcze przed śniadaniem wybierała się na godzinny spacer, a raczej marsz wzdłuż jeziora. Miało to poprawić jej kondycję. Nastawiła więc budzik na ósmą. Zasnęła. Nie słyszała, gdy Leon wszedł do sypialni. Zawsze był ostrożny, starał się jej nie obudzić, bo sam też nie lubił, gdy zakłócano jego spokojny sen. Przez pierwsze lata małżeństwa był to dla niej problem, bo bała się obrócić na materacu, aby go nie rozbudzić. Z czasem nauczyła się nie kręcić w łóżku.

Rano wyjrzała przez okno, wypatrując deszczu. Chmury wisiały nisko na niebie, jak gdyby miały zwalić się zaraz na ziemię strugami wody. Postanowiła włożyć płaszcz przeciwdeszczowy. Leona nie było już w sypialni. Nie musiała go szukać, na pewno ćwiczył w przydomowej siłowni. Zbiegła do salonu, zapinając guziki długiego swetra. Ignas też już nie spał, siedział na kanapie przed telewizorem i oglądał bajkę. Obok niego stało pudełko z ciastkami owsianymi. Przejechała dłonią po jego rozwichrzonych włosach.

— Kochanie, jeszcze tylko dwa ciastka, pamiętaj, bo tata będzie niezadowolony, jeśli nie zjesz jajecznicy.

Chłopiec wytarł okruszki z ust.

— Ula dzisiaj przyjedzie?

— Nie wiem. Potem do niej zadzwonię i się zapytam.

— Powiedz jej, żeby przyjechała.

Z czułością pocałowała syna w czubek głowy. Miała dwójkę wspaniałych dzieci, cieszyło ją, że są ze sobą tak mocno związane mimo różnicy wieku. Niestety, między Ignasiem a jego starszymi braćmi, Andrzejem i Markiem, już tej więzi nie było, może dlatego, że synowie Leona mieli własne rodziny, byli ojcami i mężami, albo po prostu Ignas nie był dla nich bratem, bo miał inną matkę.

Justyna wyszła z domu. Przez chwilę wahała się, czy ma zabrać Zenita. Nie lubiła prowadzić go na smyczy, dla psa taki spacer to żadna przyjemność. Miała już pójść sama, ale skamlanie dobiegające

z kojca ją zatrzymało. Otworzyła bramkę i wypuściła psa. Zaczął na nią skakać, maznął ją ciepłym językiem po policzku. Gwizdnęła i poklepała się w udo, pokazując mu tym gestem, że ma iść przy niej. Miała nadzieję, że nie będzie czekał na mijających ich rowerzystów.

Szła w stronę Krzewska drogą wyłożoną betonowymi płytami. Po jednej stronie ciągnęły się łąki, po drugiej tafla wody, która w ostatnim tygodniu podniosła swój poziom, a to za sprawą sztormów na Bałtyku i sporych opadów deszczu. Ptactwa było mniej niż latem, ale i tak jezioro żyło. Najwięcej hałasu robiły kaczki chlapiące się blisko brzegu. Na szczęście Zenit nie zwracał na nie uwagi. Szedł przed nią, machając ogonem. Justyna włożyła ręce do kieszeni, chroniąc je przed zimnem. Co jakiś czas wchodziła na wał i wypatrywała ptaków. Miała nadzieję zobaczyć podgorzałkę. Szaro-brązowej kaczki jednak nie było, ale po pewnym czasie dostrzegła smukłą sylwetkę czapli z ponętnie wygiętą długą szyją i głową zakończoną czarnym czubem. Ptak kroczył w pobliżu szuwarów otaczających jedną z wysepek. Za chwilę w zaroślach pojawiły się dwie kolejne czaple. Justyna upajała się tym widokiem.

Z naprzeciwka nadjeżdżał samochód. Najpierw go usłyszała, dopiero potem zobaczyła czarną masywną sylwetkę. Maszerowała szlakiem rowerowym, ale ten fragment był też częścią lokalnej drogi, po której mogły jeździć pojazdy. Pomyślała, że to któryś z sąsiadów, nie rozpoznawała jednak samochodu. Gdy silnik zawył, zeszła na brzeg drogi. Przywołała Zenita, ten

posłusznie stanął przy niej. Wóz jechał zbyt szybko, to nie asfalt, żeby tak pędzić. Spojrzała na kierowcę i zobaczyła twarz zasłoniętą ciemnymi szklami. Pomyślała, że dziwne te okulary w pochmurną pogodę. Samochód ją minął, podskakując na betonowych płytach. Słyszała, że się oddala. Szła dalej, wypatrując w szuwarach ptaków. Chciała jeszcze zobaczyć czarne łabędzie. Uwielbiała ich widok, miały w sobie tyle majestatu. Nagle za jej plecami rozległ się warkot silnika. Obejrzała się i zobaczyła czarny samochód. Ten sam, który ją przed chwilą minął. Kierowca znowu pędził. Zirykowało ją to. Są przecież w przestrzeni rezerwatu, przydałoby się trochę ciszy. Zeszła z betonowych płyt. Zenit wysunął łeb do przodu i zaczął warczeć, nagle z jego gardła wyrwało się głośne ujadanie. Na Justynę podziałało to jak ostrzeżenie, odskoczyła do tyłu, ale i tak poczuła, że samochód ociera się o jej płaszcz. Gdyby się nie odsunęła, potrąciłby ją. Pogroziła kierowcy zaciśniętą pięścią. Wariat. Samochód przyhamował i zaczął zakręcać na wąskiej drodze. Silnik wył, a ona patrzyła na to z niedowierzaniem. Za moment ogarnęło ją wielkie przerażenie, bo wóz znowu pędził w jej kierunku. Nie miała wątpliwości, że chce ją przejechać. Po jednej stronie ciągnęła się łąka, po drugiej jezioro, tutaj akurat wału nie było. Najbliższe drzewo, za którym mogłaby się schronić, znajdowało się kilkanaście metrów dalej. Nie zdąży do niego dobiec. Wóz zbliżał się z rykiem silnika. Wbiegła na łąkę. W tej samej chwili dotarło do niej, że to błąd, powinna uciekać do wody. Drużno jest płytkie, nie utopiłaby się, a samochód raczej nie wjechałby do jeziora.

Biegła jak szalona, wóz był tuż za nią, skręciła raptownie, stopy trafiły na nierówność, przewróciła się, boleśnie uderzając kolanami o ziemię. Strach poderwał ją na nogi. Samochód znowu zakręcał. Przemknęło jej przez głowę, że nie zdoła uciec. Zenit biegał wokół, ujadając. Nagle rzucił się do opon, jak gdyby chciał je przegryźć i w ten sposób zatrzymać samochód. Rozległ się przeraźliwy pisk i ciało psa znalazło się pod kołami. Justyna biegła w stronę jeziora. Jeśli zdąży, to uratuje życie. Brakowało jej tchu, klatkę piersiową rozrywał ból. Przebiegła w poprzek betonowych płyt. Poczowała, że nogi zapadają się w coś miękkim, a ciało obraca wokół własnej osi. Runęła w dół, instynktownie wyciągając rękę, aby ochronić się przed konsekwencjami upadku. Krzyknęła, gdy silny ból przeszył jej ramię. Wycie silnika rozległo się tuż nad jej głową, a może gdzieś dalej, a tylko strach zmniejszyła odległość między nią a samochodem. Czując mokrą ziemię pod sobą i ostre rośliny na policzku, dygotała i modliła się w duchu o ratunek. Nagle warkot zaczął się oddalać, samochód odjeżdżał. Nie była w stanie ustalić, w którą stronę. Leżała, bojąc się, że kierowca zawróci. Na ponowną ucieczkę nie miała już siły. Po kilku minutach, gdy zimno weszło już pod płaszcz, przyprawiając ją o dreszcze, spróbowała się podnieść. Zacisnęła zęby, czując ogromny ból w łokciu lewej ręki. Uklękła, kolana zapadły się w miękkiej ziemi. Żałowała, że nie ma telefonu. Zawiadomiłaby Leona i policję. Powinni zatrzymać tego człowieka w ciemnych okularach, przecież chciał ją zabić. Uniosła się i z trudem wyszła na drogę. Kilka metrów dalej w trawie czołgał się Zenit. Zaskomlał

na jej widok. Był połamany, ale żył. Teraz nie mogła mu pomóc. Rozpłakała się i ruszyła w stronę domu. Odprowadzało ją piszczenie psa.

W połowie drogi zakiełkowały w jej głowie upiorne myśli, pojawił się też strach, że czarny samochód wróci i ją rozjedzie. Ten człowiek chciał ją zabić, to nie były wygłupy. Usiłowała przypomnieć sobie jego twarz, ale pamiętała tylko ciemne okulary. A czy miał wąsy albo brodę? Był młody? Brunet czy blondyn? A może łysy? Policja nie zdoła stworzyć portretu pamięciowego, bo nic konkretnego im nie powie. Kierowca ukrywał się za okularami przeciwsłonecznymi, maskował się, prawdopodobnie miał też podniesiony kołnierz i czapkę, dlatego nie pamięta innych szczegółów jego wyglądu. Ze zgrozą pojęła, że to nie było przypadkowe spotkanie na drodze. Ten człowiek wiedział, że ona tam będzie spacerować w sobotę po ósmej. Robiła to przecież od kilku tygodni. Przyjechał, żeby ją zabić w najprostszy możliwy sposób. To miał być wypadek, zwyczajne potrącenie na wąskiej drodze, bez świadków, bo nikt tędy nie jeździ, ewentualnie rowerzyści, przed którymi można uciec. Samochód miał zapewne fałszywe tablice rejestracyjne, ale to i tak bez znaczenia, bo zupełnie nie zwróciła na nie uwagi. Nawet nie przyszło jej to do głowy, bo walczyła o życie. Ciężka jak gład konkluzja spadła na jej umysł. To któryś z synów Leona postanowił się jej pozbyć. Ale który? Zapewne Andrzej. To on osiem lat temu żądał, aby podpisali intercyzę. Leon się nie zgodził, a wtedy jego najstarszy syn przyszedł do niej i zaproponował trzydzieści tysięcy za odczepienie się od jego ojca. Chciała mieć dobre relacje

z rodziną męża, sama więc poprosiła o tę intercyzę. Niewiele to dało. Andrzej nadal traktował ją jak pijawkę, która wysysa rachunek bankowy jego ojca. A może obaj to wymyślili? Marek niedawno chciał pożyczyć od Leona kilkadziesiąt tysięcy. Ten odmówił synowi, chcąc go zmobilizować do większej roztropności finansowej, a jej podarował toyotę, to musiało Marka rozwścieczyć. Ten prezent przyniósł jej same kłopoty, a także rozczarowanie. Z trudem ukryła zawód, gdy dowiedziała się, że toyota została wzięta w leasing na firmę, a jej własnością stanie się dopiero za trzy lata, po spłaceniu wszystkich rat i o ile Leon nie zapomni o swojej obietnicy. Jeździła firmowym samochodem, a synowie męża tak bardzo ją znienawidzili, że postanowili zabić. Znowu się rozplakała. Miała dosyć tego wszystkiego.

Leon musiał dojrzeć ją przez okno, bo wyszedł przed dom w samej koszuli. Przez chwilę patrzył, a potem ruszył jej naprzeciw. Uchyliła się od jego uścisku w obawie o rękę, która niemiłosiernie ją bolała. Wyglądała okropnie, brudna, zapłakana, z cierpieniem na twarzy.

— Kochanie, co się stało?

— Samochód chciał mnie przejechać. — W oczach męża widziała niepokój i niedowierzenie. Zaczęła krzyczeć: — On mnie gonił, zakręcał kilka razy, żeby mnie rozjechać. Przejechał Zenita!

— Mamy jechać na pogotowie?

Zawyła z bólu, gdy złapał ją za bolącą rękę.

— Zadzwoń na policję. On chciał mnie zabić.

— Kto?

— Ten człowiek, kierowca, twoi synowie go wynajęli, żeby mnie potrącił.

Rozpłakała się. Właśnie złamała swoje postanowienie, że nigdy nie będzie źle mówić o Andrzeju i Marku, że nie będzie nastawiać ojca przeciwko synom.

Rozdział VIII

ULA SIEDZIAŁA NA szpitalnym korytarzu z telefonem w dłoni. Zerknęła na Leona, który spacerował z Ignasiem, próbując zainteresować go plakatami promującymi zdrowy styl życia. Chłopiec wciąż pytał o mamę. Ojciec spokojnie mu wyjaśniał, że mama ma zakładany gips, bo złamała rękę, ale za parę minut będzie znowu z nimi. Ula najchętniej zabrałaby brata na lody, to poprawiłoby mu humor, bo w tej chwili wyglądał na bardzo zasmuconego. Nie chciała się jednak stąd ruszać. Musiała porozmawiać z Justyną. Na razie znała relację Leona. Ktoś chciał mamę przejechać, tak mu powiedziała, i obwiniła Andrzeja i Marka o zamach na swoje życie. Ula dostrzegła niezadowolenie na twarzy ojczyma, gdy o tym mówił. Nic dziwnego, nikt by nie chciał usłyszeć takich oskarżeń pod adresem swoich dzieci, a on musiał się z tym zmierzyć, w dodatku pomówienie padło z ust jego ukochanej żony. Ula sama czuła się zakłopotana, gdy relacjonował jej, co mówiła Justyna. Mruknęła, że mama na pewno była w szoku.

Leon i Ignas znikli za zakrętem korytarza. Poczowała w dłoni krótką wibrację telefonu. Przyszedł esemes od Aleksandra. Pytał, jak się czuje jej mama. Pół

godziny temu napisała mu, że wychodzi z salonu jubilerskiego i jedzie do szpitala. Wolała go o tym poinformować, żeby nie przyszedł do sklepu w chwili, gdy jej tam nie będzie. Korespondencja z adoratorem Aliny Michalskiej stawała się coraz dziwniejsza. Ula momentami zapominała, w jakim celu z nim pisze. Po prostu odpowiadała na pytania, wymieniała opinie. Zupełnie tak jak ze znajomymi w sieci — nie znała ich, ale czasami prowadziła z nimi długie rozmowy, jak choćby z dziennikarzem z Zamościa, z którym od paru lat dyskutowała na tematy rodzinne. Poznała go na jakimś forum, a że też miał ojczyzna i przyszywane rodzeństwo, szybko znaleźli wspólny temat. Wymiana esemesów z Aleksandrem wciągnęła ją, bo pisał o codziennych sprawach. Nie wyczuwała gry z jego strony, dlatego traciła czujność. Uwiódł ją zwyczajną pogawędką. Wczoraj napisał, że ktoś zrobił burdel w śmietniku przy jego bloku i przysłał fotkę, na której widoczne były rozsypane śmieci wokół kubłów. Dołączył też emotikon z wkurwioną buźką mającą oddać jego emocje. Odpisała mu, żeby zaproponował sąsiadom wspólne posprzątanie tego bałaganu. Jeśli to mu się uda, będzie miał gwarancję, że chociaż lokatorzy będą rzucać śmieci do pojemnika, a nie obok. Za godzinę dostała kolejną fotkę z posprzątanym śmietnikiem. Aleksander informował, że wziął łopatę i sam zrobił porządek, widziała go przy tym jedna sąsiadka i zapewne teraz wszystkim rozpowie, że zwariował. Dopiero kilka godzin później, gdy już kładła się do łóżka, uzmysłowiła sobie, że przecież tropi Aleksandra, próbuje ustalić jego tożsamość, a on o tym wie, ma świadomość, że ona jest prywatnym

detektywem i dostała na niego zlecenie. Te zdjęcia z bałaganem w śmietniku muszą coś znaczyć, przecież nie przysłał ich tak sobie, prawdopodobnie dawał jej znać, gdzie mieszka. Zaczęła ponownie oglądać fotki, analizując każdy szczegół. Kubły na śmieci były zielonkawe, o prostokątnym kształcie, lekko stożkowe, dobrze je znała, bo niemal codziennie wrzucała do nich odpady. Czy to znaczy, że Aleksander mieszka na Zawadzie? Niekoniecznie. Takie same śmietniki stały zarówno przy nowych blokach, jak i tych przedwojennych, choć administrator był różny. Zapewne też na innych osiedlach znajdowały się właśnie takie kontenery. Poza tym jeśli nawet zawęzi poszukiwanie adoratora do jednej czy dwóch dzielnic, nic jej to nie da. W akcie desperacji skupiła się na analizowaniu samych śmieci, z nadzieją, że to w nich ukryta jest wiadomość. Po godzinie się poddała. Wyglądało na to, że Aleksandra rzeczywiście poruszył ten bałagan i w esemesie wysłanym do niej wyraził swoje oburzenie.

Otworzyły się drzwi i z gabinetu zabiegowego wyszedł lekarz. Ruchem głowy wskazał, że można widzieć się z pacjentką, po czym ruszył korytarzem, ignorując starszą panią, która próbowała go zatrzymać. Ula weszła do środka. Serce zabiło jej mocniej na widok mamy siedzącej na kozetce. Justyna była blada, usta jej drżały, a z oczu wyzierał strach. Na lewej ręce bielił się opatrunek z gipsu, podtrzymywany przez bandaż zwisający z szyi.

— Gdzie jest Leon?

— Spaceruje z Ignasiem. Zaraz przyjdą.

Justyna zacisnęła powieki i odetchnęła głęboko.

— Dobrze, że nie wzięłam Ignasia ze sobą na spacer. Z nim bym nie dała rady uciec.

Ula przysiadła na kozetce i dotknęła palców Justyny wystających z opatrunku. Czuła delikatną, ale drażniącą woń mokrego gipsu.

— Boli?

— Teraz już nie.

— Mamo, proszę, powiedz mi, co się stało.

— Samochód chciał mnie przejechać.

— Jesteś pewna?

— Tak. Zakręcał kilka razy i jechał wprost na mnie. Przejechał Zenita. Leon powiedział, że trzeba będzie go uśpić.

— Widziałaś kierowcę?

— Tak, ale nie pamiętam, jak wyglądał. Pamiętam jedynie, że miał przeciwsłoneczne okulary.

— A samochód? Rozpoznałaś markę?

Justyna spojrzała na nią z wyrzutem.

— Markę? Przecież wiesz, że ja się na tym nie znam. Był czarny i duży.

Ula siłą woli broniła się przed złym przeczuciem, ale ono owładnęło jej umysł. Czarny samochód i okulary przeciwsłoneczne przypominały jej Łukasza Marczaka. Nie zgodziła się opowiedzieć, jak wyglądało przesłuchanie Krzysztofa, a on jej zagroził. Powiedział, żeby się zastanowiła, bo

odmowa może ją zbyt dużo kosztować. Czy to możliwe, żeby w ramach zemsty zaatakował jej rodzicielkę? Ale to zakrawało na szaleństwo. Na nią powinien się przyczaić za rogiem budynku, a nie na jej matkę. Nagle ją olśniło. Uderzył w bliską osobę, żeby poczuła ten sam ból, co on. Stracił brata i pokazał jej, że ona może stracić matkę. Przeszył ją gwałtowny dreszcz, jak gdyby z zimna. Odnalazła w telefonie zdjęcie forda mondeo — takim wozem Łukasz przyjechał pod jej blok. Podsunęła aparat przed oczy Justyny.

— Mamo, czy to mógł być ten samochód?

— Tak, to ten, a przynajmniej jest bardzo podobny.

Ula była przerażona, ale daleka od paniki. Zaczęła analizować swoje położenie. Co powinna zrobić, aby uchronić najbliższych przed szaleństwem Marczaka? Na pewno nie może niczego powiedzieć mamie, bo tylko ją wystraszy. Mogłaby zgodzić się na prośbę Łukasza i opowiedzieć o przesłuchaniu, bała się jednak konsekwencji tego kroku. Nikt jej nie uwierzy, a w dodatku narobi sobie wrogów. Pozostawała jej jeszcze jedna możliwość, najbardziej sensowna. Poprosi o pomoc policję. Justyna pojedzie teraz na komendę i zgłosi próbę przejechania, a ona da znać aspirantowi Żukowi, że może za tym stać brat Krzysztofa.

Ujęła mamę za zdrową rękę.

— Powiedziałaś Leonowi, że to Andrzej i Marek wynajęli kogoś, aby cię potrafił.

— Tak mi przyszło do głowy, bardzo się wystraszyłam. — Justyna zaczęła płakać. — Czy

Leon jest na mnie bardzo zły? Coś mówił?

— Nie wiem. Sami sobie to wyjaśnicie. Proszę, nie powtarzaj tego na policji, bo synowie Leona mogą mieć poważny problem.

— Oczywiście, że nie będę. — Justyna oparła czoło o ramię córki i znowu zaszlochała. — A jeśli to oni?

— To nie oni.

— Skąd wiesz?

Ula już miała się przyznać, że to po jej stronie leży wina, że zatajając prawdę o nieludzkich metodach stosowanych przez niektórych elbląskich funkcjonariuszy, naraziła własną rodzinę na niebezpieczeństwo. Nie była jednak gotowa zmierzyć się z paniką Justyny. Milczała więc.

— Kochanie, ty jesteś policjantką.

— Byłam nią.

— Tak, oczywiście, ale teraz jesteś detektywem. Czy mogłabyś jakoś sprawdzić, czy Andrzej i Marek... No wiesz?

— Tak, sprawdzę, czy mieli coś wspólnego z próbą przejechania ciebie. Obiecuję. A na razie proszę, uważaj na siebie i Ignasia.

— Leon za dwa tygodnie jedzie na targi do Krakowa. Może byś na ten czas zamieszkała z nami? Gdy będziemy razem, to będzie bezpieczniej.

— A może ty z Ignasiem przeniesiesz się do mnie, na swoje stare śmieci?

Justyna westchnęła, jak gdyby miała do podjęcia bardzo trudną decyzję.

— Chciałabym, ale Leon nie lubi, gdy zostawiamy dom pusty.

Z korytarza dobiegł dźwięczny głos Ignasia. Za chwilę chłopiec wbiegł do gabinetu zabiegowego i rzucił się w stronę mamy. Zatrzymał się na widok gipsu unieruchamiającego jej rękę.

— Ja też taki chcę.

— Jesteś pewien? — zapytała Ula.

— Tak.

— To dawaj, złamię ci rękę.

Posłusznie wyciągnął ramię w jej stronę. Wygięła mu rękę na plecy.

— Przestańcie — syknęła Justyna. — Ula, daj spokój, zaraz zrobisz mu krzywdę.

Leon stanął w drzwiach i patrzył na nich poważnie. Wyglądał jak dyrektor szkoły, który ma zapanować nad grupą niesfornych uczniów.

— Idziemy — oznajmił stanowczo i wykonał ruch, jak gdyby chciał się odwrócić i odejść, ale w porę zorientował się, że czegoś innego się od niego oczekuje. Wszedł do gabinetu i pomógł żonie wstać z kozetki, następnie podał jej ramię.

Ula szła za nimi, trzymając za rękę Ignasia. Była wzruszona, czując jego ciepłe palce w swojej dłoni. To była jej rodzina, bez nich jej życie byłoby puste i bezgranicznie smutne. Nie pozwoli Marczakowi ani nikomu innemu zrobić im krzywdy. Na parkingu delikatnie uściskała Justynę i oznajmiła,

że będzie pod telefonem. Gdyby potrzebowali jej na komendzie, niech dzwonią, przyjedzie natychmiast. Wsiadła do swojej renówki i ruszyła. Spieszyła się, bo Renata została sama w salonie. Przed wyjściem obiecała, że wróci jak najszybciej. Była sobota, dzisiaj mogło być więcej klientów.

Gdy weszła do sklepu, Renata pokazywała starszej pani naszyjnik z rubinem. Zachwalała czystość kamienia i zwróciła uwagę na wygodne zapięcie. Zaproponowała klientce przymierzenie klejnotu, na co ta raptownie zaprotestowała.

— Nie, kochana, to nie dla mnie, to dla mojej przyszłej synowej. Chciałam ją miłym gestem przyjąć do rodziny, bo ona własnej prawie nie ma. A może ty, kochana, przymierzysz ten naszyjnik? Narzeczona mojego syna też ma czarne długie włosy i chudziutką szyję jak ty. Przymierz, kochana, zobaczę na tobie, czy będzie jej pasował.

Renata się zawahała, ale zaraz odchyliła głowę, aby włosy nie przeszkadzały w zapięciu klejnotu. Gdy owalny rubin spoczął między jej obojczykami, odwróciła się w stronę lustra, aby zobaczyć kosztowny kamień na sobie, kolejna okazja przymierzenia rubinu prędko się nie trafi. Klientka była zachwycona. Wyciągnęła dwa tysiące złotych i zapłaciła za naszyjnik.

— Chciałabym mieć taką teściową — odezwała się Renata, gdy zostały już same. — Od swojej dostałam jedynie komplet szklanek. No, ale mów, co z twoją mamą.

— Ma złamaną rękę w stawie łokciowym.

— Och, co za pech, żeby zostać potrąconym przez samochód na szlaku rowerowym. Chciałabyś dzisiaj wyjść wcześniej?

— Jeśli mama będzie mnie potrzebowała, to tak. Ma do mnie dzwonić.

Renata splotła dłonie na płaskim brzuchu, między palcami trzymała kluczyk od gablota.

— Miałam nadzieję, że będziesz mogła zostać do końca, bo ja chciałam wyjść piętnaście minut przed zamknięciem.

— Dobra, nie ma sprawy. Moja mama ma męża, on się nią zajmie.

— Jesteś pewna? Bo możemy jeszcze zadzwonić po Magdę.

— Magda ma urlop, nie będziemy zawracać jej głowy.

Otworzyły się drzwi i do sklepu weszły dwie nastolatki. Od razu skierowały się do gablota, w której znajdował się bogaty zestaw kolczyków do piercingu. Renata zbliżyła się do nich z szerokim uśmiechem, gotowa pomóc w wyborze biżuterii.

Ula zastanawiała się, czy dać znać Aleksandrowi, że już wróciła do sklepu. Postanowiła tego nie robić, nie miała dzisiaj siły przyglądać się klientom i wypatrywać tajemniczego adoratora, bo w głowie siedział jej Łukasz Marczak i związane z nim niebezpieczeństwo. Musi załatwić tę sprawę. Napisała do Mariusza Żuka, proponując mu spotkanie o piętnastej trzydzieści w barze mlecznym na Hetmańskiej. Zgodził się

natychmiast. W kolejnym esemesie zadeklarował, że zapłaci za obiad, bo na ten lokal go stać.

Następna wiadomość była od Aleksandra. Już wiedział, że wróciła do salonu. Czy to znaczy, że przed chwilą zajrzał do wnętrza przez okno wystawowe? A może po prostu zobaczył jej samochód na parkingu przy sądzie. Pewne było tylko to, że jest gdzieś w pobliżu. Nie dopuszczała do siebie myśli, że ją śledzi, obserwuje godzina po godzinie. Nie chciała stać się obsesją nieznanego mężczyzny, nie miała zamiaru zastępować miejsca Aliny Michalskiej. Wolała myśleć, że zdołała wciągnąć go w grę, której reguły oboje znają i je akceptują. „Przyślij mi zdjęcie biżuterii, która podoba ci się najbardziej” — napisał Aleksander w kolejnej wiadomości.

Ula nie miała czasu zastanawiać się, co kryje się pod tym życzeniem. Szybko przesuwiała palcem po klawiaturze: „Czy to znaczy, że chcesz jakiejś dziewczynie sprezentować klejnot i nie wiesz, co to ma być? Mam ci pomóc dokonać właściwego wyboru?”. Stuknęła w przycisk wyślij i przez minutę czekała na odpowiedź. Nie nadeszła, napisała więc kolejną wiadomość: „Proszę o krótką charakterystykę osoby, która ma zostać obdarowana, bo biżuterię trzeba dobrać do osobowości. Na początek podaj mi jej przybliżony wiek, profesję i znak zodiaku”.

Przez chwilę miała nadzieję, że wciągnie go w rozmowę o Alinie, ale on milczał na temat ewentualnej kobiety, którą pragnąłby obdarować biżuterią. Napisała kolejnego esemesa: „Czy wiedziałeś, że kamienie szlachetne mają wpływ na

nasze samopoczucie? Ich oddziaływanie zależy od posiadanego znaku zodiaku”. Po chwili namysłu dodała: „Podaj mi swój znak zodiaku, to powiem ci, jaki kamień pasuje do ciebie”.

Na esemesa zwrotnego czekała sekundę: „Wodnik”.

Aleksander był wodnikiem. To pierwsza informacja o nim, jaką udało jej się wyciągnąć po kilku dniach korespondencji. Oczywiście mógł kłamać, tego nie była w stanie ustalić, ważne jednak, że w końcu ujawnił coś o sobie i to na jej prośbę.

Nie wiedziała, jaki kamień przypisany jest wodnikowi, nie chciało jej szukać informacji w internecie, na szczęście Renata posiadała bogatą jubilerską wiedzę i poinformowała ją, że to ametyst. Ula podeszła do witryny stojącej najbliżej drzwi i sfotografowała pierścionek z fioletowym oczkiem, po czym wysłała fotkę Aleksandrowi z notką, że to ametyst, kamień wspierający wodnika.

„Dostałaś mój znak zodiaku” — pisał Aleksander. „W zamian chciałbym zdjęcie biżuterii, która najbardziej ci się podoba. Mam nadzieję, że taka znajduje się w salonie”.

Ula się uśmiechnęła. Wygląda na to, że dopięła swego. Coś za coś, on wyjawia jakiś szczegół o sobie, a ona odwdzięczy się czymś podobnym. Zaczął się proces demaskowania. Musi wzmóc czujność i wznieść się na wyżyny sprytu. Zbliżyła się do witryny, w której znajdowały się brylantowe kolczyki o żółtawej barwie oszlifowane w kształcie serc. To właśnie je chciała przymierzyć pierwszego

dnia pracy tutaj. Nadal była pod wrażeniem ich elegancji i blasku. Pstryknęła kilka zdjęć, potem wybrała najlepsze i wysłała Aleksandrowi.

„Chciałbym cię w nich zobaczyć. Włóż je i zrób sobie zdjęcie”.

Ula poczuła dreszczyk emocji biegnący po kręgosłupie i skupiający się w dole brzucha. Gdyby zaproponował jej, aby zdjęła biustonosz i się sfotografowała, nie byłaby bardziej podniecona.

„Też bym chciała zobaczyć, jak w nich wyglądam, ale ekspedientkom nie wolno przymierzać drogiej biżuterii”.

„Dlaczego?”

„Nie wiem. Sądzę, że nie ma konkretnego powodu, po prostu się tego nie robi”.

„Absurd. Pieprzyć absurd. Włóż te kolczyki i zrób sobie selfie”.

„Aleksandrze spod znaku wodnika, chcesz popsuć moje relacje z koleżankami z pracy? One nie przymierzają brylantów, a ja mam to zrobić?”

„Dasz im tylko dobry przykład. Kobiety zasługują na brylanty. Sądzę, że od dawna marzysz, aby je włożyć i czekasz tylko na dogodną okazję. Mam rację?”

Ula schowała aparat pod kontuar i podeszła do starszego pana stojącego przy gablocie z damskimi zegarkami. Szukał prezentu dla żony. Opisała mu zalety każdego z modeli, ale nie mógł się zdecydować, wreszcie opuścił sklep bez zegarka.

Ponownie zerknęła na wyświetlacz telefonu. Aleksander pisał: „To tylko przymiarka biżuterii, nie namawiam cię, abyś je ukradła. Ula, trochę odwagi, więcej przebojowości. Nie bądź taka zasadnicza!”.

„Przyjdź do salonu i powiedz, że chcesz kupić te kolczyki. Poproś mnie, abym je przymierzyła, bo chcesz zobaczyć, jak się prezentują na uszach. Wtedy je włożę”.

Po wysłaniu wiadomości zastanawiała się, czy nie przesadziła z tą propozycją. Demaskowanie powinno odbywać się powoli, stopniowo, bo wtedy jest najlepsza zabawa, a jemu przecież o to chodziło. Aleksander odpisał po kwadransie: „Najpierw ty w brylantach na zdjęciu, a potem ja przyjdę do sklepu. Umówmy się, że wpadnę w przyszłym tygodniu”.

Ula czuła się jak wyrafinowana pokerzystka. Taki był jej cel, aby zwabić go do salonu. Była o krok od sukcesu. Przez sześć kolejnych dni będzie musiała być bardzo czujna. Czeka ją trudne zadanie, ale powinno się udać. Jest przecież po policyjnym szkoleniu, wie, jak zachowują się ludzie, którzy chcą się ukryć.

Podeszła do Renaty.

— Jeśli chcesz, to już idź.

Piękna brunetka zerknęła na zegarek.

— Na pewno zostaniesz sama? Poradzisz sobie?

— Tak, przecież za pół godziny zamykamy.

— Rzeczy z czwartej, piątej i siódmej gabloty schowasz do sejfów. Nie zapomnij włączyć alarmu.

Renata włożyła płaszcz i wzięła torebkę. Chwilę później zamknęły się za nią drzwi. Ula od razu podeszła do gabloty z brylantami. Wsunęła klucz do zamka i przekręciła o pół obrotu. Drzwiczki uchylły się bezgłośnie. Musnęła palcami brylantowe serca. Były gładkie i chłodne. Wyjęła je drżącą ręką. Kątem oka dostrzegła ruch za oknem wystawowym. To tylko jakiś przechodzień. Stała przed lustrem i włożyła kolczyki. Żółtawe brylanty w oprawie ze złota wyjątkowo pasowały do jej dużych brązowych oczu i kasztanowych włosów.

Zrobiła zdjęcie swojemu odbiciu w lustrze i od razu wysłała je Aleksandrowi. Spieszyła się. Chciała jak najszybciej zdjąć kolczyki i odłożyć je na miejsce.

„Ula, brawo! Zrobiłaś to. Proszę, pstryknij sobie jeszcze zdjęcie z profilu”.

Przechyliła głowę lekko w bok i uniosła brodę. Teraz brylant widoczny był na tle mleczonej skóry, przez co zdawał się zyskiwać na świetlistości. Znowu sfotografowała swoje odbicie. Na zdjęciu prezentowała się cudownie niczym hollywoodzka piękność. Szkoda, że w rzeczywistości nie wygląda tak olśniewająco. Odsunęła się od lustra, teraz czas na selfie. Rozpuściła włosy i mocno odchyliła głowę do tyłu, jak gdyby szukała wzrokiem muchy na suficie. Uniosła rękę i zrobiła sobie zdjęcie z góry. Wszystkie fotki wysłała Aleksandrowi, a następnie z przyjemnością czytała jego komentarze. Przytakiwała machinalnie, gdy zachwycił się jej urodą i chwalił za profesjonalne pozowanie. Chciała, żeby Mariusz ją teraz zobaczył. Całemu światu mogłaby się pokazać w tych kolczykach, bo

dodawały jej uroku. Ponadto czuła się w nich dobrze, miały odpowiednią długość i ciężar, lubiła ich chłodny dotyk, gdy muskały jej skórę pod uchem. Już się nie spieszyła ze zdjęciem brylantów. Będzie je nosić aż do zamknięcia sklepu, a potem schowa do sejf.

O piętnastej przekręciła klucz w drzwiach. Otworzyła gablotę numer cztery i zaczęła wyjmować męskie zegarki i układać je w kasetce. Opróżniła też dwie kolejne witryny. Teraz powinna zdjąć kolczyki i także włożyć je do metalowej skrzyneczki. Zerknęła w lustro, brylant błysnął, rozświetlając jej twarz. Wyglądała ponętnie i elegancko mimo skromnego ubioru, bo miała na sobie bawełnianą bluzkę o popielatym odcieniu i czarne spodnie. Podjęła decyzję, pójdzie w kolczykach na spotkanie z Mariuszem. Zaraz po wyjściu z baru wróci do salonu i odłoży brylanty do sejf. Przez ten krótki czas nic im się nie stanie, przecież ich nie zniszczy, zgubić kolczyki też byłoby trudno.

Włożyła kurtkę i włączyła alarm. Gdy była już na zewnątrz, nasunęła kaptur na głowę, zasłaniając brylanty. Wołała, żeby przechodnie ich nie widzieli. Oczywiście, była przewrażliwiona. Wiele kobiet nosiło drogą biżuterię i nikt ich nie napadał na ulicy.

Mariusz czekał na nią przed barem mlecznym. Miał spuchniętą twarz i zaczerwienione oczy.

— Jakaś imprezka wczoraj? — zagadnęła.

— Tak, kuzyn robił wieczór kawalerski. Trochę pochlaliśmy. Zaraz wypiję kawę i będę w formie.

— Czyli dzisiaj w pracy nie byłeś?

— Na szczęście mam wolne.

Weszli do baru i zbliżyli się do lady. Mariusz wziął kopytka z gulaszem wołowym, Ula po długim namyśle wybrała pierogi ruskie. Usiedli naprzeciw siebie.

— Ładnie wyglądasz — zauważył.

Podziękowała za komplement. Przyglądał się jej uważnie, zapewne próbował ustalić, co takiego zmieniło się w jej wyglądzie. Była pewna, że nie skojarzy tego z brylantowymi sercami zwisającymi z jej uszu. Mężczyźni nie potrafią patrzeć na kobietę przez pryzmat szczegółu, nawet policjanci, chociaż ci z racji zawodu powinni to umieć.

Wbiła widelec w pieroga.

— Dzisiaj ktoś próbował zabić moją mamę.

Te słowa z trudem przeszły przez jej gardło, jak gdyby obawiała się, że ich wypowiedzenie będzie miało moc sprawczą.

— Co ty mówisz?

Mariusz był szczerze zaskoczony.

— Ktoś próbował ją przejechać, gdy spacerowała z psem nad jeziorem Drużno. Była jakieś trzy kilometry od domu.

Na twarzy policjanta pojawiło się odprężenie. Właśnie zakwalifikował próbę morderstwa do drogowego wybryku. Tego się obawiała.

— Moja mama ma złamaną rękę w stawie łokciowym i jest potłuczona. Żyje tylko dlatego, że zdążyła wbiec do jeziora. Niestety, pies nie zdołał uciec. Został przejechany. Trzeba było go uśpić.

— Zgłosiła to?

— Tak.

— No to się tym zajmiemy, choć znalezienie sprawcy nie będzie łatwe, bo tam jeździ mało samochodów, ale może jakiś rowerzysta widział ten samochód. Twoja mama rozpoznała markę wozu? Bo zakładam, że tablic rejestracyjnych nie zakodowała sobie w pamięci.

— Ja wiem, kto ją chciał przejechać.

— Kto?

— Łukasz Marczak.

Mariusz opuścił widelec i kawałek wołowiny zsunął się do talerza, rozchlapując sos.

— Żartujesz?

— Chciałabym.

— Skąd wiesz, że to on?

— To był czarny ford mondeo, a takim samochodem jeździ Łukasz Marczak.

— Kurde, Ulka, byłaś policjantką, przecież wiesz, że to za mało, żeby kogoś podejrzewać.

— Wiem, że to mało, ale jestem pewna, że to on. Gdy nie zgodziłam się opowiedzieć o przesłuchaniu, powiedział, że będzie mnie to dużo kosztować.

— Po co Marczak miałby atakować twoją matkę, skoro mógłby ciebie? Ponadto sądzę, że gdyby chodziła mu zemsta po głowie, to najpierw próbowałby dosięgnąć Juraszczyka.

— Niestety, to mnie obrał sobie za cel. Myślę, że podinspektora zostawił sobie na później, na deser.

Marczak stracił brata i chce, żebym poniosła taką samą stratę jak on, dlatego zaatakował moją mamę.

Aspirant nie wyglądał na przekonanego.

— Tego typu zemsty to tylko w serialach. Poza tym Marczak już wie, że jego brat nie popełnił samobójstwa. Poinformowaliśmy go, że znaleźliśmy dowody na udział osób trzecich.

— Naprawdę myślisz, że go to uspokoiło? Morderstwo jest łatwiejsze do zaakceptowania niż samobójstwo?

— Oczywiście, że nie jest i dobrze wiesz, że nie o to mi chodziło.

— A o co? Oświeć mnie.

— Łukasz Marczak uważał, że jego brat się powiesił, bo zmusiliśmy go do przyznania się do popełnienia przestępstwa, a skoro to nie było samobójstwo, to i naszej winy nie ma. Logiczne?

Ula pokręciła przecząco głową.

— Sam mi powiedziałeś podczas ostatniej rozmowy, że gdy byłeś z podinspektorem u rodziców Krzysztofa i wspomnieliście, że śmierć ich syna to mogło być morderstwo, to jego ojciec od razu was o nie oskarżył. Jestem pewna, że Łukasz Marczak też tak myśli i jego wściekłość jest jeszcze większa niż kilka dni temu. Wcześniej byliśmy tylko katami, dzisiaj jesteśmy mordercami.

— Nie jesteśmy mordercami.

Ula miała już przytaknąć, ale się zawahała.

— A jesteś pewny, że to nie Juraszczyk? Może uznał, że lepiej powiesić Krzysztofa niż tłumaczyć się przed komisją w razie skargi. Poza tym sądzę, że mógł obawiać się mediów, te już niejednemu zniszczyły karierę.

Mariusz rozejrzał się wokół, upewniając się, że nikt ich nie słyszy.

— Chyba zwariowałaś. Jura miałby to w dupie, że jakiś przestępca chłapie na niego gębą. Byłoby trochę nieprzyjemnie, ale bez konsekwencji. Na mnie też już napisano niejedną skargę i dalej pracuję, nawet premii mi nie obcięli. Przez myśl mi nie przeszło, żeby coś poważnego zrobić temu, kto na mnie skarżył, tylko raz przetrzepaliśmy mieszkanie jednego gościa, pomogło, wycofał skargę.

— No dobra, jestem w stanie uwierzyć, że podinspektor nie jest mordercą, ale na pewno jest katem, bo torturował świadka na moich oczach i teraz ja z tego powodu mam problemy. Musicie mi pomóc. Trzeba unieszkodliwić Marczaka. Przypilnuj tego, bo jeśli on ponownie uderzy w moją rodzinę, to ja zrobię wszystko, żeby ich chronić. Będę z nim współpracować i przed kamerami telewizyjnymi opowiem, jak wyglądało przesłuchanie, nawet zasugeruję, że to Juraszczyk mógł zabić Krzysztofa. Zrobię wszystko, żeby zadowolić Marczaka, aby dał spokój moim bliskim. Zrozumiałaś?

Ula zdawała sobie sprawę, że jej słowa brzmią jak groźba. Liczyła na inny przebieg rozmowy. Miała nadzieję, że aspirant się przejmie i będzie chciał pomóc, tymczasem nawet nie uwierzył, że to

Łukasz Marczak stoi za próbą przejechania Justyny Gifort.

Mariusz podszedł do lady. Po chwili wrócił z dwiema kawami i racuchami.

— Coś jeszcze ci zamówić?

— Racuchy wystarczą.

Przesunęła na swoją stronę stołu jego talerz.

— Naprawdę potrzebuję pomocy. Ktoś dzisiaj chciał przejechać moją mamę. To nie były wygłupy na drodze, to była próba morderstwa.

— Dobrze, zajmiemy się tym, osobiście tego dopilnuję. Zaczniemy od sprawdzenia, gdzie się logował telefon Łukasza Marcza. Może się okazać, że nad jeziorem Drużno. Sprawdzimy też, czy jakieś kamery nie zarejestrowały go na wyjeździe z miasta. No i jeszcze zerkniemy na monitoring na stacjach benzynowych w tamtych okolicach. Czy twoja mama widziała kierowcę?

— Widziała kogoś w przeciwsłonecznych okularach. Nie rozpozna go.

— No cóż, trzeba będzie podejść Marcza, może sam się przyzna.

Szybko wypili kawę i wyszli z baru na rozświetlony ulicznymi lampami pasaż. Powietrze było chłodne i przejrzyste. Żadnej wodnej zawiesiny, która nękała miasto przez ostatnie dni. Nieliczni przechodnie wyglądali jak statyści na scenie, niby na drugim planie, ale dobrze widoczni. Zbliżał się do nich mężczyzna z bukietem purpurowych róż. Ula mimowolnie napięła mięśnie, bo zdało się jej, że te kwiaty są tylko po to, aby ukryć twarz.

— Idziemy jeszcze gdzieś? — zapytał Mariusz. —
Może do kina?

— Nie mam czasu. Muszę jeszcze wpaść do salonu. A ty powinienesz jechać do firmy i zająć się sprawą mojej mamy. Z tym nie można czekać do poniedziałku.

— Zaraz tam pojedę, ale najpierw zadzwonię do Jury, przecież zemsta Marczaka jego powinna obejść najbardziej.

Aspirant odprowadził ją pod sklep. Weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi na klucz, po czym wyłączyła alarm. Niechętnie zdjęła brylantowe kolczyki i położyła je na kontuarze. Zerknęła na swoje odbicie w lustrze. Wyglądała przeciętnie. Postanowiła, że kiedyś kupi sobie te brylanty, a na razie będzie je od czasu do czasu pożyczać. Na pewno nikt nie zauważy ich chwilowego braku.

Rozdział IX

PODINSPEKTOR JURASZCZYK zaparkował na Wyspiańskiego w pobliżu kamienicy, w której mieszkali rodzice Krzysztofa Marcza. Wysiadł z samochodu. Na ulicy było pusto. Z otwartego okna na parterze dobiegały odgłosy kłótni pomiędzy kilkuletnimi dziećmi. Ucichły, gdy ktoś dorosły zagroził im zabranieniem tabletu.

Aspirant Żuk wy dostał się z wozu i zachwiał na ugiętych nogach. Na szczęście otwarte wciąż drzwi uratowały go przed upadkiem. Juraszczyk podszedł do niego i mocno złapał za ramię.

— Piłeś dzisiaj?

— Dzisiaj? Zdaje mi się, że po północy jeszcze piliśmy. Ale nie możesz mieć pretensji, bo ja dzisiaj nie pracuję. Jestem tutaj na twoje życzenie.

— Dobra, wchodzisz ze mną, ale się nie odzywasz. Jasne?

— Nie będę się odzywał, dopóki nie trzeba będzie. A w ogóle, nie jest ze mną tak źle, wypilem dwie kawy. Szkoda, że nie mamy alkomatu, udowodniłbym moją trzeźwość.

— Prawie zaryłeś twarzą w chodnik.

— Bo tu jest nierówno, a poza tym nie widzę czarnego forda mondeo, przyjechaliśmy na darmo, Łukasza nie ma w domu.

— Poczekamy na niego.

Juraszczyk ruszył w stronę kamienicy, a Żuk za nim. Gdy stanęli pod drzwiami Marczaków, usłyszeli odgłosy telewizora dobiegające z wyższego piętra. Podinspektor zapukał. Za chwilę rozległ się dźwięk przekręcanej klucza i zdejmowanego łańcucha. W drzwiach stanęła Joanna Marczak. W pierwszej chwili podinspektor jej nie rozpoznał. Była wymalowana, miała ułożone włosy i czarną sukienkę, zapewne nową, bo czerń była wyjątkowo głęboka. Żałobny ubiór, który mógłby też służyć za strój wieczorowy, wszystko zależy od okoliczności.

— Po co tu przyszliście?

— Chcemy rozmawiać z Łukaszem Marczakiem.

— Jednego syna już mi wykończyliście, a teraz chcecie drugiego? — Zmęczona twarz kobiety wykrzywiła się w grymasie bólu i wściekłości. — Wynoście się.

Juraszczyk włożył nogę za próg, uniemożliwiając zatrzaśnięcie drzwi.

— Nie wykończyliśmy Krzysztofa. Proszę nie formułować bezpodstawnych zarzutów. Pani syn został przez kogoś powieszony, szukamy sprawcy.

— Tutaj szukacie sprawcy? Pojebało was?

— Chcemy porozmawiać z Łukaszem w związku z inną sprawą.

— Jaką sprawą? Chcecie go biciem zmusić, aby przyznał się do jakiegoś przestępstwa? Z Łukaszem tak łatwo wam nie pójdzie, on się nie da zastraszyć.

— Jej wąskie usta ułożyły się w złośliwy uśmiech.

— Wynoście się, bo gdy wróci mój mąż, to będzie znowu bijatyka. Nie chcę tego. Sąsiedzi i tak się już czepiają.

Podinspektor cofnął nogę.

— Dobrze, jutro Łukasz Marczak dostanie wezwanie do stawienia się na komendzie w celu przeprowadzenia przesłuchania. Jeśli nie przyjdzie, zostanie doprowadzony siłą.

Joanna Marczak otworzyła szerzej drzwi, jak gdyby miała zamiar ich wpuścić, ale postawa jej ciała wciąż była wojownicza: jedna noga wysunięta do przodu i rozłożone ramiona barykadujące przejście.

— Łukasz tutaj nie mieszka, czasami tylko wpada na obiad.

Podinspektor nieznacznie pociągnął nosem, próbując rozpoznać woń dolatującą z wnętrza. Nie miał wątpliwości, to zapach gotującego się drobiowego mięsa z warzywami. Wyglądało na to, że rosół jest już prawie gotowy.

— Poczekamy na niego.

— Nie wiem, czy dzisiaj przyjdzie.

— Na niedzielny rosół? Sądzę, że tak.

— Obiad będzie za trzy godziny. Przyjdźcie później. Teraz nie możecie zostać, bo idę do Jerzego, zaraz zacznie się msza.

Juraszczyk się odwrócił, jak gdyby chciał odejść. Stojący za nim aspirant cofnął się na schody.

— Te trzy godziny poczekamy przed klatką — rzucił przez ramię policjant.

Kobieta była zdezorientowana i zła. Zrozumiała, że się ich nie pozbędzie, a jeśli jej mąż zostanie ich przed kamienicą, to awantura zacznie się na oczach wszystkich sąsiadów. To już lepiej, żeby spotkali się w mieszkaniu.

— Wejdźcie! — poleciła niechętnie.

Przekroczyli próg i znaleźli się w kuchni. Na palniku stał garnek z rosółem, a na kredensie leżała paczka makaronu.

Joanna od razu złapała telefon i w sporym skupieniu przesuwała palcem po ekranie. Prawdopodobnie informowała swoich mężczyzn, że w mieszkaniu jest policja. Oby pierwszy pojawił się Łukasz i żeby zdążyli wyjść przed powrotem Rafała Marcza.

Aspirant Żuk opadł na najbliższy taboret. Był tak zmarnowany, że pot zalewał mu niedokładnie ogoloną twarz. Wytarł czoło mankietem koszuli, a następnie wsparł głowę na rękach, a te na kolanach. Żeby tylko nie zasnął, pomyślał ze złością Juraszczyk. Mariusz jednak nie stracił czujności, bo nagle wstał i podszedł do drucianego koszyka stojącego na kredensie obok dzbanka z filtrem i coś z niego wyjął.

— To rękawiczki pani męża? — zapytał, unosząc w górę kilka par szarych rękawiczek połączonych elastyczną opaską.

— To moje. Niech pan zostawi.

Policjant odłożył je na miejsce.

— A do czego pani ich używa? Mocne są? Bo wie pani, szukam dobrych rękawiczek do pracy na działce.

Kobieta nie odpowiedziała, uznawszy, że najlepiej zrobi, ignorując funkcjonariuszy. Schowała telefon do torebki i włożyła płaszcz oraz kozaki, wszystko w żałobnym kolorze. Szykowała się do wyjścia, jakby była sama.

Juraszczyk wiedział, o co chodzi aspirantowi z tymi rękawiczkami. Zapewne był ciekaw, czy są z nitrylu. Gdy otrzymali ekspertyzę i okazało się, że Krzysztof nie mógł popełnić samobójstwa, bo na sznurze nie było włókien z jego rękawiczek, zaczęli szukać tych, w których dokonano powieszenia. Mieli nadzieję, że sprawca się ich pozbył zaraz po morderstwie, gdzieś w pobliżu miejsca zbrodni. Zrezygnowali ze sprawdzenia kubłów przy pobliskich blokach, bo te zostały już opróżnione przez firmę wywożącą śmieci. Skoncentrowali się na przeszukaniu Modrzewiny, centymetr po centymetrze, żadnego krzaczka nie ominęli. Rękawiczki były ważne, bo prawdopodobnie zawierały DNA mordercy, niestety ich nie znaleźli.

Inne tropy też zawiodły. Przejrzenie telefonu ofiary oraz jej komputera niewiele im dało. Rozmowy prowadzone przez Krzysztofa na komunikatorach dotyczyły gier komputerowych, pracy za granicą, wizyt na siłowni, czasami filmów, często znajomych kobiet. Żadna z treści nie jawiła się jako motyw morderstwa, ani jednego wpisu nie dało się

zinterpretować jako szantażu czy groźby. Oczywiście Marczak nie raz wyzywał się wirtualnie z kumplami od chujów i idiotów, ale nie wyglądało to na poważny zatarg.

Przesłuchania jego znajomych i rodziców też nie wniosły nic do śledztwa. Po pytaniach o ewentualnych wrogów, z którymi ofiara mogła mieć konflikt, padały te same odpowiedzi: Krzysztof był przez wszystkich lubiany, z nikim nie zadzierał. Juraszczyk nie mógł oprzeć się wrażeniu, że przesłuchiwanie trzymają się polskiej tradycji nakazującej nie mówić źle o zmarłych. Szukali też dziewczyny Krzysztofa, zakładając, że to z jej powodu ktoś się naraził. Okazało się, że żadna z czterech blondynek, które pojawiały się na zdjęciach w czułych objęciach Krzysztofa, nie była z nim związana. Wszystkie zapewniły, że łączyła je z ofiarą wyłącznie koleżeńska znajomość. Najtrudniejszym świadkiem był ojciec Marczaka. Nie odpowiedział na większość pytań, ale z drugiej strony to właśnie on poinformował policję, że na pogrzeb Krzyśka nie przyszedł jego kolega, z którym miał rzekomo dokonać kradzieży komórek. Wezwali więc na przesłuchanie Mateusza Jagielskiego, a ten, mając w pamięci ostatnią wizytę na komendzie, przyszedł z ojcem i panią mecenas. Miał mocne alibi na czas, gdy zginął Marczak. Śledztwo stanęło w miejscu. Podinspektor poprosił więc o wykaz telefonów, które logowały się na Modrzewinie w noc śmierci Krzysztofa. Był to teren niezamieszkały, same magazyny i zakłady produkcyjne, w których trzeciej zmiany nie było, czyli wchodziła w grę nieduża ilość aparatów, głównie należących do stróżów nocnych, a także

kierowców. Dostali wykaz trzydziestu dwóch numerów i nazwisk. Przesłuchali wszystkich, nikt nie miał żadnych powiązań z ofiarą, a więc znowu byli w czarnej dziurze, jak lubił tego typu sytuacje określać aspirant Żuk.

Juraszczyk stał przy oknie, aby móc zerkać na ulicę. Chciał wiedzieć, kto nadchodzi. Kątem oka zobaczył czarnego forda mondeo toczącego się pustą ulicą, niczym w filmie szpiegowskim. Łukasz Marczak szukał miejsca do zaparkowania i zapewne lustrował okolicę, upewniając się, że w żadnym z wozów nie ukrywa się grupa antyterrorystów, która zaraz go wywlecze z samochodu i zakuje w kajdanki. Chwilę później szedł w stronę klatki. Z rękami w kieszeniach i uniesioną głową wyglądał na zrelaksowanego, a nawet zadowolonego. Do kuchni wszedł swobodnym krokiem, gwizdząc pod nosem. Z bliska jego wyluzowany styl bycia wydawał się zbyt ostentacyjny, jak gdyby starał się na siłę przekonać otoczenie, że nie ma nic na sumieniu.

Juraszczyk się przedstawił, podając stopień. Łukasz go zignorował, skupiając się na rozpinaniu kurtki i zaglądaniu do garnków.

— Co słyhać, mamó? — rzucił lekkim tonem, niepasującym do panującej tu atmosfery żałoby.

— Ci panowie przyszli do ciebie — szepnęła Joanna.

— Do mnie? W sprawie Krzyśka? Sądzę, że powinni rozmawiać przede wszystkim z tobą i ojcem.

Kobieta powiodła zaniepokojonym wzrokiem po funkcjonariuszach.

— Miałam iść na mszę, ale zostanę.

Zaczęła rozpinąć płaszczyk.

— Mamo, nie musisz zostawać. Zobacz, oni nie mają pałek ani paralizatorów, a bez tego są niegroźnymi kundlami. Poza tym gryzą tylko u siebie, na obcym podwórku się boją.

Joanna spojrzała z dumą na syna.

— Tak właśnie pomyślałam, że lepiej ich wpuścić, niż żeby mieli cię tam zabrać. Krzyśka wezwali i biedak przyznał się do kradzieży. Taki był załamany po tym przesłuchaniu.

— Mamo, nie martw się, na mnie nie wymuszą żadnego przyznania się. Możesz iść do kościoła.

Joanna zaczęła z powrotem zapinać guziki. Pasek od torebki zawinęła wokół nadgarstka.

— To idę. — W progu odwróciła się jeszcze i pogroziła palcem policjantom. — Niech tylko spadnie mu włos z głowy.

Juraszczyk odruchowo przyjrzał się rudej czuprynie Marczaka.

— No i co? Wiecie już, kto zabił Krzyśka? — zagadnął Łukasz, gdy jego matka znikła za drzwiami. — Ustaliliście, komu tak bardzo zawadzał, że musiał zginąć?

Ton mężczyzny był zaczepny, próbował ich osaczyć niedopowiedzianymi oskarżeniami, zdawał się też kontrolować sytuację i swoje emocje. Różnił się od

ojca, tamten już dawno by ich zbluzgał albo nawet rzucił się na nich z pięściami.

— Nie przyszedł tu w sprawie Krzysztofa —
oznajmił Juraszczyk.

— Nie? To możecie już iść.

Marczak otworzył lodówkę i wyjął puszkę piwa. Przez chwilę przekładał ją z jednej ręki do drugiej, jakby delektował się jej ciężarem. Wyglądał jak młody człowiek sukcesu. Miał na sobie dzinsy porwane dokładnie w tych miejscach, gdzie przewidywała moda, spod podwiniętego rękawa koszuli wystawała wytatuowana głowa wilka, nadgarstek zdobił nietypowy zegarek. Wydawał się górować nad zmęczonymi gliniarzami w wymiętych koszulach — zwłaszcza Żuk prezentował się fatalnie z zaczerwienionymi oczami wbitymi w puszkę piwa trzymaną przez Łukasza i spierzchniętymi wargami, które co chwilę oblizywał.

Juraszczyk poinformował, że będzie nagrywał rozmowę, i uruchomił dyktafon w telefonie, po czym zadał pierwsze pytanie:

— Gdzie wczoraj byłeś między ósmą trzydzieści a dziewiątą?

— Muszę odpowiadać?

— Tak. Jesteś pytany jako świadek, dlatego nie możesz uchylać się od odpowiedzi.

— Jestem świadkiem? Niby czego? Jakiegoś przestępstwa?

— Odpowiedz, gdzie byłeś wczoraj między ósmą trzydzieści a dziewiątą.

— W mieszkaniu, które sobie wynająłem na miesiąc. O tej porze jeszcze leżałem w łóżku.

— Podaj adres.

Podinspektor wyciągnął notes i długopis. Marczak mieszkał w wieżowcu na Grunwaldzkiej, naprzeciwko kompleksu handlowego „Elzam”. Wszystko się zgadzało, właśnie w tych okolicach logował się jego telefon w sobotę rano. Zapewne myślał, że aparat zapewni mu alibi. Nic z tego.

— Byłeś sam?

— Nie. Pod kołdrą leżała też moja koleżanka.

Juraszczyk aż się w duchu uśmiechnął. Właśnie dostrzegł szansę na obalenie alibi Marczaka. Człowiek zawsze był słabym punktem każdego oszustwa. Jeśli dziewczyna będzie kłamać, to szybko to ustalą i przekonają ją, że we własnym interesie powinna powiedzieć prawdę. Zwykle wystarczy kilka razy przypomnieć, że za składanie fałszywych zeznań grożą trzy lata.

— Podaj jej imię i nazwisko oraz adres i kontakt telefoniczny.

— Sądzę, że ona nie będzie sobie życzyła, abym rozdawał jej numer telefonu.

— Musimy potwierdzić twoją prawdomówność. Daj kontakt do niej.

— A jak nie dam, to co? Dostanę od was parę kopniaków?

— Powinno ci zależeć na tym, żeby koleżanka potwierdziła twoją wersję pobytu w wynajętym

mieszkaniu. Chyba że nie będzie skłonna tego zrobić, bo nie pamięta, abyś tam był w sobotę rano.

— Będzie pamiętać. Kobiety szybko nie zapominają takich poranków.

Łukasz wyjął telefon z kieszeni, nie spieszył się, dopiero po minucie podyktował numer do niejakiej Mai Kowalskiej.

— Gdzie parkujesz samochód?

— Tam, gdzie jest wolne miejsce.

— Ale zapewne w pobliżu miejsca zamieszkania? Tak?

Łukasz nieznacznie kiwnął głową i dopiero teraz otworzył piwo. Policjanci uważnie go obserwowali, szukając oznak zdenerwowania. Powinien już wiedzieć, że spróbują ustalić, czy wczoraj między ósmą a dziewiątą jego ford stał przy wieżowcu na alei Grunwaldzkiej. Może któryś z sąsiadów zezna, że widział go wsiadającego do wozu i odjeżdżającego.

Mieli pewne podstawy, żeby podejrzewać Łukasza o próbę przejechania Justyny Gifort. Przejrzeli wczoraj zapis z kamer znajdujących się na stacji benzynowej przy Grunwaldzkiej oraz monitoring ze skrzyżowania z Hetmańską. Czarnego forda mondeo znaleźli dopiero na nagraniu z przejazdu kolejowego za wiaduktem. Niestety, obraz miał fatalną rozdzielczość. Za pomocą policyjnej aplikacji powiększyli go czterokrotnie, minimalizując straty. Wtedy zobaczyli, że numer na tablicy jest rozmazany, jak gdyby ktoś każdą cyfrę z osobna chlapnął czymś czarnym, może smarem

albo farbą, żadnej nie dało się odszyfrować. Najlepszy dowód na to, że kierowca nie chciał być widziany w tych okolicach.

Marczak długimi łykami opróżniał puszkę.

— Macie jeszcze jakieś pytanie?

— Kiedy byłeś ostatni raz nad jeziorem Družno?

— Byłem tam na kajakach, ale dawno, jeszcze w liceum. Dobrze rozumiem, że nad jeziorem doszło do jakiegoś przestępstwa? Kogoś tam utopiono? A może znowu kogoś powieszono, jak mojego brata?

— Znasz Justynę Gifort?

— Żałuję, ale nie znam.

— Żałujesz? A niby z jakiego powodu?

— Gifort to znana sieć jubilerska. Nie miałbym nic przeciwko poznaniu właścicielki, oczywiście pod warunkiem, że nie jest ani stara, ani brzydka.

Podinspektor schował do kieszeni notes i długopis, wyłączył też dyktafon.

— Na razie tyle.

Łukasz zgniótł puszkę i wrzucił ją do zlewu.

— Aż trudno uwierzyć, że mam to już za sobą, a mój brat musiał przeżyć taką traumę.

Aspirant Żuk podniósł się z taboretu i sięgnął do drucianego koszyka, w którym leżały rękawiczki. Spod elastycznej opaski wyciągnął jedną parę i schował ją do kieszeni.

— Twoja matka powiedziała, że mogę sobie wziąć.

— Nieprawda, kłamiesz, psie, ona was nienawidzi, nie dałaby ci nawet zużytego papieru toaletowego.

Słowa ze świstem wypadały spomiędzy zaciśniętych zębów Marczaka. Rysy miał wykrzywione złością. Przypominał teraz swojego ojca sprzed kilku dni. Jeszcze chwila, a rzuci się z pięściami na aspiranta.

Mariusz próbował nogą przesunąć taboret bliżej stołu, tam, gdzie stał, gdy weszli. Mebel przewrócił się z hukiem na kafle. Nie był to efekt nieostrożności funkcjonariusza. Wszyscy znajdujący się w kuchni wiedzieli, że zrobił to specjalnie. Równie dobrze mógł kopnąć taboret.

Łukasz zbliżył się do aspiranta. Twarz miał purpurową, rude włosy przykleiły mu się do czoła. Już nie wyglądał jak człowiek odnoszący same sukcesy.

— Podnieś taboret i odłóż rękawiczki, psie!

Juraszczyk obserwował scenę z zaciekawieniem. Jemu nie udało się wyprowadzić z równowagi Marczaka. Co prawda nie to było jego celem, ale liczył na to, że chociaż zobaczy niepokój w twarzy mężczyzny. Ten jednak na każde pytanie odpowiadał z rozwagą i zarazem zaczepnie, pokazując, że ma ich gdzieś. Prawdopodobnie był przygotowany na taki przebieg przesłuchania, wiedział, o co będą pytać, ale jego wytężona psychika nie udźwignęła z pozoru niewinnego gestu, jakim było zabranie jednej pary rękawiczek, to go zaskoczyło. Zniósłby wiele innych rzeczy, choćby próby zastraszenia czy uszczypliwe przytyki ze strony funkcjonariuszy, ale nie te rękawiczki.

Dobrze jest wiedzieć, że Marczak nie zawsze panuje nad swoimi emocjami, istnieje większe prawdopodobieństwo, że popełni błąd.

— Idziemy — oznajmił podinspektor i ruszył w stronę drzwi.

Aspirant poszedł za nim, nie oddając rękawiczek i nie podnosząc taboretu. Gdy tylko wyszli na ulicę, Juraszczyk wyjął papierosy i z wyraźną rozkoszą zaciągnął się dymkiem.

— Coś mi się zdaje, że to on próbował przejechać panią Gifort — mruknął Mariusz. — W ogóle się nie dziwił, że o nią pytamy.

Juraszczyk wypuścił nosem siwy obłok.

— Zaczniemy od sprawdzenia alibi Marcza. Znajdziesz tę dziewczynę, Maję Kowalską. Każ jej przejechać na komendę, u nas będzie mniej pewna siebie. Zaczniiesz ją przesłuchiwać, a później ja się za nią wezmę. Poza tym poszukaj kamer w pobliżu wieżowca, w którym zahaczył się Marczak. Tam z monitoringiem będzie ciężko, ale może jakaś przemysłowa albo nawet prywatna kamerka się znajdzie.

Aspirant przytakiwał energicznie, jak gdyby ponaglał szefa do szybszego mówienia. Wreszcie wskazał głową na czarnego forda mondeo zaparkowanego kilkanaście metrów dalej.

— Obejrzymy go sobie?

Juraszczyk ruszył pierwszy. Przykucnął przed tablicą rejestracyjną i pociągnął po niej palcem.

— Ani grama kurzu — skonstatował.

Karoseria była przybrudzona, a więc Marczak nie był w myjni, tablice zostały wyczyszczone osobno. Ważny dowód, ale tylko dla nich, nie dla sądu. Każdy sędzia da wiarę, że właściciel wozu umył tablice, bo były ochlapane błotem.

Aspirant też pochylił się do tablic, jak gdyby miał nadzieję, że jemu uda się dostrzec resztki czarnej substancji, którą wczoraj zamazano numer. Niczego nie wypatrzył. Zaklął, po czym wyjął telefon i zrobił kilka zdjęć.

— Ta kobieta powiedziała, że samochód przejechał psa. Na kołach musi być sierść. Wystarczy, że zadzwonimy po techników. To będzie kluczowy dowód.

— Żaden dowód, ogarnij się, jedyną ofiarą jest pies, prokurator nie podpisze wniosku o przeprowadzenie czynności w laboratorium kryminalistycznym.

— Ale ta kobieta jest ranna, ma złamaną rękę.

— To za mało, żeby wydawać kilka stów podatnika na badania kryminalistyczne. Poza tym sama się przewróciła, gdy uciekała, on jej nawet nie drasnął.

Mariusz nie dawał za wygraną.

— Za psa też można iść siedzieć — oznajmił z zawziętością.

Juraszczyk przytaknął.

— Za kota też, a na wsiach nadal topi się małe koty i nikt za to nie siedzi. Nad jeziorem Drużno nie było kamer. W tym przypadku sprawca powie, że pies sam wpadł mu pod koła, a sędzia mu uwierzy.

Szkoda naszej roboty, poza tym znamy Lochmana, on nie da swojej zgody.

Mariusz obszedł samochód Marczaka, oglądając go skrupulatnie z każdej strony. Był rozdrażniony.

— To co my tu, kurwa, robimy? Po co go przesłuchiwałeś?

— Bo jeśli to on chciał zabić matkę posterunkowej Baranowskiej, to zrobił to z zemsty i na tym nie poprzestanie. Następna będzie posterunkowa albo ja.

— Nie mów, że się go boisz? Nie tacy się z tobą próbowali policzyć i gdzie teraz są?

— Z Marczakiem może być inaczej, on nie będzie na mnie czekał z nożem na parkingu. Wymyśli coś lepszego, a ja nie mam zamiaru się zastanawiać, co to będzie. Lepiej się go pozbyć.

Aspirant wydawał się zaniepokojony.

— W jakim sensie pozbyć?

— Spokojnie, nie mam zamiaru go posyłać do Pana Boga. Jeśli dwóch braci by zginęło w ciągu miesiąca, to mogłoby wzbudzić zainteresowanie i to nie tylko dziennikarzy. Jeszcze przyszłoby nam się tłumaczyć przed niejedną komisją.

Przez okno po drugiej stronie ulicy przyglądała im się kobieta, nagle wychyliła się i zaczęła robić zdjęcia.

— Idziemy, bo zaraz ta baba zadzwoni po policję
— mruknął Mariusz.

Wrócili do samochodu. Podinspektor wskazał Żukowi, aby usiadł za kierownicą.

— Podwieziesz mnie do baraków na Skrzydlatej. Mam tam prywatną sprawę do załatwienia.

Aspirant przekręcił kluczyki w stacyjce.

— No to jak chcesz się pozbyć Marczaka? Mów!

— Przestraszymy go tak, że wyjedzie z Polski i prędko tu nie wróci. Mój plan jest taki: obalamy jego alibi, czyli zdobywamy zeznanie dziewczyny, że wcale z nim nie była, poza tym musimy mieć obraz z monitoringu, na którym widać, że koło ósmej wsiada do forda. Może jeszcze któryś z sąsiadów mógłby potwierdzić, że to w samochodzie Marczaka tablice rejestracyjne były zamazane czymś czarnym. Z tym wszystkim idziemy do niego i dajemy mu szansę. Jest młody i nie był karany, nie dla niego pobyt za kratami, niech spierdala za granicę, nie będziemy go tam szukać. Nie ma takich, którzy nie srają na myśl o pierdlu. Od razu zniknie.

— A jeśli pójdzie do adwokata, a ten mu powie, że my właściwie nic nie mamy, bo przecież wciąż nie będziemy mieli dowodu na to, że był nad Drużnem, a za przejechanie psa nic mu nie grozi, bo ciężko będzie mu udowodnić, że zrobił to z rozmysłem? Tam nie było kamer, jak sam zauważyłeś.

— Tak z nim pogadamy, że nie będzie tracił czasu na wizytę u adwokata. Nie będziemy złymi policjantami, ale tymi dobrymi. Pójdziemy go ostrzec, a tak naprawdę postraszymy. Marczakowa już straciła jednego syna, jeśli drugi trafi za kraty, kobieta się załamie. Ten argument powinien do niego trafić i kupi bilet na najbliższy lot do Szwecji, byle jak najdalej stąd.

Aspirant skręcił w Związku Jaszczurczego. Zaczynało padać, nieliczni przechodnie kulili się, chroniąc twarze przed zacinającym deszczem. Jedynie kaczki pływające w wąskim korycie obetonowanej rzeczki Kumieli cieszyły się z pogody, bo wyciągały wysoko szyje i rozkładały skrzydła.

— Przyjedziesz dzisiaj do firmy? — zapytał Mariusz.

— Jeśli ściągniesz dziewczynę Łukasza Marcza, to przyjadę.

— Prokurator Lochman poskarżył się naczelnikowi, że nie odbierasz od niego telefonów. Nie wiesz, czego od ciebie chce?

— Chciałby się dowiedzieć, co jeszcze planujemy zrobić w sprawie Krzysztofa Marcza. Uparłem się na to śledztwo i dlatego teraz naciska, abym znalazł sprawcę.

Mariusz wyciągnął z kieszeni rękawiczki, które zabrał z kuchni Marczaków i rzucił je podinspektorowi na kolana.

— Możemy powiedzieć, że znaleźliśmy je podczas przeszukania Modrzewiny.

— I co nam to da, przecież one są nieużywane, w środku nie ma żadnego DNA. Kogo ty chcesz zrobić w morderstwo?

— Nikogo, chcę jedynie sprawdzić, czy te włókna znalezione na sznurze pochodzą z tego modelu rękawiczek. Zakładam, że Krzysztofa załatwił ktoś z jego bliskiego otoczenia. Ktoś, kto bywał u niego, jakiś znajomy. Każdy kto wchodzi i wychodzi z mieszkania Marczaków musi przejść przez

kuchnię, każdy mógł wziąć sobie jedną parę rękawiczek. Jeśli laboratorium ustali, że to właśnie takich rękawiczek użył sprawca, to wtedy poprosimy rodziców ofiary, aby zrobili listę wszystkich osób, które na dwa tygodnie przed zdarzeniem odwiedziły ich mieszkanie. Bez wyjątku, mają wypisać wszystkich, listonosza i sąsiadów też.

Podinspektor wyjął ze skrytki woreczek foliowy i włożył do niego rękawiczki. Aspirant miał dużo racji, podejrzewając kogoś z bliskiego otoczenia Marczaka, statystyki za tym przemawiały. Warto sprawdzić te rękawiczki, poza tym w tym śledztwie innego tropu nie mają.

— Pogadaj z Sowińskim, żeby wpisał ten dowód do protokołu przeszukania Modrzewiny i go odpowiednio zabezpieczył — mówił dalej Mariusz. — Gdybym ja go o to poprosił, to by mnie spławił, ale tobie nie odmówi. Moglibyśmy zrobić prywatne zlecenie do laboratorium na te rękawiczki, ale szkoda tych kilku stówek, lepiej oficjalną drogą.

Aspirant zahamował przed pierwszym barakiem na Skrzydlatej. Trzech mężczyzn spożywających na deszczu piwo spojrzęło w ich stronę. Jeden z nich, ten najstarszy, ubrany po wojskowemu, zapewne miłośnik militariów, uniósł wysoko rękę z butelką, jak gdyby pokazywał zdobyte właśnie trofeum.

— Chłopaki, psiarnia przyjechała.

Wszyscy trzej zaczęli głośno szczekać. Wychodząca z baraku kobieta postukała się w głowę na ich widok.

Zostali więc rozpoznani. Podinspektor też pamiętał typka w wojskowym uniformie, dwa lata temu trzymał pod nożem swoją żonę i groził, że ją zabije, jeśli dostawca telewizji nie przywróci mu kanałów sportowych. Juraszczyk wytypował wtedy policjantkę do negocjacji, ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, kryzysową sytuację rozwiązał sąsiad, który zaproponował oglądanie meczu w swoim mieszkaniu.

Aspirant odjechał, a on przeszedł obok trzech mężczyzn i odprowadzany szczerkami wszedł do drugiego baraku. Rzucił okiem w głąb długiego i ciemnego korytarza, nie chciał, aby ktoś go zaskoczył uderzeniem w głowę. Minął wyłamane skrzynki pocztowe i szedł wzdłuż drzwi, wszystkie były nowe, tylko dwie pary nosiły graficzny ślad czyjejś niecierpliwiej ręki, na jednych było napisane: „Tu mieszka Bóg. Nie przeszkadzać”. Przystanął przed przedostatnimi drzwiami i nasłuchiwał. Cisza. Najpierw położył dłoń na kaburze, a następnie nacisnął klamkę. W lokalu znajdowało się dwóch młodych mężczyzn. Siedzieli przy stole przed otwartymi laptopami. Podnieśli głowy niemal jednocześnie, jak na rozkaz. Wyglądali na zaskoczonych.

— Marysia, masz gościa — odezwał się chłopak z nalaną twarzą, ubrany w przyciasną koszulkę z napisem „Zarobiony jestem”.

Marysia wstał, prezentując szerokie bary i imponujący wzrost.

— Zaprasałem cię tu? — wyseplenił. — Kim jesteś?

Brakowało mu górnych i dolnych jedynek. Zapewne stracił je niedawno w jakimś starciu, bo na policyjnej fotografii sprzed półtora roku miał pełne uzębienie. Maciej Maria Dobek został zatrzymany za pobicie i okradzenie dwóch obywateli Wielkiej Brytanii, do zdarzenia doszło przed jedną z elbląskich dyskotek. Dlatego też jego linie papilarne znajdowały się w policyjnym rejestrze daktyloskopijnym.

Podinspektor wskazał głową na chłopaka w przyciasnej koszulce.

— Wypierdalaj! Mam do pogadania z Marysią.

— Marysia to ja jestem dla ziomali, dla ciebie to mogę być pan Maria.

Juraszczyk machnął blachą przed oczami Macieja Marii Dobka.

— Lepiej, żeby twój kolega nie był świadkiem naszej rozmowy.

— Nie gadam z psami.

— Gadasz z psami i to chętnie. Mam ci przypomnieć, kiedy ostatni raz?

— Spierdalaj albo cię wykopiemy.

— Za naruszenie nietykalności funkcjonariusza odwieszą ci zawiasy.

Chłopak w przyciasnej koszulce wstał i podniósł laptop.

— Głodny jestem, idę na obiad. Gdy skończysz z tym psem, też przyjdź, dzisiaj ogórkowa.

Wyszedł, trzaskając drzwiami.

— Cego chcesz ode mnie?

Pytanie Marysi miało zabrzmieć groźnie, tym bardziej że zostało poparte naprężeniem mięśni, ale seplenienie sprawiło, że podinspektor się uśmiechnął.

— Pięć dni temu przebiłeś opony w moim volvo, wymazałeś smarem szyby i wyryłeś napis na masce: „Uwaga, zły pies”. Aha, jeszcze ukradłeś dwie kamerki.

— Nie znam cię, psie. Po co miałbym to robić?

— Bo dostałeś takie zlecenie.

Jedna sekunda, podczas której wzrok Marysi uciekł w bok, to był najlepszy dowód na to, że Juraszczyk się nie pomylił.

— Nie robię zleceń na psiarnię, bo za dużo smrodu.

— Marysia, widzę w twoich oczach cień inteligencji, wykorzystaj ją. Sąd może ci odwiesić zawiasy za zniszczenie samochodu funkcjonariusza i pójdziesz na więzienny wikt, a tam nie karmią dobrze. Już lepiej jeść ogórkową u kumpla po sąsiedzku.

Chłopak się wahał. Kodeks honorowy nie pozwalał mu iść na współpracę z psem. Juraszczyk nie miał ochoty dalej go straszyć. Wyjął z portfela pięćdziesiąt złotych i położył na stole.

— Mało — szepnął Marysia. Podinspektor zabrał banknot, a w jego miejsce rzucił pięciozłotową monetę. Gospodarz się skrzywił.

— No, niech będzie te pięć dych.

— Mów, kto ci kazał zdemolować mój wóz.

— Jakiś pedał, przynajmniej na takiego wyglądał. Chyba podpadłeś tęczowym.

— Imię i nazwisko.

— No co ty, nie przedstawił mi się. Nie był aż tak głupi, chocias pedał.

— Gdzie cię znalazł i jak wyglądał?

— Wyglądał jak pedał, miał rude i długie włosy. Normalny facet ogoliłby się na łyso. — Marysia pociągnął dłonią po niemal gołej czaszce. — Zaczepił mnie w Astorii. Od razu wypalił, jaką ma sprawę. Chyba barman mu powiedział, że do mnie można jak w dym.

Juraszczyk już się dowiedział, czego chciał. Odwrócił się i ruszył do drzwi.

— Psie, a moje pięć dych! — zawołał Marysia.

— Jaka praca, taka płaca. Pięć dyszek byś dostał za skan dowodu tego gościa.

W korytarzu unosiła się woń zupy ogórkowej, pomieszana z bliżej nieokreślonym odorem. Podinspektor szybko opuścił barak. Na zewnątrz zapalił papierosa i wolnym krokiem zaczął iść w stronę dworca.

Łukasz Marczak kazał przebić opony w jego volvo, a cztery dni później próbował przejechać matkę posterunkowej Baranowskiej. Coś mu tu nie grało, zbyt duży rozdźwięk, najpierw chuligański wybryk, a potem próba morderstwa, która omal nie zakończyła się powodzeniem — jak gdyby stały za tym dwie różne osoby.

Rozdział X

NA GWIEZDNEJ WIAŁO. Andrzej Gifort wysiadł z samochodu i naciągnął kaptur na głowę. Postanowił nie wkładać płaszcza, te kilkanaście metrów do klatki przemknie w samym polarze. Dostał go na imieniny od Sylwii. To ona kupowała mu ubrania, bo lepiej jej to wychodziło. Zawsze miał problem z doborem kolorów, a co najważniejsze nigdy nie wiedział, co akurat jest modne. Dla większości mężczyzn nie było to ważne, chcieli po prostu czuć się wygodnie w tym, co mieli na sobie. On jednak przywiązywał wagę do tego, żeby wyglądać modnie, bo wiedział, że dzięki temu może zrobić wrażenie na kobietach. Nie chodziło tu tylko o męską próżność, ale także o nawiązanie pozytywnych relacji z partnerkami biznesowymi.

Od dziesięciu lat prowadził wypożyczalnię obrazów. Z tym rodzajem usług był jedyny na polskim rynku, może dlatego interes jakoś się kręcił. Skupował dzieła od mało znanych, ale dobrych malarzy, po czym prezentował je w internecie z cennikiem. Kokosów z tego nie było, ale na dostatnie życie dla ich trójki wystarczało. Szybko się zorientował, jakie obrazy musi mieć w ofercie, aby znalazły zainteresowanie wśród

klientów. Przede wszystkim powinny być duże, co najmniej półtora metra na dwa, no bo skoro już płacić, to nie za jakiś drobiazg, który nie będzie się rzucał w oczy, gdy przyjdą goście lub interesanci. Do prywatnych mieszkań najchętniej brano malowidła o jaskrawych kolorach, bo kontrastowały z minimalistycznym wystrojem wnętrza i neutralnymi barwami ścian i mebli. A w biurach popularnością cieszyły się miejskie pejzaże, hitem był tramwaj jadący między starymi budynkami.

Latem wcisnął aż trzy obrazy właścicielce dużego biura nieruchomości w Ławie, bo zaimponował jej ciemnoróżową koszulą, którą kupiła mu Sylwia. W pierwszej chwili oznajmił, że nie będzie jej nosił, bo nie odpowiada mu kolor, mało męski. Żona go jednak przekonała, a potem ta kobieta z biura nieruchomości nie mogła oderwać od niego wzroku. Chyba był dla niej ucieleśnieniem artystów, których dzieła jej zaproponował. Elegancki, bo pod krawatem, ale zarazem ekstrawagancki, przynajmniej kolorystycznie.

Wszedł do czteropiętrowego punktowca, w którym mieszkała jego matka. Poczłł dyskomfort na widok ciasnej i zniszczonej klatki schodowej, ponadto ten nieprzyjemny zapach, typowy dla klatek z rzadko otwieranymi oknami, w których skupiała się woń z wielu mieszkań. Odwykł od takich warunków, choć kiedyś niemal codziennie odwiedzał kolegów w podobnych blokach. Teraz mieszkał z Sylwią i Weroniką w apartamentowcu w Gdańsku, mieli sto metrów kwadratowych z widokiem na Motławę. U nich klatka była jasna i przestronna i dzięki

dobrej wentylacji nie zatrzymywały się na niej żadne zapachy.

Wbiegł na trzecie piętro i zapukał. Michalina Gifort otworzyła drzwi. Nie powitała go uśmiechem. Od rozvodu z ojcem jej usta przypominały poziomą cienką kreskę, nieruchomą, jak gdyby odlaną z wosku.

— A gdzie Weronika? Myślałam, że ją weźmiesz. Tak dawno nie widziałam mojej wnusi.

— Gdy wyjeżdżałem z Gdańska, była jeszcze w szkole.

— W szkole? Do szesnastej? Boże, co oni robią dzisiaj z tymi dzieciakami. Ty i Marek o tej porze byliście już w domu.

— Weronika jest na zajęciach pozalekcyjnych, chyba na hiszpańskim. Lubi się uczyć.

— Ty też lubiłeś.

Andrzej się skrzywił. Owszem, uczył się, ale nie dlatego, że lubił. Przede wszystkim chciał, aby ojciec był z niego dumny. Żeby mu zaimponować, zapisał się nawet do sekcji zapaśniczej SKS Olimpii Elbląg i wytrzymał tam cały rok.

— Mam ciasto. Zjesz kawałek? — zapytała Michalina, prowadząc go do największego pokoju, który i tak był ciasny.

— Tak, zjem.

Nie miał ochoty na słodkie, ale wolał nie odmawiać, aby nie robić matce przykrości. Na pewno je upiekła z myślą o nim.

Panele nieprzyjemnie zatrzeszczały pod jego stopą. Ten, kto je kładł, powinien być codziennie z rana torturowany podobnym dźwiękiem, więcej takiej fuszerki by nie odwalił. Andrzej rozejrzał się wokół, choć dobrze znał tę przestrzeń. Tanie i nieciekawe meble, krzesła z przetartym obiciem, zapadnięta kanapa, przybrudzone ściany. Należało odnowić mieszkanie i umeblować je nowocześniej i estetyczniej. Będzie musiał to zaproponować matce i przekonać ją, aby to on pokrył połowę kosztów. W ładnym mieszkaniu Michalina może zdoła spojrzeć na własne życie optymistycznie i nawet zechce kogoś zaprosić, choćby sąsiadki, żeby się przed nimi pochwalić. Bardzo chciałby ją zobaczyć roześmianą i plotkującą przy kawie z kobietami w podobnym wieku.

Dziesięć lat temu rodzice się rozwiedli. Nic tego nie zapowiadało. Wydawało się, że są dobrym małżeństwem, przynajmniej ich synowie tak myśleli, bo już Sylwia inaczej postrzegała związek teściów. Jej nie zaskoczyła informacja o rozwodzie, tego się właśnie spodziewała. To ona wypunktowała Andrzejowi różnice dzielące jego rodziców. Przed wszystkim Michalina nie nadążała za Leonem i to w żadnej dziedzinie życia. On dobrze czuł się w nowych technologiach, a ona nie umiała wysłać maila, esemes też nastroczał jej mnóstwo trudności. Dostała od męża laptopa, co miało ją zachęcić choćby do korzystania z internetu. Włączyła go parę razy, a potem schowała głęboko do szafy. Michalina przestała też dbać o swoje ciało, pozwalając, aby wiotczało i się marszczyło. Od czasu do czasu odwiedziła fryzjera, ścinała się po męsku, bo tak lubiła, ale nie dodawało jej to uroku.

Jej mąż regularnie chodził na siłownię i basen, a także do manikiurzystki, zadbane paznokcie były jego chlubą. Czytał też książki i oglądał najnowsze filmy, a jego żona nawet prasy nie przeglądała. Poza tym Leon był właścicielem najbardziej rozpoznawalnej marki jubilerskiej w Polsce, miał duży zakład i dwadzieścia sześć sklepów. Jego wyroby trafiały do klientów w całej Europie. A Michalina nie mogła się poszczycić osiągnięciami zawodowymi, zaledwie dwa lata pracowała w bibliotece, potem poświęciła się wychowaniu synów i dbała o dom. Nie dało się ukryć, że Leon wymienił żonę na lepszy model. Decyzja o rozstaniu z kobietą, z którą się przeżyło dwadzieścia dziewięć lat, zapewne nie jest łatwa, ale gdy na horyzoncie pojawia się atrakcyjna kobieta... dla mężczyzny w średnim wieku może to być mocny impuls. Andrzej w wyobraźni widział, jak pełne usta Justyny szepczą słodkie słówka namawiające Leona do porzucenia żony, jak kobieta przymila się czułymi spojrzeniami i kusi go ponętym ciałem. Wyrachowana, zła osoba, która rozbiła zgodne małżeństwo i to nie z miłości do Leona, lecz dla kasy. Był pewien, że Justyna jest zachłanna i przebiegła. Na początku podpisała nawet intercyzę, ale później, po urodzeniu Ignasia, dziwnym trafem stała się współwłaścicielką domu nad jeziorem Drużno. Na tym się nie skończyło — choćby te liczne prezenty, ostatnio toyota warta kilkadziesiąt tysięcy. Nikt w tej rodzinie nie dostawał tak kosztownych podarunków.

Michalina postawiła przed Andrzejem talerzyk z kawałkiem ciasta orzechowego i filiżankę

z herbatą. Usiadła naprzeciwko wyprostowana jak na egzaminie.

— Nie będziesz jadła ciasta?

— Już jadłam — odpowiedziała tonem informującym, że nie przełknęła nawet okruszka.

Gdy odwiedzał matkę, ona nigdy nic nie jadła, ich częstowała obiadem i deserem, ale sama nie tknęła niczego. Była to demonstracja, mająca pokazać, jak bardzo cierpi. Karała w ten sposób swoich synów za to, że ich ojciec ją zostawił. Może też za to, że nie ujęli się za nią, nie próbowali odwieść Leona od decyzji o rozwodzie, nie sprzeciwili się, gdy brał sobie drugą żonę.

— Mamo, co myślisz o odświeżeniu mieszkania? Przydałby się mały remont i nowe meble. Sylwia mogłaby ci pomóc urządzić pokoje.

— Dla takiej starej baby jak ja starczy to, co jest.

Znowu ten zgorzkniały ton, który słyszał od dziesięciu lat.

— No co ty, przecież nie jesteś stara — zaprzeczył, choć wiedział, że tym samym spowoduje falę matczynych żalów.

Zaczęła opowiadać, jak próbowała naprawić przeciekającą pralkę i niedomykające się drzwi w szafce kuchennej, jak gdyby nie można było zadzwonić po fachowców, którzy by się tym zajęli. Słuchał, pijąc herbatę, a z każdym słowem Michaliny rosło w nim poczucie winy. Czuł się odpowiedzialny za rozgoryczenie matki. Nie potrafił poprawić jej humoru, choć próbował. Sześć lat temu wykupił wycieczkę do Grecji, mieli jechać

wszyscy: on, Sylwia, Weronika i mama. Namawiał ją kilka dni, prosił, w końcu Weronika przekonała babcię do wspólnych wakacji. Gdy przyjechał po nią w dzień wyjazdu, okazało się, że nie jest spakowana. Znowu zaczął mówić o słońcu i plaży, o tym, że zasługuje na odpoczynek. Michalina w tym czasie spokojnie przesadzała kwiaty z jednych doniczek do drugich. W pewnym momencie spojrzała na niego z wyrzutem i uniosła w górę brudne od ziemi dłonie. Przecież ona ma obowiązki, kto za nią przesadzi te kwiaty, dlaczego on tego nie rozumie?

Michalina po równo dręczyła obu synów, ale Marek miał do tego większy dystans. Z czasem zaczął matkę rzadziej odwiedzać. Andrzej przyjeżdżał regularnie raz w tygodniu, zawsze z nadzieją, że uda mu się poprawić rodzicielce humor, że w końcu zobaczy ją szczęśliwą.

— Mamo, pyszne ciasto, rewelacja, tak dobrego jeszcze nie jadłem. Skąd masz ten przepis?

Spojrzała na niego ze smutkiem w oczach i pokiwała głową w tym charakterystycznym geście, którym zwykle się mówi: Co ty możesz wiedzieć?

— To kupne ciasto. Ja teraz nie piekę, bo po co? Przyjeżdżasz do mnie sam, całej blaszki przecież nie zjesz.

— Następnym razem przyjadę z moimi dziewczynami. Sylwia mówiła mi niedawno, że brakuje jej pogawędek z tobą. Dzisiaj niestety nie mogła się ze mną zabrać.

Składał obietnice, wiedząc, że może ich nie dotrzymać. Weronika była już nastolatką i wołała

spotykać się z koleżankami niż jeździć do babci, a jego żona z trudem znosiła niedomówienia teściowej i formułowane niby przypadkiem pretensje.

Michalina wyszła do kuchni. Słyszał dobiegające stamtąd znajome odgłosy, otwieranie szafek i lodówki, stukanie garnkami, dzwonienie sztućcami. Gdy miała wyjątkowo zły dzień, zostawiała go samego w pokoju i szła do innego pomieszczenia, gdzie udawała, że pracuje, a tak naprawdę przesuwała rzeczy z jednego miejsca w drugie. Proponował wtedy, że jej pomoże. Zwykle nie odpowiadała, uderzała jedynie głośniejszymi przedmiotami, które akurat trzymała w rękach.

Andrzej wyjął z kieszeni dwa tysiące złotych i wsunął je do niepozornej szkatułki stojącej na komodzie. Matka trzymała tam pieniądze, on za każdym razem trochę dokładał, mając nadzieję, że ją zadowolą. Nigdy na ten temat nie rozmawiali, ani razu mu nie podziękowała za wsparcie, nie kazała mu też zaprzestać tych darowizn, uznał więc, że robi dobrze. Michalina miała z czego żyć, Leon ją zabezpieczył. Po rozwodzie kupił jej mieszkanie i przyznał comiesięczne alimenty, z tym że lokal był niewielki, w dodatku z ciemną kuchnią, a alimenty wynosiły tyle co minimalna pensja. To nie było to, na co zasługiwała. Uważała, że należy się jej połowa majątku, synowie byli tego samego zdania. Marek wyjątkowo mocno za tym optował, zdecydował się nawet na ostrą rozmowę z ojcem, domagając się, aby mama dostała udział w jubilerskim przedsiębiorstwie. Ten się na to nie zgodził, prawdopodobnie za sprawą Justyny.

Andrzej był pewien, że nowa żona stoi na straży majątku Leona i jeśli ma być uszczuplony, to tylko jej rękami. Robiła różne podchody, aby wkroczyć się w firmę swojego męża, no bo niby po co jeździła z nim na targi jubilerskie, na inspekcję sklepów, a teraz jeszcze załatwiła córeczce robotę w salonie jubilerskim za stawkę godną prezesa. Andrzej bał się, że ojciec stopniowo ulegnie zachciankom drugiej żony, pozwoli jej wykazać się w biznesie, z czasem zaś przekaze część obowiązków, a może nawet da jej jakiś udział w firmie. Czasami myślał, że lepiej byłoby, gdyby ojciec ożenił się z dwudziestoletnią modelką, bo takiej gówniary nie traktowałby poważnie, a z Justyną niestety się liczył, bo jak tu olać pięćdziesięcioletnią kobietę.

Nienawidził drugiej żony ojca, podsycił w sobie tę nienawiść za każdym razem, gdy patrzył na zgorzkniałe oblicze matki, na smutek w jej oczach. Okazywał niechęć Justynie i jej córce, to jednak już mu nie wystarczało, poza tym nie przynosiło wymiernego efektu. Obie kobiety umacniały swoją pozycję przy Leonie i jego kasie. Postanowił to zmienić. Pierwszy ruch był bardzo prosty, znalazł na portalu randkowym przystojnego czterdziestotrzyletniego mężczyznę i zaproponował mu pokaźną sumkę za uwiedzenie Justyny. Tamten się zgodził, okazał się jednak totalną niedojdą i po kilku nieudanych próbach się wycofał. Andrzej musiał zrezygnować z tego pomysłu, bo nowa pani Gifort gotowa coś podejrzewać, jeśli w krótkim czasie jakiś kolejny gość zacznie ją ciągnąć do łóżka. Pierwszy nieudany krok bynajmniej nie zniechęcił go do dalszych działań. Wiedział, że powinien się lepiej przygotować i być bardziej

perfidny, ponadto nie powinien zbyt mocno kombinować, lepiej dać szansę Justynie i Uli na popełnienie błędu.

Wszedł do kuchni, aby pożegnać się z matką. Znowu spojrzała na niego z wyrzutem. Tym razem miała pretensję o to, że już wychodzi i zostawia ją samą. Chciał jej powiedzieć, że niedługo sytuacja się zmieni, oczywiście na lepsze, on się o to postara. Wkrótce będą śmiać się z porażki Justyny, wypiją przy tej okazji całą butelkę szampana. Michalina nigdy nie wypytywała o byłego męża i o jego nową żonę, ale zawsze z uwagą słuchała tego, co Andrzej miał o nich do powiedzenia, a on mówił wyłącznie o nieprzyjemnych rzeczach. Wspomniał więc, że Justyna pozbyła się z piwnicy książek Leona, oddając je na makulaturę, a on za to przez kilka dni się do niej nie odzywał. Innym razem zaprosiła na tydzień do domu nad jeziorem jakąś kuzynkę, a ojciec przecież nie jest w stanie ścierpieć gości dłużej niż przez kilka godzin. Widział błysk w oku matki, gdy o tym wszystkim opowiadał. Nabierała wtedy przekonania, że nie była najgorszą partnerką i może były mąż nawet żałuje rozstania z nią. Za jakiś czas syn wprawi ją w wielką radość, gdy oznajmi, że małżeństwo Leona się rozpadło.

Andrzej zbiegł na parter i wypadł z bloku. Spieszył się, bo był umówiony. Stojąc przy otwartym bagażniku, zdjął polar i włożył grafitowy płaszcz, ponadto owinął szyję obszernym szalem piaskowej barwy, oczywiście wszystko zostało zakupione pod dyktando żony. Wyglądał znakomicie, zapewne uda mu się zrobić wrażenie

na dziewczynie, z którą miał się wkrótce spotkać. Zależało mu na tym, bo dużo sobie obiecywał po tej znajomości.

Umówił się z ładną brunetką w barze sushi Tamago. To ona wybrała ten lokal, bo po pracy chciała zjeść coś lekkiego, on wolałby kawałek soczystego mięsa w restauracji z polskimi daniami. Będzie jednak jadł ryby i wodorosty, zachwycając się każdym kęsem, żeby tylko osiągnąć cel. Zostawił samochód przy Galerii El i ruszył w stronę baru. Już z daleka zobaczył jej długie czarne włosy, delikatnie unoszące się na wietrze.

— Cześć, spóźniłem się?

— Nie, to ja jestem za wcześnie.

Uśmiechała się nerwowo. Andrzej uznał, że to dobry znak, też chciała dobrze wypaść, umówiła się przecież ze spadkobiercą słynnej marki Gifort. Pierwsza przekroczyła próg lokalu, jak gdyby to ona go zaprosiła. Wybrała też stolik. Andrzej posłusznie podążał za nią, rozglądając się po wnętrzu. W myślach przeszukiwał swoją ofertę z obrazami, zastanawiając się, który z nich mógłby zaproponować właścicielom lokalu. Miał kilka dzieł wykonanych w japońskiej technice malowania tuszem, ale te nie nadawałyby się tutaj, bo swoją skromnością i precyzją nie przyciągałyby wzroku klientów. Ogromne zdjęcie twarzy gejszy na jednej ścianie i wachlarz na drugiej bardziej pasowały do tego baru.

Gdy Renata zdjęła płaszcz, zobaczył rubin na jej szyi. Musnęła go palcami, jak gdyby chciała pokazać, że go ma.

— To od nas?

Wskazał wzrokiem na miejsce między jej obojczykami. Specjalnie użył formy „nas”, chciał w ten sposób zaakcentować, że jest aktywną częścią marki.

— Tak, to od Giforta. Rozpoznałeś czy się domyśliłeś?

— Przeczuwałem. Skoro pracujesz w salonie Giforta, to raczej tam kupujesz biżuterię, tym bardziej że dla pracowników mamy piętnaście procent zniżki.

— Super, że jest ta zniżka, ale ten naszyjnik i tak kosztował mnie pół mojej pensji, a zarabiam nieźle jak na kierowniczkę sklepu. Mój mąż aż się złapał za głowę, gdy podałam mu cenę. Dobrze, że nie kazał mi go zwracać do salonu.

Znowu dotknęła kamienia.

— Nie raz wspominałem ojcu, że pracownicy powinni mieć możliwość kupienia wyrobów za pół ceny, choćby jedną sztukę w miesiącu, bo przecież jesteście żywą reklamą marki. Gdy będę miał prawo podejmować decyzje w firmie, to na pewno wprowadzę takie zarządzenie, na razie mogę tylko doradzać.

Tak naprawdę nie miał nic wspólnego z przedsiębiorstwem jubilerskim ojca, nie pociągał go ten biznes. Już prędzej Sylwia byłaby gotowa wejść w złoto i kamienie szlachetne, ale nie jako pani stojąca za ladą, dla niej byłoby to za mało, miała w końcu dyplom z zarządzania. Poza tym był zajęty swoją wypożyczalnią obrazów, która zupełnie

nieźle prosperowała i była czymś nowym na polskim rynku. Renata powinna jednak odnieść wrażenie, że niebawem to on będzie władał marką Gifort.

Złożyli zamówienie. Andrzej wziął węgorza, a Renata krewetki. Lokal był przytulny, a co ważniejsze, przebywało w nim niewielu gości, mogli więc swobodnie rozmawiać bez obawy, że ktoś będzie im się przysłuchiwał.

— Jak ci się pracuje z Ulą Baranowską?

To pytanie nie zaskoczyło Renaty, bo jakiś czas temu uprzedził ją, że na dyskretną prośbę Leona Giforta wkrótce wypyta ją o Ulę. Dał nawet do zrozumienia, że powinna przyglądać się nowej koleżance, bo dla firmy ważne jest, aby każdy pracownik był sumienny i dobrze czuł się w miejscu pracy.

Dziewczyna posłała mu promienny uśmiech. Naprawdę była ładna, prawie tak bardzo jak jego żona, chociaż Sylwia miała urodę bardziej posągową.

— Nie narzekam, jest dobrze. Ula szybko się uczy i umie doradzić klientom. Niekiedy trzeba odwieść ich od zakupu czegoś, co im zupełnie nie pasuje i zaproponować coś innego, i jeszcze przekonać, że zmiana decyzji wyszła od nich samych. To się nawet często zdarza, zwykle jest tak, że kobiety przychodzą po jakiś błyszczący drobiazg, bo koleżanka z pracy kupiła sobie właśnie taki, tylko że koleżanka jest drobna i jej pasuje niewielka broszka, a klientka ma ze sto dwadzieścia w biuście i jej przydałoby się coś większego. Tego

nas uczyli na szkoleniach, żeby nabywcy wyrobów jubilerskich Gifort byli zadowoleni, a to niekoniecznie znaczy, że mają kupować to, po co przyszli.

Gdy Renata mówiła o pracy, nabierała śmiałości. Widać było, że w tym temacie dobrze się czuje.

Kelnerka postawiła przed nimi imbryczek z herbatą, po chwili doniosła talerze. Dziewczyna ujęła pałeczki i zaczęła jeść. Widząc, że Andrzej nie ma takiej wprawy jak ona, poradziła mu, żeby wziął rybę w palce. Posłuchał jej, choć niechętnie. Zdawało mu się, że zachowuje się jak barbarzyńca. Zaskoczyło go, że węgorz jest aż tak dobry.

— Za kilka miesięcy będziemy znowu organizować szkolenie. Chciałabyś je poprowadzić?

— Ja? Naprawdę mogłabym? Myślisz, że bym się nadawała?

Patrzyła na niego wielkimi z zachwytu oczami. Rozbroił ją tą propozycją. Po pięciu latach stania w salonie została dostrzeżona, doceniono jej umiejętności i zaangażowanie. Teraz będzie mogła poważniej pomyśleć o ścieżce awansu zawodowego, bo przecież szkolenia to może być trampolina do lepszego stanowiska.

Na razie nie przejmował się tym, że nie ma żadnego wpływu na personalne rozdania w firmie ojca i niczego Renacie nie załatwi. Miał nadzieję, że zanim ona się w tym zorientuje, on osiągnie już to, co sobie zamierzył.

— Masz już pierwsze doświadczenie w szkoleniu nowych pracowników. Musiałaś przecież Ulę

przygotować do pracy w salonie. Zakładam, że to nie było łatwe uczyć pasierbicę właściciela.

Znowu nawiązał do Uli. Przyszedł tu po to, żeby się o niej czegoś dowiedzieć. Na razie Renata pochwaliła nową pracownicę, bo tak wypadło. Teraz musi ją przekonać, że ma też prawo do krytycznej opinii.

Dziewczyna przetarła usta serwetką i znowu ujęła pałeczki.

— Tylko pierwszego dnia stresowałam się tym, że Ula jest rodziną Giforta, a później już o tym nie myślałam. To jest zwyczajna dziewczyna, nie zadziera nosa, sądzę, że to dlatego dobrze się z nią współpracuje.

— Mam rozumieć, że nie wykorzystywała swojej rodzinnej pozycji?

— Nie.

— I nie wywinęła jeszcze żadnego numeru?

Powiedział to takim tonem, jak gdyby miał pewność, że niebawem Ula zrobi coś niewłaściwego. Z satysfakcją zauważył lekkie drgnięcie warg Renaty i jej spłoszone spojrzenie. Wyglądało na to, że trafił wyjątkowo celnie. Dziewczyna coś wiedziała i próbowała zachować to dla siebie. Postanowił naciskać dalej.

— No co? Dobrze rozumiem, że Ula już pokazała, co potrafi?

Renata wpatrywała się w swój talerz i chyba nad czymś intensywnie rozmyślała, bo pomiędzy jej ładnymi brwiami pojawiła się głęboka zmarszczka. Nagle uniosła wzrok na Andrzeja.

— Nie lubisz swojej przyszywanej siostry. Prawda?

— Uważam, że słowo „siostra” to za dużo na określenie naszych relacji.

— Umówiłeś się ze mną tylko po to, żeby znaleźć coś na nią? Chcesz się jej pozbyć z firmy? Stoi ci na drodze?

— Ona mi nie zagraża, jeśli to sugerujesz. Jestem synem Leona Giforta, a Ula jedynie córką jego drugiej żony. Mój ojciec dał jej szansę i chcemy wiedzieć, czy ją wykorzystała. Ula jest trochę niepokorna, nie bez powodu wyrzucili ją z policji po dwóch tygodniach służby. Jestem tutaj z troski o nią, no i o firmę.

— Wyrzucili ją z policji? Mnie powiedziała, że się zwolniła, bo stwierdziła, że to praca nie dla niej.

— Mogłaby to stwierdzić po roku, ale nie po kilkunastu dniach. Zwolniła się, bo jej kazali.

— Dlaczego kazali?

Andrzejowi przyszło do głowy, żeby wymyślić jakieś przewinienie, którego Ula mogłaby się dopuścić, ale szybko zrezygnował z tego pomysłu. Powinien w miarę możliwości mówić prawdę, bo w ten sposób minimalizuje ryzyko, że pogrąży go jego własna intryga.

— Nie wiemy. Nie znam nikogo w elbląskiej policji na tyle dobrze, żeby się tego dowiedzieć.

— Może zwolniła się z powodu mobbingu. Wielu policjantów uważa, że do tej pracy trzeba mieć jaja.

Andrzej wytarł palce w serwetkę. Przez chwilę myślał, że urobił dziewczynę, że będzie jego

informatorem, ale nagle coś się zmieniło. Gdy zaczął źle mówić o Uli, Renata przystąpiła do obrony koleżanki. Albo ją polubiła, albo zadziałała kobieca solidarność.

— Wiem, że Ula ma charakterek i nie lubi, jak się nią steruje, miewa też dziwne pomysły, dlatego chciałem o niej pogadać, żeby móc zapobiec, gdyby coś miało się zdarzyć, ale jeśli nie chcesz o niej rozmawiać, to nie ma sprawy. Poza tym raz w tygodniu piszesz mailowy raport do firm i wierzę, że jeśli coś niepokojącego zauważysz w pracy Uli, to o tym napiszesz, bo jeśli tego nie zrobisz, to ewentualne konsekwencje jej pomysłów spadną też na ciebie.

Renata skrzyżowała pałeczki na talerzu. Oboje skończyli już jeść. Podeszła do nich kelnerka, z uśmiechem zapytała, czy smakowało i czy coś jeszcze podać. Andrzej czuł, że spotkanie zbliża się ku końcowi. Był trochę rozczarowany. Zyskał jedynie pewność, że Ula czymś się naraziła Renacie w miejscu pracy, a liczył na coś więcej. Miał nadzieję, że uzyska potwierdzenie swoich przypuszczeń, że córka Justyny jest wyrachowana i przebiegła, że wdała się w matkę i wraz z nią chce omamić jego ojca, aby wyciągnąć od niego kasę. Już dostała pracę z bardzo wysoką pensją, za parę tygodni być może Leon sprezentuje jej samochód bądź sfinansuje remont mieszkania.

Andrzej zapłacił i wyszli na zewnątrz. Fioletowy wieczór kładł się długimi smugami na niebie, a światło z lamp ulicznych wydobywało z ciemności ozdobne fronty kamienic. Teraz budynki wydawały się większe niż za dnia, zwłaszcza majestatyczna

wieża katedry św. Mikołaja górowała nad starym miastem.

— Odwiozę cię — zaproponował.

— Może się najpierw przejdziemy?

Nie czekając na jego odpowiedź, ruszyła w stronę rzeki. Obcasy jej kozaków równomiernie stuknęły o bruk. Andrzej szedł obok z dłońmi wciśniętymi w kieszenie płaszcza. Czuł, że dziewczyna chce mu coś jeszcze powiedzieć, czekał więc cierpliwie.

Odchrząknęła parę razy, jak gdyby nie była pewna swoich strun głosowych.

— Ula czasami robi sobie wolny dzień albo kilka godzin w ciągu dnia, ale za ten czas nie ma płacone — oznajmiła prawie na jednym wydechu.

— Wiem o tym. Mój ojciec sam jej to zaproponował, bo rzekomo ma jeszcze jedną działalność, biuro detektywistyczne.

Oczekiwał bardziej sensacyjnych informacji. Prawdopodobnie salon nie jest tym miejscem, gdzie uda mu się zdemaskować podły charakter Uli. No cóż, znajdzie inny sposób, aby dostać się do niej i do szanownej mamuśki.

Szli wzdłuż rzeki w stronę mostu północnego. Woda była czarna, ale na powierzchni wydawała się unosić srebrzysta powłoka, będąca świetlistym refleksem, efekt stojących na promenadzie lamp ulicznych. Było tu prawie tak pięknie jak nad Motławą.

— Ula wypożycza sobie biżuterię z salonu.

Głos Renaty był tak cichy, że zlewał się z warkotem motoru krążącego gdzieś po ulicach starego miasta.

— Co?

Andrzej był szczerze zaskoczony. To była bomba. Znał zasady obowiązujące w salonach Giforta. Sprzedawczyniom nie wolno było nawet przymierzać klejnotów, bo to prawie dzieła sztuki, a nie zabawki. Ula złamała ważną zasadę, a Leonowi to się nie spodoba.

— Pożycza głównie brylanty i robi to wtedy, gdy sama zamyka sklep. Gdyby nie to, że przyszłam do pracy wcześniej niż zwykle, to bym jej nie przyłapała, a tak udało mi się dwa razy. Gdyby je zgubiła albo ktoś by je ukradł, to miałyby problem, bo ta biżuteria warta jest kilka tysięcy. Nic jej nie powiedziałam, bo przecież jest rodziną właściciela. Po prostu udawałam, że niczego nie zauważyłam, pozwoliłam jej odłożyć brylanty do gabloty.

— Napiszesz o tym w raporcie.

— A czy to się nie obróci przeciwko mnie?

— Tego się nie obawiaj. Ja będę pamiętał, co zrobiłaś i się odwdzięczę.

Most przywoływał ich iluminacją godną portowego miasta, ale nie weszli na niego. Nie było potrzeby, aby dalej przebywali w swoim towarzystwie, najważniejsze słowa już padły. Zawrócili. Andrzej nie mógł się doczekać, kiedy o wszystkim opowie Sylwii. Najchętniej pojechałby teraz do ojca i wyjawiał mu, że Ula wynosi brylanty z salonu. Szkoda, że nie może tego zrobić, musi czekać na

cotygodniowy raport Renaty. Tak bardzo chciałby zobaczyć rozczarowanie w oczach Leona. Żaden z jego synów nigdy nie okazał się tak niewdzięczny jak córka drugiej żony. Podstępna żmija, mała złodziejka, myśli, że jest sprytna, a tak naprawdę jest głupia. Gifort będzie wściekły, zawsze stawiał na lojalność, na przestrzeganie zasad i to zarówno w rodzinie, jak i w pracy. Ula go zawiodła, zapłaci za to, na pewno straci pracę i może czeka ją jakaś dodatkowa kara, prawdopodobnie nie będzie mogła przyjeżdżać do Żółwińca, zostaną ograniczone jej spotkania z Ignasiem. A co najważniejsze, postępek Uli odbije się na relacjach z Justyną, bo ta zapewne stanie po stronie córki i spróbuje jej bronić, pogrążając swój związek z mężem. To będzie jak domino albo domek z kart, wystarczy naruszyć jeden element, a walić będzie się cała konstrukcja. Zatarł ręce z satysfakcją i włożył kluczyk do stacyjki.

Rozdział XI

DZIEWCZYNA UŚMIECHAŁA SIĘ uprzejmie i delikatnie. Na policzkach miała rumieńce, efekt działania niskiej temperatury i porywistego wiatru. Zdecydowanym ruchem zdjęła z głowy wełnianą czapkę z ogromnym pomponem. Taki pompon pasował raczej małym dziewczynkom, a nie dwudziestopięcioletnim kobietom, a tyle lat miała Maja Kowalska, przyjaciółka Łukasza Marczaka. Czapka wylądowała na jej kolanach. Podinspektor mimowolnie podążył wzrokiem w stronę smukłych nóg dziewczyny, wciśniętych w obcisłe dżinsy.

— Twierdzi pani, że noc z drugiego na trzeciego grudnia spędziła w mieszkaniu wynajmowanym przez Łukasza Marczaka przy ulicy Grunwaldzkiej?

— Tak, już to zeznałam pięć dni temu. Wyszłam od Łukasza o jedenastej.

— Nie pytałem, o której pani wyszła.

Zaskoczył ją na ułamek sekundy. Jej dolna warga drgnęła, a szczupłe palce zacisnęły się na pomponie czapki. Wiedziała, że pospieszyła się z zapewnieniem alibi swojemu przyjacielowi. Przełknęła ślinę i spojrzała na funkcjonariusza spokojnymi źrenicami.

— Ten policjant, który mnie przesłuchiwał w niedzielę, dopytywał dwa razy, o której wyszłam od Łukasza. Sądzę, że to ważne.

— Tak, to bardzo ważne. Pan Marczak podejrzewany jest o próbę zabójstwa. Do zdarzenia miało dojść kilka minut po dziewiątej nad jeziorem Drużno.

Dziewczyna odgarnęła z czoła włosy, odsłaniając dwie niewielkie zmarszczki nad brwiami, poprawiła też szalik. Nagle przypomniała sobie, że powinna zareagować lekkim przerażeniem na zasłyszana informację. Przycisnęła więc dłoń do ust.

— Próba zabójstwa? Boże, to straszne. Tamten policjant mówił mi o jakimś potrąceniu, ale nie o tym, że Łukasz chciał kogoś zabić.

— Próbował przejechać kobietę.

— Ale to nie on! — krzyknęła Maja. — Był ze mną. Dobrze, że pstryknęłam mu wtedy tę fotkę.

Dziewczyna zaczęła szukać w torebce telefonu. Chwilę później podsunęła mu pod oczy wyświetlacz z dobrej jakości zdjęciem, na którym znajdował się Łukasz Marczak i ona. Oboje leżeli na łóżku nadzy, przynajmniej do połowy, bo tylko górną część ich ciał objął obiektyw. Juraszczyk znał tę fotkę. Maja przekazała im ją podczas ostatniego przesłuchania. Opis pliku informował, że zdjęcie zostało zrobione trzeciego grudnia o dziewiątej dwadzieścia dwie w Elblągu przy ulicy Grunwaldzkiej. Podinspektor spodziewał się jakiejś manipulacji przy pliku, przedstawienia lokalizacji i zegara, ale informatyk śledczy to wykluczył. Marczak miał więc mocne

alibi, stuprocentowe, jak gdyby z góry zaplanowane.

Maja wyłączyła telefon, ale wciąż trzymała go w dłoni.

— Długo pani zna Łukasza Marczaka?

— Od dwóch lat.

— Ale on od pięciu lat mieszka w Szwecji, chyba wasza znajomość ma charakter powierzchowny.

Uniosła aparat, jak gdyby chciała się nim pochwalić.

— Widział pan tę fotkę. Dla mnie to nie jest powierzchowna znajomość.

— Na pani profilu społecznościowym nie ma zdjęć z Marczakiem, ani jednego, są za to fotki z innym mężczyzną.

Dziewczyna machnęła lekceważąco ręką.

— Od wielu miesięcy nic tam nowego nie wrzucałam, a tamten chłopak już dawno jest nieaktualny.

— A na telefonie ma pani jakieś inne fotki z Łukaszem? Chciałbym je zobaczyć.

Przygryzła dolną wargę i postukała palcem w obudowę aparatu. Bynajmniej nie zastanawiała się nad zawartością cyfrowego albumu, raczej szukała odpowiedzi, która pozwoli jej wybrnąć z kłopotliwego pytania.

Juraszczyk wiedział, że trafił. Nie było żadnych innych zdjęć z chłopakiem, z którym rzekomo chodziła od dwóch lat.

— Nie mam ochoty pokazywać panu moich fotek, to moje prywatne życie. Musi pan mieć nakaz sądu, wtedy je pokażę. A w ogóle to po co wam moje zdjęcia, przecież sam pan powiedział, że interesuje was tylko to, co Łukasz robił w sobotę rano, a o tym już wszystko powiedziałam.

— Ma pani rację. Tylko jeszcze podpis pod protokołem i może pani wracać do domu.

Przesunął na drugą stronę biurka kartkę i długopis. Dziewczyna się zawahała, jak gdyby spodziewała się podstępu.

— Mogę już iść?

— Tak, odprowadzę panią na dół.

— Nie musi pan, sama trafię.

— Muszę, taki regulamin.

Zbiegała lekko i szybko po schodach, zakładając czapkę i zapinając kurtkę. Podążał pół kroku za nią. Przy drzwiach podał jej rękę.

— Proszę uważać na Marczaka. On może być niebezpieczny, a nie chciałbym, żeby coś się pani stało. No i gdyby chciała pani coś dodać do swoich zeznań, to proszę się zgłosić.

Otworzyła usta, prawdopodobnie po to, aby zaprzeczyć jego sugestii, że jakoby coś jej groziło ze strony Łukasza, ale podinspektor już się odwrócił. Nie chciał teraz słuchać Mai Kowalskiej, bo nic istotnego mu nie powie. Wolał dać jej czas do namysłu. Była bystra, zaradna i ambitna. Uprawiała wspinaczkę wysokogórską, zimą weszła na trzy tatrzańskie szczyty: Gerlach, Łomnicę i Kościelec. Tatry to nie Himalaje, ale na swoim

profilu społecznościowym zapowiadała, że to dopiero początek. W tym roku potrenuje jeszcze w polskich górach, a potem Alpy. Ponadto prowadziła w Elblągu największy serwis rowerowy. Taka dziewczyna nie powinna dać się omotać Łukaszowi Marczakowi, przynajmniej nie na długo.

Wszedł do swojego gabinetu i odnalazł w komputerze zdjęcie Mai Kowalskiej z Marczakiem. Uważnie mu się przyjrzał, szukając jakiegoś istotnego szczegółu. Pierwsze wrażenie było takie, że oboje pozują do zdjęcia, ale to nic dziwnego, tak właśnie ludzie reagują na obiektyw, chcą się pokazać z dobrej strony. Łukasz podłożył jedną rękę pod głowę, uwydatniając biceps i mięśnie klatki piersiowej. Drugą dłoń trzymał na brzuchu. Nie obejmował Mai i to było zaskakujące. To ona robiła zdjęcie, widać było fragment jej nagiego ramienia z pięknie zarysowanym mięśniem, ale na pierwszym planie były dwie piersi, duże, białe z brązowymi sutkami. Uśmiechała się do obiektywu i miała szeroko otwarte oczy, przez co wydawały się ogromne w drobnej twarzy. Łukasz przeciwnie, przymknął powieki.

Oprócz tego zdjęcia mieli też nagranie z prywatnej kamery umieszczonej w oknie wieżowca i skierowanej na zaparkowane samochody. Było na nim widać, jak mężczyzna o posturze Marczaka wsiada o ósmej pięćdziesiąt do czarnego forda mondeo z zamazanymi tablicami rejestracyjnymi i rusza w stronę ulicy Grunwaldzkiej. Ten sam samochód wrócił pod wieżowiec o dziesiątej dwie. Wyglądało na to, że Marczak doświadczył bilokacji

i był jednocześnie w dwóch miejscach, w wynajmowanym przez siebie mieszkaniu i w drodze nad jezioro Drużno. Oczywiście zdjęcie zrobione przez Maję było mocniejszym dowodem niż nagranie z monitoringu, bo pokazywało twarz Łukasza. Do samochodu mógł wsiąść ktoś inny, komu Marczak użyczył kluczyków i zlecił nastraszenie bądź nawet przejechanie Justyny Gifort. Jaka była prawda, mogłaby wyjawić Maja Kowalska. Jeszcze kilka dni temu Juraszczyk planował ją postraszyć, ale zrezygnował z tego, przewidując, że niewiele osiągnie. Teraz liczył na jej zdrowy rozsądek. Po to ją wezwał na ponowne przesłuchanie, aby miała o czym myśleć.

Powiększył zdjęcie na cały monitor i skoncentrował wzrok na białych piersiach z brązowymi sutkami. Wyobraził sobie, że je dotyka, niemal czuł ich ciężar, ciepło i miękkość. Podobały mu się młode kobiety i to był problem, bo się starzał i jakiś czas temu wypadł z orbity zainteresowań takich pańienek jak Maja. Patrzyły na niego jak na pana w średnim wieku, a on na nie jak na obiekt seksualny. Ta rozbieżność go niepokoiła, bo zapowiadała przymusową abstynencję w pożyciu. Próbował ukierunkować swój pociąg na kobiety bliższe mu wiekiem, umówił się nawet z atrakcyjną czterdziestolatką. Obiektywnie stwierdził, że jest ładna, ponadto wyglądała młodo, dałby jej trzydzieści lat, niestety wiedział, ile ma naprawdę, a ta wiedza działała jak odwrotność niebieskiej tabletki.

Drzwi do gabinetu otworzyły się z głośnym trzaskiem i stanął w nich aspirant Mariusz Żuk.

Wyglądał, jakby przespał noc w ubraniu, a rano jedynie przygładził włosy, ale ogolić się już nie zdążył. Zdając sobie sprawę, że nie prezentuje się dobrze, poprawił wymięty kołnierzyk koszuli. Nie zyskał w oczach podinspektora, ale w swoich tak, bo uśmiechnął się i wszedł do środka.

— Znowu jakaś impreza? — zapytał Juraszczyk.

Pijaństwo aspiranta coraz bardziej go niepokoiło. Nie chciał stracić dobrego pracownika, a tak się to skończy, jeśli Żuk nie zwolni.

— Żadna impreza, oglądałem wczoraj mecz z ojcem. — Usiadł na krześle, które przed paroma minutami zajmowała Maja Kowalska. — Mamy ekspertyzę rękawiczek, które zabrałem z domu Marczaków.

Juraszczyk przycisnął klawisz myszki i okazały biust znikł z ekranu.

— No i co?

— No i tyle, że z identycznego modelu rękawiczek pochodzą włókna, które znaleźliśmy na sznurze wisielczym. Miałem nosa.

Juraszczyk pokiwał głową z uznaniem. Przepracował w firmie prawie trzydzieści lat i znał wiele takich sytuacji, kiedy to zupełny przypadek popychał śledztwo do przodu albo wręcz doprowadzał do rozwiązania sprawy. Tu może być podobnie.

— Pojedziesz do Marczaków z jakąś policjantką. Weź może sierżant Burdecką, ona robi dobre wrażenie, z nią Marczakowa chętnie porozmawia. Pytaj od razu, czy komuś dawała rękawiczki. Może

będziemy mieli szczęście i dostaniemy nazwisko sprawcy. Jeśli nie, to interesuje nas każdy osobnik, który przeszedł przez ich kuchnię, ale najbardziej ci, którzy tam byli krótko przed śmiercią Krzysztofa.

— Zaraz jadę, tylko jeszcze szybko wypiję małą kawę.

Podinspektor się skrzywił. Jego podwładni powinni wykonywać polecenia natychmiast. Gdy on zaczynał służbę trzy dekady temu, nie mógłby sobie pozwolić na taki tekst wobec starszego stopniem kolegi. Właściwie powinien teraz wrzasnąć na Żuka, aby zapierdalał po sierżant Burdecką, a potem do radiowozu. Zrobiłby to, gdyby nie zaczerwienione oczy aspiranta i jego opuchnięta twarz. Niech może lepiej wypije tę kawę, będzie bardziej przytomny, powinien też zmienić koszulę na wyprasowaną.

— Będziesz jechał do Marczaków, to najpierw zajedź do siebie do domu.

— Po co?

— Żeby zmienić koszulę.

— Nie mam czystej, włożę sweter, trzymam tu jeden. Poza tym Burdecka będzie nadrabiać wyglądem.

Podniósł się z krzesła i z ociąganiem ruszył do drzwi, jak gdyby oczekiwał, że podinspektor go zatrzyma.

— Będziesz się tak włókł, to ci wszyscy przestępcy zwieją — mruknął Juraszczyk.

Ponownie kliknął w plik ze zdjęciem, na którym Maja Kowalska przeżyła biust. Tym razem wzrok podinspektora zatrzymał się na twarzy Łukasza Marcza. Z przymkniętymi powiekami wyglądał na odprężonego i wyciszonego. Nikt nie dostrzegłby w nim opętanego zemstą mściciela. Być może niedługo będą mieli tego rudzielca z głowy. Na razie oskarżał ich o śmierć brata, że niby policja go powiesiła, aby nie rozpowiadał o metodach przesłuchania. Jeśli znajdą mordercę Krzysztofa, to przeciwko niemu Łukasz skieruje swój gniew, a im da spokój. Wtedy będzie można też zamknąć sprawę potrącenia Justyny Gifort, to już będzie nieważne, kto ją chciał przejechać.

Rozdział XII

DUŻE KROPLE DESZCZU uderzały o parasolkę, którą Ula próbowała się osłaniać. Niestety bezskutecznie, bo wiatr zacinał niemal z każdej strony, zalewając jej płaszczystrugami wody. Na chodniku stały kałuże, które miejscami przypominały niewielkie jeziora. Jedne omijała, inne przeskakiwała. Musiała też uchylać się przed wodą tryskającą spod kół przejeżdżających samochodów, bo kierowcy za szczyt własnych ambicji obrali sobie ochłapanie przechodniów. Albo susza, albo leje przez kilka dni, tak zwykle było w Elblągu.

Miała dzisiaj jechać do pracy renówką, którą dostała od mamy, ale kluczyki wpadły jej za szafkę. Wszystko przez brylantowe kolczyki, które wczoraj znowu pożyczyła z salonu na randkę z Mariuszem. Po powrocie do mieszkania położyła je na szafce, aby następnego dnia nie zapomnieć ich zabrać do sklepu. Gdy rano zaspana sięgała po telefon, pchnęła brylanty, a te zaczęły się toczyć, zbliżając się niebezpiecznie do krawędzi. Wykonała gwałtowny ruch ręką i uratowała kamienie szlachetne, ale kluczyki straciła za szafkę. Nie dała rady jej odsunąć od ściany, postanowiła to zrobić po południu przy pomocy sąsiada. Zapasowy

komplet kluczyków został u mamy, skazana więc była na transport publiczny, a dokładnie na tramwaje linii jeden i trzy ruszające spod centrum handlowego przy Pułkownika Dąbka i jadące na południe miasta. Złożyła parasolkę i wsiadła do wagonu. Uśmiechnęła się na wspomnienie wywodu, jakim wczoraj uraczył ją Mariusz. Przekonywał ją, że powinna być dumna z komunikacji szynowej w ich mieście, bo to najstarszy system tramwajów elektrycznych w Polsce, założony jeszcze w dziewiętnastym wieku.

Ula patrzyła przez mokrą szybę na drewniane daszki miejskiego targowiska i górujący nad nimi napis „Truso TV”. Jakoś nie potrafiła wskrzesić w sobie entuzjazmu z faktu, że jedzie tramwajem i mieszka w mieście starszym od Krakowa. Wolałaby teraz znaleźć się na słonecznej Teneryfie, czuć ciepły piasek pod stopami, upajać się bujną zielenią i widokiem wulkanicznych szczytów na horyzoncie. Znowu dopadła ją myśl, że marnuje swoje życie. No bo co takiego robi? Pracuje w sklepie i bawi się w detektywa. Żadne z tych zajęć nie jest rozwijające i nie zapewni jej dobrej przyszłości. Poza Aliną Michalską nikt więcej nie dał jej zlecenia, a ta sprawa, którą się zajmowała, zakończy się porażką, bo nie zdoła rozszyfrować, kim jest Aleksander. Był zbyt ostrożny. Miał się w tym tygodniu pojawić w salonie, taka była między nimi umowa, ona przymierzy brylanty i zrobi sobie w nich zdjęcie, a on wpadnie do sklepu. Przez pięć dni jak kretynka obserwowała klientów, doszukując się w każdym tajemniczego adoratora Aliny. Nie przyszedł. Dzisiaj była sobota, a więc ich umowa jeszcze obowiązywała, ale Ula zwątpiła, że się

pojawi. Poza tym ta sprawa już ją męczyła. Napisze wieczorem maila do Michalskiej, że dotychczasowe poszukiwania nie przyniosły rezultatu, dlatego zamyka śledztwo. Wyjęła telefon z kieszeni i pospiesznie napisała esemesa do Aleksandra: „Jeśli dzisiaj nie przyjdiesz do salonu jak obiecałeś, to już więcej do ciebie nie napiszę”.

Telefon drgnął w dłoni, informując, że przyszła wiadomość.

„Skąd wiesz, że jeszcze mnie tam nie było? Przecież nie wiesz, jak wyglądam”.

„Nie widziałam nikogo z zarożniętym wyrazem twarzy, a więc cię nie było”.

Przysłał roześmianą buźkę, a po chwili krótkiego esemesa: „Do zobaczenia”.

Zawarta w tym była zapowiedź, że przyjdzie, ale to nie poprawiło humoru Uli. Mogłaby kupić bilet na Teneryfę w tanich liniach lotniczych i za kilka dni tam polecieć. Oszczędności wystarczyłoby jej na dwutygodniowy pobyt, ale przecież nie o to jej chodziło, nie o wycieczkę, lecz o zmianę życia. Co później? Zatrudni się jako kelnerka w jakimś hotelu na Kanarach? Tylko na to może liczyć na turystycznej wyspie. Wiedziała, jak to się skończy. Po dwóch miesiącach wróci do Polski totalnie zdołowana. Szkoda, że nie ma bogatych rodziców. Gdyby Leon Gifort był jej ojcem, miałyby szansę na zakup apartamentu w jakimś ciepłym kraju i na rozpoczęcie tam ciekawej działalności.

Wysiadła na Pierwszego Maja i otworzyła parasolkę. Wciąż padało. Mijała ludzi z posępными twarzami, zwłaszcza kobiety wyglądały na

zrezygnowane, parły przed siebie skulone, z pochylonymi głowami. Ula spieszyła się, bo już była spóźniona. Nie miała nadziei, że kolejny raz uda się jej niepostrzeżenie odłożyć brylantowe kolczyki do gabloty. Renata na pewno zauważyła ich brak. W pierwszej chwili musiała się wystraszyć, bo przecież poprzedniego dnia ich nie sprzedały, potem dojdzie do jedynej logicznej konkluzji, pamiętając, że to Ula chowała biżuterię do kasetek. Co ma powiedzieć Renacie i Magdzie? Jak się wytłumaczyć? Zależało jej na dobrych relacjach ze współpracownicami. A może nie będzie problemu, bo one uznają, że Ula ma takie prawo, jest przecież pasierbicą Giforta.

Zerknęła na zegarek, dziesiąta osiem. Złożyła parasolkę i weszła do sklepu. Dziewczyny stały za kontuarem jak dwa posągi. Nie odpowiedziały na powitanie, jedynie Magda ledwo dostrzegalnie kiwnęła głową. Były złe, może obrażone. Ciężka atmosfera unosiła się w powietrzu. Ula weszła na zaplecze i zdjęła płaszcz. Z plecaka wyjęła brylanty i swój kluczyk do gablot. Wyszła na sklep i rzuciła:

— Przepraszam.

Koleżanki udawały, że nie słyszą przeprosin. Renata wyjęła z szuflady różową szmatkę z mikrowłókna i zaczęła polerować szybę w kontuarze. Ula otworzyła witrynę i umieściła w niej kolczyki. Wróciły na swoje miejsce, nieuszkodzone, po co więc to całe larum? Dziewczyny powinny wyluzować. Dobrze by im zrobiło, gdyby same się wystroiły w drogą biżuterię, którą miały na wyciągnięcie ręki. Nie będzie się

przed nimi tłumaczyć. Przeprosiła i to powinno wystarczyć.

Patrzyła na okno wystawowe i drzwi. Chciała, aby do salonu weszli klienci, to pomogłoby rozładować przykrą atmosferę. Niestety, pogoda nie sprzyjała zakupom. Ula miała coraz bardziej podły nastrój. Jeśli Renata i Magda jutro też będą ją olewać, zrezygnuje z tej pracy. Może Leon zaproponuje jej inne stanowisko? Spojrzała na gablotę, w której wisiały brylantowe kolczyki. Cztery tysiące złotych, kogo stać na tak drogie klejnoty? Nagle ją olśniło. Wpadła na genialny pomysł, jak rozwinąć branżę jubilerską Giforta, jak nadać jej nowoczesny wymiar. Wypożyczalnia brylantów, rubinów i szafirów, to mogło się udać. Naszyjniki i bransolety udostępniane na godziny za odpowiednią kwotę. Niewiele kobiet stać na biżuterię wartą kilka tysięcy złotych, a każda chce pięknie wyglądać, zwłaszcza w takich dniach jak ślub, zaręczyny, studniówka czy pierwsza randka. Męskie zegarki też mogliby wypożyczać, prawdopodobnie miałyby większe wzięcie niż biżuteria, bo mężczyźni aspirujący do wielkiego świata przykładają wagę do wizerunku. Wypożyczane kosztowności należałoby ubezpieczyć, oferta znalazłaby się w witrynie internetowej, a towar dostarczałby kurier. Z czasem punkt wypożyczalni mógłby się znaleźć w każdym salonie. Ula miała w głowie niemal cały plan nowego biznesu i coraz bardziej była nim zachwycona. Podobną działalność prowadził Andrzej, wypożyczał obrazy i dobrze na tym zarabiał. Z biżuterią będzie tak samo, a może nawet lepiej. Chciała jak najszybciej podzielić się swoim pomysłem

z Leonem. On ma żyłkę do interesów, szybko dostrzeże w tym źródło zysku. Ten, kto się nie rozwija, cofa się. Nie wiedziała, czy tę zasadę biznesu właśnie wymyśliła, czy może jest ona znana wszystkim. Gifort doceni jej kreatywność i zapewne powierzy kierownictwo nad nowym działem w firmie, bo autorka projektu powinna osobiście nad nim czuwać.

Do salonu weszło dwoje klientów. Ula nie zwróciła na nich uwagi, dalej snuła plany. Zastanawiała się, czy zdoła pogodzić działalność detektywistyczną z rozkręceniem wypożyczalni biżuterii. To zależy od tego, ile będzie miała zleceń. Jeszcze dzisiaj pojedzie do Leona i przedstawi mu swój pomysł. Andrzej i Marek będą wściekli, że wchodzi do firmy i to z takim impetem, ale nie miała zamiaru się tym przejmować. Wyjęła telefon i napisała esemesa do mamy, że dzisiaj ich odwiedzi. Justyna odpisała, że zaprasza ją na obiad, będą kluski śląskie z sosem pieczarkowym.

Otworzyły się drzwi i do salonu wszedł mężczyzna w połowie zasłonięty rozłożonym parasolem, z którego spływały duże krople wody. Ula poczuła przeszywający dreszcz ekscytacji. To mógł być Aleksander, to na pewno on, przyszedł, jak obiecał. Mimowolnie zarejestrowała fakt, że parasol jest solidny, z szesnastoma drutami, zapewne nie był tani. Zwróciła też uwagę na buty, były wysokie i wiązane, jakby wojskowe. Dotknęła telefonu w kieszeni. Czy zdoła zrobić mu niepostrzeżenie zdjęcie? Raczej nie, musi więc skupić się na zapamiętaniu szczegółów wyglądu, żeby potem stworzyć rysopis tajemniczego adoratora. Czasza

parasola drgnęła i się złożyła. Ula poczuła, że dopadają ją zaskoczenie i lęk z taką siłą, że na moment kolana się pod nią ugięły. Tylko Magda krzyknęła, zasłaniając dłońmi twarz. Ona i Renata stały nieruchomo, wpatrzone w postać w kominiarce. To był napad, co do tego nie mogły mieć żadnych wątpliwości. Mężczyzna celował do nich z pistoletu. Ula rozpoznała makarowa, broń używaną przez radziecką milicję, ze szkolenia pamiętała, że jest niezawodna. Zakładała, że jeśli kiedyś kupi sobie pistolet, to właśnie ten, bo był łatwy w obsłudze i stosunkowo nieduży.

Muszą robić, co im każe, to nie zginą, przemknęło Uli przez głowę. Znała statystyki policyjne, a one mówiły, że nieposłuszni zakładnicy kończą z kulą w głowie. Podniosła ręce do góry, choć nikt jej nie kazał. Chciała jednak zasygnalizować, że jest gotowa do współpracy.

— Ty i ty pod ścianę i ręce do góry! — wrzasnął napastnik, wskazując bronią na Magdę i Renatę. — No już! — krzyknął jeszcze głośniejszym głosem, bo żadna się nie ruszyła.

— Róbcie, co on każe — powiedziała Ula przez ściśnięte gardło.

Czuła się odpowiedzialna za koleżanki, bo wiedziała, jak się trzeba zachować w takiej sytuacji, a one nie. Od wiedzy silniejszy był jednak strach. Bała się. Łydki zaczęły jej drgać. Opuściła dłonie i oparła się o ladę, żeby się nie przewrócić. Uświadomiła sobie, że kilkanaście centymetrów od jej ręki pod kontuarem znajduje się przycisk

alarmu. Nie miała zamiaru go wciskać, nie była głupia, chciała przeżyć.

Dziewczyny stanęły pod ścianą, obie trzymały ręce w górze. Magda płakała, a Renata oddychała ciężko, jak gdyby przebiegła kilka kilometrów.

— Twarzą do ściany! — wrzasnął napastnik.

Obróciły się równocześnie jak marionetki w teatrze lalek i wtedy stało się coś dziwnego — sprawca puścił oczko do Uli, jak gdyby byli w zmowie. Zachłysnęła się powietrzem, bo przypomniała się jej niedawna rozmowa z Markiem Gifortem. Stali nad jeziorem Družno, było już ciemno i w pewnej chwili syn Leona oznajmił, że planuje napad na salon jubilerski na Hetmańskiej. Poprosił ją o pomoc, miała jedynie dopilnować, żeby guzik z alarmem został wciśnięty dopiero wtedy, gdy napastnik oddali się z łupem. Wyśmiała ten plan zapożyczony z kiepskiego filmu i oczywiście odmówiła udziału. Marek też zrezygnował z napadu, gdy go poinformowała, jak policja rozpracowuje takie ustawki. A może jedynie się jej zdawało, że odwiodła go od tego szalonego pomysłu? Strach Uli zaczął przeradzać się w irytację. Miała ochotę powiedzieć sprawcy, żeby spierdalał, że mu nie pomoże, ale wycelowana w nią lufa nadal działała paraliżująco. Stała więc wsparta o kontuar.

Nagle drzwi do salonu się otworzyły i weszła kobieta owinięta szalem, w czapce nasuniętej na czoło. Trzymała dość dużą torbę, jakby podróżną. Ula pomyślała z nadzieją, że niespodziewana klientka może rozwiązać zaistniałą sytuację.

Napastnik zrozumie, że piętrzą się trudności, schowa makarowa i ucieknie. Kobieta zamknęła za sobą drzwi i kiwnęła głową w stronę mężczyzny. A więc to współpracowniczka.

— Otwieraj! — rzucił napastnik do Uli, wskazując pistoletem gablotę z męskimi zegarkami.

Nie była zaskoczona, że od tego towaru zaczynają. Pamiętała, że Marek chciał ukraść kilka zegarków po dziesięć tysięcy za sztukę. Miał już umówionego pasera w Niemczech, który obiecał wziąć wszystkie. Na trzęsących się nogach podeszła do witryny. Nie mogła trafić kluczem do zamka.

— Kurwa, szybciej! — warknął mężczyzna, który wciąż do niej mierzył.

Jeśli to współpracownik Marka, to nie powinien jej zabić, na pewno miał przykazane, że nikt nie może zginąć, a zwłaszcza ona, bo jest pasierbicą Giforta. Słyszała, że Magda pociąga nosem. Przekręciła klucz i otworzyła gablotę. Podeszła do niej kobieta owinięta szalem aż po same oczy. Przywodziła na myśl muzułmanki. Otworzyła torbę i pokazała gestem, że Ula ma włożyć do środka zegarki. Brała po jednej sztuce i wrzucała do torby.

— Kurwa, pospiesz się! — ponaglał ją mężczyzna.

Palce miała zdrętwiałe, jakby zmarznięte. Próbowwała chwytać po dwa, trzy zegarki na raz, ale te się wysuwały z dłoni. Wreszcie gablota była pusta. Napastnik wskazał na kolejną, w której znajdowała się najdroższa biżuteria, brylanty i rubiny, tutaj też wisiały kolczyki pożyczane przez Ulę. Zaczęła wrzucać klejnoty do torby. Jedna bransoletka spadła na podłogę. Opróżniła dopiero

pół witryny, gdy mężczyzna wrzasnął do swojej współpracownicy, że ma spieprzać. Ta zamknęła torbę i zdecydowanym krokiem wyszła z salonu.

— Jeśli uruchomicie alarm, wrócę i was, kurwa, wszystkie zastrzelę! — wrzasnął napastnik tak głośno, że Ula aż się skuliła, a Magda osunęła na kolana.

Wycofał się do drzwi i za chwilę znikł na ulicy. W salonie na moment zapadła cisza. Ula wpadła na zaplecze i złapała klucze, potem podbiegła do drzwi i je zamknęła. Były bezpieczne, napastnik nie mógł ponownie wejść. Musiałby najpierw przestrzelić zamek, pozostawało mu też celowanie do nich przez okno wystawowe. Odwróciła się do dziewczyn. Magda wciąż klęczała twarzą do ściany, ale Renata zbliżała się już z wyciągniętą ręką do kontuaru. Zamierzała włączyć alarm. Ula rzuciła się w jej stronę i w ostatniej chwili złapała za nadgarstek.

— Nie rób tego, jeszcze nie teraz.

Renata spojrzała na nią zdumionymi oczami.

— Przecież to jest cichy alarm. Nie będzie wiedział, że go uruchomiłyśmy. Firma ochroniarska pojawi się za trzy minuty, a za nimi policja. Złapią go.

Spróbowała wyszarpnąć rękę z uścisku, ale Ula trzymała mocno. Działała instynktownie. Cała jej podświadomość wręcz krzyczała, że nie może dopuścić do złapania sprawców, bo ci pogrążą Marka jako swojego zleceniodawcę. Nie chciała, aby Leon dowiedział się, do czego zdolny jest jego syn, to go zrani, może nawet załamię, a to odbije się na mamie i Ignasiu, oni pierwsi poniosą konsekwencje

tego napadu. Spokój rodziny był najważniejszy, Markowi musiała ująć na sucho ta kradzież. W myślach odliczała kolejne sekundy, a gdy doliczyła do trzydziestu, puściła nadgarstek koleżanki i sama wsunęła rękę pod kontuar. Odnalazła okrągły przycisk, poczekała jeszcze chwilę i nacisnęła. Trzy ciężkie oddechy wisiały w powietrzu. Magda siedziała na podłodze i obejmowała dłońmi głowę. Renata położyła dłoń na jej ramieniu, nic jednak nie powiedziała.

Pracownicy firmy ochroniarskiej przyjechali pierwsi. Czterech rosyńskich mężczyzn ubranych jak antyterrorystów. Mieli broń. Radiowóz pojawił się pięć minut później. Ula rozpoznała twarze funkcjonariuszy, widywała ich na korytarzach komendy. Niestety, nie było wśród nich Mariusza Żuka. Chciała, żeby się tu pojawił, potrzebowała wsparcia, choćby poklepania po ramieniu. Ten napad i świadomość, że stoi za nim Marek Gifort, przytłoczyły ją. Krótko i chaotycznie zrelacjonowały całe zdarzenie, po czym zostały zabrane do radiowozu. Na komendzie przesłuchano je ponownie, każdą w osobnym pokoju i tym razem ich zeznania zostały zaprotokołowane. Ula siedziała naprzeciw sierżant Burdeckiej i obszernie opowiadała o napadzie. Pomięła informację o tym, że sprawca puścił do niej oczko, ale przyznała, że w trosce o bezpieczeństwo nie pozwoliła koleżance uruchomić alarmu. Musiała o tym powiedzieć, bo przecież zarejestrowały to kamery sklepowe, poza tym jej wersja powinna zgadzać się z relacją Renaty. Potem sierżant Burdecka zadała kilka standardowych pytań. Czy w ostatnich dniach pojawili się w salonie podejrzani klienci? Czy

napastnicy wyróżniali się czymś szczególnym? Jak wyglądała torba, do której trafiła skradziona biżuteria? W jaki sposób sprawca trzymał pistolet? Ula odpowiadała w dużym skupieniu, odtwarzając w pamięci obrazy sprzed godziny.

Po przesłuchaniu została odwieziona do domu. Nie widziała się z aspirantem Żukiem. Może był zajęty inną sprawą, ale i tak czuła się rozczarowana. Powinien znaleźć choć pięć minut dla niej, miała przecież za sobą trudne przeżycie, potrzebowała koleżeńskiej rozmowy. Gdy weszła do mieszkania, sprawdziła telefon. Dwa nieodebrane połączenia od mamy i jeszcze esemes od niej: „Kochanie, co u ciebie? Jesteś cała? Martwię się. Nie mogę przyjechać, bo wiesz, ręka w gipsie. Leona nie ma. Pojechał do salonu, ma się też spotkać z ubezpieczycielem”.

Ula ciężko opadła na kanapę i wybrała numer Justyny. Za chwilę usłyszała w słuchawce jej zdenerwowany głos.

— Dobrze, że dzwonisz. Umieram ze strachu o ciebie. Jak się czujesz?

— Żyję.

— Nie jesteś ranna? W internecie napisali, że to był napad z bronią palną.

— Jestem cała. — Powiodła wzrokiem po szarych ścianach i nielicznych meblach. Minimalistyczne wyposażenie mieszkania przygnębiło ją. Nie chciała tu sama siedzieć. — Mamo, zaraz do was przyjadę.

— Skarbie, oczywiście. Razem poczekamy na Leona, na pewno będzie chciał z tobą porozmawiać

o tym, co się stało. To był pierwszy napad na jego salon i akurat tam, gdzie ty pracujesz. Dobrze, że nic ci się nie stało. Bardzo się zdenerwował, już rano był jakiś dziwny, jak gdyby przeczuwał, co nas dzisiaj czeka.

Ula przyczesła włosy i spięła je kłamrą. Ponownie spróbowała odsunąć szafkę od ściany. Udało się jej to zaledwie na dwa centymetry. Za mało, aby włożyć rękę, ale kij od mopa tak. To nim wydostała kluczyki. Gdy dojeżdżała do Żółwińca, zbliżała się czternasta. Nadal padało, deszcz jedynie zmieniał swoją intensywność: raz rześiste opady, po chwili tropikalna ulewa, zdająca się zatapiać pola. Niebo było ciemne od niskich chmur, które odbijały się w jeziorze, nadając mu ciemnoszarą barwę. Lustro wody było wyższe, zdawało się wciągać w swoją toń znajdujące się na nim wysepki wraz z szuwarami i wierzbami, efekt deszczowej pogody i wody cofającej się z rzeki Elbląg. Ula siedziała w samochodzie i wsłuchiwała się w deszcz bębniący o dach. Czekwała, aż ulewa nieco osłabnie, nie miała zamiaru przemoknąć aż do majtek.

Z zaskoczeniem przyjęła fakt, że przed domem stoi stary i poobijany opel Róży. Mama nie wspomniała, że synowa Leona miała przyjechać. Przesunęła wzrokiem po mocno zarysowanej karoserii. Marek powiedział, że nie kupi żonie nowego wozu, dopóki nie nauczy się parkować. Była to wymówka, bo tak naprawdę nie miał kasy na taki zakup. Ale teraz będzie go stać. Już na komendzie podsumowała koszt skradzionych rzeczy i wyszło jej ponad dwieście tysięcy.

Wyskoczyła z wozu i rozchlapując wodę, pobiegła na ganek. Justyna otworzyła drzwi. Wyglądała na rozemocjonowaną, jak gdyby czekała na wyjątkowo ważnych gości.

— Jesteś, nareszcie.

Wyciągnęła zdrową rękę i przyciągnęła córkę do siebie. Ula poczuła gips napierający na przeponę.

— Róża jest u ciebie?

— Tak, przyjechała pomóc mi zrobić kluski śląskie i sos pieczarkowy. Co prawda prawą rękę mam sprawną, ale okazuje się, że jedna to mało.

— Trzeba było mi mówić, że masz problemy z gotowaniem. Przyjeżdżałabym codziennie po pracy.

— Oj tam, jakoś sobie radzę. Widziałaś, ile jest wody w jeziorze?

— Widziałam. Dużo.

— Za dużo, parę godzin temu ogłosili, że został przekroczony stan alarmowy.

Weszły do kuchni. Róża obierała ziemniaki, wspierając się ciężowym brzuchem o zlew. Miała zaczerwienioną i spoconą twarz. Sama potrzebowała pomocy w czynnościach domowych, aż dziwne, że przyjechała tutaj. Chyba że przysłał ją mąż, aby kontrolowała, co dzieje się w domu ojca po napadzie na salon jubilerski. Może uda się jej ustalić, co powiedziała policja, ile tak naprawdę towaru zostało skradzione i najważniejsze, czy córka Justyny będzie trzymała język za zębami.

Pod stołem raczkował Mateuszek. Wypluł właśnie smoczek i wykrzywił buzię do płaczu. Ula wyjęła nóż z dłoni Róży.

— Zajmij się małym, ja skończę te ziemniaki.

— Dzięki.

Róża wytarła ręce w papierowy ręcznik i schyliła się po zawodzącego syna. Gdy go podnosiła, jej twarz wykrzywił ból.

— Nie mam siły, on cały dzień ryczy. Marek powiedział, żebym poszła z nim do psychologa, ale on ma dopiero trzynaście miesięcy. Co tu psycholog pomoże?

— Nic nie pomoże — odezwała się Justyna. — A mężowi powiedz, że płacz to przywilej dzieci.

— Tylko że ja się naprawdę martwię. Może coś mu dolega, dlatego tak płacze.

— Nic mu nie dolega, po prostu niektóre dzieci są bardziej płaczliwe. — Justyna podniosła smoczek z podłogi. — Umyć go?

— Tak, proszę.

Ula przesunęła się, robiąc mamie miejsce przy kranie.

— Opowiedz nam, jak wyglądał ten napad — poprosiła Róża, siadając na taborecie i obracając Mateuszka przodem do siebie. — Było groźnie?

Powinnaś o to zapytać swojego męża, pomyślała Ula. Zaskoczyło ją jednak, że żona Marka tak swobodnie zagadnęła o napad, jak gdyby nie miała świadomości, kto za nim stoi. A może rzeczywiście nic jej nie powiedział. Róża nie jest kobietą, która

potrafiłaby w swoim umyśle przetrwać taki pomysł. To zwykła dziewczucha, która dobrze się czuje w domowych pieleszach, przy garach i desce do prasowania. Dla niej większe zakupy w Ikei są już wyzwaniem, a co dopiero planowanie kradzieży w salonie jubilerskim.

Obrany już ziemniak wypadł Uli z dłoni i uderzył o zlew, gdy do kuchni wpadł Ignas z plastikowym pistoletem i okrzykiem:

— Ręce do góry, to napad!

Mateuszek zaczął krzyczeć. Róża kołysała go i tuliła, ale nie pomagało, wydierał się dalej. Z kolei Ignas stał ze spuszczoną głową i słuchał reprimendy matki.

Rozdział XIII

RÓŻA WIEDZIAŁA, ŻE NIKT nie zwraca na nią uwagi. Była niczym lokaj w dziewiętnastowiecznej rezydencji, rozmawiano przy niej swobodnie przy założeniu, że w niczym nie jest zorientowana i nic ją nie interesuje, a więc jak gdyby częściowo pozbawiona była zmysłu słuchu. Miała reagować tylko na sugestie o zaparzenie kolejnego dzbanka kawy lub doniesienie tacy z ciastem. Nienawidziła takiego traktowania, ale jednocześnie czuła się bezpiecznie, nawet trochę niewidzialna. Mogła obserwować i słuchać, sama będąc pomijana wzrokiem i słowem. Nikt ją nie prosił o opinię, nie próbował wciągnąć w rozmowę na poważny temat. Tymczasem ona z nimi dyskutowała, głównie z Leonem i Andrzejem, ale tylko we własnych myślach. Justyna jako jedyna od pewnego czasu zaczęła ją zauważać i odnosić się z większym szacunkiem.

Róża trzymała na ręku marudzącego Mateuszka i stała przed terrarium, w którym znajdowało się kilkaset karaczanów brazylijskich. Była to hodowla teścia, poza jubilerstwem fascynował się jeszcze karaluchami. Połączył nawet te dwie pasje, bo ogłosił konkurs na projekt broszki przedstawiającej

Blaberusa craniifera, czyli karaczana brazylijskiego. Wygrała propozycja jakiejś artystki z Belgradu. Broszkę wykonano ze złota z elementami miedzi, co miało imitować brązowy odcień tego owada.

Trzy ogromne terraria stały w gabinecie Leona Giforta. Podobno Justyna nie zgodziła się na umieszczenie ich w salonie. Brzydziła się tym robactwem, jak mówiła o karaczanach, ale nigdy w obecności męża, bo nie chciała otwarcie deprecjonować jego niecodziennego hobby. Róża przeszła do kolejnego terrarium, w którym znajdował się karaczan zielony. Pamiętała, że ten okaz jest bardzo pożądanym wśród miłośników tych owadów, prawdopodobnie ze względu na swoją nietypową barwę. Wciąż miała za plecami całe towarzystwo, które rozsiadło się na stylowych i piekielnie drogich skórzanych kanapach. Rozmawiali, głównie Leon i Andrzej, choć czasami do dyskusji wtrącały się Ula i Justyna. Róża słuchała uważnie, archiwizując każdą informację w głowie. Nie wiadomo, kiedy co się przyda. Musi wszystko zapamiętać. Właśnie Andrzej przedstawiał swój pomysł na nowy biznes. Wymyślił coś podobnego, czym się zajmował, tylko teraz zamiast obrazów chciał wypożyczać ludziom biżuterię. Miał w planach stworzyć bogatą ofertę ślubną, zakładał, że na tym wydarzeniu można najwięcej zarobić. Proponował, żeby jego żona się tym zajęła. Sylwia miała wprawę w prowadzeniu strony internetowej, a od tego należałoby zacząć — od stworzenia oferty w sieci. Andrzej pytał Ulę, co sądzi o tym pomysle. Czy sama chciałaby korzystać z wypożyczalni jubilerskiej?

Róża była wyczulona na emocje, zostało jej to z lat dziecięcych, kiedy musiała wyczuć, w jakich humorach są ciocia i wujek, a także kuzyni. Umiała odczytywać fluidy wirujące w powietrzu pomiędzy rozmówcami, teraz szybko się zorientowała, że Ula jest zła. Uprzejmie odpowiadała na pytania Andrzeja, nawet z uznaniem wyraziła się o jego pomysły, ale dawało się wyczuć buzującą w niej irytację, która momentami sięgała gniewu. Róża zastanawiała się, co tak wzburzyło Ulę. Może ten dzisiejszy napad jeszcze w niej tkwił, powodując rozdrażnienie. To możliwe. Gdy się tu pojawiła przed kilkoma godzinami, wyglądała na spokojną, ale takie wydarzenia odbijają się na psychice dopiero po pewnym czasie. Ula mogła być zła również z tego powodu, że Leon traktował ją dzisiaj z wyjątkowo dużym dystansem, a nawet chłodem i to Różę najbardziej zaciekało. Teść nigdy nie był zbyt wylewny, ale zawsze z umiarkowaną życzliwością odnosił się do córki swojej drugiej żony, a teraz taka zmiana. Wydawałoby się, że po napadzie powinien ją jakoś wesprzeć, choćby większą uwagą, on tymczasem zdawał się ignorować pasierbicę. Róża zauważyła, że ten stan mocno zaniepokoił Justynę, która usiłowała być dla wszystkich nadzwyczaj miła, jak gdyby jej uprzejmość mogła pozytywnie wpłynąć na całe towarzystwo.

Róża przeszła na drugą stronę gabinetu do trzeciego terrarium. Podobnie jak pozostałe przykryte było gęstą siatką, a brzegi ścian też wysmarowane zostały wazeliną, aby uniemożliwić owadom wspinanie się po szybach, bo z reguły nie była to dla nich żadna trudność. Po wytłaczankach

od jajek i wilgotnym piasku przemieszczały się karaczany argentyńskie. To był jej ulubiony gatunek, *Blaptica dubia*. Patrzyła na ich czarne odwłoki i czuła dreszcz podniecenia pomieszany z odrazą. Gdyby któryś wydostał się na zewnątrz, a zwłaszcza uskrzydłony samiec, to chyba umarłaby ze strachu. Czasami wyobrażała sobie, że ktoś złośliwy otwiera terraria i wszystkie karaczany, których było z trzy tysiące, rozchodzą się po tym pięknym i wymuskany domu. Wzdrygnęła się na tę myśl.

Rozejrzała się, szukając miejsca, gdzie mogłaby przysiąść. Bolał ją kręgosłup, to od noszenia dwójki dzieci. Jedno na rękę, drugie w brzuchu, była jak obładowany tragarz, któremu nikt nie pomoże, bo przecież dźwiganie jest jego profesją. Nie chciała jeszcze wychodzić, bo towarzystwo znowu zaczęło mówić o napadzie, a to ją niezmiernie interesowało. Przycupnęła więc na kanapie obok Justyny i słuchała. Leon wspomniał o trzydziestu sześciu sztukach wyrobów jubilerskich — tyle skradziono, w tym czternaście męskich zegarków. Ogółem straty wyniosły dwieście trzydzieści osiem tysięcy złotych. Ubezpieczyciel zapowiedział, że od razu wypłaci dziesięć procent kwoty, a resztę po zakończeniu śledztwa. Andrzej zaczął wypytywać Ulę o policyjne czynności, ile one mogą trwać i czy są szanse na znalezienie skradzionych kosztowności. Ta odpowiadała chętnie, zadowolona, że może się wykazać znajomością tematu. Oznajmiła, że opisała policji zrabowane wyroby, a kierowniczka sklepu, niejaka Renata, miała przygotować zestaw zdjęć ilustrujących, co zginęło. Ula wyjaśniła też, że policja nie będzie prowadzić

specjalnych poszukiwań, to przecież nie są dzieła sztuki, ale pewne szanse na znalezienie kosztowności istnieją, bo czasami wpada się na ślad pasera. Na koniec zauważyła, że sprawca znał salon, wiedział, gdzie się znajduje najdroższy towar i prawdopodobnie miał zamówienie na zegarki, bo od nich zaczął, i zabrał wszystkie.

Justyna wymknęła się z gabinetu, biorąc ze sobą swoją filiżankę. Róża też wyszła, bo Mateuszek zaczynał marudzić. Gdy przechodziła obok kuchni, usłyszała hałas. Dobrze wiedziała, jak go zidentyfikować, to porcelanowe naczynie uderzyło o kafelki. Zajrzała do środka i zobaczyła żonę Leona stojącą nad potłuczoną filiżanką.

— Wypadła mi z ręki — wyjaśniła tamta z zakłopotanym uśmiechem.

Róża zbyt często widywała podobną nerwowość u swojej ciotki, żeby teraz jej nie dostrzec u Justyny.

— Co się stało? Dlaczego jesteś zdenerwowana?

— To przez ten napad. Jak sobie pomyślę, że Uli mogło coś się stać...

Justyna przyklękła w wąskiej spódnicy i zaczęła zbierać rozbitą filiżankę. Dłonie jej drżały, choć w ruchach było też dużo wdzięku.

Róża podeszła bliżej. Druga żona Leona bardziej dawała się lubić niż matka Marka. Tamta była wiecznie niezadowolona i zawsze miała jakieś pretensje. Wizyty u teściowej były męką, bo musiała wysłuchiwać wielogodzinnych narzekań, jak to jest jej źle, jak bardzo cierpi, ile ma pracy.

Róży przypominało to jej własną matkę, która po każdym powrocie z odwyku bądź zakładu karnego pojawiała się u ciotki i gderiała, jaka jest pokrzywdzona przez los. Wzbudzała tym poczucie winy u córki, a ona, aby się go pozbyć, oddawała rodzicielce kieszonkowe. Z Justyną było inaczej, zawsze miła i uśmiechnięta. Choć Andrzej i Marek traktowali ją z oschłością, to i tak okazywała wszystkim życzliwość. Dawało się w tym zauważyć chęć przypodobania się rodzinie męża.

Róża położyła rękę na ramieniu Justyny, gdy ta podniosła się z kolan.

— Jeśli nie chcesz, to nie mów, ale może mogłabym ci pomóc.

— W tej sprawie nie możesz.

— No to chociaż cierpliwie cię wysłucham.

Justyna wrzuciła potłuczoną filiżankę do kosza. Można by pomyśleć, że ta kobieta ma wszystko, co potrzebne do szczęścia: urodę, piękny dom, bogatego męża i dwójkę wspaniałych dzieci, ale zapewne miała też problemy, o których wiedzieli nieliczni. Ten nieustanny uśmiech i miłe usposobienie były na pokaz, a w głowie — wieczny niepokój o to, aby sprostać wymaganiom rodziny. Róża patrzyła na wąskie plecy kobiety stojącej przy zlewie, na jej platynowe włosy równo przycięte na linii ramion i miała wrażenie, że widzi samą siebie. Były podobne, obie stawały na głowie, żeby zadowolić bliskich.

Justyna odwróciła się do Róży.

— Martwię się — szepnęła, a jej niebieskie oczy otoczone delikatną siateczką zmarszczek wypełniły się łzami.

— Czym?

— Ula zrobiła głupotę.

Róża posadziła Mateuszka na brzegu stołu, podtrzymując go za plecki. Pochyliła się nad nim, dając odpocząć kręgosłupowi. Była mocno zaintrygowana. Ula i jakaś głupota? To niemożliwe, ta dziewczyna była zbyt mądra, a raczej przemądrzała, ale w taki sposób, który zapewniał jej dryfowanie na powierzchni każdej kłopotliwej sytuacji.

— Co takiego zrobiła?

— Pożyczyła sobie kolczyki ze sklepu, w którym Leon dał jej pracę.

— No i co z tego?

— Tego nie wolno robić. Złamała zasadę, a Leon nie lubi, gdy się łamie zasady, bo po co je ustanawiać, skoro się ich nie przestrzega. Źle zrobiła, zawiiodła jego zaufanie.

— Nie przesadzasz? A w ogóle skąd o tym wiesz?

— Leon mi powiedział. Dostał dzisiaj raport od kierowniczkii salonu. Jest zły na Ulę i na mnie też, bo ją źle wychowałam, prawie na złodziejkę.

— Ale oddała te kolczyki, tak?

— Tak.

— No to nie ma sprawy. Zrobisz coś smacznego, otworzysz wino, będziesz mu usługiwała jak sułtanowi, no i niech Ula go przeprosi. Będzie się

jeszcze gniewał przez kilka dni, a potem mu przejdzie.

Justyna znowu klęczała na kafelkach i papierowym ręcznikiem wycierała plamy po kawie. Nagle uniosła głowę, uśmiechała się.

— Znasz to? Marek jest taki sam jak ojciec?

Róża pokręciła przecząco głową.

— On jest zupełnie inny. — Wzięła Mateuszka na rękę. — Muszę już jechać, jest późno. — Rozejrzała się. — Gdzie ja położyłam swoją torbę?

— W salonie — odpowiedziała Justyna. — Daj mi małego, zaniosę go do samochodu, ty i tak masz co dźwigać. — Wskazała palcem na jej ciężowy brzuch.

Róża wiedziała, że ze strony żony Leona to tylko chęć przypodobania się, a nie troska płynąca z głębi serca, mimo to i tak było jej miło. Przekazała syna w wyciągnięte ramiona. Chłopiec zaczął płakać i się wyrywać, ale przyszywana babcia zręcznie go utuliła.

Weszły do salonu. Torba zwisała z poręczy krzesła. Była pękata od pampersów, słoiczków z jedzeniem, śpioszków i kaftaników na zmianę. Z bocznej kieszeni Róża wyjęła telefon. Miała dwa esemesy od męża, pytał, kiedy wróci. Dlaczego wysłał aż dwa, jeden by wystarczył, czyżby coś złego się działo i tracił cierpliwość? Mimowolnie zrobiła zatroskaną minę, a Justyna to zauważyła.

— Mąż cię szuka?

— Wie, gdzie jestem, ale chyba nie może się doczekać, kiedy wrócę.

— Aha, czyli że miejsce żony jest w domu. Leon też nie lubi, jak gdzieś się wybieram na dłużej. Nawet podczas zakupów muszę się spieszyć, a na spotkaniu z koleżankami nie byłam od kilku lat. Jeśli chcesz, napiszę do Marka i wyjaśnię mu, że to ja cię zatrzymałam. Skoro ma być zły, to lepiej na mnie, nie na ciebie. Jesteś w ciąży, potrzebujesz spokoju.

— To dobry pomysł, napisz mu też, że już wyjechałam od was.

Róża schowała telefon i zarzuciła torbę na ramię. Podała Justynie kurteczkę, a ta włożyła ją Mateuszkowi.

— Pożegnaj ode mnie wszystkich — poprosiła.

Nie chciała wchodzić do gabinetu, tylko przeszkodziłaby im w dyskusji i znowu poczułaby się jak natrętna mucha, którą zauważa się dopiero, gdy usiadzie na nosie. Wyszły przed dom w głęboką ciemność i intensywny deszcz. Justyna posadziła Mateuszka w foteliku, a Róża go zapięła. Powinny szybko schować się pod dach, jedna do wozu, druga do domu, a jednak stojąc w strugach wody, uściśniły sobie jeszcze dłonie w geście porozumienia, jakie może połączyć wyłącznie kobiety zmagające się z podobnym losem.

Opel toczył się powoli po betonowych płytach, a światła reflektorów rozpraszały się w ulewie i wydobywały z ciemności nieliczne pnie drzew rosnących wzdłuż drogi. Róża jechała dwudziestką, a samochód mimo to podskakiwał na nierównościach. Z naprzeciwka zbliżały się światła jakiegoś dużego samochodu. Zakłęta pod nosem

i cofnęła się do niewielkiej zatoczki. Po chwili wyminął ją wóz strażacki. Sytuacja powodziowa musiała być poważna, ale niewiele ją to obchodziło, byle zdążyła wyjechać z Żółwińca, zanim nastąpi potop. To byłoby nawet pożądane, aby woda zalała dom Giforta i żeby oni wszyscy się potopili. Zostaliby tylko ona z Markiem, a więc im przypadłoby jubilerskie przedsiębiorstwo. Po chwili przypomniała sobie, że jeszcze Sylwia z Weroniką wzięłyby udział w podziale majątku. Wciąż stała w zatoczce, bo nadjeżdżał kolejny wóz strażacki. Gdy skręcała na szosę, minęły ją jeszcze dwa samochody wojskowe. Mateuszek zasnął, była mu za to wdzięczna, kolejny atak płaczu by ją dobił.

Gdy zaparkowała w Elblągu na Łowickiej, było już po dziewiętnastej i wciąż padało. Zamknęła samochód na klucz i podeszła do bramy. Myślała, że Marek będzie na nią czekał przed domem z rozłożonym parasolem, przecież wiedział, że już jedzie. Poczowała ogarniającą ją złość. To znowu ona ma dźwigać Mateuszka i to w takim deszczu? To też jego syn, powinien tu być i go zabrać do domu. W oknie widziała niebieskawy poblask z telewizora rozmyty przez strugi wody. Domyśliła się, że Marek zasnął na kanapie. Nie pomyliła się. Po przekroczeniu progu zobaczyła męża przykrytego kocem i chrapiącego. Na ekranie wyciszonego telewizora trwał mecz koszykówki. Gdy szarpnęła go za ramię, od razu otworzył oczy.

— Kochanie, jesteś, czekałem na ciebie.

— Właśnie widzę, jak czekałeś. Wstaw opla na posesję i przynieś Mateuszka do domu. — Rzuciła mu kluczyki. — Weź też moją torbę.

Podniósł się, a ona natychmiast zajęła jego miejsce, przykrywając się kocem po samą brodę i układając spuchnięte stopy na oparciu kanapy. Była wykończona. Kręgosłup nie wytrzymał zaawansowanej ciąży. Chyba przysnęła na moment, bo nagle się ocknęła. Gdy uniosła powieki, oślepiło ją bardzo jasne światło. Zasłoniła dłonią oczy, przez palce widziała stojącego nad nią męża z synkiem na ręku.

— Umyj go i połóż do łóżeczka.

Marek wyszedł z pokoju, a ona pograżyła się w półśnie. Słyszała szum wody, płacz Mateuszka, kroki i trzaśnięcie drzwi, te dźwięki próbowały wyrwać ją ze snu. Zmęczenie było jednak silniejsze, drzemała dalej, a gdzieś w zakamarkach umysłu świtała jej myśl, że ta chwila odpoczynku się jej należy. Marek prawdopodobnie uważał inaczej, bo robił mnóstwo hałasu przy kąpaniu syna, jak gdyby chciał ją zerwać z kanapy i przywołać do pomocy w łazience. Na moment dźwięki ucichły, a myśli znikły, w zamian pojawił się przyjemny ucisk na stopie, który przesunął się od pięty w stronę palców. Po chwili poczuła go na drugiej stopie. Gdy ustał, z niemałym trudem otworzyła oczy i zobaczyła męża siedzącego na krześle przy kanapie. Trzymał jej prawą nogę na swoich kolanach.

— Pomyślałem, że masaż stóp dobrze ci zrobi.

— Dzięki — wymamrotała. — Ale mogłeś poczekać, aż się umyję. To chyba nie było przyjemne masować spocone stopy.

Uniósł jej nogę i pocałował podbicie, tuż nad piętą.

— Jak dla mnie są pachnące.

— Jadłeś obiad?

— Wyciągnąłem z zamrażalnika gołąbki. Dobrze zrobiłem?

— Dobrze.

Dopiero teraz zauważyła stojącą na stole butelkę wina, białe wytrawne martini, Marek je uwielbiał. Obok znajdowała się szklanka.

— Piłeś?

— Trochę.

Róża nie skomentowała tego, w jaki sposób jej mąż pojmował ilość. Widziała, że butelka jest do połowy opróżniona.

— Gdybym wiedziała, że piłeś wino, nie pozwoliłabym ci kapać Mateuszka. Mógł ci się wymknąć z rąk.

— Dałem radę, nasz syn żyje.

Nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

Wskazała palcem na martini.

— Nie za wcześnie na świętowanie?

— Nie świętowałem. Chciałem się odprężyć, miałem ciężki dzień.

Róża poprawiła się na kanapie, wsuwając poduszkę pod plecy.

— Dla mnie też to był ciężki dzień. Zaskoczył mnie ten napad. Nie uprzedziłeś mnie, że to dzisiaj.

— Przesunęła stopą po jego udzie. — Z odtrąbieniem sukcesu musimy poczekać. Dopóki fanty są u nas, nie możemy czuć się komfortowo. — Uniosła się na łokciu. — Marek, a gdzie w ogóle są teraz te zegarki i biżuteria?

Milczał, wpatrując się w ekran telewizora, na którym reklamowano właśnie leki na wątrobę. Nie chciał patrzeć jej w oczy. Coś poszło nie tak, była tego pewna.

— Są u twojego wspólnika, tak? Boisz się, że będzie próbował cię wykiwać? Nie przejmuj się tym, w końcu to my mamy kontakt do pasera, poza tym znamy szczegóły napadu. Leon powiedział, że skradziono trzydzieści sześć sztuk, w tym czternaście zegarków. Twój wspólnik na pewno nas nie oszuka, odda nam wszystko, co ukradł.

Położył rękę na jej łydce i zrobił to niezwykle delikatnie, a nawet nieśmiało, jak gdyby niedawno się poznali, a to był ich pierwszy fizyczny kontakt. Znała ten gest, chciał ją uspokoić jeszcze przed wybuchem gniewu.

— Kochanie, ja nie mam żadnego wspólnika.

— Jak to nie masz wspólnika? Chcesz powiedzieć, że sam napadłeś na salon?

Roześmiała się, bo to zabrzmiało jak żart. Marek nie byłby zdolny do takiego czynu, był zbyt strachliwy i mentalnie nieprzygotowany do kroku, który miał znamiona przemocy.

Podniósł się i zaczął chodzić po pokoju.

— Nie mam wspólnika, nie zorganizowałem żadnego napadu, to nie byłem ja, to nie my.

Rozumiesz?

— To nie my? — zapytała z niedowierzaniem.

— Tak, to nie my, ktoś inny napadł na salon.

Usiadła na kanapie. Zaczęła dopadać ją złość. Dwieście trzydzieści osiem tysięcy złotych, już w domu teścia policzyła, ile z tej kwoty przypadnie jej i Markowi po opłaceniu współnika i opyleniu fantów paserowi, który płacił za nie sześćdziesiąt procent wartości. Wyszło jej, że dostaną jakieś sto tysięcy, to nie było dużo. Planując napad, miała nadzieję, że wyciągną więcej, a teraz okazuje się, że nie mają nic, bo ktoś uprzedził jej męża.

— Kurwa, nie mogłeś szybciej się do tego zabrać? Jak sama czegoś nie załatwię, to ty gówno zrobisz. Wszystko na mojej głowie.

— A ty myślisz, że zorganizowanie napadu jest takie proste?

— Miałeś tylko znaleźć zaufanego człowieka, który po napadzie oddałby ci towar.

— No i znalazłem, ale on chciał zaliczkę. Bał się, że go oszukamy.

— Przecież to nonsens, po napadzie to on miałby fanty, jak mielibyśmy go oszukać? Kurwa, nawet nie umiesz się dogadać w tak oczywistej sprawie.

Podniosła się z trudem i podeszła do stołu. Nalała wina do szklanki i zaczęła pić dużymi łykami.

— Róża, jesteś w ciąży, nie powinnaś...

— Nie mów mi, kurwa, co powinnam.

Rzuciła szklanką o ścianę. Szkło rozprysło się z głośnym trzaskiem, a resztki wina chlusnęły jak

fontanna. Marek skulił się i obejrzał na drzwi, dając do zrozumienia, że mogła obudzić Mateuszka.

— Nie mamy kasy, rozumiesz to, kurwa? Na moich kartach kredytowych jest siedem tysięcy zadłużenia. A na twoich ile? No, kurwa, pochwal się.

Nie udzielił odpowiedzi, co wprawiło ją w jeszcze większą wściekłość. Marek zachowywał się jak chłopiec, zerowe poczucie odpowiedzialności za rodzinę, a ona chciała mieć za męża mężczyznę, silnego i zaradnego. Za takiego wychodziła za męża, za syna Leona Giforta, którego jubilerskie wyroby znała cała Polska. Koleżanki jej zazdrościły życia, jakie ją czekało, usłanego diamentami i szafirami. Też się spodziewała wielkiego bogactwa, a tymczasem klepali biedę. Winny tej sytuacji był jej mąż, nieudacznik. Prowadził firmę doradczo-finansową, która generowała straty, ponadto źle zainwestował pieniądze, które dostał od ojca, stracili wszystko. Został im tylko ten dom, stary, ponemiecki, nieremontowany od czterdziestu lat, mieszkali w ruinie, nie było ich stać nawet na wymianę rynien, woda lała się im po ścianach. Najgorsze było to, że Marek nie potrafił wyjść z tego impasu, trwał w beznadziejnym położeniu, czekając na cud, a może na to, że ktoś przyjdzie mu z pomocą. Doprowadzał ją do białej gorączki tą swoją biernością. W przeciwieństwie do niego bardzo się starała, sprzątała, gotowała, prasowała, tylko dzięki niej dało się tu mieszkać, potrafiła zrobić obiad z niczego i kupić potrzebne rzeczy na promocjach. Harowała jak wół i co z tego miała?

W ostatnich miesiącach zajęła się też organizowaniem kasy, zastawiła w lombardzie pierścioneń zaręczynowy i kilka sztuk biżuterii, którą dostała od Leona przy różnych okazjach. Pożyczała drobne kwoty od Sylwii, Andrzeja i Justyny, nawet od teściowej, w końcu wpadła na pomysł tego napadu. Tyle starań o rodzinę, żeby było im lepiej, a Marek znowu zawałił.

Stańęła przed nim, dotykając go brzuchem, i spojrzała mu prosto w oczy.

— Pójdiesz jutro do ojca, poprosisz go, żeby zatrudnił cię w firmie i dał ci dobrą pensję, najlepiej dziesięć tysięcy, to powinno nam wystarczyć na normalne życie i na spłacenie długów. Tę swoją firmę zamkniesz.

Marek się nie odzywał. Miała wrażenie, że ją ignoruje. Powstrzymywała się przed rzuceniem się na niego z pięściami.

— Powiedz coś, kurwa! — wrzasnęła.

— Nie pójde do ojca, bo to nie ma sensu.

— Jak, kurwa, nie ma sensu? Powinien nam pomóc, przecież tu chodzi o jego wnuki.

— Ty go nie znasz, nie da mi złamanego grosza, bo go zawiodłem, nie poradziłem sobie, za to się nie dostaje gratyfikacji. Wielki Gifort wynagradza tylko tych, którzy sprostali jego wymaganiom.

— Co ty pierdolisz? Masz poprosić ojca o dobrze płatną pracę, a nie o pożyczkę. Powiesz mu, że chcesz wejść do firmy, Andrzej już to zrobił, wepchnął tam dzisiaj Sylwię, zapewne niedługo sam dostanie jakieś stanowisko, a tę swoją

wypożyczalnię obrazów zamknie albo komuś przekaże jej prowadzenie. — Opadła na kanapę. — Marek, błagam, ogarnij się, niedługo będziesz miał drugie dziecko, nie możemy tak żyć.

Odwrócił się do niej plecami, znowu pokazywał, że się z nią nie liczy.

— Dobrze, w takim razie ja jutro pojedę do Leona i z nim porozmawiam w twoim imieniu.

— Nigdzie nie pojedziesz, poza tym dziesięć tysięcy pensji to za mało, to nam nie pomoże.

— Najpierw zarób te dziesięć tysięcy, a potem mów, że to za mało.

Nagle przeszył ją niepokój, złe przeczucie. Marek wspomniał, że miał ciężki dzień, wypił pół butelki wina, poza tym wykąpał Mateuszka i wymasował jej stopy, jak gdyby chciał ją z góry udobruchać. W pierwszej chwili pomyślała, że coś nie tak poszło z tym napadem, ale okazało się, że to nie ich robota. Musiało więc chodzić o coś innego.

— Co się stało?

Milczał, wciąż stojąc do niej tyłem.

— Co się, kurwa, stało?! Powiedz mi!

Podszedł i usiadł obok.

— Podjąłem złą decyzję.

— Jaką decyzję?!

— Inwestycyjną. Pewien przedsiębiorca z Braniewa powierzył mojej firmie sporą kwotę. Miałem ją zainwestować dobrze i bezpiecznie. W umowie jest mowa o ryzyku sięgającym dwudziestu procent. No i utopiłem jego kasę,

prawie całą, za wszystko kupiłem akcje, a powinienem ulokować osiemdziesiąt procent w złocie i obligacjach.

— Co to dla nas znaczy?

— Muszę mu oddać sto dwadzieścia cztery tysiące. Wczoraj minął termin wypłaty. Dzisiaj był u mnie ze swoim prawnikiem, dał mi czas do przyszłego piątku, potem idzie do prokuratury, no i zgłosi moją firmę do Komisji Nadzoru Finansowego. Możemy stracić dom.

— O kurwa. Marek, musimy coś zrobić. Nie możemy do tego dopuścić, ty nie możesz. Szkoda, że nie zorganizowałeś tego napadu, to by nam zapewniło taką właśnie kwotę.

— Też żałuję. Niepotrzebnie się wahałem.

Zaczęła płakać.

— Co my teraz zrobimy?

— Nie wiem. Jeśli ojciec się dowie o moich długach, to mnie wydziedziczy. Będzie się bał, że przepuszczę cały jego majątek.

Róża wiedziała, że musi coś wymyśleć, znaleźć jakieś rozwiązanie. Marek ją irytował, wprawiał we wściekłość, ale był jej mężem, kochała go, niebawem będą mieli dwoje dzieci, musi to ratować.

Rozdział XIV

ULA STAŁA NA GANKU i patrzyła na deszcz oraz na światła latarek migające przy wałach. Strażacy szukali miejsc, gdzie przeciekała woda. Nie ma to jak grudniowa aura nad jeziorem Drużno, zamiast śniegu i lodowiska, ulewa i podtopienia. Podjechały dwie wojskowe ciężarówki, za chwilę błysnęły ogromne reflektory i ciemne postaci zaczęły zdejmować z samochodów worki z piaskiem.

Powinna wracać do Elbląga, bo w każdej chwili droga z betonowych płyt ciągnąca się przy jeziorze może zostać zalana, a wtedy nie wydostanie się na szosę i utknie tutaj, w tym domu, gdzie nikt jej nie chciał, gdzie znajdowali się ludzie, których szczerze nienawidziła. Dwóch zarozumiałych palantów wartych siebie, Leon i Andrzej Gifort. Ten drugi ukradł jej pomysł na biznes. Co za pech, że w tym samym momencie co ona wymyślił jubilerską wypożyczalnię. Właściwie powinien wpaść na to przedsięwzięcie dużo wcześniej, skoro prowadził działalność o podobnym charakterze. A Leon potraktował ją dzisiaj jak intruza, jak osobę obcą i wroga. To ją zszokowało. Myślała, że po napadzie więzi rodzinne zostaną zacieśnione. Na początku nie wiedziała, skąd ten mroźący chłód w postawie

Giforta, ale mama dopadła ją w korytarzu i wyjawiała, że wydało się, iż pożyczła brylanty z salonu. Zobaczyła wyrzut w jej oczach, a nawet potępienie, jak gdyby co najmniej kogoś zabiła. Wielka mi rzecz, włożyła kolczyki, a oni traktują ją jak zbrodniarza. Próbowwała wytłumaczyć, że te pretensje są przesadzone, ale Justyna nie chciała słuchać. Ula czuła się pokrzywdzona, nawet zdradzona. Miała wrażenie, że Gifort ustawił przeciwko niej najbliższą osobę. To nieuczciwe, mama zawsze powinna stawać po jej stronie, nawet gdyby miało to być przeciwko mężowi. Nienawidziła dzisiaj wszystkich trzech Gifortów, Marka także, bo zapewnił jej sporą dawkę stresu tym swoim napadem. Najchętniej weszłaby ponownie do domu Leona i wykrzyczała mu w twarz, że owszem, pożyczła kolczyki z salonu, ale jego syn ukradł trzydzieści sześć sztuk wyrobów jubilerskich i zapewne nie zamierza ich oddać. Szkoda, że nie mogła tego zrobić.

Ula wsiadła do renówki i wytarła twarz z deszczu. Za trzydzieści minut będzie w mieszkaniu, weźmie gorącą kąpiel i położy się do łóżka. Jutro niedziela, a więc będzie się mogła wylegiwać do południa. A potem może zdoła wyciągnąć którąś z koleżanek do pubu, chyba że zadzwoni Mariusz i zaproponuje spotkanie. To dziwne, że do tej pory się nie odezwał, na pewno wie o napadzie. W głębi ducha go usprawiedliwiała, prawdopodobnie jest zajęty, w końcu pracuje w wydziale kryminalnym.

Z drogi krajowej dwadzieścia dwa wjechała na Warszawską, zamienioną teraz w wartką rzekę. Tak wyglądały niemal wszystkie ulice miasta,

studzienki nie nadażały odprowadzać deszczówki. Przejechała przez most i sprawnie pokonywała kolejne skrzyżowania, bo ruch był nieduży. Gdy mijiała Światowid, pojawił się za nią radiowóz. Trzymał się jej zderzaka aż do Węgrowskiej. Gdy skręciła w Kasprzaka, on również. Była niemal pewna, że to Mariusz. Zaparkowała w zatoczce pod wieżowcem i wysiadła wprost w kałużę i ulewę. Lodowata woda nalała się jej do butów, a deszcz uderzył o kaptur. Zaklęła. Wóz policyjny zatrzymał się opodal, po chwili wysiadł z niego aspirant Żuk i podszedł do niej. Czekwała na standardowe pytanie: Jak się czujesz? Mogłaby wtedy powiedzieć, że celowano do niej dzisiaj z broni palnej, ukradziono jej pomysł na biznes, potraktowano jak złoczyńcę, ale w ogóle to nie byłoby źle, gdyby nie przemoczone nogi. Mariusz jednak milczał. Może takie stanie naprzeciw siebie w strugach lejącej się z nieba wody było malownicze i przypominało scenę z filmu, ale ona nie miała ochoty dłużej moknąć.

— Wejdiesz na herbatę? — Zaproszenie zabrzmiało trochę oschle, może przez chrypkę, która ją nagle dopadła. Dodała więc: — Mam sok malinowy. Dobrze nam zrobi gorąca herbata z sokiem.

Mariusz wskazał na samochód.

— A ja zapraszam do radiowozu.

Domyśliła się, że jest na służbie, dlatego nie wejdzie na górę. Jeśli jednak mają porozmawiać tutaj, to lepiej w renówce, bo w wozie policyjnym za kierownicą siedział funkcjonariusz.

— Pogadamy w moim samochodzie.

— Nie. Porozmawiamy na komendzie.

Ula zrozumiała, że chodzi o ponowne przesłuchanie. Policja musiała mieć coś nowego, ale czy to znaczy, że wpadli na trop Marka? Jeśli tak, to będzie się wypierać, że wiedziała o planowanym napadzie, bo w innym razie gotowi oskarżyć ją o współudział, zwlekała przecież z naciśnięciem alarmu. Usiadła z tyłu, a aspirant z przodu. Ruszyli. Światło z lamp ulicznych lśniło w strugach deszczu.

— Ale mamy pogodę — zagadnęła.

— Niestety, bandytom żadna pogoda nie przeszkadza — zauważył Mariusz.

Przytaknęła, uznając, że jego uwaga odnosi się do dzisiejszego napadu.

— Czy przesłuchanie nie może poczekać do jutra? Miałam dzisiaj wystarczająco dużo wrażeń. Jestem zmęczona i przemoknięta.

— Przecież wiesz, że to głównie czas decyduje o sukcesie śledztwa.

Oczywiście, że wiedziała. Ciekawe, czy Renata i Magda zostały ponownie przesłuchane. Miała już o to zapytać, ale właśnie przemknęło jej przez głowę, że jeśli podejrzanym stanie się syn Leona Giforta, to ubezpieczyciel może nie wypłacić odszkodowania, bo uzna napad za samookradzenie. Kolejny powód, żeby kryła Marka.

Wysiedli na Tysiąclecia i wbiegli do budynku komendy, chroniąc się przed ulewą. Miała wrażenie, że deszcz jeszcze się wzmógł. Zsunęła

kaptur, rozpryskując wokół siebie krople wody. Rzuciła słowa powitania do oficera dyżurnego, a ten zamachał ręką. Może nawet rozpoznał w niej niedawną funkcjonariuszkę. Weszli na schody. Podążała posłusznie za aspirantem Żukiem. W budynku komendy panowała wyjątkowa cisza, spokojny wieczór, mimo tego, że sobota.

— Ty będziesz mnie przesłuchiwał?

— Nie.

— Sierżant Burdecka?

— Też nie.

— To kto?

— Jura.

Ula poczuła niepokój. Sam podinspektor, osobiście, to było jak zapowiedź niefartu, jak gdyby wylosowała na loterii zły los. Zwolniła. Aspirant Żuk wyprzedził ją o kilka schodków. Odwrócił się.

— Chodź. Nie dam ci zrobić krzywdy.

Uspokoił ją tym zapewnieniem. Ruszyła w górę. Weszli do pokoju, w którym pięć tygodni temu przesłuchiwany był Krzysztof Marczak. Pomyślała, że to celowy zabieg, aby przypomnieć jej, że trzeba zeznawać zgodnie z linią policyjnych oczekiwań. Będą próbowali zmusić ją do wyjawienia tożsamości sprawcy. Tego była niemal pewna.

Podinspektor siedział za biurkiem i przeglądał papiery. Tamtego dnia też tak było. Gdy przesłuchiwali Marczaka, Juraszczyk miał porozkładane dokumenty, a potem wszystkie zgarnął do szuflady gestem, który mówił, że są to

śmieci. Uniósł głowę i mimochodem obrzucił ją zdawkowym spojrzeniem, jak gdyby nie była nikim ważnym, a on wcale na nią nie czekał.

— Proszę usiąść — mruknął.

Pośrodku pomieszczenia stało krzesło. Typowe ustawienie, stosowane po to, żeby zeznający czuł się wystawiony na widok publiczny, wtedy trudniej ukryć drżące dłonie czy nerwowo podrygujące nogi, a skoro ciało mówi prawdę, to usta też powinny. Taki banalny chwyt wobec niej, byłej funkcjonariuszki. Przysunęła krzesło do biurka, przy którym siedział podinspektor. Nikt tego nie skomentował. Mariusz zajął stanowisko protokolanta, będzie więc przy przesłuchaniu. To dodało jej pewności siebie, ale tylko na moment.

Podinspektor zgarnął papiery do szuflady i oparł łokcie na pustym biurku.

— Co nam pani powie o tym napadzie?

Nie została poproszona o podanie danych osobowych, nie uprzedzono jej o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań, podinspektor od razu przeszedł do sedna, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że jest to przesłuchanie półoficjalne. Nie wszystko, co powie, musi trafić do protokołu, a dalej do prokuratury. Może więc wyjawić więcej niż parę godzin temu.

— Wszystko już powiedziałam sierżant Burdeckiej, nie mam nic do dodania.

— Chciałbym to jeszcze raz usłyszeć. Proszę opowiedzieć o napadzie.

Nie zabrzmiało to jak prośba, lecz jak polecenie. Ula zaczęła relacjonować wydarzenie sprzed kilku godzin. Akompaniamentem do jej słów było ciche stukanie w klawisze. Mariusz notował jej wypowiedź, a Juraszczyk patrzył na nią wąsko osadzonymi oczami i zdawał się nudzić. Gdy skończyła, rozparł się na krześle.

— Pani Ulo, zrobiła pani poważny błąd.

— Jaki? — wyrwało się jej.

Miała ochotę ugryźć się w język. Niestety, fatalne pytanie już padło. Juraszczyk był doświadczonym śledczym, a ona nowicjuszem w kwestii składania zeznań. Właśnie przyznała, że mogła popełnić jakiś błąd.

— Nie sprawdziła pani, jak rozmieszczone są kamery w salonie.

— Oczywiście, że nie sprawdziłam, bo to nie moja sprawa. Pracuję tam w charakterze sprzedawczyni, a nie ochrony.

— Pani Ulo, jeśli planuje się napad, to takie rzeczy należy ustalić.

Wciągnęła powietrze w płuca i w nerwowym odruchu splotła dłonie. Na szczęście zasłaniało ją biurko. Uśmiechnęła się nieznacznie i posłała pytające spojrzenie aspirantowi Żukowi. Miała nadzieję, że wypadło to naturalnie.

— Gdybym planowała napad, tobym sprawdziła, gdzie są kamery.

— I wtedy uprzedziłaby pani swojego współnika, żeby nie mrugał do pani porozumiewawczo

w trakcie napadu, bo to może zostać zarejestrowane i to was pogrąży.

Chciała ponownie wciągnąć powietrze do płuc, ale jej się nie udało. Oddech miała płytki, bo coś ścisnęło jej klatkę piersiową. Bynajmniej to nie było nic materialnego, po prostu emocje. Zaczęła rozpinać płaszcz. Grunt to udzielić teraz przekonującego wyjaśnienia.

— Pamiętam to. Sprawca puścił do mnie oczko, zupełnie mnie tym skołował. To chyba jakiś trik, bo zaczęłam z nim współpracować, robiłam, co mi kazał, nawet nie próbowałam się sprzeciwić. To chyba syndrom sztokholmski w pigułce. Nie wydaje się panu?

Delikatny uśmiech na twarzy Mariusza powiedział jej, że zdołała wybrnąć z trudnego położenia.

— Zręczna odpowiedź, ale nieprawdziwa — zauważył podinspektor. — Przestępcy nie są psychologami, ograniczają się do straszenia i grożenia, bo to przynosi natychmiastowy efekt. Lufa przy głowie więcej zdziała niż puszczenie oka.

— Ma pan rację. Makarow w jego ręku działał na mnie motywująco i na moje koleżanki również.

— A jednak panią wybrał do opróżniania gablot. Dlaczego?

Ula wzruszyła ramionami.

— Trochę ponad miesiąc temu protokołowała pani przesłuchanie Krzysztofa Marcza. Wie pani więc, że potrafimy przekonać człowieka, aby się przyznał do popełnienia przestępstwa, a mimo to porywa się pani na taką rzecz. Organizuje pani napad na sklep

swojego ojczyma, Leona Giforta, i robi to pani w mało wyszukany sposób, praktycznie się pani wystawia jako główna sprawczyni.

Ula była zaskoczona i przerażona. Myślała, że podinspektor uzna, iż pomagała napastnikowi, bo była z nim w zмовie. Tymczasem podejrzewał ją o kierownictwo napadem. To ona miała być przestępcą numer jeden, a nie człowiek z makarowem w ręku.

— Może pan przynieść paralizator. I tak się nie przyznam do czegoś, czego nie zrobiłam.

— Przyzna się pani i to bez paralizatora.

Zabrzmiało to jak groźba. Spojrzała na aspiranta Żuka z nadzieją, że zareaguje, ale on wpatrywał się w monitor.

— Dlaczego nie pozwoliła pani kierownicze salonu uruchomić alarmu?

— Bo sprawca powiedział, że jak to zrobimy, to wróci i nas zabije.

— A skąd miałby wiedzieć, że uruchomiłyście alarm? Przecież sygnał włączał się tylko w firmie ochroniarskiej.

— Zapomniałam, że to jest cichy alarm.

— Od trzydziestu lat wyłącznie takich się używa, bo niosą ze sobą mniejsze niebezpieczeństwo dla ewentualnych zakładników. Nie mówili wam tego na szkoleniu policyjnym?

— Nie pamiętam.

— A nie pomyślała pani o tym, że napastnik nie mógłby ponownie wejść do sklepu, bo zamknęła

pani drzwi na klucz? Już nie było żadnego zagrożenia.

— Bałam się, że przestrzeli zamek albo będzie strzelał przez okno wystawowe.

Podinspektor przez chwilę wpatrywał się w nią w milczeniu, jak gdyby oczekiwał, że jeszcze coś doda. W końcu zadał kolejne pytanie:

— Lubi pani drogą biżuterię?

— Czy ja wiem. Nie bardzo.

— A brylanty?

Zmroziła ją myśl, że brylantowe kolczyki mogą ją pograżyć. Zapewne podinspektor już wie, że pożyczała je ze sklepu. Renata i Magda musiały to zeznać.

— Chciała pani mieć je na własność, te brylanty?

— A po co mi one? Przecież nie mogłabym nosić biżuterii z napadu.

— Ale pani już nosiła kradzione kolczyki. Wcześniej to pani nie przeszkadzało.

Podinspektor obejrzał się na aspiranta Żuka, dając do zrozumienia, że tę wiedzę posiada od niego.

— One nie były kradzione. Tylko je wypożyczałam ze sklepu, a potem oddawałam.

— Pani koleżanki zeznały, że obserwowała pani dzisiaj wszystkich klientów. Kamery też to uchwyciły, jak pani wodzi za nimi wzrokiem. Czekala pani na napastnika, stąd ta obserwacja. Nie mieliście dokładnie ustalonej godziny, bo zależało to od innych czynników, choćby od tego, ile

osób akurat będzie w sklepie. Idealna sytuacja to oczywiście zero klientów.

Ula z ulgą pomyślała, że przed tym zarzutem może się bronić, ma przecież w komórce dowód, że czekała na Aleksandra.

— Do salonu miał wpaść znajomy. To jego wypatrywałam. — Wyciągnęła telefon i podsunęła go pod oczy Juraszczykowi. — Proszę zobaczyć, tu jest mój esemes do niego. Napisałam mu, że jeśli dziś nie przyjdzie do sklepu, to już więcej nie będę się z nim kontaktować. A on odpisał: „Do zobaczenia”.

— Proszę podać dane osobowe tego człowieka, który miał panią odwiedzić w sklepie. Sprawdzimy to.

— Nie wiem, jak się nazywa, mieliśmy się dzisiaj zobaczyć po raz pierwszy. Wiem, że to brzmi dziwnie, ale tak właśnie było.

— W takim razie proszę podać jego numer telefonu, zaraz ustalimy tożsamość pani znajomego.

Podinspektor wyjął z szuflady notes i długopis. Ula starała się być ostrożna i odpowiadać rozsądnie, a tymczasem każde kolejne zdanie ją pogrążało. Teraz zamilkła.

— Poprosiłem panią o numer telefonu znajomego, który miał dziś odwiedzić panią w sklepie.

— Możecie mieć problem z ustaleniem jego personaliów, bo on korzysta ze startera zarejestrowanego na bezdomnego, na niejakiego

Klemensa Rabę — oznajmiła zrezygnowanym tonem, jak gdyby przyznawała się do winy.

Juraszczyk tego nie skomentował, nie musiał, konkluzja nasuwała się sama. Skoro ktoś używa karty zarejestrowanej na słupa, to zapewne ma coś do ukrycia.

Poczuła niepokój na myśl, że podinspektor zechce zobaczyć całą konwersację esemesową z Aleksandrem i dowie się, że często rozmawiali o kamieniach szlachetnych, że robiła sobie selfie w brylantowych kolczykach i mu wysyłała. Dla kogoś bardzo podejrzliwego może to wyglądać na zakamuflowane informacje dotyczące napadu. Schowała telefon do kieszeni płaszcza.

— Pani Ulo, gdzie teraz znajdują się skradzione wyroby jubilerskie?

— Nie mam pojęcia.

— A może pani znajomy wie? Ten od startera zarejestrowanego na słupa? Może zapytamy go, czy wszystko u niego dobrze?

Ula się uśmiechnęła. To samo zagranie podinspektor zastosował wobec Krzysztofa Marcza. Wtedy mu się udało, ale teraz nic to nie da. Wyjęła ponownie telefon i położyła na biurku.

— Proszę, niech pan pisze.

Podinspektor wziął aparat i szybko przesuwając palcem po ekranie. Po chwili zakomunikował, że wiadomość została wysłana. W milczeniu czekali na esemesa zwrotnego.

Ula zerkała na Mariusza, próbując wywnioskować, czy też podejrzewa ją

o zorganizowanie napadu na sklep. Miała nadzieję, że uwierzył w jej niewinność. Potrzebowała jego wsparcia. Wypatrywała życzliwego gestu lub spojrzenia. Niestety, aspirant siedział z pochyłą głową i przymkniętymi oczami, może był bardzo zmęczony albo nie chciał na nią patrzeć.

Rozległ się odgłos przychodzącego esemesa. Podinspektor pierwszy przeczytał wiadomość, potem podał telefon Uli. Rzuciła okiem na wyświetlacz i przeszła ją trwoga. To było niewiarygodne, nie umiała ogarnąć tego rozumem, wytłumaczyć w sensowny sposób. Juraszczyk zadał pytanie Aleksandrowi: „Gdzie są błyskotki?”, a tamten odpowiedział: „Schowane pod moim łóżkiem”. Po pierwszej chwili oszołomienia dotarło do niej, że Aleksander uznał pytanie za żart i w takim duchu odpisał. Odetchnęła i oblizła spierzchnięte usta.

— On wie o napadzie, przecież media już o nim informowały, dlatego tak napisał.

Juraszczyk patrzył na nią z politowaniem. Mariusz wstał od klawiatury i zbliżył się do niej. Pomyślała, że chce ją przytulić, pogłaskać po głowie, on jednak wyjął jej z ręki telefon i półgłosem odczytał esemesy, a potem sam zaczął pisać wiadomość. Szybko dostał odpowiedź.

— Kurwa, Ulka masz problemy — syknął przez zaciśnięte zęby.

Najpierw pokazał wyświetlacz podinspektorowi, potem jej. Po przeczytaniu esemesów zaczęła płakać.

Mariusz napisał: „Zrób zdjęcie błyskotkom. Chcę je zobaczyć”. Aleksander odpisał: „Znowu mi nie ufasz?”.

Miała tego dosyć. Adorator Michalskiej ją wrabiał, nie rozumiała dlaczego.

— Proszę jeszcze raz opowiedzieć o napadzie — odezwał się podinspektor.

Wytarła nos. Miała już oświadczyć, że to Marek Gifort stoi za wszystkim, ale dotarło do niej, że nie ma na to żadnego dowodu, nie uwierzą jej. Czym będą jej słowa wobec esemesów Aleksandra? Niczym. Podniosła głowę i spojrzała w oczy Juraszczykowi.

— Nie mam nic wspólnego z tym napadem.

Podinspektor i aspirant wyszli z pokoju przesłuchań, zostawiając otwarte drzwi. Gdzieś z oddali słyszała ich głosy i jeszcze innych funkcjonariuszy. Wiedziała, co teraz robią. Ustalali, gdzie logował się telefon Aleksandra. Będą próbowali go namierzyć i zgarnąć jeszcze dzisiejszej nocy. Chciała, żeby im się udało, bo widziała w tym ratunek dla siebie. Konfrontacja między nią a Aleksandrem ujawni, że ona mówi prawdę.

Gdy Juraszczyk wrócił, zaczęła opowiadać o zleceniu, które dostała od Aliny Michalskiej, o tajemniczym adoratorze, któremu dla wygody nadała imię Aleksander i z którym pisze esemesy od niemal miesiąca. Przyznała też, że poprosiła Mariusza o pomoc, a ten ustalił, że adorator korzysta z karty zarejestrowanej na bezdomnego, a jego telefon logował się w najróżniejszych miejscach miasta, co kazało im podejrzewać, że

może być taksówkarzem. Podinspektor słuchał jej uważnie. Była mu za to wdzięczna. Gdy skończyła, zapytał o nazwisko jej współnika, jak gdyby nie dotarło do niego nic z tego, co przed chwilą powiedziała. Przez dwie kolejne godziny była przesłuchiwana, po kilka razy odpowiadała na te same pytania. Juraszczyk nawet się nie trudił, żeby je inaczej sformułować. Była poddawana jawnym torturom psychicznym. Mogła zamilknąć, odmówić dalszych zeznań bez obecności adwokata. Marczak też tego próbował, wówczas został spałowany, a ostatecznie potraktowany paralizatorem. Była pewna, że jej przemoc fizyczna nie grozi, chroniło ją to, że była kobietą. Podinspektor Juraszczyk był skurwysynem, ale z zasadami. Poza tym łudziła się, że obecność aspiranta Żuka zapewnia jej nietykalność. Mimo to nie zaprzestała udzielania odpowiedzi. W głębi ducha była przekonana, że jeśli będzie zaprzeczać, że zorganizowała napad, to podinspektor jej uwierzy. Gdy o północy wychodziła z komendy, słała się na nogach. Miała jednak pewność, że policjanci trochę zwątpili w jej winę.

Rozdział XV

PODINSPEKTOR OPARŁ ŁOKCIE na biurku i przysunął twarz do monitora niczym krótkowidz. Wcale nie liczył, że zobaczy więcej, raczej chciał dać odpocząć plecom. Coraz częściej bolał go kręgosłup. Wolał nie myśleć, że jest to związane z wiekiem. Ma przecież niesamowitą kondycję, jest wysportowany, codziennie chodzi na basen i przepływa tysiąc pięćset metrów. Wielu młodych funkcjonariuszy mu nie dorównywało, choćby Mariusz Żuk, który gdy był na kacu, pocił się, wchodząc na drugie piętro. Podinspektor pochylił się jeszcze mocniej, wyginając plecy w koci grzbiet. Zdecydowanie za dużo siedzi, jak gdyby był kierowcą autobusu, a nie gliną. Wydawało mu się, że od czasu informatyzacji służb mundurowych — co miało miejsce nie tak dawno, policja była ostatnią instytucją, w której pojawiły się komputery, podobno obawiano się, że funkcjonariusze nie poradzą sobie z obsługą tych urządzeń — będzie mniej siedział przy biurku. Pod tym względem nic się jednak nie zmieniło, nadal siedzi w papierach, tylko te są elektroniczne.

Na monitorze klatka po klatce odtwarzał się film z napadu na sklep jubilerski Giforta. Nie było to dzieło godne amerykańskiego kina gangsterskiego.

Brakowało huku wystrzałów i dźwięku szkła sypiącego się z witryn. To nagranie pozbawione było warstwy dźwiękowej. Szkoda. A może nie szkoda, mieliby wtedy więcej do roboty, musieliby przeanalizować każdy odgłos, a i tak do niczego by ich to nie doprowadziło. Film był w przyzwoitej rozdzielczości, Juraszczyk obserwował więc każdy ruch Uli Baranowskiej. Głowa wciśnięta nieco w ramiona, plecy pochylone i dłonie oparte o kontuar, jak gdyby bała się, że nie utrzyma się na nogach. Na polecenie napastnika zbliżyła się do gablot rozchwianym krokiem. Na pewno była mocno zdenerwowana, ale czy wystraszona? Uruchomił kolejne nagranie, tym razem z monitoringu miejskiego, i zobaczył sprawczynię wychodzącą ze sklepu jubilerskiego. To ona wyniosła kosztowności w niewielkiej torbie podróżnej, jaką można kupić w każdym markecie. Ta kobieta intrygowała go, jak gdyby pochodziła co najmniej z innej planety. Niesamowite było jej opanowanie. Niosła fanty, a jednak szła spacerowym krokiem. Nie oglądała się, nie przyspieszyła. Profesjonalistka? Trudno było określić jej wiek, bo twarz miała zasłoniętą szalem. Po ruchach i sprężystych krokach zdawała się młoda. Ula określiła ją na dwadzieścia parę lat. Jako jedyna widziała współniczkę napastnika z bliska, bo dwie pozostałe sprzedawczynie stały twarzą do ściany. Dojrzała właściwie tylko jej oczy, bo te wystawały z szala. To one były młode, pozbawione zmarszczek. Napastniczka szła na zachód pasażem. Wyróżniała się spośród nielicznych przechodniów, bo jako jedyna nie miała parasolki, a deszcz był intensywny. Potem skreśliła

w aleję Tysiąclecia i zatrzymała się na przejściu dla pieszych, przepuszczając radiowóz jadący na sygnale do napadu. Gdy kolejna kamera złapała ją na Rycerskiej, nie miała już torby, ale za to osłaniała się parasolką. Zobaczyli ją jeszcze na Giermków w pobliżu skrzyżowania ze Szkolną, a potem dosłownie zapadła się pod ziemię.

Juraszczyk polecił sprawdzić wszystkie śmietniki w okolicy. Założył, że pozbyła się szala i płaszcz, może nawet butów. Jeśli zdjęła te rzeczy, to mogła stać się inną osobą, choćby tą dziewczyną w zbyt obcisłej kurtce, która przebiegała przez Rycerską i miała spuszczoną głowę. Może nie chciała, aby jakaś kamera zarejestrowała jej twarz, albo po prostu chroniła makijaż przed deszczem. Był w stanie zauważyć jedynie, że obie kobiety trzymają ręce w podobny sposób, blisko tułowia. Trochę szukali przysłowiowej igły w stogu siana. Kobieta mogła wejść do któregoś z bloków na Giermków i schronić się w mieszkaniu. Mógł ją też zabrać przejeżdżający samochód. Zastanawiał się, czy nie upublicznić wizerunku napastniczki w płaszczu i obszernym szalu, zasłaniającym głowę i twarz. Wyglądała dość charakterystycznie, prawie jak muzułmanka. Może ktoś zwrócił na nią uwagę i widział, jak wsiadała do samochodu, a może nawet zapamiętał, co to był za wóz. No i wygląda też na to, że był kolejny współnik, bo kobieta przekazała komuś torbę, a w zamian dostała parasolkę. Mało prawdopodobne, żeby gdzieś zostawiła kosztowności, aby później je zabrać, chociaż taką ewentualność też brał pod uwagę. Mogła ukryć fanty w bagażniku któregoś z samochodów zaparkowanych na Giermków.

Powinni sprawdzić, do kogo należą stojące tam auta.

Napastnik też zniknął i było to jeszcze bardziej zaskakujące niż w wypadku kobiety. Po opuszczeniu sklepu udał się wprost do hotelu Arbiter i tam przepadł, jak gdyby założył czapkę niewidkę. Sprawdzili wszystkich gości i pracowników, przeszukali cały budynek, włącznie z piwnicami, i nie znaleźli ani sprawcy, ani makarowa. Spisali jedynie kilku mężczyzn, którzy wzrostem i posturą przypominali poszukiwanego.

Trzeba jak najszybciej doprowadzić do konfrontacji sprzedawczyń z salonu Giforta z gośćmi hotelowymi i dwoma pracownikami. Może dziewczyny w którymś rozpoznają napastnika. Elementem identyfikacyjnym będą głównie oczy, tylko one wystawały z kominiarki. Wprawdzie żadna z pań nie umiała opisać koloru tęczyówek sprawcy, ale to nie takie istotne. Liczył raczej na ogólne wrażenie, na rozpoznanie całościowej anatomii, jak choćby wielkość oczu czy ich rozstawienie.

Znowu powrócił myślami do Uli Baranowskiej. Intuicyjnie czuł, że jest zamieszana w zdarzenie. To puszczenie oczka przez sprawcę nie było przemyślanym trikiem psychologicznym, co próbowała mu wmówić. Napastnik dawał jej znać, że wszystko idzie dobrze i mają postępować zgodnie z planem. Zastanawiał się, jak podejść Ulę. To na niej powinno opierać się całe śledztwo. Należałoby ją gruntownie rozpracować. Sprawdzić, z kim się kontaktowała przez ostatnie tygodnie, ustalić, czy

używała szyfrowanych komunikatorów internetowych. Może by na coś ciekawego natrafili.

Podczas przesłuchania poradziła sobie znakomicie, jeden zero dla niej. To jednak nie koniec. Wkrótce zostanie wezwana do złożenia kolejnych zeznań. Poprosi ją o chronologiczne odtworzenie całego zdarzenia i o ponowne opisanie wyglądu sprawców. A dwa dni później będzie kolejne przesłuchanie, tym razem w salonie jubilerskim. Któryś z funkcjonariuszy założy kominiarkę, weźmie atrapę broni i wcieli się w napastnika. Wtedy zapyta ją, co czuła podczas napadu, jakie zapachy unosiły się w powietrzu, jakie dźwięki do niej docierały. Ula zna te techniki, ale tylko teoretycznie, a więc to nie problem, na pewno im się podda i na nowo będzie przeżywać zdarzenie. Szybko się pogubi, a on to wykorzysta. Zaproponuje, że za sypnięcie współników pomniejszą jej udział w napadzie. Najchętniej całe śledztwo ograniczyłby do przesłuchania Ulki Baranowskiej, bo to metoda skuteczna i niegenerująca kosztów.

Podinspektor zobaczył w wyobraźni bladą twarz posterunkowej z ciemnymi oczami i wysuniętym podbródkiem, co nadawało jej trochę zadziorności w wyglądzie. Dopiero teraz dostrzegł, że to atrakcyjna kobieta, już się nie dziwił Mariuszowi, że się nią zainteresował. Po przesłuchaniu zyskała w jego oczach. Wcześniej wydawała mu się dziewczyną z zasadami, ale pozbawioną kreatywności i zbyt miękką. Ulżyło mu, gdy zrezygnowała ze służby, nie chciał mieć w zespole pracownika bojącego się własnego cienia. A teraz

jawiła mu się jako bystra i nieugięta, zdolna do rzeczy niekonwencjonalnych, nawet do przestępstwa, o ile zostanie dobrze zmotywowana. No właśnie, motywacja. Dlaczego miałyby organizować napad na sklep swojego ojczyma? Wcześniej się nad tym nie zastanawiał.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i stanął w nich aspirant Żuk. Miał rozbiegane spojrzenie. Juraszczykowi przemknęło przez głowę, że powinien posadzić go w magazynie ze sprzętem, niech pilnuje kasków i kamizelek. Szkoda by było tak dobrego gliniarza na to stanowisko, ale jest to dobre miejsce dla kogoś, kto lubi sobie chlapnąć podczas służby.

— Mamy zgłoszenie z Żółwińca — oznajmił Mariusz bardzo poważnym tonem.

— Co takiego?

— W pobliżu domu Leona Giforta znaleziono zwłoki dziecka.

— Znaleziono je na drodze? Mogłoby to być potrącenie?

Jako jeden z niewielu nie miał problemu z martwymi dziećmi. Ich zwłoki nie śniły mu się po nocach, a oględziny nie przyprawiały o ścisk w gardle. Robota ta sama, co przy dorosłych. Gdy jeszcze nie było obowiązku wożenia maluchów w fotelikach, to oglądał ich zmasakrowane ciała kilka razy do roku. Kiedyś było też więcej utonięć dzieci niż teraz. Ale za to od kilku lat wzrastała liczba samobójstw wśród nieletnich i te zdarzenia robiły największe wrażenie na podinspektorze. Wiszące na gałęzi zwłoki jedenastolatka

z niebieskim plecakiem na plecach tkwiły mu pod powiekami przez cały dzień.

Aspirant zbliżył się do biurka i zerknął na trzymaną kartkę.

— Z Żółwińca zadzwonił strażak, młodszy kapitan Adam Chabicki. Oni tam teraz się kręcą, bo jest zagrożenie powodziowe na jeziorze Drużno. No i znaleźli zwłoki dziecka przy domu Giforta. Leżało pod otwartym oknem. Strażak stwierdził, że ten chłopiec mógł wyskoczyć.

Na podinspektorze dopiero teraz informacja zrobiła wrażenie. Kolejne samobójstwo dziecka i to w takiej rodzinie.

— Gifortowie mieli syna?

— Tak. Ula mówiła mi, że ma siedmioletniego brata. Zgadzałoby się. Na ten sam wiek Chabicki określił zwłoki chłopca. Kurczę, co za tragedia.

— A co z rodzicami? Co z Gifortem i jego żoną? Już o tym wiedzą?

Mariusz zerknął na kartkę.

— Nic na ten temat nie mam. Mogę poprosić oficera dyżurnego o zapis tego zgłoszenia.

Podinspektor zaczął wkładać kurtkę.

— Nie ma na to czasu. Jedziesz ze mną. Za dwie minuty spotykamy się na parkingu.

— Tylko my we dwóch? Przecież tam są zwłoki.

— Reszta do nas dojedzie. Nie będziemy na nich czekać, bo to potrwa z pół godziny, zanim się zbiorą.

Juraszczyk pokonywał korytarz długimi krokami, a mijani funkcjonariusze schodzili mu z drogi. To niemożliwe, żeby siedmioletnie dziecko popełniło samobójstwo. Może wyskoczył przez okno dla zabawy, bo myślał, że zrobi żart rodzicom, dzwoniąc do drzwi. O takich przypadkach już słyszał. Miał jednak przeczucie, że sprawa będzie dużo poważniejsza. Wczoraj napad na sklep Leona Giforta, dzisiaj śmierć jego syna, a jeszcze wcześniej ktoś próbował przejechać panią Gifort. Nagle wszystkie trzy wydarzenia ustawiły się na jednej osi i rezonowały ze sobą.

Stanął przed nieoznakowanym bmw. Za chwilę dołączył do niego Mariusz ze służbowym aparatem fotograficznym zwisającym z szyi. Dobrze, że go wziął. Na miejscu sytuacja może być dynamiczna, lepiej ją dokumentować profesjonalnym sprzętem niż komórką.

— Piłeś dzisiaj?

— Podczas służby nie piję.

Juraszczyk rzucił kluczyki aspirantowi.

— Siadaj za kierownicą.

Nie padało, ale woda nadal płynęła ulicami. Jeszcze przynajmniej przez godzinę ten stan miał się utrzymywać, bo studzienki ściekowe były pełne po całonocnej ulewie. Mariusz prowadził, wyprzedzając inne pojazdy i nie raz przekraczając prędkość. Gdy wjechali na drogę krajową dwadzieścia dwa, wcisnął gaz i na liczniku pojawiła się liczba: sto pięćdziesiąt.

Podinspektor wydawał polecenia przez telefon. Najpierw zadzwonił do szefa techników Marka Sowińskiego, potem do medyka sądowego, bez niego nie będą mogli rozpocząć oględzin, na końcu zawiadomił prokuratora Lochmana. Ten ostatni mruknął, że źle to widzi. Skoro dziecko nie żyje, to można przypuszczać, że rodzice też. Zwerbalizował hipotezę, która krążyła w umyśle podinspektora już od pewnego czasu.

Trzyście minut zajęła im droga do Żółwińca. Przed dom Giforta zajechaliby nawet wcześniej, gdyby nie to, że musieli mijać się na betonowych płytach z wojskową ciężarówką. Woda rzeczywiście była wysoka, Juraszczyk takiej nie pamiętał, a kiedyś często bywał nad jeziorem. Lubił okolice rezerwatu. Ostatnio przyplłynął tutaj kajakiem trzy lata temu. Znaleźli wtedy w magazynie policyjnym dwa kajaki, dwa kolejne wypożyczyli w przystani i w ośmiu zrobili sobie wyścig z Elbląga nad Drużno, ponad jedenaście kilometrów. Juraszczyk był najstarszym uczestnikiem wyprawy, ale wraz z Sowińskim wpłynęli pierwsi na jezioro, trasę pokonali w półtorej godziny. Przed dekadą przyjeżdżał nad Drużno, aby chodzić we wspólnych patrolach ze strażą rybacką i kontrolować wędkarzy. To nie należało do jego obowiązków, ale sam się zgłaszał, bo spacer o piątej rano w rezerwacie, gdy ptaki zaczynały śpiewać, bardzo go relaksował.

Wysiedli z wozu wprost w wodę stojącą na podejździe. Nie było żadnych szans, aby przeszli suchą nogą. Będą brodzić po kostki. Okoliczne łąki i pola, a także obszar wokół domu wyglądały jak

rozlewisko. Z wnętrza nowoczesnego budynku wyszło dwóch strażaków. Obaj byli mokrzy, spodnie na wysokości kolan mieli brudne, jak gdyby klęczeli w kałuży. Jeden skierował się na tył domu, drugi ruszył ku policjantom.

Juraszczyk wyjął odznakę i się przedstawił.

— Nareszcie jesteście — oznajmił z wyraźną ulgą młodszy kapitan Adam Chabicki.

— Szybciej się nie dało — mruknął Mariusz.

Strażak wyciągnął przed siebie obie dłonie w obronnym geście.

— Panowie, ja wam niczego nie zarzucam. Czekaliśmy na was, bo wygląda na to, że to robota dla policji. My wejdziemy, gdy wy już skończycie. Wtedy sprzątniemy te karaczany. Zawiadomiłem już oddział chemiczny.

— Jakie karaczany? — zdziwił się Mariusz. — Oficer dyżurny nie przekazał mi żadnej informacji na ten temat.

— Rozbiliśmy okno w kuchni i przez nie weszliśmy do środka. W domu jest mnóstwo karaluchów. Sądzę, że uciekły z terrariów i wystraszyły chłopca. Chciał przed nimi uciec przez okno, no i niefortunnie spadł na kamień.

— A opiekunowie chłopca? Co z nimi? — zapytał Juraszczyk.

— Na parterze ich nie ma. Właśnie mieliśmy wejść na piętro, ale zobaczyliśmy, że przyjechaliście.

— A gdzie jest dziecko? — dopytywał dalej podinspektor. — Chcielibyśmy je zobaczyć.

— Musimy przejść za dom.

Strażak ruszył pierwszy, a oni za nim.

Na tyłach domu stało dwóch strażaków, w ich pobliżu leżało ciało dziecka. Odsunęli się nieco, robiąc miejsce Chabickiemu i policjantom. Podinspektor przyjrzał się zwłokom i rejestrował fakty, które powinny znaleźć się w protokole z oględzin. Chłopiec był ubrany w kolorową piżamę. Leżał w błocie, na plecach, głową w stronę ściany, metr od niej. Jeden rękaw miał podwinięty aż do łokcia, włosy sklejone, twarz mokrą, choć od godziny nie padało. Nigdzie nie było widać krwi ani wyraźnych oznak przemocy. Jego stopy były bose, ale w przeważającej części czyste, czyli nie przywędrował tutaj sam. Juraszczyk uniósł głowę i zobaczył otwarte okno na drugiej kondygnacji. Mogło więc być tak, jak zasugerował młodszy kapitan Chabicki. Chłopiec stamtąd wypadł.

Aspirant Żuk zdjął z szyi aparat i zrobił kilka zdjęć zwłokom, potem się oddalił i sfotografował czterech mężczyzn stojących nad ciałem. Wyglądali na członków sekty skupionych nad rytualną ofiarą. Na końcu utrwalił ścianę domu z otwartym oknem zlokalizowanym wprost nad martwym chłopcem.

Podinspektor przyjrzał się podłozu. Wszędzie było błoto, które przypominało zawieszistą kałużę. Żadne ślady traseologiczne nie miały prawa zachować się w tej płynnej mazi. Aspirant, zauważywszy kierunek jego wzroku, pstryknął trzy zdjęcia otoczeniu, starając się, aby w zasięgu obiektywu znalazły się strażackie buty.

— Zaraz przyjadą technicy i lekarz — oznajmił Juraszczyk. — Poczekajcie tutaj. Będziecie musieli złożyć zeznania do protokołu, a my idziemy sprawdzić dom.

Strażacy zgodnie przytaknęli. Wyglądali na zmęczonych, ale nie mieli zamiaru migać się od obowiązkowych czynności czy przekładać ich na później.

— Zostawiliśmy uchylone drzwi — odezwał się Chabicki i zaraz wyjaśnił: — Zamek wyposażony jest w mechanizm zatraskowy, od środka otwiera się klamką, a od zewnątrz kluczem.

Podinspektor machinalnie zarejestrował fakt, że drzwi mogły zostać zamknięte przez osobę wychodzącą z domu.

Błotnista woda zabulgotała, gdy unosił nogę. Miał wrażenie, że stąpa po grząskim gruncie, pozbawionym mocnego fundamentu i zaraz się zapadnie po szyję.

— Szkoda mi Ulki — mruknął aspirant. — Ten mały to jej jedyne rodzeństwo. Bardzo się cieszyła, gdy się urodził. Miała wtedy dziewiętnaście lat.

Dotarli na front domu i weszli na ganek. Podinspektor wyciągnął z kieszeni dwie pary lateksowych rękawiczek, jedną wręczył koledze.

W holu panował półmrok, przycisnął więc od razu włącznik światła. Wrażenie było piorunujące. Na taki widok nie był przygotowany. Karaczany chodziły po ścianach i suficie, najwięcej ich było na posadzce i drewnianych schodach. Zareagowały na

nagłą jasność, bo czmychały w stronę pouchyłanych drzwi.

— Ja pierdolę — jęknął Mariusz. — Nie dziwię się temu dzieciakowi. Też bym spierdalał przez okno. Chryste! Ile ich tu jest?

— Dużo — odpowiedział machinalnie Juraszczyk.

Nie był w stanie precyzyjniej określić ilości. Mogło ich być pięćset sztuk albo dwa, trzy razy więcej. Mnóstwo owadów kłębiło się na schodach, jedne wdrapywały się na górę, inne zdawały się spływać w dół. Wszystkie poruszały się niesamowicie zwinnie. Natura wyposażyła je w doskonały aparat ruchowy. Uświadomił sobie, że zaciska dłoń na walterze tkwiącym w kaburze. Idiotyczny odruch, przecież nie będzie strzelał do karaluchów.

— Trzeba mieć porąbane w głowie, żeby coś takiego hodować — zauważył aspirant. — Wolę białe myszki, chociaż też ich nie znoszę.

Pstrykał zdjęcia, jedno za drugim, jak gdyby chciał upamiętnić wszystkie owady. Podinspektor wskazał mu ślady butów, zapewne strażackich, prowadzące do pomieszczenia na prawo. Funkcjonariusz też je sfotografował, oddychał przy tym ciężko, jak gdyby cierpiał na astmę.

Juraszczyk ruszył w głąb holu. Ostrożnie stawiał stopy, aby nie nadepnąć na owada. Czuł obrzydzenie na myśl, że miałby miażdżyć podeszwami pancerze karaczanów. Dopiero teraz dostrzegł, że różnią się między sobą, może to odmienne gatunki albo te mniejsze okazy były jeszcze młode. Skóra cierpła mu najbardziej na widok największych sztuk. Były brązowej barwy

i wielkością dorównywały małemu palcu u dłoni. Do pomieszczenia na lewo umykało stado czarnych karaczanów, inne stamtąd się wyłaniały, kolejne wspinały się po futrynie i uchylonych drzwiach. Pchnął je lufą waltera i zajrzał do środka, nie przekraczając progu. Aż sapnął z wrażenia. Tutaj było źródło owadziej plagi. Trzy duże i puste terraria stały na komodach, a pokrywy z siatki leżały na podłodze. Karaczany zdawały się zagarniać każdy centymetr przestrzeni. Małe karaluchy, bo zaledwie dwucentymetrowe, o zielonkawej barwie, obsiadły regał z książkami i laptopa.

— Chodź tutaj! — zawołał aspiranta.

Ten zbliżył się na sztywnych nogach niczym mim udający robota.

— Co o tym sądzisz? — zapytał podinspektor, odsuwając się, aby kolega miał lepszy widok na terraria.

— Kurwa, to jest jakiś koszmar. One będą mi się śnić do końca życia.

— Pytam o konkluzję śledczą, a nie o twoje doznania — warknął Juraszczyk.

Mariusz wskazał palcem na buty Juraszczyka, po których wspinały się trzy czarne karaczany. Te należały do najszybszych, sekundę później mknęły po jego udzie. Podinspektor strącił je dłonią, a temu gestowi towarzyszyła najwyższej miary odraza.

— Musimy się ruszać, bo nas obleżą.

Aspirant pospiesznie pstryknął kilka zdjęć terrariom i się wycofał na korytarz.

Weszli do kuchni. Kawałki rozbitej szyby leżały na kafelkach, a pośród nich błoto naniesione przez strażackie buty. Karaluchy znajdowały się na blatach i ścianach, siedziały też w zlewie. Słychać było cichy szelest, jaki wydawały podczas przemieszczania się.

— Podinspektorze, ta konkluzja jest taka, że ktoś specjalnie wypuścił to cholerstwo z terrariów.

— Brawo. Zmieściłeś się z logicznym wnioskiem w dziesięciu minutach, czyli jesteś na poziomie nastoletnich detektywów, którzy rozwiązują zagadki kryminalne w sieci.

— Ciężko mi się myśli. Te maskary przeorały mi mózg bardziej niż ruska wódka.

Zajrzeli do łazienki. Na białych kafelkach i sanitariatach karaczany prezentowały się w całej okazałości anatomicznych szczegółów. Dopiero teraz zauważyli, że ich głowy są jakby schowane w tułów, ale wystają z nich długie czułki przywodzące na myśl wąsy. Mariusz pochylił się i fotografował owady z bliska, aby sądowy entomolog mógł je opisać.

— Kurwa, niektóre mają skrzydła — sapnął. — Mam nadzieję, że nie latają.

Ostatnim pomieszczeniem na parterze był salon. Tutaj karaczanów było najmniej. Kilkanaście sztuk łąziło po szklanych ścianach, tyle samo po podłodze, najwięcej z nich upodobało sobie kanapę z jasnym obiciem.

— Idziemy na górę! — rozkazał Juraszczyk.

Zaczęli wchodzić po drewnianych stopniach, trzymając się prawej strony, żeby nie zdeptać śladów traseologicznych. Założyli, że sprawca, o ile wszedł na piętro, to przemieszczał się środkiem bądź przy lewej poręczy, bo w tę stronę schody skręcały. Obaj patrzyli pod nogi, by uniknąć nadeptnięcia na owada.

— Po co, kurwa, ktoś je wypuścił? Kto to w ogóle zrobił? Jakiś pierdolony ekolog? Zwolennik otwartych klatek? — mamrotał pod nosem Mariusz.

Podinspektor pomyślał, że to dobre pytania, mogą nawet okazać się kluczowe w śledztwie w sprawie śmierci dziecka.

Na piętrze były cztery pary drzwi, wszystkie zamknięte. Po posadzce korytarza wędrowały karaczany. Jego wprawne oko od razu wychwyciło dwie ciemne smugi na podłodze. To mogła być krew albo zwyczajne zabrudzenie, choćby rozmazane kleksy po keczupie. Wskazał je aspirantowi, a ten wykonał kilka zdjęć. Ścisnął waltera w dłoni i otworzył pierwsze drzwi na lewo. Poczował powiew zimnego powietrza, okno było otwarte. Stał w progu pokoju dziecka. Wskazywały na to plakaty na ścianach prezentujące postaci z bajek i zabawki zalegające na półkach. Na łóżku leżała skotłowana kołdra, poduszka znajdowała się pośrodku dywanu, być może chłopiec rzucił nią w nadchodzące owady. Kilka karaczanów siedziało w fałdach kolorowej pościeli. Nie było ich tu dużo w porównaniu z pomieszczeniami na dole. Do jego

uszu docierało jedno pstryknięcie za drugim. W tym pokoju trzeba było zrobić dokładniejszą dokumentację, bo tutaj przebywała ofiara. Zostawił Mariusza i wycofał się na korytarz. W kolejnym pomieszczeniu zobaczył ogromny barwny obraz wiszący nad kanapą. Dostrzegł także kilka karaczanów przycupniętych wokół wielkich poduszek, domyślił się, że pod nimi znajduje się ich więcej. Zapewne szukają ciemnych i wąskich miejsc, w które można się wcisnąć, tak przynajmniej robią prusaki. Pchany ciekawością stracił lufą pistoletu jedną poduchę. Miał rację. Spora gromadka zielonych karaluchów rozbiegła się we wszystkie strony. Wchodzący właśnie aspirant zaklął i cofnął się odruchowo. Juraszczyk też miał już dosyć. Insekty nigdy go nie pasjonowały, nie wrywał pająkom odnóży, nawet z entomologią sądową zapoznawał się w okrojonym formacie, a tutaj tego owadziego ścierwa było w nadmiarze.

— Tam jest łazienka — oznajmił Mariusz, wskazując na drzwi z mlecznymi szybkami i wywietrznikiem.

— Sprawdź ją sam! — polecił Juraszczyk.

Chciał sobie oszczędzić widoku kolejnych karaczanów. Pamiętał jednak, że właśnie w łazience najczęściej policja znajduje ofiary morderstw. Czekał więc w napięciu. Aspirant otworzył drzwi i włączył światło. Zrobił kilka zdjęć i zakomunikował:

— Zrobione.

Zostało im ostatnie pomieszczenie. To musiała być sypialnia Gifortów. Właśnie tam zmierzali od

momentu, gdy weszli do domu. Tam powinni znajdować się właściciele, bo niby gdzie mieliby być. Podinspektor był pewien, że nie zastanie ich smacznie śpiących w małżeńskim łóżu. Ten, kto wypuścił karaczany z terrariów, musiał bardzo nie lubić Giforta, a jego wizyta tutaj nie miała przyjacielskiego charakteru.

Juraszczyk na ugiętych nogach podszedł pod drzwi sypialni. Trzymał waltera w prawej dłoni, a lewą podtrzymywał łokieć. Był gotowy na oddanie precyzyjnego strzału. Nawyki były silniejsze niż zdrowy rozsądek, który mu podpowiadał, że sprawcy już dawno nie ma w domu. Mariusz nacisnął klamkę i pchnął drzwi, a podinspektor niemal od razu opuścił broń. Zagrożenia nie było. Przez chwilę stali jak dwa słupy soli, porażeni widokiem.

— On jest martwy — padło z ust aspiranta.

Mieli przed sobą zwłoki siwego mężczyzny z krótko przyciętą bródką. Podinspektor schował waltera do kabury.

— Wiesz, jak wygląda Gifort?

— Nie, ale myślę, że to on — oznajmił Mariusz. — To wygląda jak... — zająknął się, szukając odpowiedniego określenia. — Jak ekspozycja — dokończył.

Juraszczyk miał podobne wrażenie, patrząc na zwłoki Giforta. Mężczyzna ubrany w czarną piżamę stał oparty o wewnętrzną stronę otwartych drzwi szafy. Ręce miał skrępowane z przodu. Jego nogi były lekko ugięte w kolanach, głównie plecami

wspierał się o mebel. Podtrzymywała go czerwona szarfa zawiązana na jego szyi i ginąca za drzwiami.

— Jego żona na pewno wisi pod drugiej stronie — odezwał się Mariusz.

Juraszczyk znał tę metodę mordowania małżeństw, popularną w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Na jednym sznurze dwa ciała, przewieszane zwykle przez drzwi do pokoju, pierwsza ginęła kobieta, bo z reguły była lżejsza, potem umierał mężczyzna podduszany przez ciężar ciała żony.

Gigantyczny karaluch o brązowym odcieniu wyłonił się z nogawki Giforta, przemknął po bosej stopie i wszedł do otwartej szafy. Inny karaczan, mniejszy i czarny, właśnie stamtąd wyszedł i zaczął się wspinać po krawędzi mebla w górę.

Pierwsze zdjęcie aspirant zrobił z progu sypialni, po czym zbliżał się do zwłok, cały czas je fotografując. Podinspektor postanowił zobaczyć ciało pani Gifort. Szedł po dużym łuku, żeby nie zadeptać ewentualnych śladów traseologicznych, których przy szafie powinno być najwięcej.

Kobieta wisiała po drugiej stronie drzwi. Gdy znalazł się naprzeciwko niej w odległości półtora metra, osłupiał. Stała na czubkach palców, paznokcie u stóp miała pomalowane na czerwono, jedną rękę w gipsie, drugą wolną wspierała o szczyt szafy, a jej oczy były szeroko otwarte, usta też, jak gdyby łąpała powietrze. Najbardziej szokujące było to, że żyła. Musiały minąć co najmniej dwie długie sekundy, zanim zareagował. Rzucił się w stronę kobiety. Na szczęście nie podniósł jej do góry, co

w pierwszej chwili chciał zrobić — tym samym mógłby doprowadzić do tego, że po drugiej stronie osunęłoby się ciało mężczyzny, a czerwona szarfa zacisnęłaby się na szyi Justyny Gifort.

— Mariusz, ona żyje. Podnieś Giforta i go podtrzymaj.

— Co?

Zdumienie aspiranta trwało krótko. Za moment naprężona szarfa owinięta wokół szyi kobiety zaczęła wiotczeć, a ona sama podtrzymywana przez funkcjonariusza stanęła na obu stopach.

— Nie puszczaj go, bo ją powieszysz!

— Pospiesz się, on jest ciężki.

Niestety, supeł na karku Justyny zaciśnięty był mocno. Rozejrzał się, wypatrując czegoś, czym mógłby rozciąć pętlę. Na parapecie dojrzał nożyczki do paznokci. Chwycił je i delikatnie wsunął między szyję kobiety a szarfę. Tkanina była cienka, ale szeroka, nożyczki na szczęście ostre. Ciął po kawałku, potem złapał w palce materiał i rozdzierał go, a końcówkę przeciął. Sam miał wrażenie, że trwało to bardzo długo, a Mariuszowi i pani Gifort ten czas dłużył się na pewno jeszcze bardziej.

— Już! — zawołał.

Kobieta zaczęła się osuwać. Złapał ją i trzymając pod pachami, podprowadził do krzesła. Usiadła i niemal od razu się podniosła. Zachwiała się. Żeby nie upaść, chwyciła go za ramię.

— Muszę do Ignasia — wyszeptała tak cicho, że podinspektor domyślił się tych słów.

Poprosił, aby usiadła. Posłuchała go z konieczności, bo nie mogła się utrzymać na roztrzęzionych nogach. Mięśnie łydek i ud zmuszone do długotrwałego wysiłku teraz odmówiły współpracy.

Podinspektor zadzwonił na pogotowie. Nie zauważył, aby pani Gifort nosiła znamiona przemocy, ale powinna trafić do szpitala, gdzie ją przebadają i przede wszystkim podadzą coś na uspokojenie. Bez wątpienia była w szoku, a niebawem dowie się jeszcze, że jej syn też nie żyje.

Jeśli chce uzyskać od niej jakieś informacje, to teraz, bo później będzie trudniej.

— Co tu się stało? — zapytał.

Pisał jednocześnie esemesa do Sowińskiego, informując, że ofiary są dwie, dziecko na zewnątrz i mężczyzna w domu. Za chwilę przyszła wiadomość od technika z pytaniem o ewentualny udział osób trzecich. Odpisał, że w przypadku Giforta tak. Obrócił się i spojrzał na zwłoki. Mężczyzna leżał na podłodze na plecach. Aspirant nie zdołał go z powrotem oprzeć o drzwi szafy. Dobrze, że chociaż mają dokumentację fotograficzną.

Kobieta też spojrzała w tę samą stronę i na widok martwego męża zaczęła głośno szlochać. Łzy płynęły po jej pobladłej twarzy i skapywały na różową koszulę nocną. Objęła się wolną ręką i skuliła, jak gdyby było jej zimno. Aspirant Żuk chwycił szlafrok leżący na drugim krześle i stanął przy pani Gifort. Pokręciła przecząco głową

i odsunęła się wystraszona. Prędzej od nich zauważyła, że po szlafroku wędrują dwa zielone karaluchy. Mariusz je strząsnął i znowu podał okrycie. Justyna odmówiła ruchem głowy. Zapewne się obawiała, że owady kryją się jeszcze w rękawach i kieszeniach szlafroka.

— Proszę powiedzieć, co tu się stało? — ponowił prośbę Juraszczyk.

— Napadli nas — wychlipała między jednym a drugim szlochem.

— Kto?

Czekali pół minuty na kolejne słowa.

— Było ich dwóch.

— Dlaczego zabili pani męża?

To pytanie wywołało histeryczny atak płaczu. Mariusz podał jej chusteczkę. Niezdarnie wytarła nos jedną ręką.

— Szukali sejfu. — Głośny jęk wyrwał się z jej ust. — My nie mamy sejfu. Nie chcieli w to uwierzyć. Ktoś im powiedział, że trzymamy w domu dużo pieniędzy. Byli o tym przekonani. Mąż dał im dwa tysiące, bo tyle miał.

— O której to było?

— Rano, przed szóstą.

Podinspektor odruchowo zerknął na zegarek. Było szesnaście minut po ósmej.

— I pani tak stała na palcach przez ponad dwie godziny?

— Tak. Dobrze, że zostawili mi wolną rękę, trochę się podtrzymałam za krawędź szafy. Próbowałam też rozwiązać apaszkę, ale na to nie miałam sił. Udusili go moją ulubioną apaszką. Dostałam ją od córki.

Znowu się rozplakała, zawodząc głośno. Podinspektor poczuł krótką wibrację komórki. To Sowiński napisał, że już dojeżdżają.

— Proszę coś na siebie włożyć. Zaraz pojedzie pani do szpitala.

— Nie muszę. Nic mi nie jest. Chciałabym zająć się synkiem. Na pewno się obudził. Musiał go wystraszyć ten hałas tłuczonej szyby. Dziwne, że jeszcze do nas nie przybiegł. A może wciąż śpi? Pójdę do niego.

Wstała. Nogi jej dygotały, jak gdyby jakaś zewnętrzna siła na nie oddziaływała. Zdrową ręką złapała się oparcia. Twarz miała wykrzywioną z bólu.

— Może jednak pani usiądzie — zaproponował Juraszczyk.

Opadła na krzesło z cichym jękiem. Na dole trzasnęły drzwi i rozległy się głosy. Sowiński powinien najpierw dokonać oględzin chłopca, potem dopiero przyjść tutaj, pomyślał podinspektor. A może należałoby zmontować kolejną ekipę z drugim medykiem sądowym. Postanowił ustalić to z szefem techników.

— Zostań z panią — rzucił do aspiranta.

Chciał już odejść, ale kobieta złapała go za rękę.

— Kto was zawiadomił? Mój synek po was zadzwonił? Ignas?

W głosie kobiety pojawiła się nuta paniki, a z oczu wyzierał strach.

— Strażacy nas powiadomili.

— Jacy strażacy?

— Ze straży pożarnej. Zabezpieczają wały nad jeziorem. Wczoraj ogłoszono alarm powodziowy.

— Aha. — Na twarzy kobiety pojawiło się zrozumienie. — Jakiś czas temu słyszałam dzwonek do drzwi, to na pewno strażacy. Ucieszyłam się, bo pomyślałam, że pomoc idzie, ale potem zrobiło się cicho, no i wreszcie ten huk tłuczonej szyby. Domyśliłam się, że okno zostało rozbite i zaraz zostanę uratowana. Dobrze, że strażacy was wezwali. Czekałam na Ignasia, żeby się obudził i tu przyszedł. Poprosiłabym go, aby zatelefonował do swojej siostry. Z drugiej strony modliłam się, aby nie wszedł do sypialni i nas nie zobaczył. Muszę do niego iść.

Aspirant położył ręce na ramionach Justyny Gifort.

— Za chwilę do niego pójdziemy, a teraz proszę usiąść.

Podinspektor wyszedł z sypialni. Odprowadzał go przestraszony głos kobiety. Przeczynała już, że z jej dzieckiem stało się coś złego. Zbiegał po stopniach, mijając karaczany. Wciąż było ich tutaj dużo. Wyjątkowo upodobały sobie schody.

W holu stali Sowiński i prokurator Lochman. Funkcjonariusz miał na sobie kombinezon

ochronny i policyjną kurtkę, a prawnik garnitur i płaszcz.

— Leon Gifort został zamordowany? — zapytał Lochman.

— Tak.

— Jego żona też?

— Ona przeżyła, choć wygląda na to, że ją też chcieli zabić.

— No to mamy sprawę dużego kalibru. Niedługo będą mówić o tym wszystkie media. Poleciałem sprowadzić więcej techników, a właściwie wszystkich.

— Wszystkich nie będzie, bo Olek Pieczyński pojechał do matki na niedzielę, ale w pięciu ogarniemy to bez problemu — wtrącił się Sowiński, wodząc wzrokiem za karaczanami. — Skąd one się tu wzięły?

— Sprawcy wypuścili je z terrariów. — Juraszczyk wskazał na pomieszczenie, gdzie była hodowla karaluchów. — Zabezpieczcie ślady na akwariach. Ważne też będą odciski na parapecie i framudze okiennej w pokoju dziecka. Może ktoś je jednak wyrzucił, chociaż obstawiałbym, że samo wypadło. Właściwie trzeba cały dom opylić argentoratem. Skoncentrujcie się na odciskach butów i na poszukiwaniu śladów biologicznych.

Sowiński wskazał palcem na ślady pozostawione przez zabłocone podeszwy.

— Te są moje i aspiranta Żuka — wyjaśnił Juraszczyk, wskazując palcem na zabrudzenia podłogi i schodów. — A tamte prawdopodobnie

należą do strażaków. Wygląda na to, że sprawcy mieli czyste buty. To dziwne, bo pada od kilku dni.

— Musieli mieć ochraniacze — zauważył Sowiński. — Szkoda, że przed domem niczego nie zabezpieczymy. Tam dosłownie stoi woda.

Podinspektor przytaknął, bo też o tym pomyślał.

— Wydaje mi się, że powinniśmy zacząć od oględzin zwłok dziecka.

— Tak. Chłopaki poszli tam z walizką kryminalistyczną, medyk też. Sądzę, że już się wzięli do roboty. Ja wpadłem tutaj, żeby się zorientować, czy zabezpieczamy ślady zapachowe. Bo jeśli tak, to od nich należy zacząć.

— Po ich smrodzie już nic nie zostało. Byli tutaj jakieś dwie i pół godziny temu.

Sowiński wyszedł, a prokurator rozdeptał gigantycznego karaczana, który nieopatrznie zbliżył się do jego eleganckiego buta. Pękający pancerz owada zachrząścił nieprzyjemnie. Podinspektor się skrzywił, a wyraz twarzy Lochmana się nie zmienił, jak gdyby niechcący przydepnął papierek po cukierku.

— Ilu było sprawców?

— Dwóch, tak zeznała żona Giforta. Jest na górze, aspirant Żuk jej pilnuje. Wie, że jej mąż nie żyje, ale nie wie, że syn też.

— To trzeba jej o tym powiedzieć, no i ją przesłuchać.

— A co pierwsze?

Lochman rozdeptał kolejnego karalucha. Te owady nie robiły na nim żadnego wrażenia. Trzymał ręce w kieszeniach płaszcza, jak gdyby spotkali się na spacerze w parku. Juraszczyk nie podejrzewał jednak prokuratora o lekceważenie sprawy czy stalowe nerwy. Po prostu chciał uchodzić za profesjonalistę w oczach starego gliny. Denerwować się zaczęło dopiero w zaciszu swojego gabinetu.

— Musimy jej powiedzieć, że dziecko nie żyje. Ma prawo to wiedzieć. Tak jak i pan, wolałbym najpierw ją przesłuchać, ale to żona Giforta, a więc stać ją na najlepszego adwokata. W tej sprawie powinniśmy przestrzegać reguł, bo w innym razie przewiduję problemy.

— No to idziemy na górę.

Podinspektor ruszył po schodach, znowu trzymając się prawej strony. Prokurator szedł za nim i rozdeptywał karaczany, które nie zdążyły umknąć. Nagle usłyszeli krzyk. Juraszczyk dwoma susami pokonał sześć ostatnich schodków. Zobaczył, jak Mariusz przebiega przez hol i wpada do dziecięcego pokoju. Sekundę później też tam wbiegł i ujrzał, jak aspirant odrywa panią Gifort od parapetu. Kobieta zawodziła i jęczała jak obłąkana. Wyrwała się z rąk funkcjonariusza i padła na dywan. Opatrunek z gipsu huknął o podłogę. Złamana ręka zapewne zaboląła, bo pani Gifort wrzasnęła. Wiła się, nie ważąc na to, że przygniata ciałem karaczany i że koszula nocna się jej podwinęła, odsłaniając gołe pośladki.

Juraszczyk spojrział na zegarek. Na karetkę muszą czekać jeszcze co najmniej kwadrans. Może

medyk sądowy ma coś na uspokojenie. Nie zaszkodzi zapytać. Podszedł do okna i wyjrzał. Rozebrane zwłoki dziecka z rozrzuconymi nogami i rękami leżały na folii. Lekarz właśnie je oglądał. Widok był przygnębiający, a dla matki musiał być wstrząsem.

— Poprosiła mnie, żebym jej wyciągnął sweter z szafy — tłumaczył się aspirant przyciszonym głosem. — Gdy go szukałem, wybiegła z sypialni. Nie rozumiem, jak to możliwe, przecież dwie minuty temu nie mogła utrzymać się na nogach.

Podinspektor pomyślał, że tu nie chodzi o sprawność mięśni, ale o siłę woli. Nie wygłosił jednak tego spostrzeżenia.

— Idź zapytać lekarza, czy ma zastrzyk na uspokojenie.

Funkcjonariusz wyszedł, mijając się w drzwiach z prokuratorem Lochmanem. Ten podszedł do kobiety, najpierw poprawił jej koszulę, zasłaniając intymne części ciała, a potem usiłował ją podnieść. Nie było to łatwe, kiwnął więc na policjanta. Obaj zdołali postawić ją na nogi. Wzrok miała nieprzytomny, a twarz wykrzywioną niczym w ataku epileptycznym. Podinspektor widywał już ludzi w takim stanie. O żadnym przesłuchaniu nie mogło być mowy przynajmniej przez dobę, a może nawet parę dni.

Rozdział XVI

ULA ZSUNEŁA KAPTUR z głowy. Było bardzo ciepło jak na połowę grudnia, osiem stopni Celsjusza i słońce. Nawet ptaki zostały oszukane przez naturę i nic sobie nie robiąc z kalendarzowej zimy, śpiewały jak na wiosnę. Najbardziej zaskakujące było gęganie gęsi. Klucze tych ptaków zawsze pojawiały się w okolicach marca, tym razem przewidziały ciepłą porę i wiele sztuk postanowiło przezimować. Nad jeziorem Družno ptasich gardeł nie brakowało, podobno nawet trafiały się tu słowiki. Ignas przekonywał ją latem, że je słyszał, gdy był z mamą na spacerze. Chciała się z nim podroczyć i powiedziała mu, że słowiki są tylko w bajkach, a ten ptak, którego słyszeli, to na pewno była sowa. Inny dzieciak by się rozbeczał albo w proteście tupał nogami, ale nie jej brat, on zachowywał się jak dorosły. Zamyślił się i po chwili poważniej oznajmił, że to nie mogła być sowa, bo te w dzień śpią. Skoro nie sowa, to musiał być słowik, który uciekł z bajki, bo tam było nudno.

Gorące łzy popłynęły po jej policzkach. Nie próbowała ich powstrzymać. Ukochanego braciszka już nie było, ta myśl rozrywała serce na cząstki. Ula dziwiła się sama sobie, że spaceruje

nad jeziorem i nawet ugotowała dziś obiad. Przecież w obliczu tragedii zwykłe czynności nie mają sensu, powinny zostać zawieszane. Można jedynie zrobić coś wielkiego, na przykład zrzucić bombę atomową na milionowe miasto. Ten czyn byłby w stanie odrobinę przytłumić żal po stracie bliskiej osoby. Oprócz głębokiego smutku czuła też złość. Był w niej gniew, całe mnóstwo gniewu, i był on ukierunkowany wobec ludzi, którzy doprowadzili do śmierci siedmioletniego chłopca. Zabijała ich w myślach, ale najpierw torturowała, żeby cierpieli i w ten sposób zapłacili za jej ból, za to, że Ignas nigdy nie będzie dorosły, nigdy nie pocałuje ukochanej kobiety i nie pojedzie w góry. Zabrali mu przyszłość, jej też. Powinni za to ponieść karę. Jej umysłem zawładnęła zemsta.

Stała przed domem i przez przeszkloną ścianę zobaczyła dwie osoby. Justyna Gifort ubrana w czarną sukienkę, z jedną ręką unieruchomioną przez opatrunek gipsowy, a drugą bezwładnie leżącą na kolanach, siedziała na kanapie, a naprzeciwko niej krzesło zajął podinspektor Juraszczyk. Przyjechał dwadzieścia minut temu, aby porozmawiać z jedynym świadkiem. Niczego się jednak nie dowie, bo Justyna zamilkła. W ciągu dnia wypowiadała zaledwie kilkanaście słów i mówiła tylko to, co chciała powiedzieć, były to rzeczy niezwiązane z tragedią. Wczoraj wieczorem oznajmiła, że nie może znaleźć granatowej torebki na łańcuszku. Ulę to zaskoczyło, bo przecież mama niczego nie szukała, nie była zdolna do jakiegokolwiek aktywności po tak ogromnej dawce psychotropów. Dziś rano oświadczyła, że producenci wody mineralnej dodają do niej soli. Ula

nie wiedziała, jak to skomentować, choć bardzo chciała, bo to była szansa na nawiązanie kontaktu z Justyną, która od zdarzenia nie reagowała na jej próby zbliżenia się. Powinny się połączyć w bólu, a tymczasem wyglądało na to, że rodzicielka nie chce z nią bliskości, jak gdyby po śmierci syna wyrzuciła też z serca córkę. Gdy w szpitalu objęła mamę, to ta stanowczo, a nawet z odrazą wysunęła się z jej ramion.

Ula miała sprawę do Juraszczyka, kręciła się więc przed domem i czekała, aż wyjdzie, niebawem powinno to nastąpić. Na pewno już się zorientował, że jedyny świadek jest totalnie otępiały na skutek działania zażywanych leków. Zobaczyła, że funkcjonariusz wstaje z krzesła, chwilę później pojawił się na ganku. Od razu wyciągnął papierosa i zapalił. Podeszła do niego.

— Powinienem rzucić — oznajmił, kierując wzrok na fajkę.

— Tak, powinien pan, bo ja nie lubię dymu. Przejdziemy się?

— Za moment, gdy skończę.

Zaciągnął się i ostentacyjnie wydmuchnął dym kącikiem ust.

Odwróciła się i ruszyła w stronę jeziora. Miała nadzieję, że zaraz za nią pójdzie. Jeśli nie, to pojedzie do niego na komendę. Na pewno znajdzie sposób, aby przedstawić mu swoją sprawę. Co za paradoks, miesiąc temu tego człowieka uznała za padalca, a dzisiaj uważała, że jest jedyną osobą, która może pomóc. Szła wzdłuż szerokiego pasa szuwarów, gdzieniegdzie rosły wierzby. Zaledwie

tydzień temu cała ta przestrzeń zalana była wodą, a teraz zieleniła się jak na wiosnę i nawet trudno było dojrzeć tafłę jeziora. Usłyszała kroki za sobą. Nie obejrzała się. Chwilę później podinspektor szedł obok niej.

— To czego pani chce ode mnie?

— Jak się panu rozmawiało z moją mamą?

— Nie było żadnej rozmowy. Za parę dni prokurator Lochman przyśle jej oficjalne wezwanie na przesłuchanie. Jeśli się nie stawi, to może mieć kłopoty.

— Nie będzie ich miała, jeśli przedstawi zaświadczenie od psychiatry, że nie podoła przesłuchaniu.

— Myślałem, że zależy paniom na złapaniu sprawców.

— Zależy, i to bardzo.

Pas szuwarów zaczął się zwęzać i rzednąć. Dostrzegli kilka łabędzi majestatycznie sunących po powierzchni wody. Podinspektor się zatrzymał.

— Zeznania Justyny Gifort mogłyby nam pomóc. Może nawet pchnęłyby śledztwo mocno do przodu.

— Zdaję sobie z tego sprawę. — Staneła przodem do Juraszczyka. Był od niej sporo wyższy. Zadzieriała więc głowę, aby patrzeć mu w twarz. — Chciałabym wrócić do służby, do wydziału kryminalnego — oznajmiła z pełną powagą.

— Nie mamy wakatów.

Spodziewała się takiej odpowiedzi. Liczyła się nawet z lekko pogardliwą reakcją, tej na szczęście

nie zaobserwowała.

— Stanowisko może się dla mnie znaleźć. Zależy to tylko od pana.

— Przecenia pani moje możliwości. Nawet gdybym był komendantem, niewiele mógłbym zrobić. Pozostaje pani czekanie, aż się zwolni miejsce. Może ktoś akurat zrezygnuje ze służby.

Uśmiechnął się kącikiem ust.

— Mógłby pan zwolnić aspiranta Mariusza Żuka — wypaliła.

— Nie mam powodu.

— Za spożywanie alkoholu w godzinach pracy — dodała prędko. — A ja bym zajęła jego stanowisko.

Czekała, aż Juraszczyk odwróci się i odejdzie. Nie będzie przecież zawracał sobie głowy jakąś wariatką. Stał jednak dalej i patrzył srogo, jak gdyby samym spojrzeniem chciał ją zniechęcić do dalszej rozmowy.

— Myślałem, że pani go lubi.

W tym krótkim zdaniu usłyszała karcący ton. Zrobiło się jej głupio, ale tylko na moment.

— Moja sprawa, kogo lubię, a kogo nie, i przede wszystkim nie ma to nic wspólnego z tematem. Chcę wrócić do firmy i nieważne, czyim kosztem to się odbędzie.

— Chce pani wrócić do służby, żeby brać udział w śledztwie w sprawie zamordowania Leona Giforta, tak?

— Planuję znaleźć morderców mojego brata — oznajmiła spokojnie, choć miała ochotę to

wykrzyzczyć, aby cały świat wiedział, że pragnie zemsty, że znajdzie sprawców i ich zabije.

Jakiś ptak zatrzepotał w gałęziach wierzby. Podinspektor spojrział w tę stronę, a potem znowu na Ulę.

— Ignacy Gifort prawdopodobnie nie stracił życia przy udziale osób trzecich.

Ula się zatrzęsała z gniewu. Miała wrażenie, że Juraszczyk z niej drwi. Patrzyła na niego z nienawiścią.

— Co ty nie powiesz. W pokoju obok mordowano mu ojca i matkę, a ty twierdzisz, że nie było udziału osób trzecich? — W emocjach zaczęła mówić do funkcjonariusza na ty. — Ignaś wszystko słyszał, a może też widział, dlatego uciekał. Bał się. — Głos się jej na moment załamał. Wzięła kilka głębokich oddechów, aby się uspokoić. — Myślałeś, że uciekał przed karaczanami? A czy chociaż przyszło ci do tego zakutego policyjnego łba, że on się z tymi owadami wychował? Brał je do rąk. Pomagał ojcu je karmić. Szukał ich, gdy wymykały się z klatek. Nie bał się karaluchów. To nie one go wystraszyły tamtego dnia rano.

Juraszczyk podniósł dużą silną dłoń i poprawił kołnierz kurtki. Zdawał się nie zauważać jej wzburzenia ani tego, że próbowała podważyć jego kompetencje śledcze, a nawet go obrazić.

— Gdyby Justyna Gifort chciała z nami porozmawiać, to poznalibyśmy więcej szczegółów. O samym napadzie na razie niewiele wiemy. Leon Gifort nie był torturowany, nie ma właściwie żadnych obrażeń. To była egzekucja. Ci ludzie

przyszli go zabić, a nie po kasę z sejf, jak twierdzi twoja matka.

— Z jakiego sejf?

Ula była zaskoczona. Nigdy nie słyszała o żadnym sejfie. Nikt o nim nie wspominał.

— Tamtego dnia zdążyłem zadać Justynie Gifort kilka pytań, zanim dowiedziała się o śmierci syna. Powiedziała, że napastników było dwóch i szukali sejf.

— A wy go znaleźliście, ten sejf?

— Przeszukaliśmy cały dom. Nie ma go, bo to nie o sejf chodziło.

Ula wyciągnęła z kieszeni dłonie zaciśnięte w pięści, aż paznokcie wbijały się jej w skórę. Nad tonem głosu i wypowiedzanymi zdaniami na razie panowała, ruchy rąk były jednak zdominowane przez emocje.

— Muszę wrócić do służby.

— Nie musi pani. Ma pani biuro detektywistyczne, może pani sobie prowadzić śledztwo.

Potraktował ją jak dzieciaka. Ma wracać na swoje podwórko i tam się bawić zabawkami, które do niej pasują. Ale podinspektor jeszcze nie wie, że ona jest uparta. Nie będzie się złościć. Przekona go, że przyda się w firmie. Ujęła go pod ramię przyjacielskim gestem.

— Przejdziemy się jeszcze kawałek?

Ruszyli. Z drugiej strony jeziora rozległ się krzyk gęsi i niósł się po wodzie podejmowany przez

kolejne osobniki. Gęganie wydobywało się z dziesiątek ptasich gardeł. Efekt był niesamowity, jak gdyby jezioro nagle ożyło. Po chwili zobaczyli bielika krążącego na niebie, to on wywołał popłoch pośród wodnego ptactwa.

— Przydałaby się nam lornetka — zagadnął Juraszczyk.

— Jest pan ornitologiem amatorem? Jeśli tak, to zapraszam na spacer w maju. A wracając do tematu, to jako prywatny detektyw mam ograniczone pole działania. To wy znacie wyniki oględzin kryminalistycznych, a ja nie mam do nich dostępu.

— Ale ma pani dostęp do swojej matki, a w tej sprawie jej zeznania mogą się okazać kluczowe.

— Obiecuję, że przekonam mamę, aby złożyła obszernie zeznania. Najpierw jednak muszę zostać funkcjonariuszem wydziału kryminalnego. Zapewniam, że nie będzie pan miał ze mną żadnych problemów. Przymknę oko, kiedy trzeba będzie, i zrobię wszystko, nieważne, czy to będzie zgodne z prawem, czy nie. I co? Dogadamy się?

— Tak, dogadamy się.

Ula się uśmiechnęła. Wygląda na to, że dopięła swego.

— Ile potrzebuje pan czasu, żeby załatwić mi przyjęcie do służby? Mam nadzieję, że nie potrwa to dłużej niż trzy dni.

— Nie zrozumiała mnie pani. Możemy się dogadać w kwestii współpracy, ale nie pani powrotu do wydziału. Na razie nie ma takiej możliwości i nie

chodzi mi wyłącznie o brak etatu. Toczą się dwie sprawy, w które jest pani zamieszana. Dopóki ich nie zamkniemy, nie ma mowy, aby mogła być pani funkcjonariuszem.

— Od kiedy jest pan taki zasadniczy?

— Pani Ulo, proponuję pani bardzo dogodny dla nas wszystkich układ. Współpracując, możemy więcej osiągnąć niż osobno. Mnie interesują przede wszystkim zeznania Justyny Gifort, ale także relacje Leona Giforta z synami. Mam nadzieję, że za pani pośrednictwem dowiem się wszystkiego na ten temat.

— Relacje Leona z synami nie mają tu nic do rzeczy. Mamy znaleźć morderców, a nie skupiać się na rodzinnych układzikach.

— Statystyki mówią, że rodzina...

Puściła jego ramię i odsunęła się.

— Co mnie obchodzą statystyki. Ja chcę znaleźć morderców Ignasia.

Zeszli już dawno z betonowych płyt. Znajdowali się teraz na wąskiej ścieżce, która miejscami wyglądała jak po ataku wandalii. To niedawne podtopienia sprawiły, że pozapadały się podziemne tunele bobrów. Juraszczyk zatrzymał się i obrzucił nieprzychylnym spojrzeniem wyrwy w ziemi.

— Na mnie już czas — oznajmił i zawrócił.

Ula chciała go wyminąć i zagrozić mu drogę. Niestety zablokowały ją gałęzie ścięte przez bobry i zalegające na ścieżce po jej obu stronach. Szła więc posłusznie za podinspektorem.

— Myślę, że to robota Łukasza Marcza —
oznajmiła.

— Zwariowała pani?

Ula patrzyła w plecy podinspektora, próbując dorównać jego długim krokom.

— Chciał przejechać moją matkę. Nie udało mu się, to wymyślił inną zemstę. Wiem, że to on. Ukarzał mnie za śmierć Krzysztofa. Na jego miejscu zrobiłabym to samo.

Juraszczyk spojrział na nią przez ramię.

— Ma pani rację, że Łukasz Marczak się mści. Przebił mi opony w samochodzie, a panią próbował namówić na zeznawanie przeciwko mnie. Ale próba przejechania Justyny Gifort to już nie jest jego robota.

— On to panu powiedział, a pan uwierzył?

Parsknęła śmiechem. Odwrócił się nagle i podsunął jej pod oczy telefon.

— To jest jego alibi na ten czas.

Ula zobaczyła na wyświetlaczu dwie osoby. Rozpoznała przystojną twarz Łukasza. Obok niego leżała ładna dziewczyna z nagim biustem. Uśmiechała się do obiektywu.

— Co to jest?

— To zdjęcie zostało zrobione w czasie, gdy ktoś próbował przejechać Justynę Gifort. Informatyk policyjny powiedział, że metadane pliku nie kłamią. Trzeciego grudnia o dziewiątej osiem Marczak leżał z tą niunią w łóżku na Grunwaldzkiej. Ma stuprocentowe alibi.

Ula się roześmiała, głośno i szczerze. Rozbawiła ją naiwność tak doświadczzonego funkcjonariusza.

— Boże! Nie wierzę. Jak wy tam pracujecie? Staruszkę, powinieneś iść na emeryturę i ustąpić miejsca komuś bardziej na czasie, choćby mnie.

Policjant wyglądał na skołowanego. Chyba zrozumiał, że popełnił błąd, coś ważnego przeoczył. Spojrzał na zdjęcie, na którym wyróżniały się rude włosy Marcza i białe piersi towarzyszącej mu dziewczyny. Ula wskazała palcem na wyświetlacz.

— To jest zdjęcie zdjęcia — położyła akcent na ostatnie słowo.

W oczach podinspektora natychmiast pojawiło się zrozumienie.

— Informatyk miał rację, twierdząc, że metadane pliku nie kłamią — mówiła dalej Ula. Czowała niesamowitą satysfakcję, że okazała się bystrzejsza od Juraszczyka. — Ja takie numery robiłam z koleżankami dziesięć lat temu. Fotografowałyśmy zdjęcia, żeby udowodnić rodzicom, że gdzieś byliśmy o konkretnej porze, a w rzeczywistości zabawialiśmy się zupełnie gdzie indziej. Marczak pojechał do Żółwińca, żeby potrącić moją mamę, a w tym czasie ktoś na Grunwaldzkiej jego telefonem sfotografował tę fotkę. Takie to stuprocentowe alibi.

Podinspektor schował telefon i ruszył przed siebie. Ula szła obok.

— Chciałabym, żeby go pan przesłuchał. Żeby się przyznał do zamordowania mojego brata.

— Sprawdzę, co Łukasz Marczak robił w noc napaści na dom Giforta. Tyle mogę pani obiecać.

— Chyba pan żartuje. A co z dochodzeniem w sprawie potrącenia mojej mamy? Przecież za to można go przyskrzynić.

— Potrącenia nie było. Przejechał jedynie psa, który sam wpadł mu pod koła.

— To niemożliwe, że jest pan takim ignorantem.

Juraszczyk ścisnął ją za ramię.

— Niech pani mnie posłucha. Sprawcy zostawili bardzo mało śladów w domu Giforta, wyjątkowo mało, i to jest podejrzane. Nie przynieśli ani jednej gródki ziemi, ani grama kurzu. Niczego nie znaleźliśmy za paznokciami ani Giforta, ani jego żony, żadnych obcych śladów kontaktowych, jak gdyby ofiary się nie broniły.

— Nie rozumiem — mruknęła Ula.

— No właśnie, my też tego nie rozumiemy. To wygląda tak, jak gdyby żadnych sprawców nie było, a przynajmniej do domu nie wszedł nikt obcy.

W głosie podinspektora usłyszała sugestię, a może sama ją sobie dopowiedziała. Była oburzona.

— Chce pan powiedzieć, że moja mama...

— Gdyby nie to, że ma rękę w gipsie, byłaby pierwszą podejrzaną.

— Ale ona niemal nie straciła życia.

— Przyznaję. Wystarczyłoby, aby ciało jej męża się obsunęło, a szarfa zacisnęłaby się na jej szyi. O braku śladów mówię pani tylko dlatego, żeby

zrozumiała pani, że wątpliwy jest udział Łukasza Marczaka. Nawet gdyby był w kombinezonie ochronnym, to jakieś ślady też powinny zostać, choćby tor przemieszczania się po domu, a myśmy znaleźli wyłącznie ślady butów i stóp domowników i rodziny, no i oczywiście strażaków oraz nasze, policyjne. Wygląda na to, że sprawca lewitował.

Ula gorączkowo analizowała fakty kryminalistyczne.

— Może karaczany zamazały ślady ochraniaczy, które sprawca miał na butach? Może po to je wypuścił? — zastanawiała się głośno.

— Eksperci wykluczyli taką ewentualność. Karaczany są za lekkie, aby zadeptać ślad traseologiczny pozostawiony przez człowieka.

Poczuła zimny dreszcz przebiegający od stóp w górę. Owinęła się mocniej płaszczem. Wniosek nasuwał się sam, ktoś z rodziny był sprawcą, a nawet dwie osoby, bo mama mówiła o dwóch napastnikach. Czy to możliwe, że ona wie, kto to był, ale milczy, bo się boi? Ula w wyobraźni ujrzała Andrzeja i Marka mordujących ojca. Przed nimi by się nie bronił, bo to synowie. Nie uwierzyłby, że są w stanie zrobić mu coś złego.

— Mariusz opowiedział mi, co zobaczyliście w sypialni, ale nie znam wyników sekcji zwłok. Czy dobrze rozumiem, że Leon nie został powieszony?

— Zgadza się. Nie został powieszony, lecz uduszony jedwabną szarfą. Zadziergnięto mu ją na szyi siłą rąk. Nie bronił się, bo wcześniej go ogłuszono, prawdopodobnie młotkiem. Narzędzia

nie znaleźliśmy ani w domu, ani wokół niego. Rękawiczek też nie znaleźliśmy.

— Jakich rękawiczek? — zapytała machinalnie Ula.

— Lateksowych, takich jak my używamy. Sprawcy się nimi posłużyli, bo na szarfie Sowiński zabezpieczył mikrocząstki lateksu. To właściwie jedyny ślad pozostawiony przez napastników.

Gdzieś w oddali rozległ się odgłos motoru. Łabędzie wyciągnęły smukłe szyje i zdawały się nasłuchiwać. Po chwili zaczęły sunąć w kierunku przeciwnym do narastającego dźwięku. Na jezioro wpłynęła łódź. Ula pomyślała, że to wędkarze szukają miejsca, w którym mogliby zarzucić wędki. Nagle coś przyszło jej do głowy.

— Dlaczego pan mi to wszystko mówi?

— Bo mamy ten sam cel. Już na początku ustaliliśmy, że współpraca jest wskazana. Ja pani podaję szczegóły kryminalistyczne, a pani przekona swoją mamę do złożenia zeznań. Interesują mnie też synowie Leona Giforta.

— Ale mnie także powinien pan podejrzewać. W domu Giforta były również ślady mojej obecności, a w swoim mieszkaniu mam komplet lateksowych rękawiczek.

— Jak każdy funkcjonariusz. To jakaś obsesja to trzymanie rękawiczek w domu, jak byśmy mieli codziennie zabezpieczać ślady we własnych mieszkaniach albo u sąsiadów. A tak w ogóle sprawdziłem panią. W czasie morderstwa pani telefon logował się na Kasprzaka, ponadto przez

trzy godziny, od drugiej trzydzieści prawie do szóstej rano, pisała pani esemesy z Aleksandrem. W sumie wysłała pani osiemnaście wiadomości tekstowych. Ten tajemniczy adorator zapewnił pani alibi.

Zbliżali się do podjazdu, na którym stało policyjne bmw. Juraszczyk niebawem odjedzie. Ula myślała gorączkowo, co jeszcze powinna mu powiedzieć. Podinspektor wskazał na Andrzeja i Marka jako możliwych sprawców. Nie była naiwna. Wiedziała, że każdy scenariusz jest prawdopodobny. Nie знаła przecież prawdziwych relacji Leona z synami, może były gorsze, niż na to wyglądało. Nagle w jej umyśle nastąpiło powiązanie faktów, ujawniła się oczywista zależność, bezpośredni impuls do zbrodni. Tak, to mogło być powodem, ten napad, który miał miejsce dzień przed morderstwem. Marek się przestraszył, że wyda się jego udział. Postanowił więc zabić ojca, zanim ten pozna prawdę i na wieki go wydziedziczy.

— Podinspektorze, ten napad na salon jubilerski...

— Właśnie miałem o to zapytać. Informacja za informacją. Tyle pani wyjawiałem, że mam prawo usłyszeć, jak to było z tym napadem. Była pani jego inicjatorką czy tylko kazali pani nie przeszkadzać w kradzieży?

Cieężko przełknęła ślinę.

— Poprosił mnie, żebym nie włączała alarmu i żebym nie pozwoliła na to dziewczynom.

— Kto?

Ula czuła narastający niepokój. Juraszczyk może uznać, że ona przyznaje się do napadu, a przecież było zupełnie inaczej.

— Nie zgodziłam się. Przysięgam, że się nie zgodziłam.

— Kto? — powtórzył ostro policjant.

— Marek Gifort, to on chciał mnie namówić na napad na salon. Powiedział, że Leon ma ubezpieczony towar, a więc nie poniesie żadnej straty, a my zarobimy. Mówił, że zna pasera. Wyśmiałam go i zdecydowanie odmówiłam udziału.

— I potem pani zmieniła zdanie?

— Nie zmieniłam.

— Na nagraniu widać, że pani współpracuje ze sprawcą.

— Wiem, że to tak mogło wyglądać. Prawda jest taka, że w momencie napadu uświadomiłam sobie, że lepiej, aby Marka nie złapano, żeby Leon się nie dowiedział, do czego zdolny jest jego syn. Złe relacje w rodzinie zawsze odbijały się na mojej mamie. Nie mogłam do tego dopuścić.

Juraszczyk otworzył drzwi od samochodu. Wyglądał na usatysfakcjonowanego. Nie przyjechał do Żółwińca na darmo, czegoś się jednak dowiedział. Otrzymał właśnie potencjalny motyw, element najistotniejszy w śledztwie.

— Więc Markowi Gifortowi brakuje kasy — oznajmił cicho, jak gdyby układał sobie w głowie ciąg przyczynowo-skutkowy.

Ula dla przekory pomyślała, że to byłoby zbyt proste. Może jednak Łukasz Marczak jest sprytniejszy niż oni wszyscy. Na czas, gdy próbował przejechać Justynę, sfingował alibi, w które policja uwierzyła. Może teraz postarał się bardziej, przygotowując napad na dom Giforta. Wpadł na pomysł, jak wtargnąć do środka, a potem wyjść i nie pozostawić zbyt wielu śladów.

— Czy to był Marek Gifort? — zapytał Juraszczyk.

Spojrzała na niego nierozumiejącym wzrokiem.

— Napastnik z makarowem, czy to był on?

— Nie. Marek wynajął kogoś do napadu, sam nie umiałby tego zrobić.

Podinspektor wszedł do wozu. Ula przeszkodziła mu w zamknięciu drzwi.

— Niech pan się nie skupia na Marku. Trzeba też sprawdzić alibi Łukasza Marcza.

— Pani Ulo, będę robił swoje i pani też niech robi swoje.

Zabrzmiało to, jak gdyby znowu ją przeganiał. Natrętna dziewczucha zawraca głowę wybitnemu śledczemu i jeszcze śmie dawać mu wskazówki. Juraszczyk szarpnął drzwi, zamykając je. Ruszył. Ula przez chwilę odprowadzała wóz wzrokiem. Ogarnęło ją uczucie pustki. Brakowało jej Ignasia i dawnej mamy. Nie wiedziała, co ma robić. Podinspektor wyjawiał wiele szczegółów ze śledztwa, ale zarazem nic konkretnego. A może jest za głupia, żeby tę wiedzę wykorzystać. Spojrzała na jezioro. Był to pulsujący życiem organizm, mówiący wieloma głosami, zmieniający swoje oblicze. Jezioro

w każdej chwili mogło stać się niebezpieczne. Trzeba było je obserwować, aby móc się przygotować na atak wysokiej wody.

Ula obróciła się i spojrzała na dom. Mama stała przy przeszklonej ścianie i opierała o nią jedną dłoń oraz czoło. Taka dobra, taka kochana i tak bardzo pokrzywdzona przez los, przez konkretnych ludzi. Ula zaczęła się do niej zbliżać. Gdy znajdowała się dwa metry od budynku, uniosła głowę i zadrżała na widok upiornej twarzy Justyny. Była przeraźliwie blada, z wytrzeszczonymi oczami i rozwartymi w niemym krzyku ustami. Ta kobieta cierpiała i czegoś potwornie się bała.

Może podinspektor miał rację i ona może więcej zdziałać, aby wykryć sprawców, bo ma na wyciągnięcie ręki naocznego świadka.

Rozdział XVII

SYLWIA PATRZYŁA NA SWOJĄ stopę, na błękitne żyłki biegnące od kostki ku podbiciu. Poruszyła palcami. Miała nieładny kształt paznokci, były zbyt szerokie. Z ich powodu rzadko nosiła sandały. Naciągnęła czarne rajstopy. Od śmierci teścia ubierała się w żałobny kolor. Raz włożyła fioletowy sweterek. Nie planowała żadnego wyjścia, uznała więc, że po domu może w nim chodzić. Szybko go zdjęła, gdy napotkała niezadowolone spojrzenie męża.

Od tamtego dnia nie odważyła się włożyć nawet ciemnoszarych ubrań. Zamówiła w sklepie internetowym kilka czarnych bluzek. Teraz wyjęła jedną z szafy, lekko wciętą w pasie i z niewielkim dekoltem w serek. Dobrze w niej wyglądała. Właściwie we wszystkim było jej ładnie. Andrzej nawet stwierdził, że to ona dodaje uroku ubraniom, a nie odwrotnie. Kiedyś koleżanka na studiach powiedziała coś podobnego, gdy pożyczyła Sylwii swoją sukienkę. Kiecka zyskała na urodzie, gdy znalazła się na jej smukłym ciele.

Włożyła czarną spódnicę do kolan i przejrzała się w lustrze. Jeszcze tylko małe srebrne kolczyki od Giforta i będzie gotowa.

Uniosła ręce i przeciągnęła się zmysłowo niczym kotka. Nie miała zamiaru nikogo uwodzić. Chciała jedynie pozbyć się nieprzyjemnego napięcia, powodującego ból w karku. Od kilku lat zmagала się z tymi dolegliwościami. Była nawet u masażystki, a ta stwierdziła, że Sylwia jest zestresowana. Młoda i piękna kobieta, która ma wszystko: przystojnego męża, dobrą córkę i kasę, skąd więc ten stres?

Do sypialni wpadła Weronika. Miała na sobie dżinsy i zieloną bluzkę. Na szczęście od niej Andrzej nie wymagał żałobnego stroju.

— Mamo, nie wyjdziecie, dopóki Aneta nie przyjdzie?

— Nie wyjdziemy. Poczekamy na nią.

Weronika bardzo przeżyła morderstwo dziadka i wypadek Ignasia. Nie zdołali ukryć przed nią okoliczności śmierci tych dwojga, bo media, i to nie tylko internet, mówiły na ten temat. Śmierć właściciela sieci salonów jubilerskich Gifort była łąkowym kąskiem także dla telewizyjnych programów informacyjnych.

Córka objęła ją w pasie.

— Mamo, kiedy wróćcie?

— Nie wiem, skarbie, ale nie martw się, Aneta zostanie z tobą aż do naszego powrotu.

Aneta była dawną opiekunką Weroniki. Nie przychodziła do nich już od trzech lat, bo córka po ósmym urodzinach stwierdziła, że jest już duża i może sama spędzać wieczory. Po morderstwie dziadka wszystko się zmieniło. Weronika bała się

zostać sama, nawet w dzień. Budziła się też w nocy i biegła do ich sypialni z krzykiem, że ktoś wszedł do domu. Wczoraj przy śniadaniu zapytała, czy ich też zabiją. Na szczęście Andrzeja przy tym nie było. Bardzo by się zdenerwował. Sylwia myślała o pójściu z córką do psychologa, ale najpierw muszą pozatwierać bieżące sprawy. Dopiero dwa dni temu był pogrzeb teścia i Ignasia, a dzisiaj jadą na odczytanie testamentu.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Sylwia ruszyła do przedpokoju, a Weronika tuż za nią, niemal przyklejona do jej pleców.

— Mamuś, może nie otwieraj.

— To na pewno Aneta.

Sylwia była zła, bo usłyszała drżenie swojego głosu. Też się bała, ale nie tego, że ich napadną i zabiją. Nie potrafiła sprecyzować, czego dotyczy jej lęk. Ostatnie wydarzenia nadwyrężyły psychikę ich wszystkich. Róża podobno wpadła w histerię na wieść o zamordowaniu teścia i nawet zemdłała. Zabrało ją pogotowie, kilka godzin później urodziła drugiego syna, dwa tygodnie przed terminem.

Sylwia wyjrzała przez wizjer i zobaczyła Anetę zdejmującą czapkę i rozpinającą kurtkę. Otworzyła drzwi.

— Tak mi przykro, taka tragedia. — Dziewczyna czyściła buty o wycieraczkę i składała kondolencje. — Przeczytałam wszystkie artykuły w internecie na ten temat. Koszmar. Mam nadzieję, że ich złapią i dadzą im dożywocie. Szkoda, że nie ma kary śmierci. Takim by się należała.

Sylwią wstrząsnął nagły dreszcz. Nie chciała dalej tego słuchać i Weronika też nie powinna. W tej chwili byli rodziną napiętnowaną przez zbrodnię i każdy im o tym przypominał, nawet listonosz wczoraj złożył im wyrazy współczucia i podpytywał o szczegóły morderstwa. Powinni jak najszybciej wrócić do normalnego życia ze względu na prawidłowy rozwój psychiczny Weroniki.

— Zrobiłam wam sałatkę z ananasem — mówiła, prowadząc Anetę do kuchni. Otworzyła potężną lodówkę. — Tutaj macie też sernik i wędlinę. Możesz również usmażyć jajecznicę. My za trzy, cztery godziny powinniśmy wrócić.

— A dokąd państwo jadą? Czy tam? Widziałam ten dom w internecie. Super, taki nowoczesny. Ale tak się to kończy, gdy się mieszka w depresji. Podobno Żółwiniec to najniżej położona miejscowość w Polsce.

— A co ma do tego depresja?

— No przecież to nie jest normalne, że się mieszka poniżej poziomu morza. To musi mieć zły wpływ na głowę, tak piszą w sieci.

Sylwia pomyślała, że ta uwaga miałaby sens, gdyby to sprawca mieszkał na depresyjnym terenie, a nie ofiary.

— Nie widzę związku — mruknęła. Wielkie jak jednogroszówki źrenice córki mówiły jej, żeby nie kontynuowała tego wątku.

Aneta uniosła czajnik elektryczny.

— Najpierw kawusia. — Obróciła się do Weroniki.
— Mała, chcesz herbatki?

Sylwia najchętniej zostałaaby w zaciszu swojej nowoczesnej kuchni i również wypła kawę, i trochę poczytała tygodniki, które z nawyku kupowała, ale od dziesięciu dni nie miała czasu, aby do nich zajrzeć. Niestety, Andrzej chciał, aby z nim jechała. Przy niej nie puszczały mu nerwy, chyba że w domu. W czterech ścianach dawał upust swoim emocjom, a ona była rezerwuarem, który je pochłaniał. Ostatni raz, gdy nie zapanował nad sobą, to był dzień przed morderstwem. Pojechał wtedy sam do Żółwińca, bo ona poszła z Weroniką na basen. Powinna mu wyperswadować tę wizytę, przecież wiedziała, że bardzo źle znosi drugą żonę ojca. Gdy jeździli tam razem, jakoś się kontrolował, ale gdy był sam, zwykle dochodziło do starcia — albo z Leonem, a częściej z Justyną, przy czym to zawsze Andrzej prowokował konflikt. Tamtego wieczora wrócił roztrzęsiony. Wszedł do sypialni i pozornie spokojnym tonem oznajmił, że chce frytki. Od razu wyszła spod kołdry i ruszyła do kuchni. Była przygotowana na taką okoliczność. Miała obrane i pokrojone ziemniaki w zamrażalniku. Wyjęła je i wrzuciła na gorący olej. Andrzej chodził za jej plecami i gwizdał. Sylwia знаła ten rytuał, nie raz go odgrywali. Teraz była jej kolej, powinna zapytać, co się stało. Pomyślała, żeby tego nie robić, a w zamian opowiedzieć, jak było na basenie, że ich córka zrobiła postępy w żabce. Bała się jednak mocniej rozdrażnić męża. Był wyjątkowo nabuzowany. Chodził po kuchni bardziej nerwowym krokiem niż zwykle i pogwizdywał melodię weselszą, niż miał to w zwyczaju, gdy się zdenerwował.

— Co się stało? — wyszeptała, stawiając na stole pierwszą porcję frytek.

Zanurzył w nich palce i wziął kilka sztuk.

Zapomniała o soli. Otworzyła szafkę i zaczęła szukać solniczki, ale ta jak na złość gdzieś się schowała.

— Pierdolone suki, one go wyruchają.

Sylwia zadrżała. Głos jej męża był z pozoru opanowany. Wróżyło to co najmniej godzinną tyradę. To pierwsze zdanie złożone z samych wulgaryzmów stanowiło preludium do tego, co miało nastąpić. Andrzej zaczął wypluwać z siebie słowa, a jedno było gorsze od drugiego. W pismach czytała listy kobiet doświadczających przemocy domowej. Jedne były popychane i szarpane przez mężów, inne obrażane, jeszcze inne rozliczane z każdej złotówki. Była szczęśliwa, że Andrzej ją szanuje, nigdy jej nie wyzwał, nie podniósł na nią ręki, niczego jej nie żałował. Jakiś czas temu dotarło do niej, że jego ataki silnego zdenerwowania, podczas których raczył ją słowotokiem wulgaryzmów najcięższego kalibru, też były formą przemocy. Znalazła w internecie kontakt do psychologa, który pomagał terroryzowanym kobietom. Opowiedziała mu, co się dzieje u nich w domu, gdy partner wpada w szał, dużo mówiła o swoim strachu i napięciu mięśni wywołującym ból w karku. Potwierdził jej przypuszczenie, że jest ofiarą przemocy, i polecił wysłać męża na terapię. Ta rada ją zezłościła. Jak niby miała to zrobić? Powiedzieć Andrzejowi: Kochanie, jesteś chory,

musisz się leczyć? Tylko by go zdenerwowała i wywołała kolejny atak niecenzuralnego słowotoku.

Przez lata nauczyła się, jak postępować, gdy mąż wpadał we wściekłość i kłął jak opętany. Przede wszystkim nie próbowała go uspokajać, bo efekt był przeciwny. Spełniała też jego zachcianki, a przeważnie ogarniał go ogromny apetyt, robiła więc szybko kanapki albo frytki. Ostatnio odkryła, że wyciszał się dość szybko, gdy dołączała się do jego wulgarnej oracji i też zaczynała rzucać mięsem. Miała wrażenie, że w ten sposób bierze na siebie część jego nerwów. To nie było łatwe, bo jej usta i język nie przywykły do wypowiedzania takich słów, a wyobraźnia nie potrafiła ich stworzyć. Żeby ułatwić sobie zadanie, powtarzała to, co on mówił. Tamtego dnia, gdy wrócił ze Żółwińca i zażyczył sobie frytek, nie miała siły, żeby wraz z nim kłąć, pomstować na Justynę i Ulę. Struny głosowe odmówiły posłuszeństwa. Słuchała więc, jak on wypluwa z siebie ciężkie przekleństwa. Zdołała zrozumieć, że oskarża Justynę i jej córkę o jakiś spisek, że niby Ula złamała reguły panujące w firmie Giforta, bo wynosiła z salonu brylanty. Mimo to Leon jej nie zwolnił, nie pogonił z Żółwińca. Siedziała tam dzisiaj jak hrabianka. A on, najstarszy syn, zawsze lojalny, zaproponował ojcu otwarcie jubilerskiej wypożyczalni, którą mogłaby poprowadzić Sylwia. I z czym się spotkał ze strony Leona? Z najzwyczajszą w świecie zdradą, bo tamten uznał, że tą nową gałęzią w biznesie mogłaby się zająć jego żona, Justyna. Stary i głupi człowiek. Nie widział, że te dwie kobiety go omotały i próbują okraść i wykończyć. Sylwia ruchem głowy przyznawała rację mężowi, jednocześnie

koncentrując się, aby z wiązanki wulgaryzmów wyłuskać sens wypowiedzi.

Nagle w drzwiach do kuchni stanęła Weronika. Zapewne niecenzuralne krzyki wyrwały ją ze snu. Miała twarz wykrzywioną bólem i mokrą od łez. Sylwia na ten widok poczuła ulgę, bo wiedziała, że oznacza to koniec mężowskiego ataku. W obecności córki umiał pohamować swój język. Za chwilę dopadły ją wyrzuty sumienia, przecież Weronika była przerażona. Powinna ją przytulić i uspokoić, powiedzieć, że tatuś się zdenerwował, ale już wszystko w porządku. Nie zdążyła się odezwać, bo córka odwróciła się i poszła do swojego pokoju. Andrzej też wyszedł z kuchni, a za chwilę z mieszkania. Nie zabrał telefonu, nawet nie mogła do niego zadzwonić. Wrócił po trzech godzinach. Gdy policja pytała, gdzie spędzili tamten poranek, oznajmiła, że w domu. Nie spytała męża, gdzie był przez te kilka godzin. Założyła, że pojechał do biura. Czasami tak robił, gdy go nosiło.

Aneta zalała kawę i po kuchni rozszedł się charakterystyczny aromat, który Sylwii zawsze kojarzył się z domem rodzinnym i bezpieczeństwem. Zaraz musi jechać do Żółwińca. Poczowała nagły niepokój, jak gdyby ktoś podał jej ten stan psychiczny w zastrzyku domięśniowym. Wolałaby, żeby odczytanie testamentu nastąpiło w kancelarii mecenas Krawczyńskiego, ale cała rodzina uznała, że dom Leona jest właściwszym miejscem. Wkrótce więc znajdą się pod dachem, pod którym doszło do zbrodni. Bała się krążących tam złych fluidów, przecież miejsca są silnie

powiązane z wydarzeniami, oddziałują na siebie wzajemnie.

Aneta zamieszała kawę, a potem ostentacyjnie oblizała łyżeczkę.

— Mała, co będziemy robić? Chcesz, to możemy pouczyć się angielskiego albo obejrzeć jakiś film.

— To może film.

Sylwia pochyliła się nad córką i cmoknęła ją w czubek głowy.

— Bawcie się dobrze. — Na kredensie położyła banknot. — To na wypadek, gdybyście czegoś potrzebowały.

Wyszła z kuchni. Andrzej był gotowy. Znakomicie się prezentował w czarnym garniturze pod krawatem. Wkładał właśnie płaszcz.

— Myszko, już wychodzimy. Proszę, pospiesz się.

Wyciągnęła z szafy czarną kopertówkę i schowała do niej telefon. W jej ruchach była niepewność i lęk. Starła się je ukryć przed mężem. Ze względu na niego powinna być spokojna i silna.

Wsiedli do samochodu, ona za kierownicą. Czekali ich co najmniej pięćdziesiąt minut jazdy, na szczęście pogoda była przyzwoita, sucho i mroźno.

— W końcu się ich pozbędziemy — odezwał się Andrzej.

Oczywiście mówił o Justynie i Uli. Sylwia też miała dosyć tych kobiet, bo źle wpływały na jej męża. Gdy znikną z ich życia, Andrzej się wyciszy, skończą się ataki słownej agresji.

— Chciałbym, żeby w Żółwińcu zamieszkała mama. Jej się ten dom należy. Porozmawiam z Markiem, ale myślę, że on też się na to zgodzi.

— Świetny pomysł, ale przypominam ci, że po narodzinach Ignasia Leon pól domu przepisał na Justynę.

— Spłacimy ją, bo przecież nie ona nas, bo niby skąd miałaby wziąć kasę. Poza tym nie sądzę, żeby chciała mieszkać w domu, w którym zginął jej syn. Nie będzie nas to dużo kosztowało. Pani wdowa będzie szczęśliwa, gdy dostanie od nas parę złotych na kawalerkę.

— Właściwie twoja mama i Justyna mogłyby zamienić się miejscami zamieszkania.

Andrzej roześmiał się, jak gdyby uznał, że to znakomity pomysł, po chwili jednak poważnym tonem stwierdził:

— Trzy pokoiki z ciemną kuchnią to dla tej suki za dużo.

Zajechali przed dom w Żółwińcu i wysiedli. Pojawili się jako ostatni, bo granatowy ford Marka już stał na podjeździe, srebrne subaru mecenas Krawczyńskiego również.

Sylwia się wzdrygnęła, czując wilgoć w powietrzu. Nie lubiła jeziora Drużno, była w tym odosobniona, bo wszyscy zachwycali się rezerwatem. Ją przytłaczał widok zarastającego nieciekawą roślinnością rozlewiska. Nie czekając na męża, wbiegła do domu. W holu natknęła się na Marka. Miał na sobie dzinsy i sweter. W przeciwieństwie do Andrzeja nie uznał, że uroczystość odczytania

ostatniej woli ojca wymaga włożenia garnituru, albo po prostu nie miał czasu i głowy do tego, aby się przebrać. Ta druga wersja wydała się Sylwii bardziej prawdopodobna, bo brat jej męża wyglądał na wykończonego.

— Mały nie daje wam spać?

— Mały jest cichy jak miś zimową porą, ale Mateuszek wyje przez pół nocy.

— Może coś mu jest.

— Nic mu nie jest, po prostu wyczuł, że ma konkurencję do cycka.

— Wybraliście już imię dla małego?

— Tak, Jarek.

Uniosła brwi.

— Żartujesz?

— Oczywiście, że tak. Róża chce mu dać na imię Natan.

— Ładnie.

— Może i ładnie, ale to semickie imię. Będą małego prześladować w szkole.

Trzasnęły drzwi i w holu pojawił się Andrzej. Przy młodszym bracie prezentował się niczym kosmopolitalny Apollo. Może nie wpuściliby go na czerwony dywan, ale mógłby nosić tacę z kieliszkami. Sylwia często słyszała, że jej mąż jest podobny do swojego ojca, ale dopiero teraz sama to dostrzegła. Nawet ruchy miał podobne, sprężyste i władcze.

— Jak się czuje Róża? — zapytał Andrzej, zdejmując płaszcz.

— Wykończona. Planujemy zatrudnić nianię. Teraz będzie nas stać.

Sylwia przeczesła palcami długie włosy. Ręka jej drżała, a serce na moment zamarło tknięte uczuciem trwogi. Zauważyła wymianę porozumiewawczych spojrzeń między braćmi. Nawet nie chciała myśleć, co mogą oznaczać. A może się jej zdawało i nie było sekretnych znaków przesyłanych ponad jej ramieniem, może to tylko jej rozgorączkowana wyobraźnia wytworzyła niepokojący obraz.

Pierwsza weszła do salonu i skinęła głową mecenasowi Krawczyńskiemu. Niewysoki mężczyzna o kobiecych dłoniach i gustownie przystrzyżonych wąsach podniósł się z krzesła i wykonał głęboki ukłon przeznaczony głównie dla niej. Był to wieloletni współpracownik Leona, ekspert od prawa w biznesie, to dzięki niemu firma miała solidny fundament umocowany w przepisach. Gifort powierzał mu też sprawy rodzinne, dlatego mecenas był w posiadaniu jego ostatniej woli. Rzadko widywała prawnika, ale miała okazję zaobserwować, że mu się podoba. Sprawilo jej to przyjemność, choć sam Krawczyński nie wzbudzał w niej większych emocji. Usiadła bokiem do mężczyzny i założyła jedną nogę na drugą, dbając o to, aby spódnica podjechała w górę i odsłaniała kolano i fragment uda. Uwodziła niemłodego już mecenasa dla zabawy. Andrzej to widział, ale na szczęście nie był zazdrosny. Wiedział, że ona nigdy nie przekroczy granicy.

Rzeczywiście nie zrobiłaby tego, ale nie z miłości do męża, nie z poczucia lojalności, po prostu bała się jego gniewu.

Na stole stały dwie butelki wody mineralnej i kilka szklanek, na wypadek gdyby komuś zaschło w gardle. Andrzej nie przewidywał niespodzianek, ale ona miała złe przeczucia, spodziewała się komplikacji. Ściągnięte rysy Krawczyńskiego również wskazywały, że czeka ich niespodzianka. Wygładziła spódnicę i pomyślała, że chciałaby mieć już to za sobą.

Do salonu weszła Justyna z ręką unieruchomioną w gipsie, ze zubożonym wyrazem twarzy. Prowadził ją młody mężczyzna w garniturze. Zaraz za nimi pojawiła się Ula.

— To jest prawnik mojej mamy, Adam Panicz — przedstawiła gościa.

Mecenas kiwnął im głową. Cała trójka usiadła na jednej kanapie. Od razu dawało się wyczuć dwa obozy przedzielone niskim stołem niczym barykadą.

Krawczyński odchrząknął.

— No to możemy zaczynać. — Ze skórzanej teczki wyjął białą kopertę i położył ją przed sobą. — Spotkaliśmy się, aby zapoznać się z ostatnią wolą Leona Giforta. Informuję, że została ona spisana w kancelarii notarialnej Kazimierza Bundy, tam też się znajduje w zapieczętowanej kopercie i jest do waszego wglądu. Na życzenie spadkodawcy jestem w posiadaniu kopii testamentu i teraz go odczytam.

Sylwia czuła narastające napięcie. Wpatrywała się w ręce Krawczyńskiego otwierające kopertę. Papier zaszeleścił i prawnik odczytał datę sporządzenia dokumentu: „Elbląg, 16 października 2019 roku”.

Trochę ponad rok temu, tuż po sześćdziesiątych urodzinach Leona. Była pewna, że to nie jest pierwszy testament teścia. Ktoś tak przezorny nie czeka tak długo na spisanie ostatniej woli.

Mecenas kontynuował: „Ja, Leon Gifort, urodzony 12 października 1959 roku w Pasłęku, na wypadek mojej śmierci połowę domu w Żółwińcu należącą do mnie przekazuję mojej żonie Justynie Gifort”.

Sylwia zacisnęła pięści. To była bardzo zła informacja. Andrzej będzie wściekły. Planował umieścić tu matkę i nic z tego. Warta ponad milion złotych nieruchomość trafi do Justyny. Rzeczywiście szkoda, ale można się było tego spodziewać, bo przecież Ignas musiał dalej mieć dom. Jego ojciec nie mógł wiedzieć, że zginą tego samego dnia. Spojrzała na wdowę po Giforcie. Tamta nie wykazała ani zaskoczenia, ani radości, psychotropy zablokowały reakcję mięśni mimicznych. Za to Ula pokiwała z aprobatą głową, jak gdyby chciała powiedzieć: „Mojej mamie należał się ten dom”.

Po krótkiej pauzie na wzięcie oddechu Krawczyński odczytał kolejny zapis: „Do spadku po mnie w postaci przedsiębiorstwa jubilerskiego Gifort powołuję w równych częściach moich synów: Andrzeja, Marka, Ignacego oraz moją żonę Justynę”.

Mecenas złożył testament na pół i odłożył na kopertę, dając znać, że to koniec. W salonie zapanowała cisza. Wszyscy musieli przetrwać tę zaskakującą informację. Druga żona Giforta będzie jedną z właścicielek jubilerskiego interesu. Swego czasu Andrzej i Marek zabiegali o to, aby Leon część udziałów przekazał ich matce. Uważali, że na to zasłużyła, bo pomagała przy budowaniu biznesu, była przy jego początkach, z pełnym poświęceniem oddawała się pracy w domu i przy dzieciach, aby mąż mógł rozwijać przedsiębiorstwo. Tymczasem jubilerskie kokosy trafią w ręce innej kobiety. Co za niesprawiedliwość. W tej chwili Sylwia z całego serca nienawidziła Justyny, bo zagarnęła to, co należało się teściowej, a tym samym Andrzejowi i Weronice. Z niepokojem zerknęła na męża. Ten sapnął nerwowo i zabrał głos:

— Nie rozumiem tego zapisu.

— Tak, ma pan rację, to wymaga wyjaśnienia — odezwał się Krawczyński. — Leon Gifort powołał czterech spadkobierców, niestety jego najmłodszy syn, Ignacy Gifort, nie może pełnić tej roli. Prawo mówi, że jeśli jeden ze spadkobierców nie chce lub nie może być spadkobiercą, wtedy część zwolniona przypada w braku odmiennej woli spadkodawcy pozostałym spadkobiercom w stosunku do części, w jakich są powołani do spadku. A zatem każdemu z was przypadnie po jednej trzeciej przedsiębiorstwa jubilerskiego.

Andrzej poprawił się na krześle, aż drewniana konstrukcja skrzypnęła.

— Prawne aspekty ogarniam — oznajmił nieprzyjemnym tonem. — Ja tylko, kurwa, nie rozumiem, dlaczego ojciec ze swojej drugiej żony uczynił spadkobiercą przedsiębiorstwa, które budował wraz z moją matką.

Sylwia pochyliła się i położyła dłoń na kolanie męża. Zaczęła się słowna agresja. Jeśli go w tej chwili nie powstrzyma, to wybuchnie i zaleje wszystkich wulgarnym słowotokiem. Po to ją zabrał, aby go kontrolowała. Spojrzała błagalnie na Marka. Właściwie odczytał jej wzrok. Odchrząknął i zaczął mówić:

— Moi drodzy, nie dajmy ponieść się emocjom. Możemy się dogadać. — Obrócił się ku Justynie. — Bardzo ci współczujemy tak ogromnej straty. Sami mamy dzieci i potrafimy wczuć się w twoją sytuację. Nieba byśmy ci przychyłili, żeby tylko twój ból stał się mniejszy. Zrobisz, co uznasz za słuszne, ale radziłbym ci sprzedać ten dom, zbyt dużo wspomnień się z nim wiąże, i tych dobrych, i tych okrutnych. Mnie ścisnęło za gardło, gdy dzisiaj przekroczyłem próg, bo tutaj zginęli mój ojciec i przyrodni brat. Pod tym dachem nie wrócisz do równowagi psychicznej. Ciężarem dla ciebie będą też udziały w przedsiębiorstwie Giforta. Będą ci przypominać tę tragedię, dlatego proponuję, żebyś z nich zrezygnowała, ewentualnie możemy je od ciebie odkupić za symboliczną cenę.

— Nie.

To jedno słowo wypowiedziane z wyjątkową siłą padło z ust Uli.

— Pozwól, żeby Justyna sama podjęła decyzję — poprosił Marek.

— Nie dam wam wyrolować mojej mamy.

— Nikt nie ma takiego zamiaru. Chcemy jedynie pomóc.

— Chcecie ją okraść.

Justyna nie zareagowała na propozycję, nadal uśmiechała się z lekko otępiałym wyrazem twarzy. Siedzący obok niej mecenas Adam Panicz poprawił mankiety i wychylił się do przodu.

— Chciałem poruszyć jeszcze jedną kwestię.

Spojrzał na Krawczyńskiego, jak gdyby oczekiwał od niego zezwolenia na zabranie głosu. Tamten kiwnął aprobowująco głową.

— Uważam, że to bardzo nieuczciwe pozbawiać najmłodszego syna Leona Giforta spadku.

Krawczyński uśmiechnął się wyrozumiale.

— Kolego, Ignacy Gifort nie może być spadkobiercą, bo nie żyje.

— Nie może? Doprawdy? — Młody prawnik wyglądał na pewnego siebie, a w jego głosie pojawił się zaczepny ton. — A czy Leon Gifort zastrzegł, że spadkobiorca musi żyć w momencie otwarcia testamentu?

Krawczyński nie musiał odpowiadać na to pytanie. Oczywiście było, że przeczytał cały testament i taki zapis się w nim nie znajdował.

— W takim razie Ignacy Gifort dziedziczy po ojcu jedną czwartą jubilerskiego biznesu, a po nim jego matka — oznajmił Panicz. — Czyli moja klientka

powinna otrzymać w spadku połowę przedsiębiorstwa, a nie jedną trzecią, jak raczył pan poinformować zebranych.

Sylwia przycisnęła dłoń do ust, żeby głośno nie zaprotestować. Miała ochotę powiedzieć, że to jest niesprawiedliwe, aby rodzinny majątek wpadł w obce ręce. Spojrzała na Krawczyńskiego z nadzieją, że zaraz zacytuje jakiś paragraf, którym przekreśli słowa młodego mecenasa. Był przecież przyjacielem rodziny, najbliższym współpracownikiem Leona, powinien bronić ich interesów.

Prawnik położył dłoń na testamencie.

— Kolego, Ignacy Gifort może być spadkobiercą Leona Giforta tylko pod warunkiem, że zmarł po nim, a nie przed nim, a jak było, tego nie wiemy i nie wiadomo, czy kiedykolwiek poznamy prawdę. Na tej podstawie twierdzę, że Ignacy Gifort nie może być uznany za spadkobiercę.

Mecenas Panicz był przygotowany na ten argument, bo lekko przytaknął i zapewnił:

— Będziemy o to walczyć w sądzie. Przypominam, że w sytuacjach spornych, niejasnych, sąd wydaje zwykle wyroki korzystne dla powoda.

Krawczyński pokręcił przecząco głową, ale już nic nie powiedział. Nie miał paragrafu, którym mógłby obalić twierdzenie młodego prawnika.

Ula wstała z kanapy i podała rękę Justynie. Ta również się podniosła.

— Przepraszam, ale mama musi teraz odpocząć. Ja za chwilę wrócę was pożegnać.

Sylwia przyłożyła palce do skroni. Cały pokój wirował jej przed oczami, wraz z sylwetką Uli, która w dżinsach i czarnej koszuli stała naprzeciwko. Niewiarygodne, jaki ta gówniara miała tupet. Dała im wyraźnie do zrozumienia, że jest u siebie, a oni są wyłącznie gośćmi i zaraz mają opuścić dom. Zwyczajnie ich wyprosiła. Andrzej powiedziałby, że ich wypierdoliła.

Gdy Ula z Justyną wyszły, Panicz również się podniósł. Na stole położył niewielką plakietkę.

— To moja wizytówka. Proszę o telefon w sprawie notarialnego przepisania spadku. Stanowisko mojej klientki znacie. Mam nadzieję, że zostanie zaakceptowane.

Młody prawnik się uklonił i wyszedł z salonu.

Sylwia bała się spojrzeć na męża. Musiał być nieprzytomny ze wściekłości. Ona sama miała wrażenie, że zaraz eksploduje krzykiem. Spotkała ich wielka niesprawiedliwość i to ze strony człowieka, który był im tak bliski. Jak Leon mógł w taki sposób podzielić swój majątek? Że uwzględnił Ignasia, to było do przyjęcia, tego się spodziewali. Ale druga żona?

— No to co teraz? — zagadnął Marek.

— Proponuję zajebać tę sukę — odezwał się Andrzej.

— A może znajdzie się bardziej cywilizowane rozwiązanie. Panie mecenasie, jakie mamy szanse na podważenie tego testamentu? Interesuje nas wykluczenie Justyny z dziedziczenia

przedsiębiorstwa. Dom jak chce, niech bierze, ale nie firmę. Ona jest nasza, to znaczy Gifortów.

Prawnik podniósł testament i zaczął go ponownie czytać, jak gdyby liczył na to, że za pierwszym razem coś umknęło jego uwadze. Następnie gestem pełnym rezygnacji schował go do koperty.

— Jeśli chcecie mieć firmę tylko dla siebie, musicie się z nią dogadać. Jest bardzo duże prawdopodobieństwo, że sąd przychyli się do jej wniosku i przyzna prawo do dziedziczenia po synu Ignacym Giforcie.

Andrzej walnął pięścią w stół, aż szklanki zadźwięczały.

— Pięćdziesiąt procent udziałów dla tej suki, kurwa, to niemożliwe.

— Z Justyną może byśmy doszli do porozumienia — oznajmił Marek. — Ale jest jeszcze Ulka. Ona nie pozwoli matce wypuścić z rąk takiego majątku. To na pewno był jej pomysł, aby zatrudnić prawnika.

— Panie mecenasie — zaczęła nieśmiało Sylwia. — Z tego, co wiem, to testament jest nieważny, jeśli został sporządzony pod przymusem.

Spojrzał na nią przychylnie.

— Ma pani rację. Jeśli chcecie walczyć w sądzie o nieważność testamentu, to musicie mieć jakiś mocny dowód na to, że Leon sporządził go po naciskach żony. Najlepiej, żeby to był odręcznie napisany list, w którym skarży się na nagabywanie Justyny w tej sprawie.

Sylwia kiwnęła głową na znak, że rozumie. Nic się nie da zrobić, właśnie przepadła połowa majątku

Giforta.

Krawczyński pożegnał się z nimi, oznajmiając, że jest do dyspozycji. Chwilę później z salonu wyszedł Marek z telefonem przy uchu. Relacjonował żonie treść testamentu. Sylwia została sama z mężem. Miała ochotę wracać do domu, ale zarazem chciała tu jeszcze trochę pobyc, aby odwlec w czasie wybuch Andrzeja. Wiedziała, co się stanie, gdy wsiądą do samochodu. Jej mąż zaleje ją strumieniem wulgaryzmów, jak gdyby to ona była wszystkiemu winna. Będzie to trwało całą drogę, a skala agresji językowej będzie rosła, kaliber rzucanych słów osiągnie moc raniącą jej umysł, a poziom decybeli okaleczy jej bębenki słuchowe. Jak ona to wytrzyma? Zaczynała się bać tego, co wkrótce nastąpi.

Andrzej nalał sobie szklankę wody i wypił jednym duszkiem.

— Może pójdę do kuchni i zrobię nam kawę? — zaproponowała. — Marek na pewno też się napije.

— Uli to się może nie spodobać, że kręcisz się po kuchni. To teraz ona jest u siebie, nie my. Poza tym powiedziała, że zaraz przyjdzie nas pożegnać, czyli mamy wypierdalać. — Sapnął ciężko. — Moja mama, gdy się o tym dowie, to się rozchoruje.

Do salonu wrócił Marek. Wyglądał na jeszcze bardziej zmęczonego. Cienie pod oczami nabrały sinawej barwy. Czoło błyszczało od potu, a na szyję wystąpiły czerwone plamy. Plecy miał przygarbione, a sweter na nim wisiał.

— No, staruszek wsadził nas na minę, aż mi ciśnienie skoczyło. — Wcisnął telefon do kieszeni.

— Róża chce, żebym wracał już do domu. Dzieciaki jej doskwierają. Boże, ta kobieta z niczym nie daje sobie rady, nawet z własnym potomstwem. Powiedzcie mi jeszcze, co robimy z tym spadkiem, a raczej z Justyną. Może warto się poradzić innego prawnika? Krawczyński to człowiek naszego ojca, czyli jest wyczulony na sprawiedliwość całej rodziny, tak samo będzie chronił interesu naszego, jak Justyny.

— Można pogadać z innym prawnikiem — mruknął Andrzej. — Ale ja mam lepszy pomysł, jak załatwić tę sukę, jak się jej pozbyć.

Sylwia znowu poczuła strach. Wolałaby, aby jej mąż nie kontynuował tego tematu. Już wystarczy ofiar.

— Chcesz ją jeszcze raz przejechać? — Marek zaśmiał się nerwowo.

Andrzej położył wymownie palec na ustach.

— Ciszej, bo ta mała suka jeszcze coś usłyszy i pomyśli, że to rzeczywiście byłem ja. A tak w ogóle to szkoda, że tamtego dnia złamała rękę, a nie kark.

Marek przysiadł na kanapie, którą wcześniej zajmowała Ula z matką i mecenasem Paniczem. Obejrzał się na drzwi.

— Mów, co wymyśliłeś.

Andrzej nalał sobie drugą szklankę wody.

— Czy was nie dziwi, że Justyna przeżyła ten napad? Ojca udusili, a jej nie?

Marek wzruszył ramionami.

— Podobno ojciec komuś się naraził. Tak zakłada policja. Może nie chciał z kimś ważnym współpracować.

— Gdyby tak było, to zabiliby mu żonę, a nie jego. Żeby go nastraszyć.

— Próbowali tego, przecież ktoś chciał przejechać Justynę.

Andrzej znowu ciężko sapnął.

— Uważam, że śmierć naszego ojca nie jest związana z jego interesami, był bardzo ostrożny, nie wpakowałby się w jakieś gówno.

— Ostatnio zaczął rozmawiać z Rosjanami — zauważył Marek. — Z ich strony można się spodziewać wszystkiego.

Andrzej wstał i poprawił marynarkę. Nie mógł spokojnie siedzieć. Okrążył stół i stanął przy bracie.

— To jest dziwne, że Justyna przeżyła ten napad i że nie chce nic mówić. Przypuszczam, że będzie się zasłaniała niepamięcią wywołaną szokiem. Woli nic nie mówić, żeby nie popełnić jakiegoś błędu, żeby się nie zdradzić.

Marek patrzył na nich z niedowierzaniem.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Chcę powiedzieć, że te suki zabiły nam ojca. Udusiły go tą cholerną apaszką, a potem upozorowały powieszenie Justyny, że niby jej życie też było zagrożone. Gdyby napastnicy byli prawdziwi, toby ją po prostu zabili.

— Brat, czy ty nie przesadzasz?

— Nie przesadzam. Miały motyw. Testament. Nieźle się obłowiły, suki, pół firmy i dom. Przypominam ci też, że Ulka jest policjantką. Wiedziała, jak to zorganizować. Jestem pewien, że sobie też załatwiła alibi na ten czas.

— A Ignas?

— To był wypadek. Mały się obudził, zobaczył, co się dzieje, wystraszył się i chciał uciec przez okno. Jutro rano pojedę do tego inspektora, który nas przesłuchiwał. Powiem mu, że je podejrzewamy. Pokażę mu ostatnią wolę ojca.

— Do podinspektora Juraszczyka? — zapytała Sylwia.

Andrzej przytaknął.

— To chyba kolega Uli, a może nie kolega, ale na pewno się znają — zauważyła. — Może lepiej porozmawiać z kimś innym.

W duchu przyklasnęła hipotezie męża. Chciała, aby Ula i jej matka okazały się sprawczyniami, wtedy by się ich pozbyli na zawsze. Justyna nie mogłaby dziedziczyć po mężu, którego zabiła. Poza tym, jeśli to one miałyby być winne, to znaczyłoby, że Andrzej nie miał z tym nic wspólnego. Od kilku dni w najgłębszych zakamarkach podświadomości tliła się niepokojąca myśl, którą bała się wyciągnąć na wierzch i przeanalizować. Nie rozważała tego, że Andrzej mógłby zamordować Leona. Dopiero teraz odważyła się zadać sobie pytanie, jak niby miał to zrobić? Przecież nie własnymi rękami, do tego nie byłby zdolny. No i po co miałby zabić ojca? Tak niewiele zyskiwał na jego śmierci. Oczywiście jest

spadkobiercą, ale testament raczej go okradał niż wzbogacał. Jaka była głupia, że podejrzewała męża.

— Kochanie, ale czy one wypuściłyby karaczany? Przecież Justyna się nimi brzydziła, Ula też.

Andrzej zaśmiał się krótko i głośno.

— Te karaczany to takie swoiste alibi. Wypuściły je po to, żebyśmy ich nie podejrzewali.

Sylwia wstała z kanapy. Mogli już jechać do domu. Nie bała się drogi powrotnej. Wyglądało na to, że Andrzej zapanował nad emocjami.

Rozdział XVIII

PROKURATOR LOCHMAN STAŁ przy oknie, plecami zwrócony do drzwi wejściowych. Gabinet był duży i lśnił czystością. W prokuraturze zatrudniali lepszą firmę sprzętającą niż na komendzie. Meble też wydawały się wyższej jakości, zwłaszcza fotelowe krzesła. Wygodnie się na nich siedziało. Juraszczyk wygiął się w tył, a wraz z nim lekko odchyliło się oparcie.

Lochman podszedł do biurka.

— No to na czym stoimy? — zapytał takim tonem, jak gdyby wiedział, że nic konkretnego od funkcjonariusza nie usłyszy.

Podinspektora to nieco zirytowało. Postanowił wyłożyć wszystko, co wie. Przeanalizować tu i teraz każdą hipotezę, żeby prokurator zobaczył, że się starają, nie lekceważą żadnego tropu, nawet najbardziej absurdalnego.

— Stoimy na dwóch morderstwach, które mogą być ze sobą powiązane.

— Na dwóch? — Prokurator był zaskoczony. — Mógłby pan coś więcej powiedzieć?

Lochman poprosił go o spotkanie, bo sprawa była poważna. Morderstwo Leona Giforta stało się

wysoce medialne. Zginął nie tyle ktoś znany, ile rozpoznawalny poprzez markę. Każdy wiedział, że Gifort to popularne wyroby jubilerskie. W dodatku śmierć poniosło dziecko, w tragicznych okolicznościach bezpośrednio powiązanych z morderstwem. To powodowało, że na temat zdarzenia i ogólnie bezpieczeństwa chętnie wypowiadali się politycy i publicyści. Głos zabrał nawet minister spraw wewnętrznych, który zapewnił, że policja wykonuje czynności, które doprowadzą do zatrzymania sprawców. Prawdopodobnie Lochman miał już za sobą telefoniczną rozmowę z kimś od prokuratora generalnego, podczas której wyłożono mu, czego się od niego oczekuje. Jednym słowem tego śledztwa nie da się wyciszyć, a potem zamknąć i odesłać do archiwum.

Podinspektor trzymał w ręku notes. Nie musiał do niego zaglądać, bo wszystko miał w głowie.

— Dziewiątego listopada na Modrzewinie zostały znalezione zwłoki Krzysztofa Marcza, lat dwadzieścia jeden. Wisiał na drzewie, a pod nim leżał rower.

— Pamiętam. Znaleźliście dowód na to, że było to morderstwo. Chodziło o włókna na sznurze, tak?

— Zgadza się. Ofiara miała rękawiczki z cordury i supplexu, a na sznurze znajdowały się włókna nitrylowe. Nie mógł się sam powiesić. Poza tym miał uraz głowy, rozległy krwiak wewnątrzczaszkowy, efekt mocnego uderzenia. Sprawca go najpierw ogłuszył, a potem powiesił.

— Macie podejrzanego?

— Nie, ale ta śmierć może być związana ze zdarzeniem w domu Giforta.

— No, aż skręca mnie z ciekawości. — W głosie prokuratora pojawiła się drwiąca nuta. — Na czym polega ten związek? Mów, podinspektorze! Może ogarnę to swoim prawniczym umysłem.

Juraszczyk usiadł wygodniej, wyciągając nogi przed siebie.

— Na tydzień przed zamordowaniem Leona Giforta ktoś próbował przejechać w Żółwińcu jego żonę. Pani Gifort zdołała uciec przed samochodem do jeziora i w ten sposób uratowała życie. Zakładamy, że ten sam sprawca mógł pojawić się tydzień później w domu Gifortów i usiłował ich zamordować, udało mu się tylko Leona. Są pewne poszlaki, które pozwalają nam podejrzewać o to Łukasza Marczaka, brata powieszzonego na Modrzewinie Krzysztofa.

Prokurator Lochman słuchał w dużym skupieniu, a potem zadał najbardziej sensowne pytanie, które było istotą każdego śledztwa:

— A dlaczego on miałby to zrobić?

Juraszczyk mógłby powiedzieć, że Łukasz Marczak mści się za śmierć brata, bo uważa, iż policja go sprzątnęła, obawiając się pomówień o brutalne przesłuchanie. Jak jednak miałby wytłumaczyć, że zemsta dotknęła rodzinę Gifortów? Bo była funkcjonariuszka, Ula Baranowska, była pasierbicą Leona? Absurd. Prokurator prawdopodobnie go wyśmieje. Musiał mu zaprezentować bardziej racjonalną wersję.

— Motyw jest trochę niejasny, powiedzmy naciągany — zaczął mówić podinspektor. — Otóż Ula Baranowska, pasierbica Giforta, była w konflikcie z Łukaszem Marczakiem. Nie mogli się dogadać w jakichś ważnych kwestiach.

— Nieszczęśliwa miłość? Zdrada? — dopytywał Lochman.

— Raczej chodziło o to, żeby Ula wrobiła paru policjantów w zamordowanie Krzysztofa Marczaka. Nie zgodziła się na to.

— O! To ciekawe. Mógłby pan coś więcej wyjawić?

— Ula Baranowska była kiedyś policjantką, szybko zrezygnowała ze służby, nie pasowała jej ta robota. No i Łukasz chciał, aby przyznała, że usłyszała na komendzie, że to policjanci zabili Krzysztofa, aby ukryć fakt, iż wcześniej go torturowali. Sądzę, że liczył na to, że zdoła wyłudzić odszkodowanie od policji. Teraz takich rzeczy jest całkiem sporo. Podobno są nawet kancelarie prawne, które się specjalizują w sprawach przeciwko funkcjonariuszom. Wiele komend ma z tego powodu problemy. Policjantom zakładano już nawet sprawy za zastosowanie opaski uciskowej.

Prokurator ruchem głowy przyznał mu rację.

— Marczak ma alibi na czas morderstwa w Żółwińcu?

Podinspektor przytaknął.

— Pojechał ze swoją dziewczyną, Mają Kowalską, do jej rodziców, do Nowakowa. Był tam już o dwudziestą, wrócili do Elbląga następnego dnia przed dziesiątą. Kowalscy to potwierdzili.

— Mogą kłamać — zauważył prokurator.

— Mogą, ale pod warunkiem że ich zastraszył. Tu chodzi o morderstwo, nie dawaliby mu alibi, bo go lubią.

Lochman oparł łokcie o biurko. Krawat wysunął mu się zza marynarki i wisiał nad blatem.

— Mogę wystawić nakaz przeszukania mieszkania i samochodu Marcza, ale muszę mieć coś więcej. Zeznanie Uli Baranowskiej, że nie chciała z nim współpracować, to trochę mało.

— Mamy jeszcze inny trop, pewniejszy — oznajmił pośpiesznie Juraszczyk, aby zamknąć już temat Marcza.

— Ten drugi trop to klasyka, czyli sprawcą miałby być ktoś z rodziny, tak?

— Tak. Powinniśmy mieć na uwadze synów Giforta. Obaj mają alibi zapewnione im wyłącznie przez żony, czyli to żadne alibi. Ich telefony logowały się w miejscach zamieszkania, ale obaj mają na tyle oleju w głowie, aby nie brać ze sobą aparatu na taką akcję. Kamery miejskiego monitoringu nie zarejestrowały ich samochodów wyjeżdżających z miasta późnym wieczorem. Ale kto jedzie zabić ojca własnym wozem?

— Dlaczego mieliby to zrobić?

— Dla kasy. Marek Gifort tonie w długach. Na przesłuchaniu przyznał się do dwóch wierzycieli, ale w rzeczywistości jest ich więcej. Żona nie wie o wszystkich jego zobowiązaniach finansowych. Ma kilka sądowych nakazów do zapłaty. Lada dzień komornik przystąpi do egzekucji jego długów.

— I ojciec mu nie pomógł wyjść z tego bagna — podsumował Lochman.

— Nie wiadomo, czy w ogóle poprosił starego o pomoc, ale jeśli tego nie zrobił, to miał jakiś powód. Może bał się, że ojciec go wyśmiej, upokorzy i na końcu nie da ani grosza. Czasami łatwiej zabić niż poprosić o kasę.

— A ten drugi syn? Andrzej Gifort?

— Jego finanse są w całkiem niezłym stanie, ale być może chciał więcej.

Juraszczyk miał ochotę zapalić papierosa. Wstał i podszedł do okna, jak gdyby był u siebie. Uchylił je i chwilę później zaciągnął się dymkiem. Prokurator obrócił się w jego stronę wraz z krzesłem. W nonszalanckim geście zarzucił jedną nogę na drugą.

— Czyli synowie Giforta nie mają mocnego alibi, a jeden z nich miał motyw, aby pozbyć się ojca. To mało, panie podinspektorze. Co jeszcze na nich wskazuje?

— Obaj mają klucze do domu w Żółwińcu. Nie ma śladów włamania ani zarysowań typowych dla zastosowania wytrychu. Sprawcy sami sobie otworzyli albo zostali wpuszczeni. A czy Gifort albo jego żona otworzyliby drzwi komuś nieznanemu o czwartej czy piątej rano? W grudniu to ciemna noc. Poza tym w domu jest mnóstwo ich śladów, a brakuje śladów obcych osób.

Podinspektor obrócił się w stronę uchylonego okna i kącikiem ust wypuścił dym.

— Co nam dają zeznania strażaków i wojskowych kręcących się tamtego dnia nad jeziorem? — zapytał Lochman.

— Nic. To ponad setka ludzi, każdy mówi coś innego. Jeden ze strażaków rozpoznał Marka Giforta na zdjęciu, że niby zatrzymał się przy nich około szóstej rano, wysiadł z wozu i pytał o sytuację powodziową. Potem ten strażak zadzwonił do mnie i przeprosił, bo kolega mu uświadomił, że tamten gość był po sześćdziesiątce.

Prokurator kiwnął ze zrozumieniem. Dobrze wiedział, że osobowe źródło informacji najmniej pewne jest na imprezach masowych.

— To teraz ja wezwę Marka Giforta na przesłuchanie. Zeznania w prokuraturze to poważna sprawa, nie to co na komendzie. Może Gifort się wystraszy, zrobi jakiś błąd, zacznie się plątać.

Podinspektor przesunął grzbietem dłoni po podbródku. Poczował twardy zarost. Nie zdążył się dziś rano ogolić. Przy wymuskanym Lochmanie wyglądał jak lump.

— Marek Gifort dostał w spadku dwadzieścia pięć procent udziałów w przedsiębiorstwie jubilerskim. Nie wiem dokładnie, ile to jest warte, ale zapewne dużo. Starczy dla niego i jego dzieci. Jest jednak ktoś, kto zgarnie dwa razy więcej i jeszcze trochę.

Kształtne brwi prokuratora uniosły się nieco, a na twarzy pojawiło się zrozumienie.

— Żona, tak?

— Tak, Justyna Gifort otrzymała pół firmy, dwadzieścia pięć procent plus dwadzieścia pięć procent po synu Ignacym oraz dom w Żółwińcu.

Lochman gwizdnął z uznaniem.

— Czy to znaczy, że panią Gifort też mamy podejrzewać?

— Statystyki policyjne mówią, że ją najbardziej.

— Ale ona ma rękę w gipsie — zauważył prokurator. — No i omal sama nie straciła życia.

Juraszczyk zamknął okno i wrócił na krzesło. Po głowie kołatała mu się myśl, że Justyna i Ula bardzo zaryzykowały życie tej pierwszej. Pamiętał widok pani Gifort stojącej na czubkach palców i wspierającej się zdrową ręką o szczyt mebla. Wystarczył nieznaczny ruch jej ciała, aby drzwi szafy się ruszyły i oparte o nie po drugiej stronie zwłoki Giforta się obsunęły. Jedwabna szarfa zacisnęłaby się na gardle Justyny. Nie miałyby żadnych szans na ratunek.

— Pani Gifort musiała mieć współnika — oznajmił zdecydowanie. — Sama nie oparłaby ciała męża o drzwi szafy. Miałyby też ogromne problemy z uduszeniem go jedną ręką, a potem jeszcze musiałaby zrobić pętlę dla siebie. Ktoś w tym wszystkim musiał jej pomagać. Myślę, że to była jej córka, posterunkowa Ula Baranowska.

— Zakładam, że pan ją zna, tę Baranowską.

— Tak, pracowała w wydziale kryminalnym, co prawda tylko dwa tygodnie, ale dało się ją poznać.

— Jaka ona jest?

— Przebiegła. Doskonale odgrywa rolę grzecznego i niewinnej dziewczynki z zasadami.

— To może ja ją teraz przesłucham. Mnie nie zna, nie wie, czego się spodziewać.

Juraszczyk pokręcił przecząco głową.

— Nie. Ona ma alibi. Najpierw muszę je sprawdzić.

— Jakie alibi?

— Przez trzy godziny, od drugiej trzydzieści prawie do szóstej rano, esemesowała ze znajomym.

Telefon na biurku zadzwonił. Lochman nie odebrał. Uśmiechał się pobłaźliwie.

— Ech, ta młodzież, uważają, że komórki wszystko im załatwią, nawet alibi. Przecież te esemesy z jej telefonu mógł wysyłać ktokolwiek.

— Gdyby dane mi było przesłuchać Justynę Gifort — zaczął Juraszczyk cicho, jak gdyby mówił tylko do siebie. Za moment kontynuował stanowczym tonem: — Wyciągnąłbym z niej wszystko. Na pewno by pękła. Po śmierci syna musi być w fatalnym stanie psychicznym. Niestety, ma zaświadczenie od psychiatry, że nie może uczestniczyć w zeznaniach.

— Sądzę, że jestem w stanie rozwiązać ten problem — powiedział spokojnie prokurator.

— Jak?

— Wezwę psychiatrę, który wystawił to zaświadczenie. Niech złoży wyjaśnienia, czy stan zdrowia pani Gifort rzeczywiście wyklucza stawienie się jej na komendzie i poddanie się

czynności przesłuchania w charakterze świadka. Zaproponuję mu również przesłuchanie jego pacjentki na oddziale psychiatrycznym bądź u niej w domu w jego obecności. Jeśli nie chce kłopotów, to powinien się zgodzić. Oczywiście to trochę potrwa. Nie załatwię tego w ciągu trzech dni.

— Dobrze, prokuratorze, wezwij tego psychiatrę, a ja tymczasem będę robił swoje. Na razie mamy trzech podejrzanych: Łukasza Marcza, Marka Giforta i Justynę Gifort. Trzeba im się przyglądać, córce pani Gifort także.

Podinspektor wyszedł z prokuratury z uczuciem, że wszystko ma pod kontrolą. Dzisiaj rano na moment stracił spokój, gdy Andrzej Gifort pokazał mu testament ojca i podsunął opcję z Justyną i Ulą jako sprawczyniami. Był na siebie zły, że tak szybko uwierzył w alibi posterunkowej Baranowskiej. Zbyt pochopnie jej zaufał. Uczynił z niej nawet swoją nieoficjalną partnerkę w śledztwie. A przecież po napadzie na sklep jubilerski, w którym Ula miała swój udział, powinien być bardziej ostrożny.

Powrócił myślami do ich rozmowy podczas spaceru nad jeziorem Drużno. Ula miała twarz ukrytą w cieniu kaptura. Czy w ten sposób maskowała się, prosząc go o ponowne przyjęcie do służby? Parę razy spojrzała mu prosto w oczy, jak gdyby pragnęła podkreślić szczerą intencję, że najważniejsze jest dla niej znalezienie morderców Giforta, którzy przyczynili się też do śmierci jej brata. Czy to możliwe, że stracił policyjną czujność, z której słynął w firmie? Stary i głupi facet dał się zwieść urokowi młodej kobiety? Faktem jest, że wyjawiał jej kilka szczegółów ze

śledztwa. Gdy dowiedziała się, że policja nie ma konkretnego tropu, próbowała go przekonać do Łukasza Marczaka. A gdy zdradził, że podejrzewa członków rodziny, nie ją ani jej matkę, lecz synów Giforta, od razu wskazała na Marka, że niby zorganizował napad na salon jubilerski.

Wszedł do budynku komendy i skierował się do swojego pokoju. Usiadł za biurkiem. Jeśli ma zweryfikować alibi Uli, musi namierzyć niejakiego Aleksandra. Ten posługiwał się kartą sim zarejestrowaną na Klemensa Rabę, człowieka, który od wielu lat żywił się głównie napojami wysokoprocentowymi, przez co kontakt z nim stał się mocno utrudniony. Nie był w stanie przypomnieć sobie, o jaką rejestrację chodzi i zaprzeczył, jakoby za dwadzieścia złotych udostępnił komuś swój dowód. Udało im się za to ustalić, jakim modelem telefonu posługiwał się znajomy Uli, a to dzięki indywidualnemu numerowi identyfikacyjnemu aparatu, bo ten logował się wraz z numerem telefonu na stacjach przekaźnikowych. Motorola Moto G7 Power, właściciela właśnie tego urządzenia szukali. Ustalenie, gdzie został sprzedany ten konkretny egzemplarz, musiało chwilę potrwać. Telefon Aleksandra wciąż był włączony, bo cały czas się logował do stacji bazowych, a gdy podinspektor wybrał numer, słyszał charakterystyczny sygnał oczekiwania.

Postanowił dokładniej przyjrzeć się miejscom logowania motoroli. Do tej pory ustalił jedynie, że aparat przemieszcza się po całym mieście. Prześledził kolejną dobę i znowu telefon wysyłał sygnały do stacji przekaźnikowych całego Elbląga,

a potem w nocy z Grunwaldzkiej z okolic dworca. Pierwszy wniosek był taki, że tam zapewne mieszka znajomy Uli, a w ciągu dnia jeździ samochodem po mieście. Gdy spojrzał na miejsca logowań w następnych dwudziestu czterech godzinach, zauważył prawidłowość. Była ona tak wyraźna, że aż złapał się za głowę. Telefon nawiązywał połączenia z tymi samymi nadajnikami GSM. Powtarzały się one co półtorej godziny. Aleksander przemieszczał się tą samą trasą, dzień w dzień. Nie mógł być taksówkarzem, bo ci jeżdżą tam, gdzie klient sobie życzy. W niedzielę telefon wysyłał sygnały rzadziej, ale również z tych samych miejsc. Juraszczyk był już pewien. Aleksander był kierowcą komunikacji miejskiej. Prowadził autobus, który kursował między Nowakowem a Dębicą. Tylko jaki kierowca pracuje codziennie, włącznie z niedzielą, w dodatku od szóstej rano do samego wieczora? Wszedł na stronę ZKM, aby ustalić, co jeździ tą trasą. Autobus numer jednaście. Spojrzał na ostatnie miejsce logowania się telefonu, skrzyżowanie Pułkownika Dąbka z Piłsudzkiego, dziesięć minut temu. Rzucił okiem na rozkład jedenastki. Zgadza się, właśnie powinna tamtędy przejeżdżać o tej porze. Miał Aleksandra na wyciągnięcie ręki.

Zerwał się z krzesła. Jeśli się pospieszy, to zdąży wsiąść do jedenastki koło „Elzamu”. Poprawił kaburę pod swetrem. Na szczęście na kurtce nie miał emblematów policyjnych. Wolał uchodzić za cywila, a przede wszystkim nie zwracać na siebie uwagi, przynajmniej na początku akcji. Gdy już jechał służbowym bmw w stronę Grunwaldzkiej, zadzwonił do Mariusza Żuka i zdał mu relację ze

swoich ustaleń. Aspirant miał wziąć radiowóz i udać się na Dębicę, tam, gdzie autobus linii jedenaście miał pętlę. Juraszczyk zaparkował przy dawnej hali fabrycznej zamienionej na punkt handlowy i ruszył na przystanek. Stało tam już kilka osób skulonych w ochronie przed zimnem i wiatrem. W odległości kilkuset metrów pojawił się masywny kształt autobusu. Gdy zatrzymał się przed czekającymi ludźmi, ci rzucili się do ciepłego wnętrza. Podinspektor wszedł ostatni i zbliżył się do kierowcy.

— Jeden normalny — wymamrotał niewyraźnie, jak gdyby usta mu zdrętwiały od mrozu.

Zaczął szukać drobnych po kieszeniach. Kątem oka obserwował mężczyznę za kierownicą. Prezentował się dobrze. Szczupły, lekko siwiejący pan, który zapewne zbliżał się do pięćdziesiątki. Miał duże uszy, ale nie odstawały od czaszki, przez co nie rzucały się w oczy. Jego ruchy były pewne i swobodne. Podał bilet podinspektorowi i wziął od niego monety. Przeliczył i wrzucił do kasy. Wszystko w milczeniu i bez pośpiechu.

Juraszczyk usiadł w pierwszym rzędzie i dyskretnie przyglądał się pasażerom, próbując namierzyć Aleksandra. Kilka starszych osób, zapewne jadących na cmentarz, dwie kobiety z torbami na kółkach, ich celem musiał być dworzec, ponadto sporo młodzieży. Wyglądało na to, że znajomego Uli tutaj nie było. Głównym podejrzanym pozostawał więc kierowca. Niewiele osób się dosiadało, w efekcie gdy wjeżdżali na Dębicę, pojazd był niemal pusty.

Na pętli stał już radiowóz błyskający niebieskim światłem. Juraszczyk podniósł się i schował telefon do kieszeni. Wyjął odznakę i zbliżył się do kierowcy. Widział niepewne spojrzenie tamtego.

— Policja, proszę wysiąść.

Kierowca się nie ruszył. Nad kołnierzem koszuli poruszyła się grdyka.

— Wyjdzie pan ze mną — oznajmił stanowczo Juraszczyk i wskazał głową na otwarte drzwi autobusu, do których zbliżał się aspirant Żuk.

Kierowca podniósł się z wahaniem. Nie zadał żadnego pytania, co było dość dziwne, bo w takiej sytuacji ludzie zwykle chcieli wiedzieć, o co chodzi.

Podinspektor wyszedł z pojazdu za mężczyzną, którego Mariusz prosił już o okazanie dokumentu tożsamości. Wtedy tamten odezwał się po raz pierwszy z wyraźnym wschodnim akcentem:

— Jestem tu legalnie od ośmiu lat. Mam Kartę Polaka.

Wyjął dowód i podał aspirantowi. Kierowca nazywał się Paweł Lenkiewicz, był obywatelem Białorusi, miał pięćdziesiąt pięć lat.

Mariusz włożył lateksowe rękawiczki.

— Ma pan telefon?

— Tak.

— Proszę mi go dać.

Lenkiewicz dwoma palcami wyjął komórkę z wewnętrznej kieszeni marynarki i podał ją aspirantowi. Juraszczyk również włożył lateksowe rękawiczki i przejął telefon od Mariusza. To nie była

motorola. Nie tego aparatu szukali. Kiwnął głową, nakazując koledze kontynuować czynności.

— Przeszukam pana, proszę podnieść rękę.

Lenkiewicz wykonał polecenie bez słowa protestu i wciąż nie pytał, czego właściwie od niego chcą. Polak to chociaż wdałby się w dyskusję, podczas której próbowałby przekonać funkcjonariuszy, że nie mają prawa do przeszukania. Aspirant sprawnie przesunął dłońmi po ciele Białorusina, sprawdzając głównie kieszenie. Nieznacznym ruchem głowy dał znać podinspektorowi, że nie znalazł innego telefonu.

Lenkiewicz ubrany był jedynie w koszulę i marynarkę. Dygotał teraz z zimna. Nic dziwnego, był w końcu dwudziesty ósmy grudnia.

— Proszę schować się do środka albo chociaż włożyć kurtkę — odezwał się podinspektor. — Jeszcze przeszukamy pana miejsce pracy.

Weszli w trójkę do autobusu. Juraszczyk przeszukał stanowisko kierowcy. Motoroli nie znalazł. Mariusz sprawdzał pod siedzeniami po lewej stronie. On przystąpił do przeszukiwania foteli na prawo. W trzecim rzędzie od końca trafił na prostokątny przedmiot, przyklejony taśmą pod siedzeniem. Oderwał go z niemałym trudem. Mieli to, czego szukali, telefon motorola.

Paweł Lenkiewicz przyglądał się ich czynnościom ze spokojem. Gdy podinspektor pokazał mu znaleziony aparat, wzruszył ramionami na znak, że nie wie, skąd to się wzięło w autobusie. Zaraz zaczynał się kolejny kurs jedenastki. Musieli się

spieszyć. Mariusz usiadł w pierwszym rzędzie i zaczął spisywać protokół przeszukania.

Rozdział XIX

ULA WESZŁA DO SALONU. Serce się jej ścisnęło na widok Justyny siedzącej na kanapie niczym mumia. Prawą rękę miała bezwładnie opuszczoną za poręcz, a głowę trzymała prosto i sztywno, jak gdyby unieruchamiał ją niewidzialny kołnierz ortopedyczny. Najgorszy był wzrok, utkwiony w jeden punkt za oknem, może w jezioro. Na stoliku stała szklanka z nietkniętą herbatą, zapewne już zimną.

Ula przysiadła obok.

— Może byś coś zjadła? — zapytała, powstrzymując łzy. — Mogę zrobić twarożek ze szczypiorkiem. To będzie posiłek lekkostrawny i zdrowy. No co? Masz ochotę?

Justyna nie odpowiedziała. Ula czasami miała wrażenie, że mama ją ignoruje z rozmysłem, jak gdyby chciała ją ukarać. Może miała żal, że nie uratowała Ignasia, była przecież policjantką, powinna czuwać nad młodszym bratem.

Pogłaskała Justynę po ramieniu, wkładając w ten gest całe mnóstwo czułości. Gdyby tak można było dotykiem zdjąć z drugiej osoby chociaż część bólu. Sama też cierpiała po śmierci Ignasia, ale byłaby

w stanie przyjąć jeszcze trochę rozpaczy, żeby tylko ulżyć mamie.

— A może zrobię ci nową herbatę?

Znowu milczenie. Ula uniosła zwisającą poza kanapę rękę Justyny i ułożyła na swoich kolanach, po czym przykryła jej dłoń swoją. Poczowała, jak tamta zaciska pięść.

— Mamo, proszę, porozmawiaj ze mną.

Z trudem powstrzymywała łzy. Nie może się rozpląkać, przecież ma wspierać Justynę, a nie pograżać w bezdennym żalu.

— Może chciałabyś z kimś innym porozmawiać? Proszę, powiedz.

Ula poważnie zastanawiała się nad zaproszeniem do domu jakiegoś elokwentnego księdza. Co prawda mama nie była zbyt religijna, ale duchowni powinni umieć pocieszyć człowieka w żałobie.

Justyna wysunęła dłoń z jej uścisku i wstała. Poruszała się nieco sztywnym krokiem, a plecy miała przygarbione. Podeszła do przeszklonej ściany. Owinęła się mocniej szlafrokiem i oparła czoło o szybę. Włosy, splątane i przetłuszczone, opadły po obu stronach głowy, odsłaniając kark. Od czasu, gdy poznali zapis testamentowy, nie myła się i nie przebierała. Ula chciała zmienić jej szlafrok na czysty. Nie miała jednak sposobności, bo Justyna w ogóle nie zdejmowała okrycia, nawet pod kołdrę się w nim kładła. Przewiesiła więc świeży szlafrok przez poręcz krzesła przystawionego do łóżka, z nadzieją, że mama sama po niego sięgnie.

Niestety, wciąż chodziła w tym samym, flanelowym w paski.

Dom też wyglądał coraz gorzej. Kurz zaczynał pokrywać meble, tłuste plamy pojawiły się na szkle i lustrach, ciemny brud wciskał się we wszelkie załamania przestrzeni, wszędzie leżały okruchy z pieczywa, jak gdyby ktoś je złośliwie rozsypywał. Ula próbowała to jakoś ogarnąć, ale pomieszczenia wydawały się zbyt duże. Udało się jej utrzymać w czystości jedynie kuchnię. Wiera powinna wrócić do sprzątanía. Zadzwońi do niej dziś wieczorem i zaproponuje powrót do pracy w Żółwińcu. Prawdopodobnie będzie musiała dać wyższą stawkę godzinową, ale to teraz nie problem, mama dysponowała sporą fortuną. Bardziej obawiała się o emocjonalne usposobienie pomocy domowej. Gdy Wiera pojawiła się dwa dni po morderstwie, szlochała bez opamiętania i zapewniała, że Ignas był jej bliski jak własny syn. To wtedy Ula zaproponowała jej trzy miesiące płatnego urlopu.

Wstała z kanapy i zbliżyła się do matki. Stańęła tuż za nią.

— Może chciałabyś pojechać na cmentarz? Zawiozę cię.

Łopatki pod szlafrokiem drgnęły, a kark zgiął się jeszcze mocniej. Justyna coś powiedziała, ale zbyt cicho.

— Mamo, co mówisz?

Wyteżyła słuch, aby usłyszeć szept.

— Nie warto było — powtórzyła Justyna głośniej, a potem to jedno zdanie wykrzyczała kilkakrotnie,

uderzając pięścią w szybę.

Ula cofnęła się wystraszona.

— Co było nie warto? — zapytała. Teraz to ona szeptała.

Justyna odwróciła się w jej stronę z twarzą wykrzywioną rozpaczą i wyjątkowo przytomnym spojrzeniem. Zdrową ręką zatoczyła krąg, wskazując na cały salon.

— To wszystko to za mało. Zysk jest nieproporcjonalnie mały do straty. Kilkanaście milionów za życie mojego synka. Takiego bilansu nie zaplanowałam.

Ula wcisnęła dłonie w kieszenie dżinsów, żeby ukryć ich drżenie.

— Mamo, dlaczego tak mówisz?

— Mówię, co czuję. Oddam ten dom i firmę za jeden oddech Ignasia.

— Ja też bym oddała, gdyby tak było można. Gdyby dało się zawrzeć ugodę z siłą wyższą, która zmieniłaby to, co się już stało.

— To moja wina. — Te słowa wypadły z ust Justyny niczym przeciągły jęk. — Ignaś nie żyje przeze mnie.

— Nie mów tak. Nie mogłaś nic zrobić.

— Nawet nie próbowałam. Gdybym tylko wiedziała, w jakim on jest niebezpieczeństwie. Nigdy bym na to nie poszła.

— Na co? — Uli wyrwało się nieostrożne pytanie.

Odsunęła się od matki. Nie chciała wiedzieć, o czym tamta mówi. Zarazem czuła, że ma okazję poznać prawdę. To jedyna szansa, aby coś z Justyny wyciągnąć.

— Mamo, ty wiesz, kim oni byli. Wiedziałaś, że do was przyjdą.

Justyna opuściła głowę jak skazaniec godzący się z wyrokiem, ale trwało to tylko ułamek sekundy, aż Uli przemknęło przez głowę, że tego gestu wcale nie było, że to tylko projekcja jej wyobraźni. Teraz matka patrzyła na nią oczami pełnymi łez, z ustami gotowymi do wypowiedzenia słów pełnych wyrzutu.

Ula wiedziała, że przesadziła. Powiedziała coś, czego nie powinna. Oskarżyła własną matkę. Jak mogła? Chciała się jakoś usprawiedliwić.

— Mamo, bo ja pamiętam, że dzień przed morderstwem byłaś bardzo zdenerwowana — oznajmiła pojednawczym tonem. — Dlatego przyszło mi do głowy, że coś wiedziałaś albo przeczuwałaś. Nie miałam nic złego na myśli.

Zbliżyła się do Justyny i dotknęła jej policzka. Tamta się odsunęła jak od trędowatej, potem wyminęła Ulę i bez słowa ruszyła do holu. Pierwsze kroki postawiła pewnie, ale po chwili zaczęła powłóczyć nogami niczym staruszka. Zgarbiła się jeszcze i wcisnęła głowę w ramiona. Znowu była pogrążoną w żałobie matką.

Ula patrzyła przez przeszkloną ścianę na szare jezioro i bezlistne drzewa. Czuła się winna. Mama w rozpaczy obwiniła się o śmierć Ignasia, a ona to opacznie zrozumiała. Zarzuciła jej potworną rzecz, współpracę ze sprawcami. Justyna nie byłaby do

tego zdolna. Kochała Leona. Nie zależało jej na jego kasie. W kogo ma wierzyć, jak nie we własną matkę?

Wybiegła z salonu. Chciała przeprosić i przytulić Justynę. Teraz miały tylko siebie. Powinny się wspierać. Pokonywała po dwa stopnie. Mignął jej przed oczami rozdeptany karaluch, ten mały zielony. Pojedyncze sztuki przetrwały czyszczenie domu przeprowadzone przez straż pożarną i co jakiś czas pojawiały się w najmniej sprzyjających okolicznościach. Wczoraj trafiła na jednego w łazience, gdy wrzucała ubrania do pralki. Wypadł z kosza na brudną bieliznę i uciekł pod wannę. Tego tutaj Justyna musiała trafić stopą w domowym pantoflu. Ula weszła do sypialni. Mamy tu nie było. Machinalnie zaczęła przywracać porządek wśród rzeczy. Poprawiła skotłowaną pościel na łóżku, zakręciła butelkę z wodą mineralną i podniosła z podłogi pudełko po tabletkach.

Znalazła mamę w pokoju Ignasia. Leżała pod kocem w pomarańczowe misie, pogrążona w głębokim śnie podsyconym lekami na uspokojenie. Gołe stopy wystawały spod nakrycia przeznaczonego dla kilkuletniego dziecka, a nie dorosłej kobiety. Był to wzruszający widok. Ula przyniosła drugi koc z sypialni i dodatkowo ją okryła.

Miała teraz czas na swoje śledztwo. Prowadziła je głównie w internecie i za pomocą komórki. Wczoraj zdołała ustalić, gdzie mieszkają rodzice Łukasza Marcza, i zdobyła ich numery telefonów. Zadzwoiła do jego matki i podając się za

pracownicę towarzystwa ubezpieczeniowego, bez problemu wyłudziła numer do jej syna. Sądziła, że te dane zdoła otrzymać od Mariusza Żuka, ale ten nie odbierał od niej telefonu. A gdy dopadła go przed komendą, burknął, że nie ma czasu, i uciekł do radiowozu. Prawdopodobnie obawiał się, że będzie go nagabywała o śledztwo, a Juraszczyk zapewne zabronił mu udzielać informacji. Musiała więc radzić sobie sama.

Zastanawiała się nad kolejnym krokiem. Czy ma zadzwonić do Łukasza i umówić się na rozmowę w cztery oczy? Tylko czy będzie chciał się z nią spotkać? Może nawet się zgodzi, ale na pewno nie przyzna do napadu na dom w Żółwińcu i do zamordowania Leona, bo aż tak głupi nie jest. Powinna go jakoś podejść, złapać w pułapkę i to szybko, zanim wróci do Szwecji.

Była jeszcze jedna kwestia, która ją nurtowała. Aleksander nie odzywał się do niej od dnia napadu na dom w Żółwińcu. Wysłała mu kilkanaście esemesów, nie odpisał na żadnego. Może nie chciał podtrzymywać kontaktu z osobą, która doświadczyła morderstwa w rodzinie, czyli narażona jest na zainteresowanie policji. Może przewidywał, że jej znajomi zostaną gruntownie posprawdzani, zwłaszcza ci, którzy posługują się kartą sim zarejestrowaną na słupa. Miał się czego obawiać, przecież przez pół roku nękał esemesami pielęgniarkę ze szpitala wojewódzkiego.

Ula otworzyła skrzynkę elektroniczną. Dwa dni temu napisała do Michalskiej, pytając, czy adorator się z nią kontaktował. Odpowiedzi wciąż nie było. Nie miała telefonu do klientki, powtórzyła więc

pytanie na portalu społecznościowym. Na wiadomość zwrotną czekała minutę. „Który adorator? Bo mam ich wielu”, zapytała pielęgniarka i dołączyła uśmiezek.

Ułę zaskoczył lekki ton tej wypowiedzi. Gdy rozmawiały w Amarenie, a potem wymieniały się mailami, Michalska wydawała się mocno zaangażowana w poszukiwanie człowieka, który przez sześć miesięcy zasypywał ją esemesami i znał wiele szczegółów z jej prywatnego życia.

Na klawiaturze telefonu wystukała kolejne zdanie: „Chodzi mi o tego adoratora, którego dla pani szukam”.

„Żeby tylko był przystojnym brunetem”, odpisała Alina, dołączając kolejny emotikon, tym razem uśmiezek był wyszczerzony. Po chwili pojawiło się pytanie: „A czy w ogóle my się znamy?”.

Ula patrzyła na ekran telefonu jak na zjawisko z kosmosu. Nie kontaktowała się z Aliną od dawna, chyba od czterech tygodni, to jednak niemożliwe, żeby tamta zapomniała o zleceniu.

„Tak, znamy się. Chciałabym się przypomnieć. Czy możemy się dzisiaj spotkać?”

„Jestem w pracy”.

„Przyjadę za trzydzieści minut. Zajmę pani tylko chwilę”.

Ula złapała kluczyki i włożyła kurtkę. Justyna powinna spać dwie godziny. Zdaży wrócić, zanim się obudzi.

Ogarniał ją coraz większy niepokój. Ściskając kierownicę, analizowała fakty. Michalska nie

zgodziła się na podpisanie umowy na usługę detektywistyczną, zapłaciła gotówką, nie podała też swojego numeru telefonu, jak gdyby nie chciała zostawić jakiegokolwiek śladu po ich spotkaniu w kawiarni. Ula miała jedynie adres mailowy i kilka wiadomości od Aliny, ale właścicielem skrzynki elektronicznej mógł być ktokolwiek. Gorączkowo zastanawiała się, jak może udowodnić, że poszukiwała Aleksandra na zlecenie Michalskiej. Dostała od niej wydruk esemesowej rozmowy z adoratorem. Był to gruby plik kartek, ponad pięćset stron. Nawet go nie przejrzała, bo nie miała kiedy. Z góry założyła, że są tam głównie wyrazy uwielbienia dla Aliny oraz filozoficzne rozważania. Niestety, był to tylko wydruk, taką rzecz każdy może sobie sporządzić w edytorze tekstu.

Gdy zaparkowała przy szpitalu wojewódzkim, uruchomiła dyktafon w komórce. Nagra rozmowę z Michalską i ta już nie będzie mogła się wyprzeć, że zleciła poszukiwanie tajemniczego adoratora. Ula wbiegła na pierwsze piętro i skierowała się na oddział chorób wewnętrznych. Dwie pacjentki gawędzące na korytarzu pokierowały ją do dyżurki pielęgniarek.

Przy kontuarze siedziała kobieta w białym fartuchu. Smukłymi palcami przebiegała po klawiaturze. Uniosła głowę, słysząc zbliżające się kroki. Miała ładną cerę, gładką jak porcelana.

— Słucham panią? Do kogo pani przyszła?

— Do Aliny Michalskiej.

Pielęgniarka się uśmiechnęła trochę zbyt szeroko, ujawniając, że nie ma górnej szóstki.

— Aha, to pani pytała na fejsie o jakiegoś adoratora i twierdziła, że się znamy. — W dziewczęcym geście przekręciła głowę, jak gdyby chciała się przyjrzeć Uli pod innym kątem. — Mnie się jednak wydaje, że my się nie znamy.

Pielęgniarka miała rację. Nigdy się nie spotkały, nie rozmawiały ze sobą. Ula rozpoznała w ładnej blondynce dziewczynę widzianą na fotografiach na profilu społecznościowym Aliny Michalskiej, to jednak nie była ta sama kobieta, z którą widziała się w Amarenie. Tamta nie miała tak promiennej cery i była starsza. Owszem, dawało się zauważyć pewne podobieństwo, głównie w kroju ust i kształcie podbródka, ale nie mogło być wątpliwości, że to są dwie różne kobiety.

— Przepraszam. Pomyliłam się — powiedziała Ula.

Odwróciła się i odeszła bez dalszych wyjaśnień, czując, że odprowadza ją zaskoczone spojrzenie pielęgniarki. Dopiero w samochodzie wyłączyła dyktafon. Łydki jej drżały, a serce łomotało. Bała się. Wciąż trzymała telefon w dłoni. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Juraszczyka i nie prosić o pomoc. Niech spróbuje ustalić, kim jest Aleksander i kobieta, która podawała się za Alinę Michalską, i o co tej dwójce chodziło. Weszła na stronę komendy, żeby znaleźć służbowy numer podinspektora. Po chwili zrezygnowała. Nie miała pewności, czy Juraszczyk będzie jej sprzyjał, czy w ogóle jej uwierzy. Sama sobie wydawała się podejrzana. Aleksander zapewnił jej alibi na czas morderstwa w Żółwińcu. Na niego się powoływała, gdy składała zeznania w sprawie napadu na salon, że niby miał wtedy wpaść i to jego wypatrywała

pośród klientów, a nie napastnika. I teraz się okazało, że wcale nie jest tajemniczym adoratorem, którego szukała na zlecenie Aliny Michalskiej, a sama zleceniodawczyni nie jest tą, za którą się podawała. Gdy podinspektor się o tym dowie, to wręczy jej kajdanki, aby sama je sobie zapięła na nadgarstkach. Z tych samych powodów wołała też nie dzwonić do Mariusza. Na nikogo nie mogła liczyć, tylko na siebie.

Powinna wracać do Żółwińca, bo za godzinę mama się obudzi. Zajedzie jeszcze tylko na Kasprzaka i spakuje trochę ubrań. Ruszyła.

Gdy już znalazła się w mieszkaniu, przysiadła przy stole kuchennym i wzięła do ręki długopis. Starła się myśleć jak policjantka. Najważniejsze to sformułować właściwe pytania i znaleźć na nie odpowiedź. Została w coś wrobiona, a kluczowe pytanie brzmi: Kto za tym stoi? Napisała te kilka słów na tekturowym opakowaniu po ciastkach i natychmiast je skreśliła. To pytanie nie jest wcale newralgiczne, przynajmniej nie w tej chwili. Zaczęła mazać długopisem po pudełku i nagle napisała jedno słowo zakończone dużym znakiem zapytania. Dlaczego? No właśnie, dlaczego ktoś sobie zadał tyle trudu?

Alina Michalska zgłosiła się do niej sześć tygodni temu, zaraz po umieszczeniu w sieci informacji o usługach detektywistycznych. Dawno. Już wtedy postanowiono ją w coś wrobić, ale w co? Czy mogło chodzić o zamordowanie Leona? Może miała stać się źródłem informacji dla sprawców. Ale w takim razie niewiele im pomogła, bo w esemesach do Aleksandra nie pisała o ojczymie. Po chwili

namysłu stwierdziła, że kilka wzmianek było, zwłaszcza wtedy, gdy zaczęła pracę w salonie Giforta.

Stuknęła palcem w ekran telefonu i otworzyła wiadomości. Postanowiła przyjrzeć się wymianie esemesów z Aleksandrem. Zaczęła od tych, które wysłał do niej w czasie morderstwa, dokładnie między drugą trzydzieści a szóstą rano. Ale skoro pisał do niej o tej porze, to nie mógł jednocześnie dokonywać napadu na dom w Żółwińcu, chyba że zabrał ze sobą telefon. Miała ochotę zadzwonić do Mariusza i poprosić, aby sprawdził miejsce logowania się numeru Aleksandra tamtego dnia. Postanowiła jednak z tym jeszcze poczekać.

Czytała kolejne esemesy, szukając ukrytych znaczeń. Natknęła się na wiadomość, którą do Aleksandra wysłał Juraszczyk, gdy ją przesłuchiwał po napadzie na salon Giforta. „Gdzie są błyskotki?”, zapytał podinspektor, a adorator odpowiedział: „Schowane pod moim łóżkiem”. Po powrocie z przesłuchania napisała do Aleksandra, że tym żartem mógł jej narobić sporo problemów, bo to policjant wysłał to pytanie o błyskotki. W odpowiedzi otrzymała zdumioną buźkę.

Aleksander chciał dużo wiedzieć, wypytywał o przesłuchanie. Dociekał, czy się bała, czy funkcjonariusze jej grozili i próbowali wymusić na niej zeznania. Tamtej nocy wyszła z komendy na Tysiąclecia z uczuciem lekkiej satysfakcji, że wygrała starcie z podinspektorem Juraszczykiem, bo do końca sensownie odpowiadała na pytania, a co najważniejsze, nie dała ponieść się emocjom. Tak też zrelacjonowała całą rzecz Aleksandrowi, ale

on zdawał się nie dowierzać, bo znowu pytał, czy się bała, przy czym formułował pytanie w taki sposób, jak gdyby chciał wymusić potwierdzenie: „Bałaś się. Tak?”.

Odezwał się domofon. Podniosła się z krzesła i niechętnie poczłapała do przedpokoju zła na tego, kto śmiał przerywać toczące się przy stole kuchennym śledztwo.

— Kurier, przesyłka dla pani Baranowskiej.

Głos wydał się jej zbyt młody jak na pracownika firmy kurierskiej. To mógł być żart w wykonaniu jakiegoś dzieciaka z osiedla. Przycisnęła jednak guzik odblokowujący drzwi wejściowe do bloku i stanęła w progu swojego mieszkania. Nie pomyliła się, kurier miał nie więcej niż piętnaście lat. W rękę trzymał grubą kopertę. Nie wzięła jej.

— Kim jesteś? Kto ci to dał?

— Twój chłopak. Prosił, żebyś się nie gniewała.

— Nie mam chłopaka.

— A ten, co stoi przed klatką, to kto?

Miała ochotę biec do okna, żeby zobaczyć, o kim mówi chłopak, ale koperta też budziła jej ciekawość.

— Otwórz ją! — poleciła.

— Na pewno?

— Tak. Otwórz!

Kurier rozerwał kopertę i wyjął brylantowe kolczyki, te same, które pożyczała z salonu Giforta, a które później zostały skradzione podczas napadu.

— Ładne — skomentował chłopak. — Mojej Madzi by się spodobały.

Wzięła brylanty z uczuciem, że jest wkręcana w jakiś program w stylu: „Mamy cię”. Teraz od jej reakcji zależy, czy dostanie brawa, czy może widownia ją wybuczy.

— Jest jeszcze list. Mam przeczytać?

Przyzwoliła ruchem głowy.

— „Te brylanty należą do Ciebie. Aleksander”.

Machinalnie wzięła od chłopaka kopertę i świstek papieru, po czym zamknęła drzwi. Wiedziała, że na chodniku nikogo nie zobaczy, ale i tak wyszła na balkon. Ujrzała kuriera wybiegającego z klatki i wsiadającego na skuter.

Przekładała kolczyki z dłoni do dłoni, jak gdyby ją parzyły. A zatem Aleksander był zamieszany w napad na salon jubilerski, a nie w morderstwo w Żółwińcu. Tylko po co ona była mu potrzebna? Po co wysłał do niej Alinę Michalską? Przecież w żaden sposób nie ułatwiła im kradzieży kosztowności. Gdy zaczęli esemesową znajomość, nawet nie przypuszczała, że będzie pracować w salonie Giforta.

Rozdział XX

— SZEFIE, MÓWIĘ CI, nie zabezpieczaj nigdy telefonu odciskiem palca. Ja używam mocnego hasła. To bezpieczniejsze.

Informatyk Marcin Kukiełka poprawiał co chwilę okulary w zielonej oprawce. Były zbyt ciężkie i zsuwały mu się z nosa. Gdy zaczął pracę w policji osiemnaście miesięcy temu, mówił, że jest tu tylko na chwilę, wkrótce znajdzie sobie coś lepszego, przede wszystkim z pensją wyższą kilka razy od obecnej. Chyba nie trafił na ofertę godną swoich kwalifikacji, bo zaczął przebąkiwać, że założy własną firmę i będzie wykonywał zlecenia dla prywatnych detektywów i dla policji też. Zna już przecież wszelkie szczegóły, a nawet niuanse tropienia ludzi za pomocą technologii informatycznej, poza tym nie są mu obce procedury śledcze.

— Długo to jeszcze potrwa? — zapytał Juraszczyk.

— Małe pięć minetek.

Identyczną odpowiedź usłyszał kwadrans temu. Siedział przed biurkiem Marcina Kukiełki i przeglądał własne notatki na temat Uli

Baranowskiej. W ciągu ostatniej godziny trochę tego zgromadził, opierając się na policyjnych bazach danych i portalach społecznościowych. Przede wszystkim posterunkowa nigdy nie była karana, co było oczywiste, w przeciwnym razie nie mogłaby podjąć służby. Nigdy też nie została przyłapana na popełnieniu wykroczenia, nie dostała mandatu za przejście na czerwonym świetle czy za złe parkowanie. Jedyna wzmianka w kartotekach policyjnych na temat Uli dotyczyła zawiadomienia o przestępstwie. Siedem lat temu wraz z koleżanką pojawiły się na komendzie z doniesieniem, że właściciel pensjonatu w Krynicy Morskiej molestuje swoje pracownice. Same tam pracowały w wakacje. Śledztwo potwierdziło zasadność tego zawiadomienia. Panna Baranowska jawiła się jako idealna obywatelka. Wyglądało jednak na to, że brakuje jej zdecydowania i cierpliwości. Trzy razy zaczynała naukę na rozmaitych uczelniach. Rezygnowała po kilkunastu miesiącach. Z komentarzy, jakie umieszczała w sieci wynikało, że żadne studia nie spełniły jej oczekiwań, zwyczajnie były za nudne. Może dlatego zdecydowała się na służbę w policji i przetrwała półroczne szkolenie w Szczytnie. Trafiła od razu do wydziału kryminalnego, minęła ją więc zaszczytna funkcja krawężnika. Prawdopodobnie ktoś odpowiedni nacisnął na komendanta, aby tak się stało, może był to nawet Leon Gifort. Ula wytrzymała na służbie dwa tygodnie. Zwolniła się kilka dni po przesłuchaniu Krzysztofa Marcza. Raczej się tutaj nie nudziła, musiały przeważyć kwestie etyczne. Tak założył, ale czy słusznie? Bo

kto o takiej wrażliwości bierze później udział w zamordowaniu własnego ojczyrna?

— Szeffe, te czytniki linii papilarnych w telefonach to jest zwyczajne gówno — zaczął znowu informatyk. — Smartfon zapisuje obraz odcisku palca w pliku, a ten plik można skrać. Większość hakerów potrafi to zrobić.

— Odcisk palca można też skrać z wypolerowanej powierzchni i nie trzeba do tego być geniuszem informatycznym — zauważył podinspektor.

— No tak, ale i tak uważam, że lepiej używać mocnego haselka niż odcisku palca. Haselko można zawsze zmienić na inne, a linii papilarnych nie bardzo. Jak zostaną raz skradzione, to już dupa.

— Spiesz mi się — przypomniał Juraszczyk.

— Zaraz skończę, jeszcze tylko małe pięć minetek.

Podinspektor obiecał sobie, że poczeka kwadrans, ale jeśli niczego się w tym czasie nie dowie, to wróci do innych spraw. Niech Kukielka dalej siedzi nad telefonem znalezionym w autobusie linii jednaście. Na pewno coś ustali, już nie raz pomógł mu w śledztwie.

Motorola leżała na krawędzi biurka podłączona kablem do komputera, przy którym garbił się informatyk. Znowu poprawił okulary na nosie lewą ręką, bo prawą trzymał myszkę. Za chwilę obie dłonie z krótkimi palcami spoczęły na klawiaturze.

Na serdecznym palcu prawej dłoni błyszczała obrączka.

— Masz żonę? — zapytał zaskoczony podinspektor.

Na komendzie plotkowano jak w każdej innej firmie, ale wieści o ślubie Kukielki do niego nie dotarły.

Informatyk wysunął przed siebie palec z obrączką.

— Co? Rzuca się w oczy? — Zachichotał, wciskając głowę w ramiona. — Kuzyn mi doradził, żebym ją nosił. Powiedział, że wtedy kobiety nie będą za mną ganiać, bo już jestem zaobrączkowany.

— A ganiały za tobą?

— Jak za każdym innym informatykiem.

Na okrągłej twarzy Marcina pojawił się pełen satysfakcji uśmiech. Juraszczyka nie dziwiła wiara informatyka we własne kompetencje zawodowe. Wszystkim wokół dawał do zrozumienia, że tylko dzięki niemu połowa spraw w firmie została rozwiązana. Gdyby nie on, to statystyki by ich przygniotły i przy okazji zrzuciły ze stołków naczelnika wydziału, a nawet komendanta. Nikt temu nie zaprzeczał. Kukielka po prostu już taki był, zarozumiały i narcystyczny. Ale to, że przenosił swoją wyjątkowość również na płaszczyznę męsko-damską, było zaskakujące, bo nie prezentował się rewelacyjnie. Brzuch wylewający się z paska spodni, przydługie włosy domagające się ręki fryzjera, wiecznie błyszczące czoło i okulary, które nie dodawały mu uroku. Podinspektor nie

przypominał sobie, aby któraś z funkcjonariuszek była zainteresowana policyjnym informatykiem.

— A ta motorola, to w związku z którym śledztwem?

— Morderstwo w Żółwińcu.

— O! To grubsza sprawa. Zaraz delikwenta namierzemy. — Zanucił pod nosem jakąś znaną melodię. — Dorwiemy cię, robaczku — powiedział do monitora.

Zanim Juraszczyk przyszedł z motorolą do pokoju informatyka, zaniósł ją Sowińskiemu w celu zabezpieczenia linii papilarnych. Przeczuwał, że niczego nie znajdą na obudowie aparatu. Nie pomylił się. Technik posypał proszkiem telefon, przyłożył folię daktyloskopijną, a gdy ją zdjął, oznajmił: — Czysto. Pozostawało im ustalenie, gdzie telefon został kupiony i przez kogo. I najważniejsza kwestia, czyli kto zdalnie wysyłał esemesy do Uli Baranowskiej.

— Szeffie, sprawdziłeś, czy ktoś nie zgłosił kradzieży tego aparatu?

— Kukiełka, a ty pamiętasz, że ja tu pracuję prawie trzydzieści lat?

— Pamiętam. Czyli sprawdziłeś?

Podinspektor posłał piorunujące spojrzenie informatykowi, ale ten tego nie zauważył, bo nie odrywał wzroku od monitora. Znowu zaczął nucić i zwracać się pieśczośliwie do ekranu.

— No, pokaż się, robaczku.

Juraszczyk zerknął na zegarek w swoim telefonie. Wyznaczony kwadrans oczekiwania już się kończył. Zamknął notes z głośnym klaśnięciem.

— Jak coś będziesz miał, to dzwoń do mnie.

— Przecież mówiłem, że to tylko małe pięć minutek. Już mam robaczka. — Marcin zrobił pauzę dla podkreślenia wagi swoich ustaleń. — W motoroli zainstalowano aplikację, którą za friko można sobie ściągnąć z netu. Żeby zadziałała, wymagany jest system android i dostęp do internetu, a ten aparat to ma. — Wskazał palcem na motorolę. — Aplikacja służy do zdalnego wysyłania esemesów, czyli siedzi się przy kompie i wydaje polecenie, aby z konkretnego numeru zostały wysłane wiadomości. Tak właśnie firmy rozsyłają reklamy. To bardzo wygodne. Wszystkie wysłane esemesy zapisują się w historii telefonu, dlatego na pierwszy rzut oka wygląda na to, że z niego zostały napisane.

— Wiesz, kto zdalnie sterował telefonem?

— Oczywiście, że wiem, ale to za chwilę. Wszystko po kolei. W tym wypadku puszczenie wiadomości tekstowej to za mało. Naszego robaczka interesowało też, co ta druga strona mu odpisze, dlatego na motoroli jest jeszcze jedna aplikacja, tym razem szpiegowska, za której pomocą zdalnie kontroluje się wszystko, co dzieje się w telefonie, czyli również można poczytać przychodzące esemesy.

Juraszczyk się podniósł i podszedł do biurka.

— Kto to robił?

— Jakiś amator, bo można to było przeprowadzić łatwiej, tylko za pomocą jednej dobrej aplikacji. Po co instalować dwie?

— Kukielka, ja już wiem, że jesteś geniuszem. Nie raz mi to udowodniłeś i jeszcze nie raz będziesz miał okazję się wykazać. Teraz daj mi nazwisko robaczka.

Marcin uniósł rękę w nauczycielskim geście nakazującym niesfornym uczniom zachowanie ciszy. Nic sobie nie robił z tego, że ma przed sobą podinspektora Juraszczyka, postrach większości młodych funkcjonariuszy.

— Chciałem jeszcze dodać, że robaczek jest kretynem, bo nie używał VPN, czyli usługi szyfrującej dane przesyłane przez internet w celu ochrony tożsamości użytkownika. Sprawdziłem IP, jest od operatora w Polsce. Zaraz dostaniemy nazwisko i adres robaczka.

Na odpowiedź od operatora czekali prawie pół godziny. W tym czasie Juraszczyk spalił dwa papierosy, chodząc po niewielkim pokoju. W końcu informatyk obrócił w jego stronę monitor i podkomisarz zobaczył dwa nazwiska. Już wiedział, kim jest Aleksander. Miał kolejne elementy układanki, tylko dlaczego nie pasowały do całości?

Rozdział XXI

ULA ZACISKAŁA DŁONIE na kierownicy. Od kwadransa siedziała w renówce zaparkowanej przy mało ruchliwej ulicy. Patrzyła na zaniedbany dom i zardzewiałą bramę. Nie zastanawiała się, czy wejść do środka. To było już postanowione. Nie miała jednak opracowanej strategii. Nie wiedziała, czy ma od razu zaatakować Aleksandra oskarżeniami i zagrozić, że pojedzie na policję. A może powinna wciągnąć go w rozmowę, skłonić, aby się przyznał, a całość utrwalić w dyktafonie?

Czuła się jak w pomieszczeniu naszpikowanym kamerami. Inni ją widzieli, byli obeznani z jej sytuacją, a ona sama miała opaskę na oczach i tylko przez niewielką szczelinę widziała, co się dzieje wokół niej. Musiała się domyśleć, kto jest jej wrogiem i jakie ma zamiary. Bezczytność nie była dobrym pomysłem. Nawet jeśli ma popełnić błąd albo uderzać na oślep, to musi spróbować. Wsiadła z samochodu i pewnym krokiem podeszła do bramy.

Była tutaj kiedyś z Justyną, tylko raz, ale pamiętała, że domofonu nie ma. Z ulgą przyjęła fakt, że pod tym względem nic się nie zmieniło. Pchnęła furtkę i w kilku krokach przemknęła na

schodki. Nie chciała, aby ją zobaczono przez okno. Zadzwoiła i stanęła bokiem, żeby nikt jej nie rozpoznał przez wizjer, bo gotowi nie otworzyć.

Czekała w napięciu, nasłuchując odgłosów zza drzwi. W końcu klamka drgnęła. Myślała, że zobaczy Aleksandra, ale to nie on otworzył. W progu stała Róża w poplamionej bluzce i niedbale związanym włosach. Trzymała niemowlę na ręku. Nie ukrywała swojego zaskoczenia wizytą niespodziewanego gościa.

— O! To ty?

— Tak, to ja.

— Przyszłaś zobaczyć Natanka? — zapytała z takim niedowierzaniem, jak gdyby Ula planowała ujrzeć gadającego psa.

— Chciałam się widzieć z twoim mężem.

— Marek jest zajęty.

— Jesteś pewna?

— Tak, jestem pewna.

Róża rozstawiła szerzej nogi i złapała się futryny, jak gdyby spodziewała się, że Ula zechce siłą wdrzeć się do domu. Dziecko zaczęło kwilić.

— Powinnaś się schować do środka, bo małego przeziębisz.

— A ty powinnaś wracać do swojej matki. Pilnuj ją, żeby sobie czegoś nie zrobiła. Podobno jest w fatalnym stanie. Na pogrzebie wyglądała jak zombie. Nie mówię tego złośliwie. Dobrze ci radzę.

Róża wiedziała, jak ją skutecznie przegonić. Ula niepokoiła się o mamę. Na pewno już się obudziła

i zorientowała, że jest sama w ogromnym domu, bez Leona, bez Ignasia, nawet córka znikła, a wokół jedynie przytłaczająca pustka.

Cofnęła nogę z progu. Nie miała zamiaru odchodzić. Chciała jedynie zadzwonić do Justyny albo chociaż wysłać esemesa.

— Wpuść ją! — rozległo się z głębi korytarza.

Gdy Róża się odsunęła, Ula zobaczyła Marka. Wyglądał źle. Miał przekrwione oczy, spierzchnięte wargi i kilkudniowy zarost. Coś go wyraźnie przygniotło, na pewno nie ponowne rodzicielstwo. Czyżby więc nie poradził sobie ze śmiercią ojca?

— Czego chcesz? — zapytał, gdy weszli do salonu.

Rozejrzała się, szukając miejsca, gdzie mogłaby przysiąść. Na kanapie pośród pluszaków spał Mateuszek, a na najbliższym fotelu leżała sterta pampersów.

Marek stanął za stołem, jak gdyby chciał znajdować się jak najdalej od niej.

— Nie mamy czasu na przyjmowanie gości — oznajmił chłodno, wodząc wzrokiem po bałaganie.

Zawsze przymilny, teraz nie silił się na grzeczność. To jej odpowiadało, bo nigdy nie lubiła jego obłudnej uprzejmości.

— Chciałam porozmawiać.

— O czym? Może o spadku? Twoja matka zrzeknie się firmy?

Do salonu weszła Róża. Wciąż trzymała niemowlę. Wolną ręką strąciła z fotela pampersy. Rozsypały się aż pod kanapę. Usiadła z głośnym stęknieniem.

Marek zabębnił palcami o stół, jak gdyby sprawdzał jakość drewna, z którego został wykonany.

— Mogłaś je zdjąć i położyć obok. Nie musiałaś robić większego burdelu, niż już jest.

— To ty powinieneś je zdjąć, ja trzymam Natanka — warknęła Róża.

— Mogłaś mnie o to poprosić.

Marek każde słowo wypowiadał przez zaciśnięte zęby. Był zdenerwowany. Aż skrzydełka nosa mu drżały. Ula zrozumiała, że weszła w sam środek małżeńskiej kłótni. Dziwne było to, że Róża wydawała się bardziej opanowana od męża. Powinna mieć zapłakane oczy i łamiący się głos, tymczasem patrzyła na niego wyzywająco. Przeniosła wzrok na Ulę.

— Mów, po co przyszedłaś i zabieraj się stąd.

— Wyjdę, gdy tylko skończę rozmawiać z twoim mężem, nie z tobą.

Nigdy nie lubiła Róży, bo trudno zapalać sympatią do tak przeciętnej i niesamodzielnej istoty. Dorosła kobieta, a można było nią manipulować niczym pacynką, którą nakłada się na rękę. Teraz w jej dziewczęcych słodkich oczach pojawiło się rozbawienie i to było dziwne, bo przecież powinna się obrazić. Żona Marka zawsze reagowała w najprostszy przewidywalny sposób, ale nie tym razem. Ula postanowiła nie zawracać sobie nią głowy. Wyjęła z kieszeni brylantowe kolczyki i podsunęła je Markowi pod oczy. Ten odsunął się,

jak gdyby zobaczył w jej dłoni niebezpieczne narzędzie.

— Możesz mi powiedzieć, co to jest?

— O ile się znam, a trochę się znam, to mi wygląda na brylanty.

— Tak, to są brylanty z salonu Giforta, skradzione podczas napadu.

— Skoro zostały skradzione, to skąd ty je masz?
— zapytała Róża.

Rozpięła właśnie bluzkę i wyjęła dużą pierś, celując w Ulę nabrzmiętym sutkiem.

— Twój mąż mi je przysłał.

— Ja? — Marek mierzył palcem w swoją klatkę piersiową. — Zwariowałaś?

Róża włożyła pierś do usteczek niemowlęcia.

— Oskarżasz mojego męża o to, że je ukradł? Zapewniam cię, że gdyby to zrobił, to ja bym te kolczyki dzisiaj nosiła, a nie ty.

Uli przeszkadzał spokojny i sarkastyczny ton Róży. To niemożliwe, żeby eksplozja hormonalna po ciąży i porodzie tak zmieniła tę kobietę. Tym bardziej, że urodzenie pierwszego dziecka nie dodało jej rozumu.

— Proponowałaś mi współudział w napadzie na salon twojego ojca. Zaprzeczysz?

— Nie. Nie zaprzeczę — oznajmił stanowczo. — Moja propozycja to był jeden wielki żart. Nie sądziłem, że weźmiesz to na serio. Nie przypuszczałem też, że do jakiegokolwiek napadu dojdzie. Wiem, że powiedziałaś policji o mojej

propozycji. Przesłuchiwali mnie w tej sprawie już trzy razy, Różę też. Nie mam do ciebie o to pretensji. Zrobiłaś, co należało.

Ula wyjęła z kieszeni kartkę, która była dołączona do przesyłki z kolczykami. Planowała ją Markowi pokazać jako dowód na jego winę. Spojrzała na kilka słów wydruku komputerowego i zgmiotła papier. Przecież to nie jest odręczne pismo, to żaden dowód. Nic na niego nie miała. Przyjechała tutaj, bo skradzione brylanty była w stanie skojarzyć jedynie z Markiem i jego propozycją napadu na salon. Wydała się sobie śmieszna. Była bardzo kiepską śledczą.

— Przepraszam, już pójdę.

— To dobry pomysł — rzuciła Róża. Nie odsuwając dziecka od piersi, sięgnęła po telefon leżący na stole. Wymierzyła w Ulę obiektyw i pstryknęła zdjęcie. — To na dowód, że masz te brylanty. W innym razie twoi koledzy z policji by nam nie uwierzyli. Oczywiście natychmiast po twoim wyjściu zadzwonię do podinspektora Juraszczyka.

Ula stała jak wryta, wciąż trzymając kolczyki w palcach. Nie poznawała Róży. Przecież ta kobieta zwykle robiła to, co kazał jej mąż, a tu taka inicjatywa.

— Sama zawiadomię policję — oznajmiła zdecydowanie.

— Tak, powinnaś to zrobić — stwierdził Marek. — Wygląda na to, że to sprawca ci je przysłał. No bo niby kto inny? Może zdołają go namierzyć. To

właściwie dziwne, że zrobił coś takiego. To chyba jakiś świr.

Nagle twarz Marka się spięła, jak gdyby szykował się do wykonania trudnej czynności fizycznej i właśnie szacował swoje szanse. Chyba nie oceniał ich dobrze, bo przygryzł dolną wargę, a w oczach pojawił się niepokój. Nieruchome zrazu źrenice teraz sunęły w bok w stronę żony. Ula zerknęła na Różę i zobaczyła jej usta zaciśnięte w grymasie złości. Między tą dwójką coś się działo, wysyłali sobie znaki, których nie pojmowała. Marek pokręcił przecząco głową, jak gdyby na coś się nie zgadzał. Mały Natan też poczuł napięcie w ciele matki, bo zaczął płakać. To obudziło Mateuszka, który strącając pluszaki, zsunął się z kanapy i stojąc w dużym rozkroku, zaczął zawodzić. Żadne z rodziców się nie ruszyło, nie podbiegło do syna, aby go uspokoić. Wreszcie Ula dojrzała to coś, co sparaliżowało Marka i Różę. Po ciemnych deskach szedł zielony karaluch, identyczny jak te, które jeszcze czasami wychodziły z zakamarków domu w Żółwińcu. Jako jedyna miała na sobie buty. Wiedziała, że musi działać szybko, bo sunący wolno karaczan może przyspieszyć i zniknąć w ułamku sekundy. Jeden krok, drugi i już go miała pod podeszwą. Uniosła nogę i zobaczyła rozgniecionego owada.

Róża wypuściła powietrze z ulgą i roześmiała się wyjątkowo radośnie, jak nie ona.

— Mareczku, musiałeś go przywieźć, gdy byłeś w Żółwińcu na odczytaniu testamentu. Mam nadzieję, że tylko tego jednego.

Marek nadal był spięty. Szarpał za górną część koszulki, jak gdyby chciał ją rozerwać. Sapał przy tym ciężko.

— Kochanie, nie przesadzaj, to tylko karaluch. One nie gryzą. Dzieciom też nic nie zrobią. — Róża uspakajała męża, ale sama nerwowo kołysała niemowlę. — Proszę, zajmij się Mateuszkiem.

Chłopiec zawodził, trzymając się kanapy. Ula dopiero teraz poczuła, że rzeczywiście przeszkadza.

— Pójdę już.

Marek wziął na ręce starszego syna.

— Odprowadzę cię.

Wyszła, a on za nią. Mateuszek trzymał ojca za szyję i dalej płakał, ale już ciszej, jak gdyby chciał jedynie przekonać rodziciela, aby ten jeszcze nie wypuszczał go z ramion.

— Ulka, muszę coś ci powiedzieć — rzucił pośpiesznie, oglądając się na drzwi do salonu.

— Co takiego?

— Andrzej uważa, że ty i Justyna zabiłyście naszego ojca.

Ula nie była zdziwiona. To było podobne do Andrzeja. Ogarnęła ją jednak złość. Mama tak bardzo cierpiała, straciła nie tylko męża, ale też syna, a ten nędznik śmiał wysuwać wobec niej tak obrzydliwe zarzuty.

— Niech na nas doniesie na policję, ale do Żółwińca niech się nie zbliża.

— Już to zrobił. Był u tego podinspektora z żydowskim nosem. Jak mu tam?

— Juraszczyk.

— No właśnie, był u Juraszczyka. Bo wiesz, ja nie wierzę, że wy byście mogli... Wolałbym się dogadać z Justyną. Pogadaj z matką, żeby nam odsprzedała swoje udziały w firmie.

— Za symboliczną złotówkę — parsknęła Ula.

— Damy jej trochę więcej, a przede wszystkim gwarantujemy spokój. Jeśli zostanie w firmie, ma jak w banku ciągłe konflikty. Andrzej jej nie daruje.

Umilkł nagle, bo do przedpokoju weszła Róża. Patrzyła na nich jak na spiskowców. Jej usta zaciśnięte w złośliwym uśmiechu zdawały się mówić: Wiem, że knujecie przeciwko mnie. Nie jestem taka głupia, jak myślicie.

Ula otworzyła drzwi i wypadła na zewnątrz. Szła do samochodu szybkim krokiem. Przyjechała tutaj zbyt pochopnie, pod wpływem chwilowego przeczucia. Gdyby tylko dłużej się zastanowiła, zrozumiałaby, że Marek nie może być Aleksandrem. Pierwszego esemesa dostała od adoratora, gdy siedziała przy obiedzie w Żółwińcu. Przy tym samym stole znajdowała się cała rodzina, Marek i Róża również. Żadne z nich nie zdołałoby dyskretnie wysłać wiadomości.

Przekręciła kluczyk w stacyjce. Serce jej waliło jak oszalałe. Adrenalina buzowała w żyłach. Dobrze, że dała się ponieść intuicji i tu przyjechała. Inaczej nie trafiłaby na nowy trop. Teraz musi jechać do Juraszczyka i mu wszystko zrelacjonować. Musi też zadzwonić do mamy i powiedzieć jej, że zaraz wróci.

Rozdział XXII

OLBRZYMI POMPON PODRYGIWAŁ na czubku głowy Mai Kowalskiej za każdym jej krokiem, a szalik łopotał za jej plecami. Z ramienia dziewczyny zwisała wypchana torba. Przed chwilą opuściła centrum rekreacji wodnej i spieszyła się na parking, żeby jak najszybciej się schować przed zimnym wiatrem.

Juraszczyk czekał na nią w nieoznakowanym radiowozie. Dziesięć minut temu sam wyszedł z pływalni. Przyjechał tutaj, aby porozmawiać z dziewczyną Łukasza Marczaka. Wolał zacząć od niej, bo nie była głupia. Liczył na jej zdrowy rozsądek. Przez kwadrans obserwował ją z trybun, jak żabką pokonuje długość basenu sportowego. Zostawiała w tyle kilku młodych mężczyzn, którzy rozpaczliwie przyspieszali, żeby się pokazać z jak najlepszej strony. Maja znakomicie wyglądała w zielonym jednoczęściowym stroju kąpielowym i żółtym czepku. Podinspektora fascynowały jej wąskie biodra i szczupłe, a zarazem muskularne ramiona. W takich momentach czuł ciężar pięćdziesięciu lat. Piąty krzyżyk wręcz go przygniatał. Zdawał sobie sprawę, że ta dwudziestopięcioletnia kobieta nie będzie na niego patrzeć pożądliwie, tym bardziej, że była związana

z takim przystojniakiem jak Łukasz Marczak, o ile ich związek nie był jedną wielką ściemą. Wolałby, żeby okazało się, iż są jedynie współnikami, bo towarzysza w interesach łatwiej wydać niż ukochanego.

Maja Kowalska nagle skręciła w stronę chodnika i zaczęła biec. Juraszczyk patrzył za nią zaskoczony. To niemożliwe, żeby go dostrzegła. Uruchomił silnik i ruszył. Przyhamował przy niej i opuścił szybę.

— Proszę wsiąść, podwiozę panią.

Obejrzała się, zwalniając nieco kroku. Machnęła głową przecząco i chwilę później wskoczyła do trzynastki. Jechała na południe miasta, zapewne do swojej kawalerki na Traugutta. Podinspektor wyprzedził autobus. Z doświadczenia wiedział, że największe wrażenie robi policja stojąca pod drzwiami mieszkania, udał się więc od razu na drugie piętro. Rzeczywiście zdołał zaskoczyć Maję. Wbiegała po schodach lekkim krokiem, ale gdy go ujrzała, jej nogi stały się ciężkie i ciągnęła je jedną za drugą. W ręku ścisnęła czapkę z pomponem. Kasztanowe włosy miała rozsypane na ramionach. Po chwilowej konsternacji zmieszanej ze zdumieniem wróciła do luzackiego sposobu bycia.

— A to pan tutaj. Tak myślałam, że ta propozycja podwiezienia to tylko pretekst, żeby mnie znowu przesłuchać.

— Raczej chciałem porozmawiać nieoficjalnie. Po co nam obojgu protokół. I tak na komendzie jesteśmy zasypani papierkową robotą po pachy.

— Jeśli powiem, że nie wpuszczę pana do mieszkania, to mi w niczym nie pomoże?

— Na pewno nie, bo wtedy za parę godzin przyjedzie po panią radiowóz. Zyska pani trochę czasu, może to pomóc, jeśli chce pani ustalić fakty z Marczakiem.

— Nie muszę niczego ustalać, sama wiem, ile można powiedzieć psom.

Przekręciła klucz w zamku i weszła do środka, nie zamykając drzwi za sobą. Uznał to za zaproszenie i również przekroczył próg.

— Wejdźmy do kuchni. W pokoju mam niepościelone. Spieszyłam się dzisiaj rano.

Juraszczyk z satysfakcją zanotował tę informację. Nocowała u siebie, a nie u Marczaka na Grunwaldzkiej. Może rzeczywiście jest jego współniczką, a nie dziewczyną.

— Nie będę pytać, skąd pan wiedział, że jestem na basenie. Domyślam się, że telefon mnie wydał.

Podinspektor kiwnął twierdząco głową.

— Złożyła pani fałszywe zeznania. Zgodnie z artykułem dwieście trzydzieści trzy kodeksu karnego grozi pani za to trzy lata pozbawienia wolności.

Maja wyciągnęła do niego obie dłonie złączone w nadgarstkach.

— Zakuje mnie pan w kajdanki?

— Pani sobie żartuje, a sprawa jest poważna. Już raz dała pani fałszywe alibi Marczakowi, że podobno leżeliście razem w łóżku w jego

mieszkańcu na Grunwaldzkiej. Owszem, była tam pani, ale sama, i sfotografowała pani wasze wspólne zdjęcie. W tym czasie Marczak próbował przejechać Justynę Gifort w Żółwińcu. Skoro raz zapewniła mu pani alibi, to czemu nie miałyby pani zrobić tego ponownie?

— Podinspektorze, przypominam, że w drugim przypadku chodzi o morderstwo. Zginęły dwie osoby, Leon Gifort i jego syn. Nie dałabym alibi mordercy. Nigdy. Nawet gdybym była nieprzytomnie zakochana w Łukaszu, nie zrobiłabym tego. Poza tym przypominam, że nie tylko ja poświadczyłam, że tamtej nocy Łukasz był ze mną w Nowakowie, zrobili to też moi rodzice.

— Wierzę, że nie dałaby pani alibi mordercy. Moje zdanie tu jednak niewiele znaczy. To w prokuraturze piszą akt oskarżenia, a sąd wydaje wyrok. Prokuratora mamy ambitnego, bardzo chce rozwiązać tę sprawę, bo taka medialna, przyniosłaby mu sławę i awans. Istnieje ryzyko, że Łukasz Marczak stanie się ofiarą jego ambicji. Byłoby więc dobrze, gdybym wcześniej znalazł prawdziwego sprawcę z Żółwińca, wtedy pani i Marczak moglibyście spać spokojnie. Mam rację, że to byłoby wam na rękę?

Maja przytaknęła, ale bardzo ostrożnie, jak gdyby obawiała się podstępu.

— Chciałbym, żeby pani mi w tym pomogła.

— W czym?

— W schwytaniu mordercy z Żółwińca.

Otworzyła torbę i wyjęła ręcznik. Rzuciła go na taboret. Rozwinął się, ukazując strój kąpielowy i czepek.

— Mam panu pomóc? Chyba pan żartuje, przecież ja nic na ten temat nie wiem.

— Mamy podejrzanego, a właściwie podejrzaną, to Ula Baranowska, pasierbica Giforta.

Dziewczyna zamarła, pochyłona ku ziemi, bo właśnie chciała podnieść z podłogi czepek, który się zsunął z taboretu. Wyprostowała się po chwili. Usta miała otwarte w niemym zdumieniu, oczy powiększone.

— Ja pierdolę — szepnęła. — Mówi pan poważnie? — To ona miałaby zabić swojego ojczyma i brata?

— Tylko ojczyma, chłopiec zginął w wyniku nieszczęśliwego wypadku. Widzę, że dobrze pani wie, o kim mówię.

— No tak, przecież wszystkie media wałkują ten temat — zauważyła dziewczyna.

— Chodziło mi o Ulę Baranowską, ją media oszczędziły, a jednak pani wie, kim ona jest. Wie pani to od Łukasza. Powiedział pani, że posterunkowa Baranowska protokołowała przesłuchanie Krzysztofa.

Maja wzięła się pod boki i spojrzała na niego bojowo.

— Tak, wiem wszystko o tamtym przesłuchaniu. Powinni was za to zamknąć. Jesteście zwyrodnialcami, a Baranowska jest najgorsza z was wszystkich.

Juraszczyk był zadowolony, bo dziewczyna właśnie wdała się z nim w dyskusję.

— Dlaczego Marczak postawił na posterunkową? Dlaczego nie na mnie?

— Niech pan jego pyta. Ja nic nie wiem.

— Dobrze pani wie, że nie będzie chciał ze mną rozmawiać.

— Proszę mu powiedzieć to samo co mi, że podejrzewa pan ją o zabicie Giforta. Łukasz wtedy powie panu, co wie o Baranowskiej. Chętnie ją pogrąży.

— Jak na razie to właśnie on zapewnił jej alibi na czas morderstwa w Żółwińcu.

Na ładnej twarzy dziewczyny pojawiło się głębokie niezrozumienie, jak gdyby przemówił do niej po chińsku.

— Wiemy, że Łukasz Marczak od kilku tygodni wymieniał esemesy z Ulą Baranowską jako Aleksander. Tamtego poranka też. Wysyłał je z laptopa, korzystając z internetu pani rodziców w Nowakowie. Wszystko więc wskazuje na to, że Ula nie była w Żółwińcu i nie mordowała swojego ojczyma, lecz siedziała w mieszkaniu na Kasprzaka i pisała z Łukaszem Marczakiem.

Maja przysiadła na brzegu stołu.

— Nie łąpię, o co panu chodzi. Najpierw mówi pan, że ona jest podejrzana o zabicie Giforta, a potem wyjaśnia, że tego nie zrobiła, bo pisała z Łukaszem.

— Przyszedłem do pani, aby się upewnić, czy to alibi jest prawdziwe. Proszę mi powiedzieć, co pani o tym wie.

Dziewczyna zamyśliła się, jak gdyby zastanawiała się, ile może wyjawić.

— Łukasz wtedy z nią pisał, zaczęli w nocy, a skończyli rano. Siedziałam chwilę przy nim, jakieś pół godziny, potem poszłam spać.

Podinspektor kiwnął głową, zachęcając ją do ciągu dalszego, ona jednak zamilkła.

— Pani Maju, czy pani wie, że Łukasz do kontaktu z Ulą używał telefonu ukrytego w autobusie? Był w Nowakowie, a esemesy szły z aparatu logującego się na Dworcowej.

Dziewczyna była zaskoczona, że zdołali to ustalić. Nie była pewna, czy wolno jej potwierdzić, że o tym wiedziała. Czubkiem języka przesunęła po dolnej wardze.

— A jeśli używał zdalnego wysyłania esemesów, to co z tego? — zapytała ostrożnie.

— Z tego wynika bardzo wiele. Przede wszystkim próbował ukryć swoją tożsamość i lokalizację, a to jest podejrzane. Mnie jednak interesuje coś innego. Czy czasem nie było tak, że Łukasz wysyłał esemesy za siebie i za Ulę. Skoro miał zdalny dostęp do swojej motoroli ukrytej w autobusie, to również mógł mieć dostęp do jej telefonu i z niego mógł wysyłać esemesy do siebie. Może umówili się, że nawzajem zapewnią sobie alibi?

Maja zerwała się ze stołu.

— Nie! Jak panu mogło coś takiego przyjść do głowy. On by tego nie zrobił. Daję za to głowę. Zapewnił jej alibi, ale nieświadomie. On jej nienawidzi, bo to ona załatwiła Krzyśka. Nigdy w żaden sposób by jej nie pomógł.

Wybuch dziewczyny był spontaniczny. Mówiła prawdę. Juraszczyk poczuł ulgę na myśl, że Ula Baranowska nie brała udziału w morderstwie ojczyma. Zaskoczyła go jego własna reakcja, jak gdyby polubił posterunkową.

Maja zdjęła bluzę i została w koszulce z krótkim rękawem. Zrobiło się jej gorąco. W kuchni faktycznie było ciepło. Juraszczyk też miał ochotę zsunąć kurtkę.

— Powiedziała pani, że Łukasz nienawidzi Uli, bo ona załatwiła Krzyśka. Niby w jaki sposób miała go załatwić?

— No, kazała go powiesić.

Juraszczyk nie ukrywał zdumienia.

— A skąd Łukasz to wie?

Dziewczyna otworzyła usta i zaraz je zamknęła. Wahala się przez długą chwilę.

— Krzysiek rozmawiał z redaktorką z „Dziennika Elbląskiego”, opowiedział jej o przesłuchaniu. Artykuł się nigdy nie ukazał. Wie pan, dlaczego?

— Dlaczego?

— Bo ta dziennikarka jest koleżanką Urszuli Baranowskiej, chodziły do jednej klasy. Czyli posterunkowa pierwsza się dowiedziała, że jakiś

chłopaczek zamierza spieprzyć jej karierę. No i nie pozwoliła na to.

— Za dużo się pani naoglądała filmów, Marczak też. Brutalne przesłuchanie nigdy nie zaszkodziło żadnemu z funkcjonariuszy w Polsce. Posterunkowa Baranowska też nie poniosłaby żadnych konsekwencji, tym bardziej że była tylko protokolantką. Na pewno nie miała powodu, żeby załatwić Krzysztofa. Nikt z nas go nie miał.

Maja oparła się o futrynę.

— Pan jej broni? A kilka minut temu oskarżał pan ją o to, że zabiła Giforta.

— Skoro Łukasz uznał, że to Baranowska zleciła powieszenie Krzyśka, to dlaczego do niej pojechał i próbował przekonać, aby powiedziała prawdę o przesłuchaniu i zeznaniami obciążyła mnie? Z mordercy brata chciał uczynić sobie współniczkę?

— Panie podinspektorze, właśnie sam pan odpowiedział na to pytanie. Na pana też Łukasz chciał coś mieć i tyle. Baranowska nie byłaby jego współniczką, lecz narzędziem.

— Proszę mi jeszcze powiedzieć, dlaczego Marczak nie zabrał telefonu z autobusu? Miał na to czas, kilka dni.

— Przypominałam mu o tym, ale on w pewnej chwili machnął na wszystko ręką. Śmierć tego chłopczyka, jej brata tak na niego podziałała. Chyba uznał, że rachunki są wyrównane, oboje stracili rodzeństwo.

— Domyślam się, że tymi esemesami chcieliście jakoś zmanipulować Ulę, w jakiś sposób jej zaszkodzić, zemścić się za śmierć Krzyśka, ale nie rozumiem, jak? Niczego nie osiągnęliście, a wręcz przeciwnie, daliście jej alibi. Gdyby nie te esemesy, to dzisiaj Baranowska pociłaby się ze strachu na komendzie.

Maja przygryzła dolną wargę i włożyła zaciśnięte dłonie do kieszeni džinsów. Była zła, ale nie dlatego, że zostali zdemaskowani. Ich intryga obróciła się przeciwko nim, a raczej przeciwko celowi, jaki sobie obrali, i to ją wprawiło we wściekłość.

— Skończyłam z panem rozmowę. Proszę wyjść.

Podinspektor nie naciskał dalej, i tak się dużo dowiedział. Resztę powie mu Łukasz Marczak, czyli Aleksander.

Rozdział XXIII

ŁUKASZ MARCZAK SIEDZIAŁ rozparty na krześle. Lewą stopę oparł o kolano prawej nogi, ręce skrzyżował na piersiach, jak gdyby znajdował się na spotkaniu towarzyskim i przymierzał się do dyskusji o sztuce, która nie jest sztuką. Brakowało mu tylko kieliszka z winem i małej przekąski trzymanej w dwóch palcach. Ktoś, kto by go zobaczył, nie domyśliłby się, że jest właśnie przesłuchiwany przez podinspektora policji.

Ula stała w drugim pomieszczeniu i przez lustro weneckie obserwowała Łukasza vel Aleksandra. Tuż obok przy biurku siedział Mariusz Żuk. Godzinę temu, gdy ruszała spod domu Marka Giforta, zadzwonił i poprosił, aby zajrzała do firmy. Oznajmiła, że właśnie miała taki zamiar, bo wpadła na nowy trop i musi o tym poinformować podinspektora. Aspirant czekał na nią przed budynkiem.

— Zatrzymaliśmy Aleksandra — zakomunikował bez zbędnego wstępu.

Aż ją zatkało. Nie spodziewała się, że w ogóle go szukali, bo niby z jakiej racji, przecież nie poinformowała podinspektora, że zlecenie, które

otrzymała od Aliny Michalskiej, było fikcją, a sama zleceniodawczyni podszyła się pod inną osobę.

Mariusz nie chciał zdradzić, kim jest adorator.

— Sama zobaczysz — mruknął, gdy pytała, i dodał, że nie został upoważniony do udzielania dodatkowych informacji.

Czuła, że Juraszczyk chce ją zaskoczyć tożsamością Aleksandra, rosło więc w niej napięcie związane z oczekiwaniem na ewidentną sensację. Na widok rudych włosów Marczaka pojawiło się zdumienie, które sprawiło, że niemal przykleiła się do lustra weneckiego, aby go lepiej widzieć, jak gdyby chciała rozszyfrować każdy grymas na jego twarzy i znaleźć tam odpowiedź na pytanie: Dlaczego?

To samo pytanie po raz kolejny zadał Marczakowi Juraszczyk.

— Dlaczego wciągnąłeś Urszulę Baranowską w pisanie esemesów?

— Panie podinspektorze, proszę zauważyć, że pani Baranowska pierwsza nawiązała ze mną kontakt. Zadzwoniła do mnie, co zapewne zostało ujęte w bilingu. Ponadto nie przymuszałem jej, aby do mnie pisała, nie groziłem, nie domagałem się od niej wiadomości. Nie zrobiłem niczego, co nie jest zgodne z prawem. Stalkerem też nie jestem, bo pani Baranowska nie zabroniła do siebie pisać.

— Jaki miałeś cel w podtrzymywaniu kontaktu esemesowego?

— Żadnego.

— Dlaczego nie korzystałeś z karty SIM zarejestrowanej na swoje nazwisko? Przecież taką posiadasz.

— A czy jest zakaz korzystania z karty SIM innej osoby?

— Nie ma takiego zakazu, ale chcę wiedzieć, dlaczego nie korzystałeś z własnej?

— Bo własna karta SIM służy mi do kontaktów z innymi osobami.

— Dlaczego posługiwałeś się programem do zdalnego wysyłania eśemesów?

— Bo lubię nowinki informatyczne. Z chęcią przetestowałem ten program.

— Mogłeś go testować, trzymając telefon w drugim pokoju, a ty go ukryłeś w autobusie linii jedenaście. Dlaczego?

— To nie jest zabronione. Nie uczyniłem niczego, co nie byłoby zgodne z prawem.

Marczak zrobił najbardziej niewinną minę z całego mimicznego zestawu, który chętnie prezentował.

— W co planowałeś ją zrobić? — pytał dalej podinspektor.

— Nie miałem żadnych niegodziwych zamiarów.

Starannie modulowana intonacja wskazywała, że przesłuchanie traktuje jak dobrą zabawę. Wydawało się, że zaraz dla żartu poprosi o kawę i sernik.

Ula nie była w stanie dłużej przysłuchiwać się popisom Marczaka. Ta sprawa dotyczyła jej

bezpośrednio, nie miała zamiaru stać beczynnie, tym bardziej że znała szczegóły, o których Juraszczyk nie wiedział. Odwróciła się od lustra weneckiego i spojrzała na Mariusza, był zajęty tabletem. Minęła go i wyszła na korytarz. Pewnym krokiem wkroczyła do pokoju przesłuchań. Podinspektor spojrzał na nią takim wzrokiem, jak gdyby pytał: Dlaczego dopiero teraz? Na co do tej pory czekałaś? Z kolei Marczak nieznacznie się spał, ale zaraz powrócił do poprzedniej zrelaksowanej postawy.

— No, to jesteśmy w komplecie. Zamiast Krzysztofa jestem ja. Aha, brakuje jeszcze sierżanta Wojtaszka. Może poślijcie po niego. Niech tu przyjdzie z pałką, jak wtedy. — Ponaglająco kiwnął głową na Ulę. — A ty może usiądziesz do protokołu?

Sierżant Burdecka protokołująca przesłuchanie uniosła się nieco na krześle, jak gdyby chciała odstąpić jej miejsce. Po chwili znowu opadła na siedzenie, uświadamiając sobie, że przecież Baranowska nie jest funkcjonariuszką.

Ula podeszła do biurka podinspektora, a ten wstał. Usiadła na jego krześle. Wyjęła z kieszeni brylantowe kolczyki i uniosła je w górę. Z trudem panowała nad drżeniem ręki.

— To ty mi je przysłałaś.

— Nie mam powodu, żeby cię lubić, a co za tym idzie obdarzać prezentami.

— To ty mnie namawiałaś esemesami, żebym je włożyła i zrobiła sobie selfie.

— A czy namawianie kogoś do przymierzenia biżuterii jest przestępstwem?

— To ty nastraszyłeś moją mamę, próbując ją potrącić samochodem. Przejechałeś psa, a ona ma złamaną rękę.

— Nie przypominam sobie takiego zdarzenia, a psy bardzo lubię, żadnemu bym nie zrobił krzywdy.

Ula spokojnie wyliczała dalej:

— Zorganizowałeś napad na sklep jubilerski, podczas którego dawałeś mi znaki.

Łukasz się roześmiał.

— Jeśli chcecie, żebym się przyznał do napadu, musicie zastosować inne środki, co najmniej takie jak w przypadku mojego brata. Może zaczniecie od straszenia i grożenia. Potem w ruch pójdzie pałka, a na końcu paralizator.

Sierżant Burdecka z początku nie protokołowała tego etapu przesłuchania, ale po chwili zaczęła stukać w klawiaturę, teraz przerwała i spojrzała pytająco na Juraszczyka. Pokazał jej, żeby wyszła. Posłusznie opuściła pokój. Dla Uli był to znak, że może kontynuować nieoficjalną część przesłuchania. Położyła kolczyki na biurku. Brylanty zalśniły odbitym światłem elektrycznym.

— Miałeś tylko jeden cel. Chciałeś mnie zrobić w jakieś przestępstwo, w jakiegokolwiek, dlatego nawiązałeś ze mną kontakt za pośrednictwem kobiety, która podała się za Alinę Michalską. Gdy już dałam się złapać na pisanie esemesów, czekałeś, aż uda się mnie w coś uwikłać. Sama

podsunęłam ci pomysł tym, że zaczęłam pracę w salonie Giforta. Takiej okazji nie mogłeś sobie odpuścić. Zastanawiam się, jak zdołałeś przygotować tak profesjonalny napad i kim była ta kobieta, która wyniosła łup z salonu. Kradzież wam się udała, ale nie zdołałeś mnie zrobić. Musiałeś być bardzo rozczarowany, gdy napisałam ci, że wyszłam z przesłuchania obronną ręką. Przysłałeś mi dzisiaj te kolczyki, bo miałeś nadzieję, że jeszcze zdołasz mnie nimi pogrążyć i nie wywinę się z napadu.

Łukasz milczał, ale spojrzeniem potwierdzał, że trafnie połączyła wszystkie zdarzenia. Czuła satysfakcję, bo właśnie finalizowała pewien fragment swojego rozbudowanego śledztwa.

— Chciałeś się zemścić za śmierć brata, za ten koszmar, który przeżył tutaj. Rozumiem to. Rozumiem, że zaplanowałeś dla mnie ten sam los, też miałam być przesłuchiwana, zastraszana, a może nawet bita. Doceniam perfidię tego planu. Zakładam też, że nie skończyłoby się na mnie, kolejny byłby podinspektor Juraszczyk, a następny sierżant Wojtaszek. — Zrobiła krótką pauzę dla nabrania oddechu. — Popełniłeś jednak błąd.

Na twarzy Marczaka pojawiło się zaciekawienie. Cekał na ciąg dalszy, chciał wiedzieć, o jakim błędzie mówiła. Nie kontynuowała jednak, bo liczyła, że go sprowokuje, wyprowadzi z równowagi, zmusi do przedstawienia własnej wersji. Milczenie się przedłużało.

— Skończyła już pani? — zapytał nagle podinspektor.

— Tak.

Wstała. Myślała, że Marczak ją zatrzyma, bo będzie chciał wiedzieć, jaki błąd popełnił. Gdy wychodziła z pokoju, usłyszała, że mówi:

— Nie przyznaję się do niczego, co ta pseudopolicjantka mi zarzuciła. Poniosła ją fantazja z tym napadem na salon jubilerski.

Uśmiechnęła się do swoich myśli. Łukasz Marczak był twardy. Długo będzie się wypierał napadu, bo zdaje sobie sprawę, że nie mają na niego wielu dowodów, zaledwie poszlaki. To się może zmienić, jeśli policja wpadnie na trop jego współniczki albo namierzą fanty, zwykle to one pogrążają sprawcę. Nie miała do niego żalu, a nawet go rozumiała. Sama straciła brata i pragnęła zemsty na tych, którzy przyczynili się do jego śmierci.

Weszła do pokoju obok. Mariusz stał przed lustrem weneckim. Widząc ją, wyciszył głośniki. Teraz mogli jedynie patrzeć na podinspektora i Marczaka, po mimice i gestach musieli się domyślać dalszego przebiegu przesłuchania.

— Nieźle to sobie wymyślił — odezwał się aspirant. — Zaczął od przebiccia opon podinspektorowi, a skończył na napadzie na jubilera. Zdaje mi się, że trochę posiedzi.

— Gdybyście go nie zatrzymali, to dalej by się mścił — skonstatowała.

— Na tobie już nie.

Spojrzała pytająco na aspiranta.

— Podobno gdy się dowiedział, że straciłaś brata, to sobie odpuścił.

— Skąd to wiesz? Chyba nie od niego?

Kiwnęła głową w stronę lustra.

— Jego dziewczyna wspomniała o tym Juraszcykowi.

— W takim razie kłamała. Wcale sobie nie odpuścił, skoro przysłał mi te kolczyki. Wyobrażasz sobie, co by było, gdybyście je u mnie znaleźli?

Mariusz posłał jej pełen zrozumienia uśmiech.

— Ulka, powiedz mi, jaki błąd popełnił Marczak. O co ci chodziło?

— O to, że przyjął błędne założenie. Uznał, że zabiliśmy Krzyśka, aby zamknąć mu usta, a przecież my nie mamy nic wspólnego z jego śmiercią. Nie przeciwko nam powinien kierować swoją zemstę. Nas można obwiniać o brutalne przesłuchanie, ale nie o przyczynienie się do śmierci.

— Sądzę, że nie przekonałabyś go do swojej wersji. On wierzy głęboko w naszą winę i ma nawet dowód na nasz udział w zabójstwie Krzysztofa Marcza.

— Jaki?

— To jest dowód w jego mniemaniu, bo dla sądu to by nawet nie była poszlaka.

— Jaki? — powtórzyła z naciskiem.

— Podobno Krzysztof spotkał się z dziennikarką z „Dziennika Elbląskiego” i opowiedział

o przesłuchaniu. No i ten artykuł się nigdy nie ukazał, bo ktoś interweniował.

— Ktoś od nas?

— Tak, podobno ty.

Ula prychnęła, jak gdyby usłyszała niestosowny żart pod swoim adresem.

— Nie powtarzaj tego nikomu, bo jeszcze ludzie uwierzą, że mam takie wpływy, żeby zamknąć usta mediom.

— Łukasz ustalił, że masz koleżankę w tej gazecie. Jego dziewczyna wyjawiała to podinspektorowi. Gdy się dowiedziałaś, że informacje o brutalnym przesłuchaniu mogą wypłynąć, to się wystraszyłaś i postanowiłaś usunąć Krzysztofa.

— Boże, co za bzdury. Protokolantka miałaby się obawiać konsekwencji nadużycia władzy przez przesłuchującego.

— To nie taka całkiem bzdura. Też mogłabyś zapłacić wysoką cenę za brak reakcji na przemoc.

Ula się oburzyła.

— Ty też tam byłeś. Dlaczego nie zareagowałeś? Dlaczego pozwoliłeś Juraszczykowi razić go paralizatorem?

— Ula, nie unosź się. Chciałem ci tylko uświadomić, jak myślał Łukasz Marczak. A tak w ogóle, to wiedziałaś o tym, że Krzysztof gada z dziennikarzami? Koleżanka ci doniosła?

— Nie znam żadnej dziennikarki, a gdybym nawet знаła, tobym nie zabraniała jej o tym pisać. Sama

przez chwilę myślałam, żeby się skontaktować z jakimiś mediami i opowiedzieć o praktykach w elbląskiej policji.

— Przyznam ci się, że ja i Jura baliśmy się, że możesz to zrobić. Gdy jakiś przestępca na nas nadaje, to jest normalne, ale jeśli jeden pies oczernia drugiego, to sprawa wygląda na poważną. Mogłoby się nami zainteresować Biuro Spraw Wewnętrznych.

Wyjęła z kieszeni pogniecioną kopertę.

— W tym jakiś dzieciak przyniósł mi dzisiaj kolczyki.

Skierowała wzrok na biurko po drugiej stronie lustra weneckiego, gdzie wciąż leżały brylanty. Aspirant trzymał już w ręku notes i długopis.

— Imię i nazwisko tego dzieciaka, i oczywiście adres.

Uśmiechnęła się.

— Nie zdążyłam go wylegitymować.

Nie miała zamiaru się przyznawać, że nawet nie przyszło jej do głowy, aby poprosić młodego kuriera o pozostawienie kontaktu do siebie. Mariusz włożył lateksowe rękawiczki i wziął od niej kopertę.

— Pamiętaj, żeby następnym razem zabezpieczyć dowód w woreczku foliowym.

— Będę pamiętać. W kopercie jest liścik od Aleksandra o tym, że te kolczyki mi się należą. — Spojrzała na Łukasza Marcza, nadal wyglądał na zrelaksowanego, za dwie, trzy godziny to się zmieni.

— Muszę wracać do Żółwińca. Mamę zostawiłam samą. Martwię się o nią.

— Jedź. Zeznania złożysz w innym terminie.

Ruszyła w stronę drzwi. Czuła się zmęczona i chciało się jej kawy.

— Ula! — zawołał za nią Mariusz.

Odwróciła się.

— Gdy po ciebie zadzwoniłem, powiedziałaś, że właśnie się wybierałaś do podinspektora, bo masz coś nowego. O czym mówiłaś?

W tej chwili wydawało się jej, że ten nowy trop, na który przypadkiem trafiła, jest śmieszny i bardziej nadaje się do kryminalnej komedii, a nie rzeczywistego śledztwa. Czasowy dystans sprawił, że całą rzecz widziała inaczej. Miała już machnąć ręką i powiedzieć, że to nic takiego, ale ostatecznie oznajmiła:

— Byłam dzisiaj u Marka Giforta i trafiłam u niego na karaczana, na tego małego i zielonego. Te są najgorsze, wszędzie wejdą.

— No i co?

— No, chyba nic. W pierwszej chwili przyszło mi do głowy, że skoro są takie wszędobylskie, to mogły ukryć się w ubraniu sprawcy, a on je wyniósł, ale to raczej pochopny wniosek. Marek był w Żółwińcu na odczytaniu testamentu, siedział prawie dwie godziny, wtedy karaluchy mogły mu wleźć do torby.

— Wspomnę o tym podinspektorowi, a ty już jedź do mamy.

Cmoknęła Mariusza w policzek i ponownie ruszyła do drzwi.

Rozdział XXIV

RZODKIEWKA ZBYT DŁUGO leżała w lodówce, była już miękka. Ula nadgryzła kawałek i stwierdziła, że smak się nie zmienił. Postanowiła ją wkroić do twarożku, bo innego dodatku nie miała, a sam pieprz to za mało. Zrobiła też kanapki z wędliną, tuńczykiem i pastą sojową, żeby mama miała w czym wybierać.

Gdy wróciła do domu, zastała Justynę w salonie siedzącą na kanapie z podkulonymi nogami i wpatrzoną w ciemność za oknem. Kiwnęła nieznacznie głową, gdy Ula wyjaśniła, że była na komendzie, bo policja zatrzymała mężczyznę podejrzanego o napad na salon jubilerski. O wizycie u Marka na razie nie wspomniała. Do rozmowy na ten temat chciała się przygotować.

Rozpaliła w kominku i włączyła telewizor, żeby przerwać grobową ciszę panującą w domu, po czym zaczęła robić kolację. Sama była głodna. Dzisiaj nie jadły obiadu, jedynie późne śniadanie. Pokroiła rzodkiewkę w krążki i wrzuciła do twarożku. Starła się nie myśleć o Ignasiu, ale tutaj, w tym domu, jego nieobecność była niemal namacalna, jak gdyby pozostawił po sobie tunele przestrzenne wypełnione zapachem i śmiechem. Powinien przy

niej stać i zadawać dziesiątki pytań, a jednak go nie było. Otarła łzy ciekące po policzkach.

Ustawiła talerze i filiżanki na tacy i ruszyła do salonu. Mama dalej siedziała na kanapie, ale teraz patrzyła w telewizor. Kilka dni temu Ula przywiozła go ze swojego mieszkania, bo Leon nie miał u siebie odbiornika TV, nie lubił telewizji, twierdził, że ogłupia. Wróciła do kuchni po dzbanek z herbatą. Gdy ponownie weszła do salonu, Justyna jadła kanapkę z tuńczykiem i dalej wpatrywała się w ekran telewizora, gdzie akurat omawiano aktualne wydarzenia polityczne. Wołała nie przeszkadzać mamie. To dobry znak, że zdołała na czymś skupić swoją uwagę. Podsunęła jej miseczkę z twarożkiem i rzodkiewką. Nalała herbaty do filiżanek. Dwadzieścia minut później talerze były puste, wtedy Justyna skierowała wzrok na córkę.

— Może dorobię jeszcze parę kanapek? — zaproponowała Ula.

— Zrób sobie, ja już się najadłam.

— Ja właściwie też.

Dolała herbaty do swojej filiżanki. Justyna miała jeszcze pełną.

— Przepraszam, że zasugerowałam dziś rano, że miałaś coś wspólnego ze sprawcami. Wcale tak nie myślę. — Czekwała na reakcję matki, ale ta tylko westchnęła i mocniej naciągnęła poły szlafroka. — Jestem pewna, że wiesz, kto to był — dokończyła szeptem.

Justyna pochyliła się do przodu, jak gdyby chciała wstać i odejść. Ula złapała ją za rękę.

— Mamo, to nie zarzut. Musiałaś rozpoznać sprawcę. Tyle razy go widziałaś wcześniej, że to byłoby niemożliwe, abyś go nie zidentyfikowała. Ja też już wiem, kto to był.

Ula widziała w oczach rodzicielki strach graniczący z paniką.

— Nie bój się. On nam nic nie zrobi. Jesteśmy bezpieczne. Uważam jednak, że powinnaś powiedzieć policji, kim on jest, ewentualnie kim oni są, bo domyślam się, że mogli być we dwóch.

Na ustach Justyny pojawiło się nieme pytanie. Chciała zapewne wiedzieć, w jaki sposób jej córka poznała tożsamość sprawcy.

— Byłam dzisiaj u Marka — zaczęła wyjaśniać Ula. — Rozmawialiśmy i nagle zobaczyłam karaczana, tego małego i zielonego. Róża wpadła w złość na jego widok, a Marek był przerażony. Wystraszył się, że skojarzę fakty i zawiadomię kolegów z policji.

Justyna wyglądała jak upiór. Trwoga rozszerzyła jej źrenice, a z twarzy odpłynęła krew.

— Zrobiłaś to? Zawiadomiłaś policję? — zapytała spierzchniętymi ustami.

— Tak.

— Nie powinnaś.

— Musiałam. To morderca.

Strach mamy był potwierdzeniem, że się nie pomyliła. To Marek tamtego poranka przyjechał tutaj i udusił ojca.

— Nie bój się. On nam nic nie zrobi. Nie ma powodu, żebyś się go bała.

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, uświadomiła sobie, że powód do lęku jest. Przecież Marek i Andrzej mają klucze do domu w Żółwińcu, w każdej chwili mogą tu się pojawić, aby je uciszyć. Mama też sobie zdawała z tego sprawę i miała mocną podstawę, aby się bać. Na własnej skórze przekonała się, do czego jest zdolny syn Leona. Musiała przeżyć koszmar, stojąc przez ponad dwie godziny na palcach z zaciśniętą apaszką na szyi, ze świadomością, że jej mąż nie żyje, a ona może nie doczekać pomocy. To właściwie cud, że przetrwała. Marek musiał być w szoku, gdy się dowiedział, że świadek jego zbrodni pozostał przy życiu.

— Mamo, jeśli chcesz, to jutro wynajmiemy kogoś do ochrony albo założymy alarm.

Justyna nie odpowiedziała, a Ula pomyślała, że to konieczność. Dzisiejszej nocy będzie czuwać, a następnego dnia musi zająć się profesjonalnym zabezpieczeniem domu. Szkoda, że Leon o to nie zadbał. Prawdopodobnie czuł się bezpiecznie przy antywłamaniowych drzwiach i roletach.

— Proszę, powiedz mi, czy Andrzej też brał w tym udział?

Justyna przycisnęła dłonie do piersi i szeroko otwartymi ustami łapała powietrze.

— Przynieś mi tabletki.

Ula zerwała się i pobiegła na piętro. Zgarnęła wszystkie pudełka z medykamentami i zbiegła na dół. Podała mamie środki na nadciśnienie i leki

uspokajające oraz nasenne. Nie kontynuowały rozmowy, nie dowiedziała się więc, czy Andrzej też przyłożył rękę do śmierci ojca i pośrednio przyczynił się do wypadku Ignasia. Na razie kierowała swoją nienawiść wyłącznie w stronę Marka. Jego czyn wydawał się jej niewiarygodny. Domyślała się, że bezpośrednim impulsem musiała być kasa. Nie bez powodu zaproponował jej napad na salon i kradzież kosztowności. Ostatecznie zrezygnował z tego, bo zrozumiał, że zysk będzie za mały. Więcej korzyści przyniosłaby mu śmierć ojca, czyli spadek. Na policyjnym szkoleniu w Szczytnie miała okazję poznać statystyki i niestety morderstwa w rodzinie, gdzie głównym motywem są pieniądze, plasowały się na czołowym miejscu. Gdy jednak dzieje się to tuż obok, wtedy trudno uwierzyć, że można być do tego zdolnym. Plan Marka nie do końca się powiódł, bo Justyna przeżyła napad i zgarnęła znaczną część fortuny Giforta. Byłby szalony, gdyby zechciał dokończyć swoje dzieło, ale dzisiaj sytuacja się zmieniła. Mógł założyć, że Ula jeszcze nikomu nie wspomniała o karaczenie zauważonym w jego domu, czyli uciszenie ich obu, matki i córki, miałoby sens.

Podinspektor powinien jak najszybciej zgarnąć Marka Giforta, dopiero wtedy będą bezpieczne. To niestety trochę potrwa, bo najpierw mama musi złożyć zeznania, potem prokurator wystawi nakaz zatrzymania podejrzanego. Wzięła telefon do ręki. Jedyne, co może teraz zrobić, to poprosić przyjaciela o pomoc. Zaczęła pisać do Mariusza:

„Mama potwierdziła, Marek Gifort jest sprawcą. On wie, że ja wiem. Proszę, postawcie patrol przed

jego domem”.

Sekundę później aspirant odesłał jej emotikona z kciukiem uniesionym w górę. Uspokoiło ją to, ale tylko na chwilę. Marek mógł już zacząć działać. Może właśnie jedzie do Żółwińca albo przyśle tutaj Andrzeja. Synowie Leona mają zbyt dużo do stracenia.

Wyłączyła telewizor i zgasiła światło, po czym zbliżyła się do ogromnego okna. Próbowwała wypatrzyć czające się na zewnątrz zagrożenie. Widziała zarysy drzew, swój samochód i drogę w oddali oraz połyskujące w nikłym blasku nowiu jezioro. Nigdzie żadnego ruchu ani niepokojącego kształtu. Opuściła rolety antywłamaniowe na wszystkich oknach. Poczowała się nieco bezpieczniej, ale i tak żałowała, że nie ma broni, bo strzelać umiała. Włączyła światło. Mama drzemała skulona na kanapie. Uniosła powieki, gdy Ula lekko nią potrząsnęła.

— Chodź na górę, położysz się do łóżka, tam będzie ci wygodniej.

Kobieta podniosła się z trudem. Podtrzymywana przez córkę weszła na piętro. Była na tyle nieprzytomna, że Ula zdołała zdjąć z niej szlafrok. Od razu wrzuciła go do pralki, dołożyła kilka innych ubrań i włączyła pranie. Zgarnęła naczynia po kolacji i wstawiła do zmywarki.

Laptop uruchamiał się powoli. Ogień dogasał na kominku. Telewizor znowu grał, ale dźwięk był ledwie słyszalny. Ula otworzyła stronę „Dziennika Elbląskiego”. Łukasz Marczak ustalił, że pracuje tam jej koleżanka. Zapewne porównał nazwiska

dziennikarzy z listą jej znajomych na Facebooku. Mogło chodzić o zbieżność personaliów. Postanowiła jednak to sprawdzić. Przebiegła wzrokiem po krótkim spisie redaktorów. Rzeczywiście jedna z dziennikarek była jej koleżanką. Nie mogło być wątpliwości, bo przy nazwisku widniało zdjęcie. Brunetka o okrągłej, nieco dziecinnej twarzy, Ania Owczarska. Nie widziały się od matury, ponad siedem lat. Jak przystało na obecne czasy, ich znajomość przeniosła się na portal społecznościowy. Odnalazła w telefonie numer do Ani i zadzwoniła. Gdy usłyszała w słuchawce znajomy głos, poczuła się zakłopotana. Nie wiedziała, czy zapytać, co słycać, zacząć od banalnej pogawędki, czy może przejść do rzeczy. Na szczęście Ania narzuciła ton rozmowie.

— Co u ciebie? Podobno otworzyłaś prywatne biuro detektywistyczne?

Ula była zaskoczona. Nie chwaliła się na Facebooku, że prowadzi taką działalność, nawet nie wspominała o tym, że jest funkcjonariuszką, i dobrze, że tego nie zrobiła, bo jej katastrofalnie krótka kariera w policji mogłaby być teraz przedmiotem spekulacji albo żartów.

— Gdybyś chciała kiedyś skorzystać, to się polecam. Mogę znaleźć dowód na niewierność twojego męża, o ile go masz.

Ania się roześmiała głośno jak z najlepszego dowcipu.

— Prawie trafiłaś. Niebawem będę mężatką.

Ula uznała, że powinna pogratulować, a nawet wyrazić swoją radość, no i wypada zapytać, kim

jest ten szczęśliwiec, dopiero potem będzie mogła przejść do sedna.

— Znasz go — oznajmiła Ania. — Jest policjantem. Gdy Misiek mi powiedział, że mają nową funkcjonariuszkę i ona nazywa się Ula Baranowska, to nie mogłam uwierzyć. Moja Ula w policji. Ale podobno zrezygnowałaś. Dlaczego? Przecież to dobra robota, nie napracujesz się i emerytura po piętnastu latach.

To było dziwne, że narzeczona policjanta ma tak stereotypowe wyobrażenie o służbie. Może zmieni opinię, gdy będzie już żoną.

— Jak on się nazywa? — zapytała z pełnym przekonaniem, że zaraz usłyszy nazwisko: Żuk. Jedyne funkcjonariusz, który się jej spodobał. Nie można tu mówić o jakimś głębszym uczuciu, ale jednak trochę flirtowali.

— Antek Wojtaszek, on jest sierżantem. Pamiętasz go?

Ula pamiętała i to dobrze. Miała przed oczami niewzruszoną twarz Wojtaszka, gdy metodycznie pałował zwijającego się z bólu Krzyśka Marcza. Próbowwała go powstrzymać, złapać za rękę, ale ją odepchnął.

— O! Sierżant Wojtaszek, fantastyczny mężczyzna, gratuluję. Na pewno będzie dobrym mężem.

Ania roześmiała się ponownie. Była szczęśliwa. Zaczęła opowiadać o przygotowaniach do ślubu. Ula słuchała nieuważnie, bo w jej głowie dokonywała się analiza zasłyszanej informacji. Już

nie musiała pytać koleżankę, czy zgłosił się do niej niejaki Krzysztof Marczak z newsem o brutalnym przesłuchaniu. Na pewno tak było. Ania o wszystkim opowiedziała narzeczonemu, bo przecież był policjantem, może chciała od niego dowiedzieć się czegoś więcej. Wojtaszek przekonał ją, aby zrezygnowała z tematu, bo gdyby napisała o jego kolegach, to spotkałby się z ostracyzmem ze strony całej komendy. Może nawet musiałby zrezygnować ze służby, a przecież to dobra praca, emerytura już po piętnastu latach. Potem przystąpił do działania, do radykalnych kroków, które raz na zawsze miałyby zakończyć tę sprawę. Łukasz Marczak mógł mieć rację, że to policja sprzątnęła Krzyśka. Nie zrobił tego podinspektor Juraszczyk, bo był zbyt doświadczonym funkcjonariuszem, na pewno nie wpadłby w panikę z powodu prasowego pomówienia, ale młody sierżant pasował na takiego, który w obawie przed konsekwencjami spałowania świadka mógł posunąć się do zabójstwa.

Ula jeszcze przez kwadrans wysłuchiwała entuzjastycznych opowieści Ani o przygotowaniach do ślubu. W końcu się pożegnały, zapewniając się wzajemnie, że będą w kontakcie, a Ula na pewno wpadnie na wieczór panieński.

Oparła czoło o splecione dłonie i próbowała się uspokoić. Żadnego wieczoru panieńskiego nie będzie, ślubu też nie, bo Wojtaszek trafi wkrótce do aresztu, a potem zostanie skazany za morderstwo na dwadzieścia pięć lat odsiadki.

Wybrała numer Mariusza Żuka. Nie odebrał. Wysłała mu esemesa o treści: To sierżant Wojtaszek

interweniował w sprawie artykułu, jego dziewczyna miała o tym pisać. To on mógł powiesić Krzyśka.

Czuła, że wiadomość tekstowa spłycała wagę informacji. Zastanawiała się nad kolejnym esemesem do Mariusza, ale on zdążył już przysłać odpowiedź. Znowu dostała emotikona, najwidoczniej nie lubił pisać, tym razem była to wyszczerzona w uśmiechu buźka. Nie była pewna, co to znaczy. Czy aspirant cieszy się, że rozwiązała sprawę śmierci Krzyśka Marczaka, czy ją po prostu wyśmiał? Bez wątpienia nikt w firmie nie będzie zadowolony, jeśli jeden z nich okaże się mordercą.

Postanowiła, że jutro spotka się z Mariuszem, aby przedyskutować sprawę Wojtaszka. Położyła się na kanapie z uczuciem satysfakcji. Jednego dnia pomogła w rozwiązaniu trzech śledztw, wskazała, kto dokonał napadu na salon jubilerski, ustaliła, że Marek Gifort zamordował Leona, i wpadła na trop sierżanta Wojtaszka. Była tylko prywatnym detektywem, i to na starcie, nie miała policyjnych narzędzi, a jednak dała radę.

Rozdział XXV

W ZLEWIE WZNOSIŁA SIĘ sterta talerzy, na podłodze widniały tłuste plamy, skorupki po jajkach przewalały się na kredensie. Joanna Marczak zgarnęła je papierowym ręcznikiem i wrzuciła do kosza. Sama wyglądała źle w zbyt ciasnej bluzce i z podkrążonymi oczami.

— Jednego syna już żeście mi zabili — mruzczała pod nosem, nie patrząc nawet na policjantów.

Juraszczyk stał przy oknie i się nie wtrącał. Był tym złym funkcjonariuszem, przeciwko któremu kierował się gniew Marczakowej. Rozmawiał z nią wyłącznie aspirant Mariusz Żuk, bo miał miłszą dla oka aparycję i potrafił być uprzejmy.

— Pani Joanno, czy pani wierzy, że my zabijamy wszystkich, którzy na nas mówią coś złego? Gdyby tak było, musielibyśmy pozbywać się co drugiego podejrzanego.

— Mój syn miał na karku ślad po paralizatorze, dwie czerwone kropki. Lekarz stwierdził, że to są poparzenia.

— Użycie paralizatora było konieczne, bo Krzysztof stawał się agresywny. Musieliśmy go uspokoić. Czasami nie mamy wyboru.

— Mój Krzysiu, on był łagodny jak baranek, zupełnie inny niż ojciec.

— Może w domu był łagodny, ale na komendzie zaczął się burzyć, a paralizator to rodzaj broni, która nie służy wyrządzeniu krzywdy. Na pewno rozmawiała pani ze swoim drugim synem, z Łukaszem. Czy on też nam zarzuca, że go raziliśmy prądem?

— Nic takiego nie mówił.

— No widzi pani. Przesłuchaliśmy go i wypuściliśmy. Przyjechał do pani cały i zdrowy.

Kobieta oparła się ciężko o zlew.

— A jaki był głodny. Zjadł dokładkę, całe cztery kotlety. Krzysiu też lubił schabowe.

Mariusz się uśmiechnął.

— Niestety my nie zapewniamy posiłku przesłuchiwanym, czasami częstujemy wodą i herbatą, gdy przesłuchanie się przeciąga.

— Dlaczego żeście go zatrzymali? To dobry chłopak, nie zrobiłby nic złego.

— Nie powiedział pani?

— Czego? No niechże pan mówi!

Joanna Marczak wyglądała na zaniepokojoną. Nerwowo zaciskała palce i zaraz je prostowała.

— Czy słyszała pani o tym napadzie na sklep jubilerski na Hetmańskiej?

— Tak, pisali o tym w internecie. Codziennie czytam w telefonie wiadomości z Elbląga.

— To zrobił Łukasz.

— Co zrobił?

— Napadł na sklep jubilerski — oznajmił Mariusz pełnym współczucia tonem.

— Co pan gada? To niemożliwe.

Joanna złapała ścierkę. Wydawało się, że za chwilę zacznie nią okładać policjantów.

— Gdyby Łukasz się przyznał... — kontynuował aspirant. — Sąd by to na pewno uwzględnił, bo przecież nigdy nie był karany. No i gdyby oddał skradzioną biżuterię... to właściwie kluczowa kwestia, wówczas sędzia mógłby nawet wymierzyć karę w zawieszeniu.

— Idźcie stąd! — Kobieta wskazała na drzwi. — Nie chcę z wami rozmawiać. Kłamiecie. Mój syn nigdy by nie okradł jubilera, bo ma pieniądze. Pracuje za granicą, w Szwecji, dobrze zarabia.

Mariusz pokiwał głową, jak gdyby przyznawał rację Marczakowej.

— Łukasz nie dla zysku zrobił ten napad. Chciał jedynie w niego wrobić pracownicę salonu jubilerskiego, bo ta dziewczyna pracowała kiedyś w policji i nie zgodziła się pomóc pani synowi w oskarżeniu podinspektora Juraszczyka. Jesteśmy z panią szczerzy. Przyszliśmy tutaj w dobrej wierze. Chcemy zamknąć sprawę napadu, ale w taki sposób, żeby nie zaszkodzić Łukaszowi. Po co mu pobyt w zakładzie karnym? Tam się tylko zdemoralizuje. Obgadaliśmy już sprawę z prokuratorem Lochmanem. Obiecał, że będzie się domagał wyroku w zawieszeniu, jeśli Łukasz odda biżuterię i udowodni, że podczas napadu

posługiwał się atrapą broni. Proszę nam wierzyć, że chcemy dobrze, dla pani też. Już jednego syna pani straciła. Chce mieć pani drugiego za kratami?

Mariusz położył dłoń na sercu — gest świadczący, że wszystko, co mówi, jest świętą prawdą. Juraszczyk był pod wrażeniem. Aspirant radził sobie wyjątkowo dobrze. Widać było, że rysy Joanny Marczak łagodnieją, a ramiona opadają. Znikała wojownicza postawa, a w zamian pojawiła się nadzieja. Bardzo chciała, aby policyjne deklaracje okazały się prawdą.

— Ale czego właściwie ode mnie oczekujecie? Mam przekonać syna, żeby zwrócił fanty?

— Nie sędzę, żeby to się pani udało.

— To co mam zrobić?

— Proszę pomóc nam znaleźć skradziony towar, a my w raporcie napiszemy, że to Łukasz go dobrowolnie wydał.

— Pan myśli, że ja trzymam te fanty w lodówce? Nie mam pojęcia, gdzie Łukasz mógłby je schować.

— Liczymy na to, że skojarzy pani jakieś miejsce. Może altanka u kolegi na działce albo czyjś garaż?

Kobieta potarła dłonią czoło.

— Nasza sąsiadka odstąpiła nam swoją piwnicę, bezpłatnie. To staruszka, mało wychodzi z domu, piwnica nie jest jej potrzebna, dała więc klucz mojemu mężowi, on tam sobie zrobił taki miniwarsztat. Czasami spotyka się tam z jakimś kumplem i wypijają kilka browarków.

— Pani mąż jest teraz w tej piwnicy?

— Nie. Rafał poszedł do Janka Musiała, to w sąsiednim budynku. Na pewno znowu chleją, bo ten Janek to pijak, a mój mąż od czasu śmierci Krzysia też nie wylewa za kołnierz. — Westchnęła. — Nie mam na to wszystko siły. Nikt mi nie chce pomóc.

— Ma pani klucz do tej piwnicy?

Joanna wysunęła szufladę z kredensu i zaczęła w niej szperać. Po chwili uniosła rękę z kluczem.

— To jest zapasowy. Drugi mój mąż nosi w kieszeni kurtki.

— Pójdziemy sprawdzić tę piwnicę — oznajmił Mariusz. — Jeśli pani chce, może iść z nami.

Pokręciła przecząco głową.

— Sama nie wiem, czy chcę, abyście znaleźli te skradzione rzeczy, czy nie. Może lepiej nie. Ta piwnica nie ma numeru, trzecie drzwi na lewo. Idźcie już.

Wyszli z kuchni. Na schodach włożyli lateksowe rękawiczki. W milczeniu zeszli do piwnicy. Było tu wilgotno i ciemno. Włącznik światła nie zadziałał. Mariusz uruchomił latarkę w telefonie. Wsunął klucz do kłódki i przekręcił. Skierował snop światła do wnętrza, wydobywając kształt krzesła. Pomacał ścianę na lewo. Za moment pod sufitem rozbłysła żarówka.

— Dobrze, że chociaż tutaj jest światło — mruknął.

— Jeśli Marczak spędza tu czas z kolegami, to musiał o to zadbać — zauważył podinspektor.

Pomieszczenie było dość duże jak na piwnicę, mogło mieć nawet siedem metrów kwadratowych. Między dwoma krzesłami stała plastikowa skrzynka przekręcona do góry dnem, prowizoryczny stół, bo znajdowały się na niej trzy puste butelki po piwie i dwie pełne oraz otwarta paczka chipsów.

Aspirant pstryknął kilka zdjęć, po czym zbliżył się do stojącej w rogu szafy.

— No to zaczynamy — zakomunikował.

Juraszczyk zbyt wiele przeszukań przeprowadził. Na pierwszy rzut oka potrafił rozpoznać inscenizację mającą na celu ukrycie skrytki.

— Daruj sobie tę szafę. Lepiej mnie nagrywaj.

Mariusz uruchomił kamerkę w telefonie i skierował obiektyw na kolegę. Podinspektor zestawił butelki i zrzucił na posadzkę torebkę z chipsami. Gdy podniósł skrzynkę, zobaczyli pakunek z czarnej foli obwiązany sznurkiem. Wyjął scyzoryk i przeciął wiązania, po czym włożył rękę do worka. Wyjmował pojedynczo każdą sztukę i pokazywał do kamery. Nie był pewien jakości nagrania, opisywał więc trzymany przedmiot: złoty zegarek z czarnym cyferblatem, złota bransoleta z zielonymi kamieniami. Było tu wszystko z wyjątkiem brylantowych kolczyków, które na komendę przyniosła Ula Baranowska.

— No to mamy go — oznajmił Mariusz. — Możemy dać znać chłopakom, żeby znowu zgarnęli Łukasza Marczaka. Będzie zaskoczony, że tak prędko. Dobrze, że chociaż zdążył zjeść obiad u matki.

Juraszczyk zapakował fanty do worka i rozejrzał się po pomieszczeniu.

— Gdzieś tu jeszcze musi być schowany makarow.

Zaczęli szukać, przesuwali słoiki z przetworami i pudełka z gwoźdźmi, przerzucali szmaty i narzędzia stolarskie, opukiwali deski, odsunęli nawet szafę od ściany. Nigdzie nie było broni. Podinspektor zaczął zgarniać do worka rozmaite szpargały, które wysypali na posadzkę. Nie chciał zostawić bałaganu, żeby nie irytować Marczakowej. Nagle w jego rękę znalazła się ciemna kulka z materiału. Ścisnął ją, była dość miękka. Już zrozumiał, co ma w palcach.

— Co to jest? — zapytał aspirant i zaczął ponownie nagrywać.

— To są rękawiczki z nitrylu — oznajmił.

Wyjął jedną rękawiczkę z drugiej i obie rozprostował. Takie rękawiczki znajdowały się w drucianym koszyku w kuchni Joanny Marczak. Identycznych użyto do powieszenia Krzysztofa Marczaka. Włożył je do foliowego woreczka i ostrożnie zawinął.

— Zawieziesz ten dowód do Sowińskiego. Niech rano pchnie to do laboratorium. Chcę mieć wynik tak szybko, jak to tylko możliwe.

Mariusz wyłączył kamerkę w aparacie. Na jego twarzy rysowało się powątpiewanie.

— Nie wiązałbym z tymi rękawiczkami dużych nadziei. Marczak zapewne używa ich do prac w piwnicy. Jak dobrze zauważyłem, to są mocno zużyte.

— Tak, są zużyte, ale też nieprane, jeśli powiesił w nich syna, to włókna ze sznura powinny się na nich znajdować. Statystyki mówią, że przy każdej sprawie w ciemno powinniśmy celować w członka rodziny ofiary. A tutaj do tej pory pomijaliśmy najbliższych. Czas to zmienić.

— Tylko po co Marczak miałby zabić Krzyśka?

— Myślę, że w swojej głowie jakiś powód znalazł. Makarowa tutaj nie ma. Wychodzimy!

Mariusz wziął worek z fantami. Wyłączyli światło i zamknęli piwnicę. Nie oddając klucza, poszli prosto do radiowozu, Juraszczyk nie wsiadł jednak do samochodu.

— Sądzę, że Lochman nie wystawi nakazu zatrzymania na podstawie znalezionych rękawiczek.

— Na pewno nie — potwierdził aspirant. — Będzie czekał na ekspertyzę. Jeśli na rękawiczkach znajdą się włókna ze sznura, dopiero wtedy dostaniemy nakaz zatrzymania Rafała Marcza.

— Jedź do firmy, a ja tu się jeszcze rozejrzę.

Mariusz nie zadawał zbędnych pytań. Wsiadł do radiowozu i odjechał.

Podinspektor zapalił papierosa i powiódł wzrokiem po oknach trzypiętrowych kamienic. W większości mieszkań paliło się światło. W którymś z sąsiednich budynków, u niejakiego Jana Musiała, przebywał Rafał Marczak. Zaczął się zastanawiać, który to może być lokal. Wystarczy zadzwonić domofonem do kogokolwiek i zapytać o lokatora o tym nazwisku, sąsiedzi na pewno podadzą numer mieszkania. Zwlekał z tym jednak.

Ponownie zaciągnął się dymkiem. Zobaczył kobietę idącą chodnikiem. Była młoda, raczej przed trzydziestką. Niosła dwie pełne siatki. Wracła więc z późnych zakupów. Zgasił papierosa i ruszył w jej stronę.

— Przepraszam panią.

Zatrzymała się. Uniosła wysoko głowę, żeby zsunąć szalik z brody.

— Słucham.

— Czy wie pani, gdzie mieszka Jan Musiał?

— To mój mąż. Czego pan od niego chce?

Kobieta patrzyła na podinspektora podejrzliwie. Miał za sobą niemal trzy dekady służby, a nadal zdarzały mu się takie momenty jak ten, kiedy to wpadał w osłupienie. Zdążył już stworzyć sobie w głowie portret Jana Musiała, mężczyzny przed sześćdziesiątką, z czerwoną twarzą, spuchniętą od nadmiaru alkoholu. W tej wizji nie było ładnej i młodej małżonki pijaka.

— Od pani męża nic nie chcę. Tak naprawdę szukam Rafała Marczaka. Jego żona wspomniała, że poszedł do Janka Musiała.

— I nie podała panu adresu?

— Nie poprosiłem o niego, a drugi raz nie chciałem jej zawracać głowy. W końcu jest w żałobie. Może pomogę pani zanieść zakupy?

Nachylił się, żeby wziąć od niej siatki. Odsunęła się raptownie, jak gdyby obawiała się, że zostanie obrabowana.

— Powiem Rafałowi, aby do pana zszedł. Dobrze?

— Okej.

— A jak się pan nazywa?

— Proszę mu powiedzieć, że stary znajomy na niego czeka.

Gdy kobieta weszła do klatki, stanął przy samych drzwiach, żeby nie dało się go obejrzyć z okna. Długo czekał. Myślał już nawet, czy przez domofon nie rozpytać o rodzinę Musiałów. Wreszcie drzwi się otworzyły i z budynku wypadł Rafał Marczak. Miał rozpiętą kurtkę, szalik niedbale przerzucony przez ramię. Był bez czapki. Kępki rudych włosów w świetle ulicznej lampy wydawały się wymazane krwią. Rozglądał się, próbując kogoś wypatrzyć. Nie zauważył policjanta, który stanął za nim.

— Co, panie Marczak? Sumienie gryzie? Trzeba je zalać wodą?

Mężczyzna obracał się powoli niczym na filmie puszczone w zwolnionym tempie. Juraszczyk miał czas na przygotowanie się do obrony, atak jednak nie nastąpił.

— Co tu, kurwa, robisz, psie?

— Przyjechałem po ciebie.

Marczak spojrzał w lewo, potem w prawo.

— A gdzie suka? Żaden pies nie rusza się bez suki. — Zarechotał. — Spieprzaj stąd, psie, póki masz zęby. Chyba że ci na nich nie zależy.

Mężczyzna uniósł ręce i ustawił się jak do walki bokserskiej. Zaczął nawet pracować nogami, chwiał się przy tym niebezpiecznie. Wystarczyłaby lekka

nierówność w chodniku, a runąłby na twarz. Juraszczyk trzymał się na bezpieczną odległość.

— Owszem, przyjechaliśmy radiowozem, ale kolega musiał już jechać.

— Aha, no tak, było was dwóch, zawsze łązicie we dwóch, bo jeden umie pisać, a drugi czytać.

Z gardła Marczała wyrwał się pijacki rechot.

— Przyjechaliśmy razem, żeby jeden mógł poświadczyć czynność tego drugiego. Gdy w twojej piwnicy pod plastikową skrzynką znalazłem fanty z napadu na sklep jubilerski, to aspirant Mariusz Żuk mnie wtedy nagrywał.

Mężczyzna zaczął ruszać zuchwą, jak gdyby przeżuwał twardy kawałek mięsa. Podinspektor już znał ten mimowolny ruch. Widział go, gdy pojawili się tutaj pierwszy raz z informacją, że znaleźli martwego Krzysztofa.

— Co ty pierdolisz, psie? — wybełkotał Marczak.

Juraszczyk raczej domyślił się tych słów niż je usłyszał. Wyjął z kieszeni klucz i podsunął go pod oczy mężczyźnie. Ten poruszył powiekami, jak gdyby chciał odgonić nieprzyjemny obraz.

— Co to, kurwa?

— Nie poznajesz? To klucz od piwnicy, którą udostępniła ci sąsiadka. Dostałem go od twojej żony.

— Spieprzaj stąd, psie.

— Nie tak szybko, musimy pogadać, a właściwie ty masz mi coś do powiedzenia.

— Niby co?

— Zabiłeś własnego syna. Powiesiłeś Krzyśka. Zrobiłeś to w rękawiczkach z nitrylu. Tych z kuchni, których używa twoja żona. A po wszystkim wrzuciłeś je do worka w piwnicy. Trzeba było się ich pozbyć, bo teraz to ważny dowód.

— Oddaj mi klucz, psie, i wynocha!

Marczak starał się jeszcze podtrzymać wojowniczą postawę, ale coś w nim już pękło. Zgarbił się i opuścił głowę. Ulicą przejechał samochód, omiatając go na moment światłem reflektorów.

— Twoja żona bardzo to przeżyje, gdy się dowie. Raczej nie będzie cię odwiedzać w zakładzie karnym. A twój syn, Łukasz... właściwie nie mam pojęcia, co on robi. Bardzo się zaangażował w zemstę na mnie i moich współpracownikach, bo uznał, że to policja sprzątnęła Krzyśka. Chciałbym zobaczyć jego reakcję, gdy pozna prawdę.

— Ty bydlaku, nie skłócisz mnie z moją rodziną.

— Ty już nie masz rodziny.

Mężczyzna rozszlochał się nagle po pijacku, nie kontrolując łez i smarków.

— Zastanawia mnie tylko, dlaczego to zrobiłeś — odezwał się po dłuższej chwili Juraszczyk.

— Nie chciałem tego, to był wypadek.

— Aha, uwierzę.

— Przysięgam, to był wypadek. Chciałem go tylko uciszyć, żeby już nie jęczał. Walnąłem go w łeb, a on padł trupem.

— Czym go walnąłeś?

— Prętem.

— Gdzie jest ten pręt?

— Wyrzuciłem do śmieci. O rękawiczkach zapomniałem. To tylko rękawiczki.

— Gdzie do tego doszło?

Marczak łkał głośno i chwiał się na ugiętych nogach.

— Gdzie go zabiłeś? — podinspektor podniósł głos. — No, mów! Gdzie?

— W piwnicy. Krzysiek wrócił do domu rowerem. Zniósł go do piwnicy, a ja tam byłem. Znowu zaczął płakać jak baba. Nie mogłem tego wytrzymać.

— Co potem zrobiłeś?

— Zadzwoiłem do kuzyna, żeby mi pomógł i zawiózł mnie na policję. Przyjechał natychmiast. To był jego pomysł, żeby wywieźć Krzyśka na Modrzewinę. Zapakowaliśmy ciało do mojego kombiaka i rower też. Kuzyn planował zostawić Krzyśka na ulicy, że samochód go potrąci. Dopiero na miejscu, gdy zobaczył, że mam sznur w bagażniku, to powiedział, że go powiesimy. Tłumaczył mi, że w przypadku potrącenia będą szukać sprawcy, a samobójstwo to samobójstwo, sprawa zamknięta.

— Gdy wieszaleś syna, to on jeszcze żył — oznajmił spokojnie podinspektor.

Wypatrywał na twarzy mężczyzny oznak totalnego załamania się, ten jednak zareagował agresją. Podskoczył do funkcjonariusza z wyraźnym zamiarem starcia.

— Kłamiesz, psie! Nie oddychał. Sprawdziłem to.

— Nie kłamię. Jednym z objawów krwotoku wewnątrzczaszkowego jest słabsze tętno i płytki oddech. Gdybyś od razu zadzwonił po pogotowie, może by go uratowali. Powiesiłeś go.

Marczak splunął i wybuchnął dzikim śmiechem jak ktoś, kto postradał zmysły.

— Krzysiek to był mięczak. Żaden z Marczaków nigdy nie podłożył się psom, tylko on jeden. Mojemu ojcu w sześćdziesiątym ósmym wszystkie zęby wybili, a plecy miał sine od pałek, ale do niczego się nie przyznał. A tego gówniarza postraszyli prądem i wszystko podpisał, nawet wyrok śmierci na rodziców by podpisał.

— Twój syn przyznał się do kradzieży, a ty do morderstwa. Jesteś szmatą, Marczak.

— Nie pójdę siedzieć — zabełkotał mężczyzna. — Krzyśkowi też nie dałem pójść do pierdla i sam tam nie pójdę.

Zataczając się, ruszył w stronę swojej klatki. Podinspektor wyciągnął telefon i zadzwonił po radiowóz. Marczak przenocuje w celi, a jutro, gdy będzie trzeźwy, złoży zeznania.

Był zadowolony. Dwa śledztwa, napad na salon jubilerski i zabójstwo Krzysztofa Marczaka, można uznać za zakończone sukcesem. Zostało mu jeszcze znalezienie sprawcy morderstwa w Żółwińcu. Spojrzał na zegarek w telefonie, dwudziesta pierwsza osiemnaście. Jeszcze nie jest za późno, aby odwiedzić Marka Giforta i dowiedzieć się, o co chodzi z tym karaczanem w jego domu.

Rozdział XXVI

MAREK GIFORT PREZENTOWAŁ SIĘ koszmarnie, jak gdyby kilka ostatnich nocy spędził wśród kolegów żuli. Znowu oblizał spierzchnięte usta i potarł nieogolone policzki. Ręce mu drżały. Często splatał palce i przyciskał dłonie do poplamionego swetra.

— Proszę zrelacjonować przebieg tamtego zdarzenia w Żółwińcu — polecił Juraszczyk.

Marek westchnął.

— Mam zrelacjonować?

— Tak.

Od kwadransa syn Leona Giforta składał wyjaśnienia. Gdy pojawili się u niego w domu, od razu poprosił, aby go przewieziono do budynku komendy. Nie był zaskoczony wizytą policji o tak później porze, wydawało się nawet, że na nich czekał. Uściskał żonę, jak gdyby prędko nie miał jej zobaczyć, i ze spuszczoną głową wsiadł do radiowozu. Oznajmił, że adwokat nie jest mu potrzebny, choć podinspektor zapewniał, że mogą poczekać na prawnika.

— Przyjechałem do Żółwińca swoim samochodem koło piątej rano — zaczął opowiadać zachrypniętym głosem. — Zaparkowałem przed domem.

Otworzyłem drzwi własnym kluczem. Od razu wszedłem na górę, do sypialni. Włączyłem światło i doskoczyłem do łóżka, żeby nie zdążyli się podnieść. Uderzyłem ojca młotkiem w głowę. Leżał tyłem do drzwi, czyli walnąłem w prawy bok, tuż nad skronią. Justyna nie krzyczała, chyba była w szoku. Powiedziałem, że ją zabiję, jeśli nie będzie się mnie słuchać. Wyjąłem szalik z szafy i nim udusiłem ojca. Potem oparłem go o szafę. Jego żonie kazałem stanąć po drugiej stronie i oboje połączyłem szalikiem, obwiązując go im wokół szyi. Powiedziałem Justynie, że ma zeznać, iż napastników było dwóch i szukali sejfów. Zagroziłem, że zabiję jej córkę, jeśli mnie wyda. Ignasiowi nic nie zrobiłem. Nie widziałem go tamtego dnia. Po wszystkim opuściłem dom i wróciłem do miasta.

Marek relacjonował ze wzrokiem wbitym we własne kolana. Każde słowo przychodziło mu z trudem, ale nie zastanawiał się długo nad kolejnym zdaniem. Nie robił pauz dla wzięcia oddechu.

— To wszystko, co ma pan do powiedzenia odnośnie tamtego zdarzenia?

— Tak.

— Na pewno?

Gifort nerwowo oblizał usta i z ledwo słyszalnym wahaniem w głosie powtórzył:

— Tak.

— A mi się wydaje, że pan zapomniał o czymś powiedzieć.

Juraszczyk wpatrywał się w człowieka po drugiej stronie biurka z wyraźnym oczekiwaniem. Dawał mu szansę na dokończenie relacji, na wyjawienie wszystkich istotnych szczegółów. Tamten jednak nie dostrzegał łaskawości funkcjonariusza, bo milczał, a na jego twarzy pojawiało się coraz większe ośpienie.

— Nie wspomniał pan o tym, że otworzył terraria z karaczanami.

— Aha, o to chodzi. — Gifort wyraźnie odetchnął.
— Przed wyjściem z domu wszedłem do gabinetu ojca i zdjąłem siatki z terrariów.

— Po co?

— Bo wydawało mi się, że obcy przestępcy by tak zrobili, że odwróci to uwagę od członków rodziny, ode mnie. Dla nas te karaczany to było coś naturalnego, ale każdy gość, gdy je widział, zadawał jedno i to samo pytanie: Co, jeśli one wszystkie uciekłyby z akwariów?

— Otworzył pan terraria i od razy wyszedł z gabinetu, a potem z domu?

— Tak.

— Swoim samochodem pojechał pan do Żółwińca?

— Nie. Wziąłem wóz żony, bo ona tego dnia była już nad jeziorem Drużno. Na kołach miała więc ziemię z rezerwatu, a mój ford był czysty, kilka dni wcześniej byłem w myjni.

Podinspektor był zadowolony, że są tylko we dwóch w pokoju przesłuchań. To był dobry pomysł, aby zrezygnować z protokolanta na rzecz

zarejestrowania przesłuchania za pomocą urządzenia audiowizualnego. Było mniej oficjalnie, a takie warunki pomagały otworzyć się osobie spiętej i zestresowanej, która jednak miała poważny zamiar, aby współpracować z policją.

— Zadam teraz panu kilka pytań.

Marek przytaknął z rezygnacją.

— Dlaczego pan zabił swojego ojca?

— Dla spadku. Sięgnąłem dna finansowego. Mam firmę doradczą, doradzam ludziom, jak inwestować, a sam tego nie potrafię. Źle ulokowałem pieniądze klientów i własne też. Firmę mam ubezpieczoną, dostanę kasę za złe decyzje inwestycyjne, ale to nie pokryje wszystkich długów, a jest tego sporo. Nie miałem wyboru. Ojciec nie chciał mi pożyczyć. Szczerze mówiąc, nie przyznałem się mu do wszystkich długów. Nawet o połowie nie wiedział. Moja żona też nie знаła całej prawdy.

— Dlaczego nie pozbył się pan Justyny Gifort? Dlaczego zostawił pan świadka przy życiu?

— Już o tym mówiłem. Miała zaświadczyć, że przestępców było dwóch i nie był to nikt, kogo znała.

— Skoro panu na tym zależało, to dlaczego naraził pan jej życie? Niewiele brakowało, aby się udusiła i nie miałby pan świadka, który by pana bronił. Nie lepiej było zamknąć ją w łazience albo przywiązać do kaloryfera?

— Chciałem ją też nastraszyć, przerazić, żeby była posłuszna. Czułem, że po kilku godzinach z pętlą

na szyi straci jakąkolwiek chęć do buntu i mnie nie wyda.

— Wierzył pan w to, że będzie pana kryć? Przecież zabił pan jej męża i pośrednio przyczynił się do śmierci syna.

— Panie podinspektorze, Justyna mnie nie wydała, moje założenie było więc słuszne. Udało mi się ją nastraszyć.

— A mi się wydaje, że przyczyna jej milczenia jest inna. Justyna była pana współniczką. Oboje zaplanowaliście to morderstwo z tego samego powodu, dla kasy. Pani Gifort odziedziczyła nawet więcej niż pan, bo przypadł jej też spadek po synu.

Na twarzy Marka pojawił się grymas, jak gdyby coś go zabolalo, a może jedynie był mocno zde gustowany insynuacją policjanta.

— Ona nie była moją współniczką. Sam ten napad zaplanowałem i sam go przeprowadziłem.

— Pójdzie pan siedzieć. Wyjdzie pan, gdy dzieci skończą studia. A Justyna Gifort w tym czasie będzie się dobrze bawić. Dlaczego pan ją chroni? Co ona ma na pana? Proszę powiedzieć, o co tu chodzi. Możemy pomóc, tylko musimy znać prawdę.

Podinspektor starał się mówić jak do przyjaciela. Intonacją dawał do zrozumienia, że stoi po stronie człowieka siedzącego przed nim, a za prawdziwego sprawcę uważa kogoś innego. Niestety Marek zacisnął zęby i skrzyżował przedramiona na piersi, nie godząc się na propozycję funkcjonariusza. Juraszczyk nie nalegał. Postanowił przejść do kolejnego etapu przesłuchania, w którym

emocjonalnie wyczerpie przesłuchiwanego. Nie jest łatwo opowiadać w szczegółach o mordowaniu własnego ojca. Każdy by się przy tym rozsypał, nawet największy degenerat.

— Patrzył pan na twarz Leona Giforta, gdy go pan dusił?

— Nie.

— To skąd pan wiedział, kiedy przestać zaciskać apaszkę?

— Robiłem to wystarczająco długo, żeby był efekt.

— Ile? Minutę? Dwie?

— Nie wiem. Nie patrzyłem na zegarek.

— Jakie dźwięki wydawał Leon Gifort, gdy go pan dusił? Charczał? Czy umierał w ciszy?

— Nie pamiętam.

— A pamięta pan, co w tym czasie robiła Justyna Gifort? W ciągu tych dwóch, trzech minut, podczas których pan mordował jej męża?

— Stała przy łóżku.

— Nie próbowała uciekać albo pana powstrzymać?

— Powiedziałem, że jeśli się ruszy, to ją zabiję.

— Jaką piżamę miał na sobie Leon Gifort?

— Nie pamiętam.

— A pani Gifort w co była ubrana?

— Nie wiem.

— Jaki kolor miała apaszka, którą pan udusił ojca?

— To był cienki i bardzo długi szalik. Był czerwony.

— Ciemnobordowy.

— Nie. Czerwony.

— Skąd pan wiedział, że w sypialni znajdzie się coś, czym będzie pan mógł udusić ojca? Nie lepiej było przynieść ze sobą sznurek albo kawałek kabla?

Marek pochylił głowę, przytłoczony serią pytań padających jedno po drugim, bez chwili wytchnienia. Ten odruch przesłuchiwanego usatysfakcjonował Juraszczyka. Przesłuchanie szło po jego myśli.

— Nie wziął pan sznura, bo wiedział pan, że nie będzie potrzebny. Justyna miała przygotowany dla pana swój szalik. Prawda?

Marek pokręcił przecząco głową, ale bez wcześniejszego zdecydowania.

— Co pan zrobił z młotkiem i rękawiczkami?

— Wyrzuciłem do śmietnika sąsiadów na końcu ulicy Łowickiej.

— Nazwisko sąsiadów?

— Lipińscy.

— A skąd pan wziął młotek i rękawiczki?

— Kupiłem w Carrefourze.

— Kiedy?

— Dwa, trzy dni przed morderstwem.

— Coś pan tego dnia jeszcze kupował?

— Nie.

— Zachował pan paragon?

— Nie.

— Ile kosztowały rękawiczki?

— Nie pamiętam.

— A ile sztuk było w paczce?

— Nie wiem.

Marek starał się zapanować nad mimiką. Przygryzał dolną wargę i mrugał z wyjątkową intensywnością. W końcu nie wytrzymał i zasłonił twarz dłońmi.

Juraszczyk podniósł się i zaczął chodzić po gabinecie. Miał za sobą prawie trzydzieści lat doświadczenia w przesłuchiwananiu ludzi. Umiał rozpoznać, gdy ktoś kłamał. Czasami był też w stanie rozszyfrować, z jakim rodzajem kłamstwa miał do czynienia. Czy było to kłamstwo odruchowe, czy przemyślane, czy delikwent sięgał po kłamstewka, czy porywał się na oszustwo wielkiego kalibru, a może wchodziło w grę jedynie przemilczenie prawdy. Niektórzy stosowali też półprawdy i one najbardziej mogły zmylić funkcjonariusza. Przesłuchiwany mówił prawdę, a gdy przesłuchujący uwierzył w prawdomówność przesłuchiwanego, wtedy ten zaczynał dorzucać kłamstwa. Marek Gifort kłamał, ale starał się być przy tym sprytny. Myślał, że wystarczy podać prawdę w szczątkowej wersji, a na szczegółowe pytania odpowiadać: Nie wiem. Nie pamiętam. Tego typu kłamaniu przyświecała zasada, aby mówić jak

najmniej. Dobry policjant mógł jednak wyciągnąć istotną informację już z jednego zdania.

— Kłamię pan — oznajmił beznamiętnie podinspektor, jak gdyby stwierdzał, że jest ładna pogoda.

— Nie kłamię — zapewnił Gifort głosem pozbawionym emocji, lecz przesyconym zmęczeniem.

— Kłamię pan, bo to niemożliwe, żeby nie zapamiętał pan, jaką piżamę miał na sobie Leon. To nieprawdopodobne, aby nie zauważył pan, w czym spała Justyna. Nie widział ich pan przez ułamek sekundy, lecz przez kilkanaście minut. Wyciągał pan ojca z łóżka i ciągnął przez całą sypialnię do szafy. Kolor jego piżamy powinien wryć się panu w mózg. Zaczynam wątpić, czy pan tam w ogóle był.

— Nie mam pamięci wzrokowej. Dobrze zapamiętuję to, co usłyszę, ale nie to, co zobaczę.

Podinspektor zignorował to wyjaśnienie.

— Szybko zdemaskujemy pana kłamstwa. Najpierw sprawdzimy, czy kupił pan młotek i rękawiczki w Carrefourze. Można to zrobić od zaraz, bo w kasie fiskalnej zapisana jest każda transakcja, a sklepy nie robią żadnego problemu z udzielaniem takiej informacji.

— Przyznałem się do zabicia ojca. Róbcie z tym, co chcecie.

— Sądzę, że wziął pan na siebie czyjąś winę. Ktoś inny współpracował z Justyną Gifort. Może pański brat albo żona.

Marek parsknął krótkim śmiechem.

— Moja żona w dziewiątym miesiącu ciąży. Ma pan pomysły.

— Mogła to też być pańska matka. Dwie żony, była i obecna, dogadały się i załatwiły Leona Giforta. Wiem, że poprzednia pani Gifort nie zyskała finansowo na śmierci byłego męża, ale za to jej synowie zostali uwzględnieni w testamencie.

Marek zamarł na krześle z rozwartymi ze zdumienia ustami, po chwili twarz zaśniła mu od potu, a ręce zaczęły drżeć. Był przerażony.

— Pan chyba zwariował. Chce pan w to wciągnąć jeszcze moją matkę? Nie możecie.

— Przeanalizujemy każdą hipotezę, a na razie panu dziękuję. Proszę wracać do domu, do żony, jest późno, na pewno się niepokoi. Jutro pan podpisze protokół.

Gifort wstał. Jego czoło zmarszczyło się w nagłym skupieniu, jak gdyby próbował odgadnąć zamysł funkcjonariusza, domyślając się jakiegoś podstępu.

— Wypuszczacie mnie, tak po prostu?

— Tak.

— Ale przecież przyznałem się do morderstwa.

— Przyznanie się to za mało, trzeba jeszcze udowodnić swoją winę. Żeby chociaż pan przyniósł młotek z DNA ofiary albo rękawiczki z mikrocząstkami jedwabiu.

— Pan żartuje?

— Nie. Mówię jedynie, że musimy udowodnić winę panu albo komuś innemu. Radiowóz pana

odwiezie. Proszę wracać do żony.

Cicho szcęknięła naciskana klamka i w otwartych drzwiach stanęła sierżant Burdecka.

— Odprowadzę pana na dół. Proszę za mną.

Marek posłusznie ruszył za policjantką.

Podinspektor wyłączył kamerę rejestrującą przesłuchanie. Był zadowolony. Dobrze mu poszło. Niebawem będzie mógł zatrzymać dwóch sprawców, Justynę Gifort i jej współnika. Zastanawiał się nad kolejnym krokiem. Czy nie powinien już teraz ruszyć do Żółwińca? Obawiał się jednak falstartu. Pośpiech często gubił śledczych.

Rozdział XXVII

KARK BOLAŁ JĄ NIEMIŁOSIERNIE, to chyba przez tę nienaturalną pozycję ciała, jak gdyby ktoś próbował wcisnąć ją do zbyt małej trumny. Podwinęła lekko nogi i przesunęła się w dół, dając więcej przestrzeni szyi i głowie. Jak na złość ból się nasilił. Jęknęła i otworzyła oczy. Nic nie widziała. Zasnęła na kanapie w salonie, ale na pewno przy włączonym świetle, a teraz było ciemno. Niepokój sprawił, że raptownie usiadła i wyteżyła wszystkie zmysły w poszukiwaniu zagrożenia.

Usłyszała stopy przesuwane się ostrożnie po drewnianej podłodze. Ktoś się skradał.

— Kto to? — zapytała mimowolnie i zadrżała, słysząc strach w swoim głosie.

W wyobraźni ujrzała Marka zbliżającego się do niej z nożem. Miała czuwać, tymczasem zasnęła jak niemowlę, a teraz nie potrafiła zapanować nad niejasną sytuacją i własnym lękiem. Wodziła wzrokiem wokół, usiłując wydobyć z totalnej ciemności znajome kształty regału, stolika i framugi drzwiowej. Była pewna, że ktoś jest w salonie, przecież światło samo nie zgasło. Mama też go nie wyłączyła, bo nafaszerowana lekami spała na piętrze. Podniosła się bezgłośnie

i przesunęła w bok. Czekwała na cios, uderzenie, atak. Pot cienkimi stróżkami spływał jej po obolałym karku, pulsująca krew prawie rozrywała żyły, a oczy wychodziły z orbit. Próbowwała zapanować nad oddechem. W tej ciszy było ją słyszeć jak lokomotywę. Nagle jakiś bodziec sprawił, że się skuliła, instynktownie chowając głowę w ramionach. Co to było? Niepokojący dźwięk, jak gdyby ktoś przejechał paznokciami po szybie. Za chwilę kolejny dźwięk, był to szum, w którym pobrzmiwał ledwo słyszalny terkot. Rozpoznała ten odgłos. Roleta antywłamaniowa podjeżdżała w górę. Zupełna ciemność zamkniętego salonu zamieniła się w ciemność nocy napływającej przez przeszkloną ścianę.

Ktoś stał przy oknie. Ula zadrżała ze strachu. Machinalnie rozejrzała się w poszukiwaniu przedmiotu mogącego posłużyć do obrony. Na stoliku przy kanapie zauważyła laptop i telefon. Podniosła aparat. Gdy odblokowała ekran, rozległo się ciche piknięcie. Postać pozostała w bezruchu. To było dziwne. Dlaczego napastnik jeszcze jej nie zaatakował? Bez udziału świadomości rzuciła się do przodu, jej ręka trafiła na włącznik światła. Jasność zakuła ją w oczy. Przymknęła je i zaraz otworzyła. Przy oknie stała Justyna. Zdrową dłoń opierała o szybę i wpatrywała się w ciemność. Miała na sobie czysty szlafrok, granatowy w białe kwiaty, który Ula parę godzin temu wyjęła z szafy i przewiesiła przez poręcz krzesła w sypialni.

— Mamo, co tu robisz? Dlaczego nie śpisz?

Zbliżyła się do rodzicielki z wciąż mocno bijącym sercem. Tamta nawet nie drgnęła. Stała jak posąg.

— Kogo tam wypatrujesz? — zapytała, kładąc dłoń na ramieniu matki.

— Siebie — odpowiedziała szeptem.

Ta odpowiedź wydała się Uli przerażająca i absurdalna, ale po chwili zobaczyła odbicie bladej twarzy Justyny w szybie. Rzeczywiście patrząc w okno, można zobaczyć siebie, zwłaszcza gdy w pomieszczeniu pali się światło.

— Wystraszyłaś mnie. Przyszło mi do głowy, że ktoś obcy wszedł do domu.

— Ciebie wystraszyłam i Ignasia też wystraszyłam, tak bardzo, że wyskoczył przez okno. Jestem potworem.

— Proszę, nie mów tak. Chodź, zaprowadzę cię do łóżka. Jak chcesz, to położymy się razem pod jedną kołdrą. Będzie nam raźniej.

Ujęła Justynę za ramię, ale ta nie chciała oderwać stóp od podłogi, a dłoni od szyby.

— Czasami tak myślałam o Leonie, że jest potworem. — Zaśmiała się cicho. — Potworem w ładnej skórze, miły i szarmancki tyran. Ile razy chciałam pchnąć go nożem, tak zwyczajnie, podczas posiłku? Nie zliczę.

— Mamo, ty kochałaś Leona, to był twój ukochany mąż, a teraz mówi przez ciebie żal do całego świata.

— Nigdy go nie pokochałam, nie tak jak twojego ojca.

— Jasne, że nie tak. Gdy poznałaś tatę, to miałaś osiemnaście lat, wtedy wszystkie doznania są

intensywniejsze, a szczególnie miłość.

— Twój ojciec był wyjątkowy. Nigdy się go nie bałam, nie musiałam się przy nim pilnować. Mówiłam, co chciałam, i ubierałam się, w co chciałam. Nie przeszkadzało mu, że cały dzień łąziłam w dresach.

Ula parsknęła, bo irytowała ją ta niespodziewana gloryfikacja ojca, którego nawet nie miała okazji poznać.

— On nie był wyjątkowy, po prostu miał nas gdzieś. Nie interesowało go ani w co się ubierasz, ani skąd weźmiesz pieniądze na życie. O ile pamiętam, to nie zapłacił alimentów ani razu.

Justyna odwróciła się i Ula zobaczyła jej niezwykle przytomne spojrzenie, jak gdyby rozum przejął kontrolę nad otepiającym działaniem leków.

— Kochanie, niepłacenie alimentów to nic takiego, to żadna zbrodnia.

— Nie mówiłaś tak, gdy miałam piętnaście lat i prosiłam cię o kasę na buty i dżinsy. Wtedy narzekałaś, że twój były mąż nie płaci.

— Wtedy byłam głupia, wydawało mi się, że pieniądze są najważniejsze. Obmyśliłam plan, jak je zdobyć, jak zarobić raz a dobrze, żeby nam starczyło na całe życie, mi i tobie. To był wariacki plan, trochę z komedii romantycznej, ale wierzyłam, że się uda. Wytropiłam najbogatszego mężczyznę w promieniu stu kilometrów i go upolowałam. Wiele razy chodziłam w tę i z powrotem przed salonem jubilerskim, żeby na niego trafić, aż mi nogi w tyłek włożyły. Pantofle na

dziesięciocentymetrowych szpilkach pożyczylam od koleżanki z pracy. Wyglądałam w nich jak bogini, ale były numer za małe i w dodatku obcierały mi piętę. To było przedsięwzięcie okupione dużym cierpieniem i sporą dawką cierpliwości. Pierwszy raz mnie nie zauważył, choć prężyłam się przy gablotach. Dwa tygodnie później upuściłam telefon w salonie i to zwróciło jego uwagę. Sprytną masz matkę, co?

Ula słuchała zaskoczona. Przecież Justyna poszła kupić dla niej kolczyki na osiemnaste urodziny i przypadkiem spotkała Leona. Była to miłość od pierwszego wejrzenia, wielkie uczucie dwóch dojrzałych osób. Opowiadała o tym koleżankom na studiach, wszystkie się wzruszały tą romantyczną historią. A teraz się okazuje, że to było banalne polowanie na bogatego męża. Właściwie to nic złego, tylko że jej mama nie była taka. Nie dało się jej posądzić o zimną kalkulację i interesowność.

Wciąż stały przed przeszkloną ścianą, dobrze widoczne dla każdego na zewnątrz. Ula pośpiesznie opuściła roletę.

— To nieważne, w jakich okolicznościach poznałaś Leona.

Czuła, że to zdanie musi mieć ciąg dalszy. Powinna dodać coś w stylu, że byli udanym małżeństwem, kochali się, mieli wspaniałego syna i to się liczy. Nie mogła jednak tego powiedzieć, bo mama dała już do zrozumienia, że Gifort nie był dobrym mężem, a Ignaś nie żyje. Niewiele dobrego pozostało z polowania na bogatego męża, jedynie kasa.

Justyna włączyła telewizor i przysiadła na brzegu kanapy, naciągając szlafrok na kolana.

— Przyniosę ci koc. Zimno jest.

— Kochanie, nie trzeba — odezwała się tym samym łagodnym głosem co kiedyś, gdy mieszkali razem na Kasprzaka, jak gdyby nie było tych dziewięciu lat z Gifortem. — Och, jak brakowało mi telewizji. Gdy Leon oznajmił, że do naszego domu TV nie ma wstępu, to nie potraktowałam tego poważnie, no bo to przecież absurd. Prosiłam go, żeby kupił telewizor tylko dla mnie, że wstawię go sobie do pokoju gościnnego na piętrze, i obiecałam, że nie będę go zmuszać do oglądania. Próbowałam obrócić w żart jego uwagi, że guma do żucia bardziej rozwija umysł niż programy telewizyjne. Gdy jednak usłyszałam to po raz dwudziesty, trzydziesty i setny, przestałam mówić o telewizji. Nawet gdyby ktoś sprezentował mi odbiornik, to bym go szybko wyrzuciła, żeby nie narazić się na uszczypliwe uwagi męża. Nie żałował mi ich, komplementów też nie. Stosował zasadę kija i marchewki, żebym wiedziała, jak się zachowywać. Byłam idealną żoną, nieważne, że z zaciśniętymi zębami. Z każdym dniem coraz bardziej go nienawidziłam.

— Mamo, proszę, nie opowiadaj mi o swoim małżeństwie.

Justyna założyła kosmyk włosów za ucho gestem wyrażającym zmartwienie i bezradność.

— Boisz się tego, co mogę jeszcze wyjawić?

To była prawda. Ula przeczuwała, że zaraz usłyszy wyznanie matki o tym, jak zaplanowała zabicie

własnego męża. Nie może do tego dopuścić. Jutro rano wstaną i razem wypiją kawę, a potem usiądą przed telewizorem i obejrzą jakiś program rozrywkowy. Zapomną o dzisiejszym wieczorze, ale te najgorsze słowa nie mogą paść, bo ich nie uda się wymazać z pamięci. Niech to wyznanie zostanie tylko w domysłach. Tak będzie lepiej.

— Jutro poszukamy terapeuty w internecie. Porozmawiasz z nim o swojej przeszłości, o Leonie. Mam nadzieję, że to ci pomoże.

— Zrobiłam to, kochanie.

W niebieskich oczach Justyny, w jej rysach, w całej postawie pojawiło się rozluźnienie. Ula widywała coś podobnego u siebie, gdy jako dziecko przeglądała się w lustrze po wizycie w konfesjonale. To był stan mówiący: Mam to już za sobą.

— Popytam wśród koleżanek, może słyszały o dobrym terapeucie.

— Zrobiłam to, kochanie — powtórzyła Justyna.

— Nie, ty nic nie zrobiłaś! — Ula chodziła po salonie dużymi krokami i wykrzykiwała te same słowa, jak gdyby chciała nimi zakłąć rzeczywistość. — Nic złego nie zrobiłaś! Rozumiesz? Nic złego nie zrobiłaś!

Justyna zbliżyła się do córki i łagodnym gestem położyła dłoń na jej ramieniu.

— Wiem, że jesteś przerażona. Twoja matka morderczynią, to musi być straszne. Dręczy mnie jedna myśl, czy Ignasz tamtego dnia zrozumiał, co się dzieje. Cały czas zastanawiam się, ile mógł zobaczyć. Mam nadzieję, że jedynie usłyszał

szarpaninę i to go wystraszyło. Wolę myśleć, że nie miał świadomości, że matka morduje mu ojca.

Ula w desperacji zatykała palcami uszy, ale słowa Justyny i tak do niej docierały.

— Po co mi to mówisz? Dlaczego się przyznajesz?

— Bo słowa przynoszą ulgę.

Ula w głębi ducha zaprzeczała usłyszanemu wyznaniu. Nie może zaakceptować tej strasznej prawdy, bo jeśli to zrobi, to będzie musiała znienawidzić tę kobietę, która przyczyniła się do śmierci Ignasia, a przecież to jej matka, jedyna bliska osoba. Patrzyła z nadzieją na drobną sylwetkę Justyny. Nie wyglądała na morderczynię, raczej na ofiarę. To wrażenie potęgował opatrunek z gipsu. Nagle Ulę olśniło. To wszystko było kłamstwem.

— Nie mogłaś tego zrobić, bo masz złamaną rękę. Nie dałabyś rady.

Na ustach matki pojawił się zagadkowy i trochę nieśmiały uśmiech.

— Nie zrobiłam tego sama. Miałam współnika. Ktoś inny uderzył Leona młotkiem i zacisnął apaszkę na jego szyi, a potem pomógł mi go oprzeć o drzwi szafy.

Ula miała wrażenie, że się topi, usiłuje złapać zbawienny haust powietrza, ale własna matka ją przytapiała.

— Kto to był?

— Ktoś tak samo zdesperowany jak ja.

— Kto? Marek?

Justyna odwróciła się do niej tyłem. Wolno podeszła do kominka, chwyciła pogrzebacz i zaczęła rozgarniać popiół.

— Tak naprawdę tylko ja jestem winna, bo to był mój pomysł. Wszystko zaplanowałam sama, każdy krok, każdą czynność. Musiałam odwrócić od siebie podejrzenia, dlatego zaryzykowałam własne życie. Przyznaję, że jak stałam na palcach z apaszką zaciśniętą na szyi, to zwątpiłam, że to może się udać. W przygotowaniach pomógł mi twój podręcznik z kryminalistyki. Z niego dowiedziałam się, jak nie pozostawić śladów. Miałam nadzieję, że będziesz w tym czasie pracowała w policji i że mi pomożesz, gdyby zaczęło robić się wokół mnie gorąco. Leon sprezentował komendantowi zegarek za piętnaście tysięcy, żeby od razu dali ci stanowisko w wydziale kryminalnym. Zrobił to na moją usilną prośbę. W zamian obiecałam mu, że nigdy więcej do Żółwińca nie zaproszę żadnej mojej koleżanki. Nie lubił obcych ludzi w swoim domu. Zaplanowałam wszystko, z wyjątkiem śmierci Ignasia. Miał grzecznie spać w swoim pokoju, całkowicie bezpieczny. Był śpiochem, nigdy nie budził się przed siódmą, a tym razem było inaczej.

Wąskie plecy Justyny pochylały się nad paleniskiem. Wychudzona kobieta z przetłuszczonymi włosami, osierocona przez synka i męża, serce się ścisnęło z żalu na jej widok. Aż trudno było uwierzyć, że w tym wycieńczonym ciele kryje się wyrachowana morderczyni.

Ula podeszła do matki i położyła dłoń na jej zgarbionych plecach. Poczowała lekkie drżenie.

— Pomogę ci. Będę cię chronić. Musisz mi powiedzieć, kto ci pomagał, bo ten ktoś jest teraz największym zagrożeniem. Czy to Marek?

Miała wrażenie, że Justyna wykonała przeczący ruch głową. Nagle obie zamarły, bo rozległ się dzwonek do drzwi. Zbliżała się dwudziesta trzecia. To zapewne nie będzie towarzyska wizyta. Ula podeszła do drzwi wyjściowych. Włączyła światło na zewnątrz i wyjrzała przez wizjer. Na ganku stał aspirant Mariusz Żuk. Był sam, ale zapewne w samochodzie siedzieli pozostali funkcjonariusze. Może nawet podinspektor Juraszczyk pofatygował się osobiście aresztować Justynę Gifort. Zapewne już przesłuchali Marka Giforta. Sama go im podsunęła, mówiąc o karaluchu w jego domu. Gorączkowo zastanawiała się, jaką strategię przyjąć. Miała wyjątkowo mało czasu, aby coś sensownego wymyśleć. Na razie może zrobić tylko jedno, nie dopuścić do przesłuchania Justyny.

Rozdział XXVIII

PROMIENIE SŁOŃCA ODBIJAŁY SIĘ od szklanej płaszczyzny telefonu. Ula miała wrażenie, że widzi ślady po paluszkach Ignasia. Trzymała w dłoni jego aparat. Podarowała mu go pół roku temu na siódme urodziny. Oszalał z radości, w końcu miał telefon jak wszyscy jego koledzy. Nie przejmowała się tym, że Leon i Justyna uważali, że to za wcześnie, najważniejsze było zadowolenie brata.

W kartonie z samochodzikami znalazła ładowarkę i podłączyła ją do aparatu. Gdy ekran rozbłysnął, wprowadziła pin: rok urodzin Ignasia. Sama mu podpowiedziała te cztery cyfry. Serce zabiło jej mocniej, gdy przyciskała ikonkę albumu. Nie wierzyła, że brat w chwili wielkiego strachu, który pchnął go na parapet okna, byłby w stanie sfotografować to, co się działo w domu. Musiała się jednak upewnić.

Otworzyła ostatnią fotkę w albumie. Zobaczyła siebie i Justynę, siedziały na kanapie w gabinecie Leona. Mama się uśmiechała, ale prawą dłoń miała zaciśniętą w pięść. Na następnej był Andrzej. Został uchwycony w momencie, gdy gestykulował, wychylony mocno do przodu. Bardzo chciał przekonać słuchaczy do swoich słów. Te zdjęcia

zostały zrobione na kilka godzin przed zdarzeniem. Ula przeglądała kolejne fotki. Zobaczyła Leona z filiżanką w dłoni, potem znowu siebie. Miała zaciśnięte usta i przymrużone oczy. Była zła, bo Andrzej ukradł jej pomysł na wypożyczalnię jubilerską. Na następnym zdjęciu znajdowała się Róża z Mateuszkiem na ręku. Stała przy terrarium i szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w karaczany. Na jej twarzy zastygło ogromne skupienie, ściągnięte brwi i lekko rozchylone usta, jak gdyby rozwiązywała trudne zadanie matematyczne.

Ula nie pamiętała, żeby Ignasz tamtego dnia robił im zdjęcia. Niepostrzeżenie utrwalił ich emocje. Może da się te fotki wykorzystać podczas procesu. Opatrzone odpowiednim komentarzem przez adwokata mogłyby odsunąć podejrzenia od Justyny.

Otworzyła wiadomości. Ignasz pisał głównie do niej i do jakiejś Zosi, zapewne koleżanki z klasy. Wysłał dziewczynce kilka fotek karaczanów, na co ona odpisała, że się poskarży swojemu tacie, jeśli będzie ją dalej straszył.

Nie było żadnego zdjęcia ani wiadomości dokumentującej napad. Odetchnęła z ulgą. Od paru godzin szukała rzeczy, które mogłyby obciążyć Justynę. Musiała w tym wyprzedzić działania policji. Była gotowa na wszystko, żeby pomóc mamie. Ona nie da rady w zakładzie karnym. Zginie tam, rozchoruje się, a może nawet popełni samobójstwo. Poza tym była jeszcze jedna kwestia, która kołatała się w umyśle Uli. Jeśli Justynie udowodnią współudział w zamordowaniu Leona, to

spadek przypadnie, a te pieniądze to bezpieczna przyszłość i ogromne możliwości.

Odłożyła telefon brata i wyszła z pokoju. Gdy schodziła na parter, dobiegał do niej głos podinspektora Juraszczyka:

— Pani Justyno, dlaczego pani milczała przez te dwa tygodnie? Dlaczego ukrywała pani tożsamość sprawcy?

— Nie wiem. Chyba myślałam, że nikt mi nie uwierzy, bo to przecież nieprawdopodobne.

— Chociaż córce mogła pani wyjawić, kto to był.

— Powiedziałam jej wczoraj wieczorem i wie pan, co ona na to? Oznajmiła, że to niemożliwe. Jeśli własna córka mi nie uwierzyła, to policja ma mi uwierzyć?

Ula odetchnęła, słysząc lekko drżący głos mamy. Wyglądało na to, że radziła sobie z zeznaniami. Mówiła dokładnie to, co ustaliły parę godzin wcześniej. Wczoraj nie wpuścili funkcjonariuszy. Na szczęście tamci ustąpili, informując, że przyjadą następnego dnia rano. Zyskała trochę czasu, żeby przygotować Justynę do rozmowy z Juraszczykiem. Tłumaczyła, że najważniejsze to zaprzeczać wszelkim sugestiom, że jest się winnym. Większość sukcesów policyjnych polega na złamaniu podejrzanego, wystarczy więc, że będzie się trzymać wersji, że była wyłącznie ofiarą. Nie przyznawać się i jeszcze raz nie przyznawać się do niczego, a będzie dobrze.

Weszła do salonu z przepaszającym uśmiechem.

— Panie podinspektorze, długo pan będzie jeszcze męczył moją mamę?

— Kochanie, pan podinspektor mnie nie męczy. Dobrze, że się w końcu otrząsnęłam i powiedziałam prawdę.

Justyna wyglądała na zdenerwowaną, ale zarazem z jej oczu i gestów wyzierało ukontentowanie. Była zadowolona ze swoich zeznań. Juraszczyk dał jej do zrozumienia, że uwierzył w tę wersję morderstwa. Mama nie wiedziała, że to tylko gra ze strony funkcjonariusza. Ula miała jednak tę świadomość. Poznała go przecież jako miłośnika przesłuchań, lubującego się w łamaniu ludzi. Za parę dni podinspektor wezwie Justynę na komendę, aby porozmawiać z nią ponownie, ale tym razem pytania będą dociekliwsze, ponadto będzie próbował wykazać nielogiczność jej zeznań. Ula musi przygotować mamę na ten etap przesłuchania i przede wszystkim skonsultować się z adwokatem. Mecenas powinien towarzyszyć Justynie na komendzie, chociaż Juraszczyk na pewno ten fakt wykorzysta, sugerując, że pani Gifort poczuwa się do winy, skoro przyszła z obrońcą.

Podinspektor oznajmił, że kończy przesłuchanie świadka, i wyłączył dyktafon. Wstał z kanapy.

— To by było na tyle — oznajmił spokojnie, jak gdyby przez ostatnią godzinę gawędzili o banalnych sprawach.

Pożegnał się z Justyną, po czym ruszył do wyjścia. Ula szła za nim. Gdy znaleźli się na ganku, zapytała:

— Co teraz?

— Jadę na komendę.

— A potem pojedziecie po sprawcę, tak?

— Raczej nie dzisiaj.

— Dlaczego nie?

— Przecież pani wie, że najpierw muszę przeanalizować zeznania Justyny Gifort, żeby się przygotować do przesłuchania osoby, którą ona oskarża.

Ula milczała, omiatając wzrokiem szarą taflę jeziora.

— Justyna Gifort może konfabulować — oznajmił nagle Juraszczyk. — Ta jej wersja ma luki.

Wzięła głęboki oddech i policzyła w myślach do dziesięciu. Nie zapyta, o jakie luki chodzi. Nie da się sprowokować.

— Moja mama mówi prawdę. Niech pan przesłucha sprawcę.

— Przesłucham.

Juraszczyk zszedł po schodach i wolnym krokiem ruszył do radiowozu. Gdy odjechał, na ganek wyszła Justyna.

— Dobrze jest? — zapytała szeptem, jak gdyby obawiała się, że ktoś je podsłucha.

— Tak, mamo. Tylko teraz musimy przekonać twojego współnika, żeby cię nie wydał.

Justyna otworzyła szeroko oczy i usta. Można byłoby odnieść wrażenie, że parodiuje zdumienie

podszyte lękiem, ale ona naprawdę była zaskoczona i wystraszona.

— Przecież tego się nie da zrobić.

— Warto spróbować, bo w innym razie może ci grozić dwadzieścia pięć lat.

Justyna zaczęła płakać.

— Powiedziałaś, że wystarczy, że się nie przyznam.

Ula czuła, że złość w niej narasta. Najchętniej nawrzeszczałaby na rodzicielkę. Nie mogła patrzeć na łzy lejące się po jej zapadniętych policzkach. Taka biedna i zrozpaczona, a męża zabić umiała. Ponownie policzyła w myślach do dziesięciu, po czym objęła Justynę i wprowadziła do domu.

Nie miała sprecyzowanego planu. Wiedziała jedynie, że musi działać. Bierność w obecnej sytuacji wydawała się niewskazana. Jeśli Juraszczyk nie ma zamiaru dzisiaj zgarnąć sprawcy, to nawet dobrze. Ona to wykorzysta, doprowadzi do spotkania i może zdoła coś ugrać. Włożyła do kieszeni spodni składany nóż, a do torebki telefon. Przez chwilę zastanawiała się, co jeszcze powinna wziąć. Sprawdziła, czy ma kartę do bankomatu. Miała.

Czekała ją najważniejsza w życiu konfrontacja. Musi wykorzystać całą swoją wiedzę, którą zdobyła w szkole policyjnej. Posłuży się technikami przymusu, spróbuje zastraszyć swojego rozmówcę, wmówić mu rzeczy, których nie będzie chciał zaakceptować. Jednym słowem, współnik mamy powinien wziąć całą winę na siebie i zapewnić, że

Justyna była wyłącznie ofiarą. Czy można tego dokonać? Za pomocą hipnozy zapewne tak. Niestety, nie posiadała takich umiejętności.

Podinspektor miał rację, że do rozmowy z podejrzanym trzeba przystąpić z dużym zasobem informacji. Postanowiła nieco uzupełnić swoją wiedzę na temat osoby, do której się wybierała. Zostawiła samochód na parkingu centrum handlowego. Godzinę później, pijąc cappuccino w kawiarni, wykonała dwie rozmowy telefoniczne, przejrzała kilka stron w internecie i przeanalizowała świstek papieru, który przed kwadransiem zdobyła. Grunt to mieć dobre argumenty w ręku. Zaczynała wierzyć, że to się może udać.

Kupiła sobie tabliczkę gorzkiej czekolady z migdałami i jadła ją w czasie drogi. Miała nadzieję, że mama doceni jej wysiłki. Wszystko to robiła dla niej, aby nie trafiła za kratki i żeby zachowała ten cały majątek. Gdy już będzie po wszystkim, namówi ją do sprzedaży swoich udziałów w firmie. Będą wolne i obrzydliwie bogate.

Przyłożyła palec do dzwonka. Miała już nacisnąć, ale się zawahała. Złapała za klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Ostrożnie weszła. Znalazła się w ciasnym przedpokoju. Zdjęła płaszcz i powiesiła go na wieszaku. Torebkę wciąż trzymała przy sobie. Sprawdziła, czy nóż dobrze leży w kieszeni dżinsów, na wypadek gdyby miała go szybko wyciągnąć. Nigdy nie wiadomo, z jaką reakcją się spotka.

Skierowała się w stronę stukotu dobiegającego z głębi mieszkania i chwilę później zobaczyła

Mateuszka uderzającego drewnianą łychę w nogę od stołu. Kobieta stała plecami do wejścia i kroїła paprykę w wąskie paski. W misce obok moczyły się jakieś ziarna.

— Dzień dobry — przywitała się Ula.

Mateuszek przestał hałasować, a kobieta odwróciła się gwałtownie z lękiem w oczach i nożem w dłoni.

Ula czuła, że jest górą. Zdołała zaskoczyć i przestraszyć przeciwnika.

— Jak pani tu weszła?

— Drzwi były otwarte. Proszę pamiętać, żeby zawsze przekręcać zamek, bo ktoś niepowołany może wejść i zrobić pani krzywdę albo porwać wnuka.

Michalina Gifort, pierwsza żona Leona Giforta, machinalnie zwróciła wzrok na Mateuszka, który chwiejnym krokiem zbliżał się do Uli. Zatrzymała go, łapiąc za ramię.

— Kim pani jest? — zapytała ostro.

Ula uśmiechnęła się, jak gdyby przyszła z wizytą towarzyską.

— Przepraszam, nie zdążyłam się przedstawić. Nazywam się Ula Baranowska. Jestem córką Justyny Gifort.

Kobieta zacisnęła usta, zamieniając je w cienką kreskę.

— Po co tu przyszłaś?

Ula postanowiła wyprowadzić od razu mocny cios.

— Moja mama złożyła dzisiaj zeznania i obciążyła panią.

— Obciążyła mnie? Niby jak?

— Pani Michalino, nie bawmy się w kotka i myszkę. Ja wiem, że to pani przy udziale mojej mamy zabiła Leona. Policja też już to wie.

Michalina odwróciła się w stronę blatu i kontynuowała krojenie papryki.

— Drogie dziecko, nie wiem, o czym mówisz.

— O tym, że pewnego dnia spotkały się dwie żony, pierwsza i ta aktualna. Doszło do tego pół roku temu w markecie, razem stanęłyście do tej samej kasy. Rozpoznałyście się, bo każda z was wiedziała, jak wygląda ta druga. Moja mama zaproponowała wspólną kawę. Poszłyście więc do cukierni. Rozmowa się nie kleiła, ale następnym razem było już lepiej. Znalazłyście wspólny temat, utyskiwanie na Leona. Obie miałyście dużo do powiedzenia w tej kwestii.

W ruchach noża przesuwającego się po papryce nastąpiła wyraźna arytmia, a w głosie Michaliny dawało się wyczuć napięcie.

— Nie znam twojej matki. Idź stąd.

— Może pani mnie przegonić, ale z policją tak łatwo nie pójdzie. Im nie wystarczy powiedzieć, żeby sobie poszli.

Michalina odłożyła nóż i wycierając ręce o spódnicę, obróciła się do Uli.

— Czego ode mnie chcesz?

— Żeby przyznała się pani do zabicia Leona i potwierdziła, że Justyna była wyłącznie ofiarą.

Pierwsza żona Giforta zaśmiała się nienaturalnie, jak gdyby na rozkaz.

— Nigdy czegoś takiego nie zrobię. Nie będę ratowała chudego tyłka twojej matki. To był jej pomysł. Zaplanowała, że go udusimy apaszką, znalazła nawet w swojej szafie najmocniejszą, żeby się nie porwała. Namawiała mnie do tego przez wiele miesięcy. Obiecywała, że go udusi, ja miałam jedynie wpaść z młotkiem i go zdzielić w głowę. Myślałam, że to złamanie ręki to blef, ale pokazała mi rentgen. Powiedziała, że nie możemy dłużej czekać, bo nie ma już siły udawać idealnej żony. Wyrachowana pinda, złamała rękę, żeby wymigać się od udziału w mordowaniu, ale i tak jest winna, na pewno bardziej niż ja. Kazała mi to zrobić, zmanipulowała mnie. — Twarz kobiety spięła się w grymasie nienawiści. — Obie pójdziemy siedzieć — syknęła z satysfakcją.

Michalina Gifort była gotowa ponieść karę pod warunkiem, że nie sama. Znienawidzona przez nią druga żona też miała zapłacić wysoką cenę. Źle to wyglądało, ale Ula się nie poddawała.

— Już to widzę. Moja mama oskarżyła panią, a pani rzuci podejrzenie na nią. Policja uwierzy tej z was, która będzie miała mocniejsze dowody. A jaki pani ma dowód na to, że została zmanipulowana przez Justynę? Może jakieś esemesy albo chociaż połączenia telefoniczne? Czy moja mama choć raz do pani zadzwoniła? A może nagrała pani waszą rozmowę, podczas której

Justyna planuje pozbyć się męża? Może pani ją oskarżać o zlecenie zabójstwa, ale nie ma pani na to żadnych dowodów. Nie może nawet pani udowodnić, że się widywałyście.

— Ona też nie ma żadnych dowodów, że to ja. To będzie jej słowo przeciwko mojemu.

— Myli się pani. Pozostawiła pani ślady i policja je znajdzie, skoro ja już na nie trafiłam.

Ula wyjęła z torebki świstek i podała go kobiecie.

— Co to jest?

— To jest poszlaka, ale wiele mówiąca. To kopia paragonu z zakupu młotka i rękawiczek lateksowych. Założyłam, że nie kupiła pani tych rzeczy w pobliżu domu i że zrobiła to pani na kilka dni przed morderstwem. Pojechałam więc do Carrefoura i dogadałam się z kierowniczką sprzedaży.

Michalina przyjrzała się świstkowi, a potem spojrzała na Ulę z wyższością.

— Na tym paragonie nie ma nazwiska kupującego. Jeśli to są moje zakupy, to płaciłam za nie gotówką, czyli nie pozostawiłam żadnego śladu.

Ula się uśmiechnęła i pokiwała z pobłażaniem głową. Mateuszek stanął przy niej i złapał ją za dzinsy, domagając się, aby wzięła go na ręce. Odruchowo pogłaskała go po główce. Na nic więcej nie mogła się zdobyć, bo bała się, że się rozkojarzy i straci kontrolę nad rozmową.

— Gdyby rzeczywiście za zakupy zapłacono kartą, byłoby jasne, kto je zrobił, ale i tak nie jest źle. Oprócz młotka i lateksowych rękawiczek kupiła

pani kilka innych rzeczy, między innymi maszynkę do strzyżenia włosów, która niestety szybko się zepsuła. Poszła ją pani zareklamować i podała pani swoje imię, nazwisko, numer telefonu do kontaktu i dołączyła oryginalny dowód zakupu, czyli paragon, na którym widnieją też takie produkty jak młotek i lateksowe rękawiczki. Wszystko znajduje się w systemie informatycznym sklepu. Trzeba było tę maszynkę wyrzucić, kosztowała tylko pięćdziesiąt dziewięć złotych, a teraz może pani przez nią trafić za kratki na dwadzieścia pięć lat. Ciekawe, czy w ogóle zdąży pani wyjść? Nie jest już pani taka młoda.

Michalina ze złością zgmiotła paragon i wrzuciła go do kosza, po czym przesunęła dłonią po krótko ostrzyżonych siwych włosach, jak gdyby chciała sprawdzić, czy felerna maszynka choć raz zdała egzamin.

— Na twoją matkę policja też coś znajdzie. Ona także poniesie karę. Dobrze o tym wiesz, dlatego tu przyszłaś. A wystarczyło milczeć i obie mogłybyśmy cieszyć się wolnością, a ona w dodatku miała fortunę. Przez kilka miesięcy zapewniała mnie, że wspólne przestępstwo jest gwarancją wzajemnej lojalności. Ona mnie nie wyda, ja jej też nie, bo każda z nas pograżyłaby też samą siebie. Nie rozumiem, dlaczego zaczęła sypać. Na co liczyła? Na to, że wszyscy uwierzą w jej wersję?

— Dobrze pani wie, dlaczego Justyna zaczęła mówić.

— Bo jest głupia — syknęła Michalina z nienawiścią.

— To zła odpowiedź. Proszę spróbować jeszcze raz.

Nagle obie drgnęły, bo Mateuszek zaczął znowu walić drewnianą łychę o nogę stołu. Babcia wyrwała mu niecodzienną zabawkę. Rozpłakał się.

— Idź stąd! — rzuciła Michalina do Uli przez zaciśnięte zęby. — Muszę zająć się wnukiem. Nie mam czasu na gości.

— To pani pierwsza nie dotrzymała umowy zawartej z moją mamą. Skoro pani się wyłamala, to dlaczego Justyna miała dalej milczeć? Czy mam przypomnieć, jakie były warunki waszego paktu?

Z każdym słowem Ula mówiła coraz głośniej, żeby przebić się przez płacz Mateuszka. Michalina wzięła wnuka na ręce i nerwowo nim potrząsała. Miało to go uspokoić, ten jednak zanosił się coraz większym krzykiem.

— Chciała pani zabić moją mamę — kontynuowała Ula podniesionym głosem. — Chciała ją pani powiesić na tej apaszce. Umówiłyście się, że upozorujecie powieszenie, żeby wyglądało na to, że sprawca planował zabić oboje Gifortów. Gdy Justyna miała już pętlę na szyi, kopnęła pani w drzwi szafy, ciało Leona osunęło się w dół, a moja mama stanęła na czubkach palców z wyciągniętą maksymalnie szyją. Myślała pani, że to wystarczy, że długo tak nie wytrzyma. Gdyby nie strażacy... udałoby się pani.

Michalina zdecydowanym gestem wskazała na drzwi.

— Idź na policję i tam powiedz to wszystko.

— Pójdę. Powiem im również, że zabiłaś mojego brata! Zabiłaś Ignasia!

Ula wykrzykiwała te zdania, dając upust swojej wściekłości i rozpacz. Chciała rzucić się z pięściami na tę straszną kobietę, ale powstrzymał ją Mateuszek wtulony w ramiona babci.

— Nie zabiłam go. Przysięgam, nic chłopcu nie zrobiłam.

Na twarzy pierwszej żony Giforta pojawił się strach. Machinalnie głaskała wnuka po plecach i główce. Ten wciąż płakał, ale coraz ciszej, jak gdyby nie miał już siły na krzyk.

— Zabiłaś go — powtórzyła Ula niemal szeptem.

Michalina kręciła przecząco głową, a w tym ruchu była niepewność i ogromna nerwowość.

— Mam na to dowód — kontynuowała Ula. — Mam dowód, że zabiłaś Ignasia.

Z ust kobiety wypadło błagalne „nie”, jak gdyby miała nadzieję, że zdoła powstrzymać Ulę przed dalszymi oskarżeniami. Ta mówiła dalej:

— Zadzwoiłam dzisiaj do asystentki mecenasa Krawczyńskiego. Powiedziałam, że jestem z policji, i zapytałam, czy Michalina Gifort znała treść testamentu Leona. Na początku próbowała udzielić wymijającej odpowiedzi, ale prawdopodobnie dręczy ją poczucie winy, bo pękła i przyznała, że wyjawiała pani zapis testamentu, przy którego sporządzeniu asystowała. — Wymierzyła palec w pierś Michaliny. — Zabiłaś mojego brata, żeby cały majątek Giforta

trafił do twoich synów. Zlikwidowanie wyłącznie Justyny nie zadawałało cię finansowo.

Michalina się rozszłochała. Ula właśnie złamała jej opór. Juraszczyk byłby z niej dumny.

— Nie chciałam go zabić. Przysięgam. Zobaczył mnie, gdy wychodziłam z sypialni. Nie wiedziałam, co robić. Nie mogłam dłużej tam pozostawać, bo już robiło się widno. Musiałam uciekać. Ale gdybym wyszła, to chłopiec pobiegłby do rodziców, a wtedy Justyna kazałaby mu wezwać pomoc. Wszystko przez to, że ona żyła, ta cholerna pętla nie zacisnęła się na jej szyi. Chciałam cofnąć się do sypialni i jeszcze raz kopnąć w drzwi szafy, żeby mieć pewność, że ona cało z tego nie wyjdzie. Wtedy usłyszałam ciche piknięcie. Zrozumiałam, że ten dzieciak wziął do ręki telefon. Weszłam do jego pokoju, żeby mu go zabrać. Wystraszył się. Rzucił aparat i uciekł do okna. Nie zatrzymywałam go, gdy je otworzył i wdrapał się na parapet. Sam wypadł. Przysięgam. Ja tylko podniosłam telefon i schowałam go do szuflady.

Ula trzęsała się z emocji. Nie wierzyła w zapewnienia Michaliny Gifort. Justyna popełniła duży błąd, sprzymierzając się z nią. Nie przewidziała, jak wielkie pokłady rozgoryczenia i nienawiści nosiła w sobie ta kobieta i że nie były one skierowane wyłącznie przeciwko Leonowi, ale przede wszystkim przeciwko jego nowej żonie i ich wspólnemu dziecku.

— Dlaczego wypuściłaś karaczany?

Kobieta pochlipywała.

— Pytam, dlaczego wypuściłaś karaczany?

— Bo twoja matka się ich bała. Miałam nadzieję, że gdy dotrą do sypialni, będzie wołała się powiesić niż czekać, aż zaczną po niej łązić.

Ula włożyła dłoń do kieszeni spodni i zacisnęła palce na składanym nożu. Czas kończyć tę rozmowę.

— Weźmiesz na siebie to morderstwo. Powiesz na policji, że Justyna była wyłącznie ofiarą.

— Nie zrobię tego — wyrzuciła z siebie tamta wstrząsana spazmami płaczu.

— Zrobisz to, żeby ratować samą siebie w oczach swoich synów. Zastanów się, co pomyślą o tobie, gdy dowiedzą się, że zabiłaś ich siedmioletniego brata.

— Nie, błagam — pisnęła Michalina.

— Andrzej i Marek nie wybaczą ci, że zabiłaś im ojca, ale to rozumieją. Trudno jednak zrozumieć, że można zabić dziecko. Jak bardzo trzeba być bezwzględny i pozbawiony uczuć, żeby uśmiercić kilkuletniego chłopca.

Kobieta patrzyła rozbieganymi oczami niczym zaszczute zwierzę. Ula wiedziała, że jest bliska celu.

— Jeśli przyznasz, że byłaś jedynym sprawcą, Justyna potwierdzi, że po wyjściu z sypialni od razu zeszała na parter. Powie, że słyszała twoje kroki. Masz szansę na to, aby Andrzej i Marek nie widzieli w tobie potwora mordującego dzieci.

Skrzywiona od płaczu twarz Michaliny nagle się rozluźniła, a kąciki ust lekko uniosły, imitując nienaturalny uśmiech. Patrzyła przed siebie

pustym wzrokiem. Wyglądała teraz na kobietę pogodzoną z losem.

Ula poprawiła torebkę na ramieniu. Zrobiła, ile mogła i prawdopodobnie przyniesie to pożądaný efekt. Skierowała się ku drzwiom. Odwróciła się jeszcze w progu.

— Jeśli Marek i Andrzej dowiedzą się, że zabiłaś Ignasia, to zrobią wszystko, żeby ich dzieci nie pamiętały babci. Pomyśl o tym.

Gdy wychodziła, słyszała za plecami ciche zawodzenie Mateuszka i jęk rozpaczy Michaliny. Ta kobieta była już wrakiem psychicznym. Czekał ją pobyt za kratami i potępienie ze strony synów, ale miała jeszcze szansę na to, że nie wyrzucą jej ze swoich serc.

Epilog

DZWONEK TELEFONU NIEUBŁAGANIE wkręcał się w jej przytłumiony snem umysł. Czuła niesamowitą suchość w ustach, jak gdyby od trzech dni przemierzała pustynię bez kropli wody. Z niemałym trudem przypomniawszy sobie wczorajszy wieczór. Wypiła butelkę wina i doprawiła się jeszcze sokiem pomarańczowym z wódką.

Wyciągnęła rękę w stronę źródła dźwięku i po omacku, nie otwierając oczu, odszukała telefon.

— Słucham — wychrypiała.

W słuchawce panowała cisza, po chwili rozległ się znajomy głos:

— Ulka?

— Tak.

— Dzwonię, bo mam wieści.

— Jakie?

— No właśnie nie jestem pewien, czy dobre, czy złe. Informowanie o czyjejsz śmierci to chyba nie jest dobra nowina, ale w tej sytuacji...

Przesunęła językiem po zębach i podniebieniu, szukając śliny.

— Mów, o co chodzi.

Usłyszała, jak po drugiej stronie słuchawki aspirant Mariusz Żuk wzdycha.

— Michalina Gifort nie żyje — oznajmił poważnym tonem.

Ula przyswajała tę informację powoli. Nie była zaskoczona ani przestraszona. Chciała jedynie wiedzieć, jak to się stało, choć podświadomie przeczuwała, że nie była to śmierć z przyczyn naturalnych.

— Wygląda to na samobójstwo — kontynuował aspirant. — Powiesiła się w łazience, na pasku od szlafroka. W kieszeni miała list do synów. Poprosiła ich o wybaczenie i przeprosiła za to, że zabiła im ojca.

Ula powstrzymała się przed wypuszczeniem powietrza z ulgą. Chciała wiedzieć, czy Michalina Gifort coś jeszcze napisała w liście pożegnalnym, czy oskarżyła Justynę o zaplanowanie morderstwa. Nie mogła jednak o to zapytać wprost.

— No i co powiesz? — zagadnął Mariusz, gdy jej milczenie się przedłużało.

— Nic — mruknęła i dodała: — Nie będę nad nią płakać.

— Tak właśnie myślałem, że dla ciebie to nie będzie zła wiadomość. Rozumiem cię.

Usiadła na łóżku. W głowie się jej zakręciło. Zegar na przeciwległej ścianie pokazywał dziesiątą. Zdumiała się, że jest tak późno. Mama na pewno już wstała.

— Co mówi podinspektor? — zapytała rzeczowo.

— Nie wiem, czy mogę ci powtórzyć.

— Możesz.

Mariusz się zaśmiał.

— No dobra. Jura twierdzi, że śmierć Michaliny Gifort jest na rękę twojej matce, bo Lochman na pewno zamknie teraz sprawę. Nie będzie mu się chciało grzebać w tym dalej, poza tym może odtrąbić sukces, bo sprawca został ustalony, a to, że zdążył popełnić samobójstwo, nie powinno zaszkodzić wizerunkowi prokuratury. Jura chciałaby pociągnąć jeszcze śledztwo, bo jest przekonany, że twoja matka była współniczką pierwszej żony Giforta.

— Nie była — oznajmiła twardo Ula.

— No oczywiście, że nie, ale wiesz, jaki jest Jura. Sceptyk. Poza tym patrzy na całość jak typowy facet. Oczekuje, że w sytuacji zagrożenia każdy powinien rzucić się do walki i bronić własnej rodziny, a twoja matka nic nie zrobiła, choć Michalina Gifort dysponowała jedynie młotkiem. No ale kobiety w takiej sytuacji reagują inaczej niż mężczyźni, są po prostu bierne.

Aspirant lekko kpiącym tonem dawał do zrozumienia, że zgadza się z podinspektorem i również podejrzewa Justynę. Ula nie miała siły ciągnąć tej rozmowy. Zamieniła jeszcze kilka zdawkowych słów z Mariuszem i się rozłączyła. Opadła na poduszkę. Chwilę później do pokoju zajrzała Justyna. Była w szlafroku, ale włosy miała

umyte i rozczesane. Wyglądała dużo lepiej niż wczoraj.

— Obudziłaś się?

— Tak. Kolega z policji zadzwonił. Michalina popełniła samobójstwo.

— Och! — Justyna była szczerze zaskoczona. — Nigdy bym nie pomyślała, że mogłaby...

— Nie będzie zeznawała przeciwko tobie. Możesz się cieszyć.

— No co ty, jak bym mogła cieszyć się z czyjejś śmierci?

Ulę zirytowało niespodziewane oburzenie na twarzy rodzicielki. Dwa tygodnie temu asystowała przy zamordowaniu własnego męża, a teraz kreuje się na świętą.

Z cichym westchnięciem opadła na poduszkę i naciągnęła kołdrę na głowę. Miała wrażenie, że przeniosła się do alternatywnej rzeczywistości, w której każdy dostał inną niż dotychczas rolę do odegrania. Trudno było się z tym pogodzić. Brakowało jej dobrej i poczciwej mamy. Wiele dałaby za to, żeby ją odzyskać, i Ignasia również. Niestety, to niemożliwe. Ona sama też się zmieniła. W tej chwili bliżej jej było do podinspektora Juraszczyka, była nawet od niego lepsza, bo bez paralizatora i policyjnej pałki złamała człowieka.

Spis treści

[Prolog](#)

[Rozdział I](#)

[Rozdział II](#)

[Rozdział III](#)

[Rozdział IV](#)

[Rozdział V](#)

[Rozdział VI](#)

[Rozdział VII](#)

[Rozdział VIII](#)

[Rozdział IX](#)

[Rozdział X](#)

[Rozdział XI](#)

[Rozdział XII](#)

[Rozdział XIII](#)

[Rozdział XIV](#)

[Rozdział XV](#)

[Rozdział XVI](#)

[Rozdział XVII](#)

Rozdział XVIII

Rozdział XIX

Rozdział XX

Rozdział XXI

Rozdział XXII

Rozdział XXIII

Rozdział XXIV

Rozdział XXV

Rozdział XXVI

Rozdział XXVII

Rozdział XXVIII

Epilog